

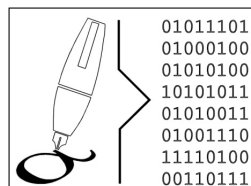
CRAIG RICE

RÓŻE PANI CHERINGTON

Tytuł oryginału: HOME SWEET HOMICIDE

Przełożyła: Maria Skibniewska

Rok wydania polskiego: 1989



Wszystkie postacie występujące w tej powieści, zarówno jak opisane w niej wydarzenia, są fikcyjne i całkowicie zmyślone, nie portretowałam ani nie zamierzałam portretować żadnej autentycznej osoby czy grupy osób. Mimo to pragnę poświęcić tą książkę z najgłębszą wdzięcznością trojgu moim dzieciom. Gdybym ich nie znała, nie wpadłabym na pomysł tej historii, a gdyby tych troje nie wspierało mnie stałą pomocą oraz dorywczą współpracą — nie napisałabym jej. A wreszcie, gdyby Nancy, Iris i David nie upoważnili mnie do tego, nigdy bym jej nie mogła wydać drukiem.

Craig Rice

OSOBY:

ARCHIE CARSTAIRS — lat dziesięć, wypłacalny i odpowiedzialny finansowo członek rodu Carstairsów.

APRIL CARSTAIRS — lat dwanaście, drobna blondynka, pozornie wątpa; najsprytniejsza spośród latorośli pani Carstairs.

DINA CARSTAIRS — lat czternaście, „hoże dziewczę”.

MARIAN CARSTAIRS — matka poprzednio wymienionych, autorka poczytnych książek kryminalnych, nie miała „osobistego życia”, ku zmartwieniu swej córki, April.

POLLY WALKER — młoda aktorka i bez wątpienia „szykowna babka”, według słów April.

FLORA SANFORD — najbliższa sąsiadka Carstairsów; zmarła śmiercią zagadkową.

BILL SMITH — porucznik policji, cierpiący z powodu samotności.

SIERŻANT O'HARE — współpracownik i podwładny poprzedniego; człowiek, który wychował dziewięcioro własnych dzieci.

WALLACE (WALLIE) SANFORD — młody małżonek Flory Sanford, który wolał zniknąć z widowni.

LUKE — właściciel sklepiku, gdzie można było znaleźć gazety, słodycze oraz dogodny kredyt.

RUPERT VAN DEUSEN — który wylął się w bujnej wyobraźni April, ale przeobraził później ku jej zdumieniu w postać bardzo rzeczywistą.

PANI CARLETON CHERINGTON III — która z niedocieczonych powodów interesowała się wnętrzem willi Sanfordów.

HENRYK HOLBROOK — adwokat, doradca prawny Flory Sanford, który interesował się wnętrzem domu swej klientki nie mniej żywo niż pani Cherington.

PIERRE DESGRANGES — człowiek grający różne role i występujący pod różnymi nazwiskami, a malujący wyłącznie wodę.

FRANK RILEY — podziurawiony przez kule rewolwerowe gangster i szantażysta posledniej kategorii.

BETTY LEMOE — ofiara porwania i morderstwa, za życia gwiazda lekkiej sceny.

WUJ HERBERT — portret rodzinny z wystrzelonym okiem.

MCCAFFERTY — policjant, który się nie znał na psychologii dziecka.

CARLETON CHERINGTON III — dżentelmen, którego fotografia nie zgadzała się z nazwiskiem.

ARMAND VON HOEHNE — artysta obecny jedynie duchem.

SLUKEY i FLASHLIGHT — młodociani członkowie Bandy.

PETER DESMOND — dziwnym zbiegiem okoliczności znany pod kilku innymi nazwiskami.

CLEVE CALLAHAN — który udowodnił, że działał z miłości.

Alfabet tajemnego języka mum-mum

a- a

ą- ą

b- bub

c- cuc

ć- ciuć

d- dud

e- e

ę- ę

f- fuf

g- gug

h- huh

i- i

j- juj

k- kuk

l- lul

m- mum

n- nun

o- o

ó- ó

p- pup

r- rur

s- sus

t- tut

u- u

w- wuw

x- ksuks

y- y

z- zuz

ź- ziuź

ż- żuz

ch- chuch

cz- czucz

dź- dziudź

sz- szusz

rz- rzurz

ROZDZIAŁ I

— Nie opowiadaj takich bredni — rzekł Archie Carstairs. — Mamusia nie mogła przecież zgubić dwudziestofuntowego indyka.

— Nie mogła? — szyderczo spytała starsza siostra, Dina. — A kiedyś zgubiła fortepian!

Archie sceptycznie zmarszczył nos.

— A właśnie że zgubiła! — wmieszała się April. — To było wtedy, kiedy przeprowadzaliśmy się z Eastgate Avenue. Mamusia zapomniała podać nowy adres tym ludziom, którzy mieli przewozić fortepian, a że przyjechali po niego, kiedy nas tam już nie było, wozili fortepian w kółko po całym mieście. Liczyli na to, że mamusia zatelefonuje do firmy przewozowej. Ale mamusia zgubiła karteczkę z nazwą firmy i adresem, więc musiała telefonować do wszystkich przedsiębiorstw przewozowych, jakie figurują w książce telefonicznej, póki nie trafiła wreszcie na właściwe.

Zapadło milczenie.

— Mamusia wcale nie jest z natury roztargniona — powiedziała wreszcie Dina. W głosie jej brzmiała troska. — Ale ma za dużo na głowie.

Troje małych Carstairsów siedziało na balustradzie ganku przed domem, wystawiając gołe opalone nogi na przedwieczne słońce. Z piętra dużego starego domu dochodził stłumiony pomruk maszyny do pisania, pracującej z rekordową szybkością. Marian Carstairs — czyli Clark Cameron, czyli Andrew Thorpe, czyli J. J. Lane — kończyła swoją kolejną powieść detektywistyczną. Gdy dokona tego dzieła, pozwoli sobie na dzień wypoczynku, pójdzie do fryzjera i kupi prezenty trójce dzieci. Z lekkomyślną rozrzutnością zafunduje im obiad w restauracji i bilety na najciekawszy spektakl w mieście. Nazajutrz zaś siądzie do pisania następnej powieści sensacyjnej.

Taki był zwykły tryb życia, dobrze już znany trojgu dzieciom. Dina twierdziła, że porządek ten ustalili się już wówczas, gdy Archie leżał jeszcze w pieluchach.

Popołudnie było ciepłe, ospałe. Przed domem rozciągała się lesista dolina, zatopiona w miękkiej mgiełce. Tu i ówdzie spomiędzy drzew wyblyskiwały dachy, lecz nie było

ich wiele. Marian Carstairs wybrała ten dom właśnie z powodu jego odosobnienia i ciszy. Jedyne bliższe sąsiedztwo stanowiła różowa willa w pseudowłoskim stylu, własność państwa Sanford, oddzielona pustą parcelą, kępą drzew i wysokim żywopłotem.

— Archie — odezwała się nagle April rozmarzonym głosem — zajrzyj do puszek na cukier.

Archie zaprotestował namiętnie. April miała dwanaście lat, a on tylko dziesięć, to jednak nie powód, żeby biegał dla niej na posyłki. Jeżeli chce, może sama zajrzeć do puszek na cukier. Na zakończenie całego wywodu spytał:

— Bo co?

— Bo pstro — odparła April.

— Archie — stanowczo rzekła Dina, rzucając na szalę autorytet swoich czternastu lat. — Już cię nie ma!

Archie jęknął, ale posłuchał. Był mały na swój wiek, miał niesforną ciemnoblonde czuprynę i twarz, która jakimś cudem wyrażała jednocześnie niewinność i bezczelność. Z wyjątkiem pięciu minut bezpośrednio po kąpieli, Archie był zawsze trochę brudny. W tej chwili miał na dobitkę rozwiązane sznurowadła u tenisówek i niewielką dziurę na kolanie welwetowych spodni.

Dina w piętnastej wiosnie zasługiwała na złośliwe określenie, które dla niej wymyśliła April: „hoże dziewczę”. Wysoka, dobrze zbudowana, miała bujne i puszyste włosy, ogromne piwne oczy i na ładnej twarzyczce na przemian uśmiech albo powagę starszej siostry. Nosiła z szykiem jaskrawoczerwoną spódniczkę, kraciastą bluzkę, zielone długie skarpety i zakurzone brązowe pantofle.

April była drobna i łudziła pozorami kruchości. Włosy miała gładkie i jasne, oczy równie wielkie jak Dina, ale szaroniebieskie. Wszystko przemawiało za tym, że wyrośnie na piękność, jeszcze więcej za tym, że wyrośnie na osobę bardzo leniwą. April wiedziała o tym. Ubrana w niepokalanie białe spodnie i bluzkę, obuta w czerwone, zawiązane wokół kostek sandały, we włosy miała wpięty szkarłatny kwiat pelargonii.

Tętent niby galopującego żrebaka zwiastował siostrom z daleka, że Archie wraca. Z głośnym okrzykiem młodzieniec wyskoczył z drzwi domu i jednym susem znalazł się znowu na balustradzie.

— Włożyłem indyka do lodówki! — wrzasnął. — Skąd wiedziałaś, że jest w puszcze od cukru?

— Metoda dedukcji — odparła April. — Kiedy mamusia dzisiaj rano odłożyła dostarczone prowianty do spiżarni, znalazłam torbę z cukrem w lodówce.

— To się nazywa głowa na karku! — powiedziała Dina. Westchnęła. — Ach, żeby mamusia wpadła znowu! Przydałby się nam w domu mężczyzna.

— Biedne matczysko! — westchnęła April. — Nie ma w ogóle osobistego życia. Sama jak palec na świecie.

— Mamusia ma nas — rzekł Archie.

— To nie to — wyniosłe odpowiedziała April. Patrzyła w rozmarzeniu na dolinę.
— Żeby tak mamusi udało się rozwiązać zagadkę prawdziwego morderstwa! To by jej zrobiło świetną reklamę i nie musiałyby pisać tylu książek.

Archie wierzgnął piętami o mur.

— A ja bym chciał, żeby mamusia strzeliła dubla! — powiedział.

April mówiła później, że z pewnością Opatrzność podsłuchiwała tę ich rozmowę, bo w tym właśnie momencie usłyszeli strzały.

Dwa strzały, jeden po drugim, oba od strony willi Sanfordów. April chwyciła siostrę za ramię i szepnęła bez tchu:

— Słyszysz?

— Pewnie pan Sanford strzela do ptaków — sceptycznie osądziła Dina.

— Pana Sanforda nie ma jeszcze w domu — rzekł Archie.

Drogą przemknął samochód, niewidoczny za ścianą zarośli. Archie zsunął się z balustrady i chciał pobiec w stronę pustej parceli, lecz Dina, łapiąc za kołnierz, powstrzymała go w rozpędzie. Mignął drugi samochód. Potem zapadła cisza, tylko maszyna do pisania terkotała w pokoju na piętrze.

— To było morderstwo! — powiedziała April. — Wołajcie mamusię.

Troje dzieci spojrzało po sobie. Maszyna stukwała w zawrotnym tempie.

— To ty ją zawołaj — rzekła Dina, — To twój genialny pomysł.

April potrząsnęła przecząco głową.

— Idź ty, Archie.

— Ani mi się śni — stanowczo odparł Archie.

W końcu wszyscy troje weszli po schodach cicho jak myszki. Dina uchyliła drzwi od pokoju matki i trzy głowy wsunęły się przez szparę do wnętrza.

Matka — a właściwie w tej chwili J. J. Lane — nie podniosła wzroku znad maszyny. Zniszczone stare biurko, na którym piętrzyły się stopy papieru, maszynopisy, notatki, podręczne encyklopedie, zużyte kalki i puste pudełka po papierosach, niemal zasłaniało jej postać. Zrzuciwszy buciki opłotła bosymi stopami nogi stolika, który zdawał się tańczyć, tak podskakiwał pod terkoczącą maszyną. Ciemne włosy upięte miała byle jak na czubku głowy, na nosie czerniała wielka smuga. Dym papierosów wypełniał gęsto cały pokój.

— Nic z tego, nawet jeżeli rzeczywiście popełniono morderstwo — szepnęła Dina. Bezszelestnie zamknęła z powrotem drzwi. Trójka na palcach zeszła na dół.

— Nic nie szkodzi — oznajmiła nie tracąc pewności siebie April. — Przeprowadzimy tymczasem sami wstępne dochodzenie. Czytałam wszystkie książki mamusi i wiem, co należy zrobić.

— Powinniśmy wezwać policję — rzekła Dina.

April stanowczo zaprotestowała:

— Dopiero po dokładnym zbadaniu sprawy. Tak postępuje zawsze Don Drexler w powieściach J. J. Lane'a. Może znajdziemy jakieś ważne dowody rzeczowe, które prze-każemy tylko mamie. — Gdy szli w poprzek gazonu, April dodała: — Tylko ty, Archie, bądź cicho i zachowuj się przyzwoicie.

Archie podskoczył i wrzasnął:

— Właśnie że nie chcę!

— W takim razie zostaniesz w domu — oświadczyła Dina.

Archie uspokoił się natychmiast.

Na granicy posiadłości Sanfordów przystanęli. Za równo ostrzyżonym żywopłotem ciągnęła się obrosnięta winem pergola, dalej zaś rozległy, doskonale utrzymany trawnik, obrzeżony rabatą stokrotek. Rozstawione przed domem ogrodowe meble jaskrawymi barwami kłóciły się trochę — zdaniem April — z różowymi ścianami willi.

— Ale jeżeli nie popełniono tu morderstwa — zauważyła Dina — pani Sanford zro-bi nam okropną awanturę. Już raz wypędziła nas ze swojego trawnika

— Słyszeliśmy strzały — odparła April. — Czy chcesz teraz stchórzyć? — Ruszyła na czele trójki przez pergolę, lecz zaraz się zatrzymała. — Przejechały dwa samocho-dy — powiedziała z namysłem. — Oba skręciły na szosę z bocznej drogi już po strza-łach. Może ktoś już wie o zabójstwie i ściga wóz mordercy. — April zerknęła spod oka na brata i dodała: — Morderca może tu wrócić Jeżeli uzna, że za dużo wiemy, to poza-bija nas wszystkich.

Archie pisnął z cicha. Ale ta imitacja przerażenia nie wypadła zbyt przekonująco. Dina zmarszczyła brwi.

— Nie przypuszczam, żeby morderca naprawdę mógł tak postąpić — rzekła.

— Bo ty wszystko bierzesz z nadto dosłownie — powiedziała April. — Mamusia za-wsze to o tobie mówi.

Przez trawnik przeszli na drogę wjazdową. Betonowa nawierzchnia była poznaczo-na śladami opon.

— To by trzeba sfotografować — stwierdziła April. — Szkoda, że nie mamy aparatu.

Ogród był pusty. Z różowej willi nie dobywał się żaden szmer, żaden znak życia. Chwilę stali pod oszkloną werandą, obmyślając dalszą akcję. Nagle wszyscy troje dali nura za róg domu, bo z szosy skręcił w boczną drogę długi szary kabriolet.

Z kabrioletu wysiadła młoda, smukła, prześliczna pani. Jej włosy, koloru pośredniego między złotem a miedzią, spadały na ramiona obfitymi, luźnymi puklami. Ubrana była w suknię w kwiaty, na głowie miała duży słomkowy kapelusz.

April aż zachłysnęła się z wrażenia.

— Patrzcie! — szepnęła. — To Polly Walker! Artystka! Ależ szykowna babka!

Młoda kobieta przez chwilę jak gdyby się wahała w połowie drogi między samocho-

dem a willą. Potem jednak stanowczym krokiem podeszła do drzwi frontowych i zadzwoniła. Czekala parę minut na próżno, przyciskając guzik dzwonka parę razy, w końcu pchnęła drzwi i weszła.

Troje dzieci dostrzegają niejasno przez szyby werandy wnętrze obszernego salonu. Polly Walker weszła tam drzwiami w głębi, lecz w progu zatrzymała się jak wryta i krzyknęła.

— A co, nie mówiłam? — szepnęła April.

Młoda kobieta zrobiła parę kroków ku środkowi pokoju i schyliła się, znikając na chwilę z pola widzenia Carstairsów. Gdy się wyprostowała, podeszła do telefonu i zdjęła słuchawkę z widełek.

— Wzywa policję — szepnęła Dina.

— Nie szkodzi — odpowiedziała również szeptem April. — Policjanci stwierdzą wszystkie okoliczności, ale dopiero mamusia wyciągnie z nich właściwe wnioski. Tak zawsze pracuje Bill Smith w książkach Clarka Camerona.

— Superman ma inną metodę — odezwał się Archie przenikliwym dyszkantem. — Superman...

Zatykając mu usta ręką, Dina syknęła ze złością:

— Tsss... Będiesz cicho? — Po czym powiedziała: — W książkach J. J. Lane'a detektyw umyślnie myli tropy, żeby policję wyprowadzić w pole.

— Mamusia też to zrobi — oświadczyła April. I proroczym tonem dodała: — A jeśli nie mamusia, to my...

Tymczasem Polly Walker odłożyła słuchawkę, raz jeszcze spojrzała na podłogę, zdrząła i wybiegła z salonu. W minutę później ukazała się przed domem, blada jak ściana i wyraźnie wstrząśnięta. Zbliżyła się do samochodu, zerwała z głowy słomkowy kapelusz, cisnęła go na siedzenie, sama zaś siadła na stopniu wozu i opierając łokcie na kolanach, kilkakrotnie przesunęła dłońmi po twarzy i włosach. Po chwili wyprostowała się, potrząsnęła głową, wyjęła z torebki papierosa, zapaliła, dmuchnęła dwa razy dymem i zdeptała niedopałek. Ukryła twarz w dłoniach.

Z ust Diny wyrwało się głośne: „Och!” — zupełnie tak samo, jak kiedy Archie padał, zdzierając sobie skórę z łokci i kolan albo kiedy April obcięła się na egzaminie z matematyki, albo wreszcie gdy matka w porannej poczcie dostawała zamiast czeku list z żądaniem zwrotu korekt. Niemal odruchowo dziewczyna podbiegła do zrozpaczonej młodej kobiety, siadła obok niej na stopniu samochodu i objęła ją ramieniem.

Archie także zareagował współczuciem, lecz wyraził je zupełnie inaczej. Wielkie szaroniebieskie oczy chłopca wypełniły się łzami, drżące usta szepnęły:

— Błagam, niech pani nie płacze!

Młoda aktorka podniosła twarz, bardzo bladą

— Zabił ją... zabił... Leży martwa. Ach, po co on to zrobił! Nie było wcale potrzebne...

Nie powinien był... Zabił ją, zabił...

Powtarzała te słowa bezdźwięcznym głosem, jak płyta gramofonowa obracająca się w zbyt szybkim tempie.

— Niech pani lepiej tyle nie gada — odezwała się April. — Gdyby tak policja usłyszała, co pani mówi! Buzię na kłódkę i sza!

Polly Walker rozejrzała się niespokojnie dokoła i zamrugowała nerwowo powiekami pytając:

— Skąd właściwie... i kto wy jesteście?

— Przyjaciele — oznajmiła uroczyście Dina.

W kącikach ust Polly Walker pojawił się cień uśmiechu.

— Wracajcie lepiej zaraz do domu. Tu stało się coś okropnego.

— Wiadomo — odparł Archie. — Morderstwo. Dlatego przyszedliśmy. Bo my... — Urwał, wrzasnął i umilkł, ponieważ April kopnęła go z całych sił w kostkę.

— Kogo tu zamordowano? — spytała Dina.

— Flore Sanford — bez tchu szepnęła Polly Walker. Lewą ręką zasłoniła oczy i załkała: — Och, Wallie, Wallie, niemądry, szalony! Jak mogłeś!

— Na litość boską! — wybuchła April. — Lada chwila będzie pani musiała odpowiedzieć na pytania policjantom, nie pora teraz na „jak mogłeś” i tak dalej. Po pierwsze to jest nudne, a po drugie on wcale tego nie zrobił.

Polly Walker podniosła wzrok na April, przyjrzała jej się uważnie i powiedziała: — Ooo! — W oddali już zawyła syrena, a nikły z początku jej głos z każdą sekundą dźwięczał głośniejsze i bliżej. Aktorka wyprostowała się i odrzuciła z czoła zabłąkane pasmo włosów.

— Niech pani upudruje także nos — surowo poradziła Dina. Popatrzyła w twarz siostry pytając: — Co za „on”?

— Nie mam pojęcia — odpowiedziała April wzruszając ramionami.

Pierwszy samochód policyjny już skręcał w aleję wjazdową z zamierającym jękiem syreny. Polly Walker wstała. Ledwie dosłyszalnie szepnęła:

— Uciekajcie do domu. Tu będą się działy rzeczy przykre.

— Nie dla nas — odparła April.

Wóz policyjny zatrzymał się tuż przy szarym kabrioletcie. Wskoczyło z niego czterech mężczyzn, wszyscy po cywilnemu. Dwóch z oczyma skierowanymi na wilę wyraźnie czekało rozkazów. Dwaj pozostali obeszlą wokół samochód i zbliżyli się do Polly Walker. Jeden z nich, szczupły, średniego wzrostu, z bujną, gładko zaczesaną szpakowatą czupryną, opaloną cerą i jasnoniebieskimi oczami wyglądał na zwierzchnika. Drugi, ogromny grubas, miał pełną czerwoną twarz, tłuste czarne włosy i niezmiennie scepacyjne spojrzenie.

— Gdzie są zwłoki? — spytał grubas.

Polly Walker wzdrygnęła się lekko i palcem wskazała dom. Grubas skinął na dwóch policjantów czekających przed domem i pierwszy ruszył ku drzwiom. Szpakowaty wódca spytał tymczasem:

— Pani nazwisko?

— Polly Walker. To ja telefonowałam do panów. Ja ją znalazłam... — Polly mówiła teraz głosem pewnym i spokojnym, chociaż dokoła warg skóra jej zbieleła.

Oficer policji zanotował odpowiedź, rozejrzał się i spytał:

— To jej dzieci?

— Mieszkamy w sąsiedztwie — odpowiedziała z godnością Dina.

Grubas z czerwoną twarzą wybiegł z domu i zameldował:

— Kobieta. Rzeczywiście już nie żyje. Zastrzelona.

— Pani Sanford zaprosiła mnie na podwieczorek — wyjaśniła Polly. — Zajechałam przed dom i zadzwoniłam do drzwi. Nikt nie otwierał, więc wreszcie weszłam sama... i zobaczyłam ją... Natychmiast zawiadomiłam policję.

— Służąca widocznie wyszła — rzekł grubas. — W domu nie ma nikogo, panie poruczniku. Możliwe, że dostał się jakiś rzezimieszek.

— Możliwe — zgodził się porucznik, lecz bez przekonania. — Zawiadomicie lekarza policyjnego, O'Hare. Potem starajcie się znaleźć męża zamordowanej.

— Już się robi, — rzekł O'Hare i wrócił do willi.

— A teraz porozmawiamy — powiedział porucznik i spojrzał uważnie na Polly Walker. Poczęstował ją papierosem, podał ogień. — Rozumiem, że pani przeżyła silny wstrząs. Przykro mi, że muszę tak zaraz męczyć panią pytaniami. Ale... — Uśmiechnął się i twarz jego przybrała wyraz rozbijającej życzliwości. — Może jednak najpierw przedstawię się pani: porucznik Smith z wydziału kryminalnego...

W tej chwili okrzyk z ust Diny przerwał mu w pół zdania.

— Och! Jak pan ma na imię?

Porucznik spojrzał na nią z odrobiną zniecierpliwienia.

— Na imię mi Bill — rzekł. Nim zdążył odwrócić się ku Polly, Dina wydała znowu okrzyk, tym razem głośniejszy. — O co chodzi? — spytał porucznik,

— Taki niezwykły zbieg okoliczności! — wyjaśniła Dina z przejęciem.

— Niezwykłe, że nazywam się Smith? Miliony ludzi noszą to nazwisko.

— To prawda — zgodziła się Dina. — Ale Bill Smith!

— Tak. Zapewne milion ludzi ma na imię Bill, a na nazwisko Smith. Cóż w tym dziwnego?

Dina nieomal tańczyła z podniecenia.

— Jest pan detektywem. Nasza matka ma właśnie taką postać... — Dina umilkła. — Mniejsza z tym, zresztą.

Porucznik zmarszczył brew.

— Moja panienko, ja tu jestem na służbie. Nie mam czasu na pogawędki. Zostaw mnie, proszę, w spokoju. Idźcie do domu, dzieci.

— Przepraszam — powiedziała ze skruchą Dina. — Nie chciałam panu przeszkadzać. Czy pan jest żonaty?

— Nie! — warknął porucznik. Parę razy otworzył usta, lecz zamknął je nie wymówiwszy słowa. — Moja panienko, proszę iść do domu. Jazda! Już was nie ma. Zabierajcie się stąd.

Ale troje Carstairsów ani drgnęło.

Pojawił się znowu sierżant O'Hare.

— Svenson już wezwał lekarza — zameldował. — Pan Sanford jakiś czas temu opuścił biuro, powinien być tutaj za chwilę. — Odrywając wzrok od twarzy zwierzchnika, popatrzył na trójkę dzieci. — Niech się pan porucznik o to nie troszczy. Ja sobie z nimi poradzę. Wychowałem przecież własnych dziewięcioro. — Podszedł do nich i z groźną miną ryknął: — Czego tu!?

— Proszę na nas nie krzyżeć — chłodno odparła April. Wyprostowała się w całej okazałości pięciu stóp i jednego cala i śmiało spojrzała grubasowi w oczy. — Przyszliśmy tutaj — wyjaśniła z wielką godnością — ponieważ usłyszeliśmy strzały.

Porucznik Smith i sierżant O'Hare patrzyli na siebie wzajem przez długą chwilę, po czym porucznik zapytał bardzo łagodnie:

— Czy jesteście pewni, że to były strzały, a nie hałas samochodu?

April prychnęła wzgardliwie i nie raczyła odpowiedzieć.

— Nie przypuszczam — rzekł sierżant tonem sztucznie niedbałym — żebyś umiała określić, o której godzinie usłyszeliście strzały.

— Oczywiście że mogę to ustalić — odpowiedziała April. — Właśnie weszłam do domu, żeby zobaczyć która godzina, bo chciałam wiedzieć, czy już czas nastawić ziemniaki. Wtedy usłyszeliśmy strzały. Ktoś został zabity! — Nagle podnosząc głos, April krzyknęła na całe gardło: — Zamordowany!

I ze szlochem osunęła się bezwładnie na trawę. Dina rzuciła się na kolana krzycząc — April!

Polly Walker zerwała się ze stopnia samochodu.

— Niech pan prędko sprowadzi doktora! — zawołała.

Porucznik Smith zbladł.

— Co się stało tej małej? — spytał.

Dina wzdrygnęła się: April, nie przestając łkać głośno, uszczypnęła ją potężnie. Podnosząc wzrok Dina wyjaśniła:

— To wstrząs. Moja siostra jest bardzo wątpa.

— Doktora! — powtórzyła Polly Walker. — Biedne maleństwo...

Dina, pochylona nad siostrą, usłyszała tylko jedno słowo wyszeptane rozkazującym

tonem: „Do domu!” Znowu więc spojrzała na porucznika:

— Zabiorę ją do domu Boję się, że dostanie ataku...

Archie stając na wysokości zadania dodał natychmiast:

— April, jak ma atak, ciska w ludzi wszystkim, co jej w rękę wpadnie.

— Może ja ją zaniosę — ofiarował się Bill Smith.

Dina podchwyciła w spojrzeniu April ostrzegawczy sygnał: „Nie!”

— Ona może iść sama — powiedziała co prędzej. — To jej nawet dobrze zrobi.

— Pomogła siostrzyczce podnieść się z ziemi i objęła ją ramieniem. April wciąż łkała bardzo głośno. — Zaprowadzimy ją do domu. Mamusia będzie wiedziała, co dalej z nią trzeba zrobić.

— Mamusiu! — zawyła April. — Ja chcę do mamy!

— Bardzo słusznie — rzekł porucznik Smith ocierając kroplisty pot z czoła. — Proszę ją zaprowadzić do domu, do matki. — Po czym, jak gdyby coś sobie przypominając, dodał: — Zайдę tam później, chciałbym z wami porozmawiać. — Szloch małej April przycichał już w oddali, gdy porucznik powiedział ze współczuciem: — Biedne maleństwo.

Sierżant O'Hare spojrzał na niego lodowato.

— Wychowałem własnych dziewięcioro — powtórzył. — Znam się na tym. Takiej bezczelnej symulacji nie widziałem w życiu nigdzie, chyba na sali sądowej,

Gdy rodzeństwo znalazło się poza zasięgiem wzroku i słuchu osób zebranych przed willą Sanfordów, April przystanęła i zaczerpnęła tchu.

— Przypomnijcie mi — rzekła — żebym odwołała wszystko, co mówiłam złego o naszej instruktorce sztuki dramatycznej.

— Przede wszystkim przypomnę ci — odparła surowo Dina — żebyś nam wytłumaczyła, co miała znaczyć ta komedia.

Archie wytrzeszczał na siostry zdumione oczy.

— Daj spokój morałom — odparła April. — Jesteśmy najważniejszymi świadkami. Możemy ustalić dokładnie czas, kiedy popełniona została zbrodnia. Ale na razie nie chcemy ustalać czasu. Bo możliwe, że trzeba będzie dostarczyć komuś alibi.

Dina powiedziała — Ooo! — I spytała: — Komu?

— Jeszcze nie wiadomo — oznajmiła April. — Właśnie dlatego gramy na zwłokę.

— Wytłumaczcie mi, wytłumaczcie, wytłumaczcie! — wrzeszczał Archie, podskakując z niecierpliwości. — Nie rozumiem, o czym mówicie!

— Zrozumiesz, jak będziesz starszy — powiedziała April.

Przez chwilę stali wszyscy troje w drzwiach domu spoglądając po sobie i rozmyślając. Na piętrze maszyna terkotała w dalszym ciągu.

— Jakoś to się zrobi — orzekła April. W piwnych oczach Diny pojawił się wyraz zadumy.

— Sama ugotuję dzisiaj obiad — szepnęła. — Mamusia nie będzie musiała przerywać pracy. Upiekę kawałek szynki, zrobię sos imbirowy, puree z kartofli, pataty w cukrze, wspaniałą sałatę z ostrym serem i racuszki z kukurydzy na gorąco.

— Racuszków nie umiesz robić — zauważył Archie.

— Mam książkę kucharską — odparła Dina. — I umiem czytać. Zrobię jeszcze krem z bitej śmietanki. Mamusia szaleje za kremem. — Dina pokiwała głową z namysłem. — Chodźcie lepiej ze mną do kuchni, tam będzie można swobodnie pogadać — zakończyła. — Trzeba ułożyć plan działania. Chodzi o ważne rzeczy.

ROZDZIAŁ 2

Marian Carstairs — a raczej chwilowo J. J. Lane — powiodła wzrokiem wokół stołu i przeliczyła swoje pociechy: Troje w komplecie. Westchnęła z zadowoleniem.

Stół nakryty czystym koronkowym obrusem i oświetlony świecami zdobiła pośrodku czarka pełna żółtych róż. Szynka okazała się soczysta i krucha, subtelnie przyprawiona korzeniami, pataty pływały w gęstym brunatnym syropie, racuszki z kukurydzy były gorące i lekkie jak puch, a sałatka skomponowana pomysłowo i doskonale.

April — to złote dziecko! — przyniosła przed obiadem na górę szklaneczkę kseresu i tak czule, tak milutko przemówiła do matki! „Mamusi, w niebieskim szlafroku jest ci o wiele ładniej. Pozwól, że dzisiaj ja ci ułożę włosy. Umaluj się koniecznie: To tak przyjemnie patrzeć na ciebie przy stole, kiedy wyglądasz zabójczo”. A na zakończenie: „Zrób to dla mnie, mamusi, wepnij różę nad uchem!”

Czy jakakolwiek inna matka na świecie mogła się pochwalić równie cudownymi dziećmi? Marian patrzyła z rozczeniem na swoją trójkę. Dobre, mądre i śliczne dzieciaki! Uśmiechnęła się do nich promiennie, czyniąc sobie w duchu gorzkie wyrzuty, że mogła krzywdzić te aniołki choćby najłżejszym, choćby ukrywanym podejrzeniem.

A jednak... Doskonałość tego obrazu coś jej przypominała. Nie pierwszy raz zdarzała się taka sielanka. Nauczona doświadczeniami przeszłości, Marian Carstairs nie mogła obronić się od podejrzenia, że lada chwila dzieci wystąpią z jakimś niezwykłym projektem. Marian westchnęła znowu, tym razem już mniej radośnie. Projekty zazwyczaj były nader chwalebne i zrozumiałe, ale — niestety! — zbyt ryzykowne, zbyt kosztowne lub zakłócające rytm pracy, a najczęściej obciążone wszystkimi tymi trzema wadami jednocześnie.

— Wuwszuszysustutkuko wuw puporzurządudkuku? — zwróciła się Dina do April.

— Abubsusolulututnunie — wesoło odparła April.

— Proszę mówić po ludzku! — odezwała się Marian Carstairs usiłując przybrać surową minę.

— To przecież jest po ludzku! — wykrzyknął Archie. — W języku mum-mum. Zaraz

mamie wytłumaczę — chełpił się rozpromieniony. — Trzeba tylko każdą literę...

— Mumilulczucz — szybko zawołała April, dając bratu pod stołem kopniaka. Archie jęknął, poskromiony od razu.

Po obiedzie April zaniosiła kawę do saloniku, Archie podał skwapliwie papierosy, zapalki i popielniczkę. Marian Carstairs utwierdzała się coraz bardziej w podejrzeniach. Ale jak tu nie ufać niewinnym wielkim oczom maleńkiej April?

— Mamusia pewnie okropnie zmęczona — ze współczuciem rzekła Dina. — Może dać stołeczek pod nogi?

I nie czekając na odpowiedź wsunęła matce stołeczek pod stopy.

— Mamusia nie powinna się tak zapracowywać — stwierdził Archie.

— Doprawdy — poparła go April. — Mamusia potrzebuje jakiejś rozrywki. A najlepsza byłaby taka rozrywka, która jednocześnie pomogłaby w pracy.

Marian zeszywniała. Przypomniały jej się lekcje nurkowania na głębi, pobierane przez całą rodzinę, rzekomo dla zbadania „realiów”. Musiała zresztą przyznać, że wynika z tego jedna z najpoczytniejszych książek J. J. Lane’a — tajemnica zaszytowanego mężczyzny, którego trupa znaleziono w kostiumie nurka... Mimo to...

— Mamusiu — odezwała się żywo April — gdyby pewną osobę znaleziono martwą w jej własnym salonie i gdyby w kilka minut później zajechała przed dom gwiazda filmowa i powiedziała, że ją zaproszono na herbatę, i gdyby ktoś słyszał dwa strzały, ale ta osoba została zabita tylko jedną kulą, i gdyby mąż jej zniknął, i nie miał alibi, chociaż ani ta gwiazda, ani ten mąż nie są nic winni... — W tym miejscu dziewczynce zabrakło tchu, zachłysnęła się i zakończyła pytaniem: — ...to kto, według mamy, zabił tę osobę?

— Na litość boską — zdumiała się Marian. — Gdzieś ty wyczytała takie brednie?

Archie zachichotał skacząc na poduszkach kanapy.

— To wcale nie brednie! — zawołał na całe gardło — I wcale tego nie czytaliśmy. Myśmy to widzieli!

— Archie! — surowo przywołała go do porządku Dina. Zwróciła się do matki wyjaśniając: — Taki wypadek zdarzył się w sąsiedniej willi. Dziś po południu.

Marian Carstairs szeroko otworzyła oczy. Potem zmarszczyła czoło.

— Nonsens. Tym razem, nie dam się nabrać na wasze kawały.

— Słowo honoru! — zapewniła April. — To wszystko prawda. Już jest w wieczornej gazecie. — Spojrzała rozkazująco na brata. — Przynies gazetę, leży w kuchni na stole

— Dlaczego zawsze ja? — rozżalił się Archie. Wybiegł jednak z pokoju.

— Pani Sanford? — dziwiła się Marian. — Ta kobieta! Któż ją zabił?

— Właśnie: kto? — powtórzyła April. — Nikt nie wie. Policja ma jakąś głupią teorię, ale myli się, jak zwykle.

Pochylili się wszyscy nad gazetą, rozpostartą między filiżankami na stoliczku. Były tam fotografie willi państwa Sanford, Flory Sanford i jej zaginionego męża, Wallace’a.

Efektowną podobiznę Polly Walker opatrzono takim podpisem — „Gwiazda filmowa znajduje trupa!”

— Polly Walker nie jest gwiazdą — stwierdziła Marian. — Po prostu młoda aktorka,

— Teraz już jest gwiazdą — odparła świadoma rzeczy April — przynajmniej w prasie.

Wallace Sanford wyszedł z biura wcześniej niż zwykle i przyjechał koleją podmiejską do dzielnicy, w której mieszkał, o godzinie szesnastej minut czterdzieści siedem. Od tej chwili jednak nikt go nie widział, więc policja wszczęła poszukiwania. Polly Walker odkryła zbrodnię i zawiadomiła policję o godzinie siedemnastej. Śladów rabunku lub gwałtu nie stwierdzono.

— I to właśnie w sąsiedniej willi! — szepnęła Marian.

Oczy trojga małych Carstairsów rozbłysły na te słowa.

— Ależ to byłby numer! — powiedziała April do Diny. — Jaką reklamę zrobiłaby mamusia swoim książkom, gdyby wykryła mordercę i rozwiązała zagadkę!

— Żadnej zagadki nie ma — odparła Marian składając gazetę. — Policja prawdopodobnie odnajdzie pana Sanford bez trudu. W tego rodzaju wypadkach jest dostatecznie sprawna.

— Ależ, mamusiu — rzekła Dina — tego na pewno nie zrobił pan Sanford!

Marian spojrzała na nią zaskoczona:

— A kto? — spytała.

— Na tym właśnie polega zagadka — oświadczyła April i nabierając tchu rozpoczęła dłuższe przemówienie: — Widzisz, policja zawsze kogoś podejrzewa o zbrodnię. Jak w tym wypadku biednego pana Sanforda. Ale zawsze okazuje się, że podejrzany jest niewinny. Ktoś inny musi wykryć zbrodniarza. Nie policja. Ktoś w rodzaju Dona Drexlera z książek J. J. Lane’a.

W nagłym olśnieniu Marian Carstairs zrozumiała wszystko, nie wyłączając racuszków z kukurydzy i bukietu róż na stole. Tak jej się przynajmniej, zdawało

— Słuchajcie, dzieci — powiedziała surowo i bardzo stanowczo. — Jest rzeczą oczywistą, że pan Sanford zastrzelił swoją żonę i usiłuje teraz ukryć się przed policją. Nie mogę oburzać się na niego szczerze, bo ta Flora była rzeczywiście okropną kobietą. Ale to sprawa policji, mnie nic do tego. — Marian spojrzała na zegarek. — Czas wracać do roboty.

— Mamusiu! — jęknęła Dina. — Błagam cię, pomyśl o tym! Czy nie rozumiesz, jaka to wspaniała okazja?

— Rozumiem, że muszę zarobić na życie dla nas wszystkich — odparła Marian Carstairs. — Od piątku za tydzień mam dostarczyć maszynopis wydawcy, a napisałam do tychczas nie więcej niż dwie trzecie. Nie mam czasu na wtrącanie się w cudze sprawy. A gdybym nawet miała czas, nie chciałabym się mieszać do takich historii.

Dina, jakkolwiek strapiona, nie dawała za wygraną. Jeśli nie pomogą rzeczowe argumenty, pozostaje jeszcze jedna broń: April się rozsłocha. To zazwyczaj osiągało pożądaną efekt.

— Mamusiu, pomyśl, co za reklama! Ile twoich książek kupiliby ludzie! A wtedy...

W tej chwili u drzwi wejściowych rozległ się dzwonek. Archie pobiegł otworzyć. Wszedł porucznik Bill Smith w towarzystwie sierżanta O'Hare.

April błyskawicznym spojrzeniem zlustrowała matkę. W porządku: niedźwiedź by się rozczulił na jej widok. Róża nad uchem zasłaniała pasmo siwych włosów. Szminka nie zdążyła się jeszcze zetrzeć. Błękitny szlafroczek miał szyk zabójczy.

— Przepraszamy za najście — rzekł Bill Smith. — Jesteśmy z policji.

Wymienił swoje nazwisko i przedstawił sierżanta O'Hare.

Marian Carstairs zapytała: „Czym mogę służyć?” tonem dając gościom wyraźnie do zrozumienia, że przyszli bardzo nie w porę. Nie zachęciła ich ani słowem do wejścia w głąb mieszkania i nie zaproponowała, żeby usiedli, natomiast spojrzała wymownie na zegarek.

Dina westchnęła. Matka staje się niemożliwa, kiedy wpadnie w szal pracy! Zdobywając się na najbardziej uroczy uśmiech Dina powiedziała:

— Proszę, niech panowie usiądą.

Porucznik Smith podziękował i usiadł. Rozejrzał się z zachwytem po pokoju.

— Pozwolą panowie kawy? — zaszczebotała April.

Nim porucznik zdążył otworzyć usta, sierżant odpowiedział:

— Dziękujemy. Nie. Jesteśmy tu służbowo.

Bill Smith odchrząknął i rzekł:

— W sąsiedniej willi popełniono dzisiaj morderstwo. Prowadzę dochodzenie w tej sprawie.

— Dowiedziałam się o całej historii dopiero przed paru minutami z gazety — odparła Marian. — Obawiam się więc, że nie mogę panu w niczym dopomóc. Byłam przez dzisiejsze popołudnie zajęta pilną pracą. — I dodała z naciskiem: — Jeszcze jej nie skończyłam na dziś.

— Mamusia pisze powieści kryminalne — skwapliwie wyjaśniła Dina. — Sensacja pierwszej klasy.

— Nie czytuję powieści kryminalnych — chłodno oświadczył Bill Smith. — Nie lubię takich książek.

Marian lekko podniosła w górę brwi.

— Co pan ma im do zarzucenia?

— Piszą je ludzie nie mający pojęcia o zagadnieniach kryminalistyki — rzekł Bill Smith — i urabiają w szerokich kołach czytelników błędne wyobrażenia o policji i policjantach.

— Czyżby? — lodowato spytała Marian. — Pozwoli pan sobie powiedzieć, że większość policjantów, z jakimi zetknęłam się w życiu...

Archie kichnął głośno. Dina zwróciła się do porucznika:

— Czy pan doprawdy nie zechce napić się kawy?

April ze swej strony przyczyniła się do zwekslowania rozmowy na inne tory mówiąc:

— Ale w tej szczególnej sprawie...

— Ta szczególna sprawa należy do policji, nie do mnie — przerwała Marian. — Panowie wybaczą, ale...

— Pani dzieci słyszały strzały — odezwał się sierżant O'Hare. — Są świadkami.

— Z pewnością złożą zeznania bardzo chętnie, gdy przyjdzie na to pora — powiedziała Marian. — Nawet gdyby pan sobie tego nie życzył, bo wątpię, czy jakakolwiek siła powstrzymałaby moje dzieci od mówienia.

Porucznik Bill Smith po raz wtóry odchrząknął i przypominając sobie, że kiedyś pewien zwierzchnik określił w raporcie jego sposób bycia jako „ujmujący”, uśmiechnął się, jak potrafił najsympatyczniej.

— Proszę pani — rzekł — rozumiem, że to dla pani bardzo niemiła historia, lecz wobec tak szczególnych okoliczności pewien jestem, że zechce pani współdziałać z nami.

— Zechcę — odparła Marian. — Kupię moim dzieciom nowe ubrania, żeby wyglądały jak najlepiej składając zeznania przed sądem. Tymczasem jednak myślę, że wyczerpaliśmy temat.

— Chwileczkę, moja pani — wmieszał się sierżant O'Hare, o którym nikt nigdy nie napisał, że ma ujmujący sposób bycia. — Te panine dzieciaki są jedynymi świadkami, mogącymi ustalić dokładnie czas zbrodni. Chcemy wiedzieć, o której godzinie padły strzały.

— Ja właśnie wtedy patrzyłam na zegar — szybko odezwała się April rzucając matce błagalne spojrzenie — bo zastanawialiśmy się, czy już pora wstawić kartofle.

Marian Carstairs westchnęła.

— No, dobrze. Powiedz tym panom, która wtedy była godzina, i niech się to wreszcie skończy.

Archie wyskoczył nagle zza fotela.

— Była właśnie... — zaczął, ale urwał i zawył z bólu, rozcierając energicznie ramię, które April uszczypnęła ukradkiem.

— Juja odudpupowuwiemum! — szepnęła April.

— Mumówuw tuty — zgodziła się Dina.

Marian zacięła wargi.

— Proszę mówić po ludzku — napomniała.

April miała minkę żalną i wydawała się trochę zdenerwowana. Podeszła do po-

rucznika Smitha i wzniosła ku niemu śliczne oczy, w których już wzbierały łzy.

— Patrzałam na zegar, bo nie byłam pewna, czy pora nastawiać kartofle — powtórzyła. — Miałam je nastawić kwadrans przed piątą. Ale było dopiero wpół do piątej, więc wróciłam na ganek.

Bill Smith i sierżant O'Hare patrzyli na siebie, nieco zbici z tropu.

— Ty przecież nigdy nie wstawiasz kartofli — odezwał się Archie. — To rzecz Diny.

— Ale ja chodziłam spojrzeć na zegar, czy Dina już powinna wstawić kartofle — stwierdziła April.

Dina spiorunowała brata wzrokiem tak, że umilkł od razu.

Bill Smith uśmiechnął się do April przymilnie.

— Proszę cię, zastanów się dobrze, maleńka. Zabójstwo to straszna zbrodnia. Człowiek, który poważił się zabić drugiego człowieka, musi za to ponieść karę. Rozumiesz to, prawda?

April skinęła głową, patrząc ufnie w oczy porucznika.

— To poważna sprawa — ciągnął Bill Smith nabierając pewności siebie. — Możliwe, że twoje świadectwo, ustalające dokładnie godzinę zbrodni, pomoże nam wykryć osobę, która dopuściła się tak okropnego przestępstwa. Rozumiesz, jak wielką wagę ma dla nas ścisła informacja o tym szczególe? Rozumiesz na pewno! Jesteś przecież dobrą, rozumną, dzielną dziewczynką! Powiedz mi jak najdokładniej...

— Dokładnie było wpół do piątej — odparła April. — Właśnie spojrzałam na zegar, żeby sprawdzić, czy. Ale to już panu mówiłam. Jeśli pan mnie nie wierzy, proszę spytać Diny. Bo ja wtedy wróciłam na ganek i powiedziałam jej, że ma jeszcze kwadrans czasu do wstawienia kartofli.

Bill Smith przeniósł uważne spojrzenie na twarz Diny.

— April mówi prawdę — oświadczyła Dina. — Pamiętam dobrze. April poszła zobaczyć na zegarze, czy już pora...

Archie prychnął drwiąco.

— Nigdy nie wstawiasz kartofli kwadrans przed piątą, ale dopiero o piątej.

— Dzisiaj wstawiłam wcześniej — wyjaśniła Dina — bo miały być pieczone kartofle. Pieczenie trwa dłużej niż gotowanie.

— Przecież dziś było puree z kartofli! — tryumfalnie wrzasnął Archie. — Było puree! Pleciesz bzdury, Dina!

Dina westchnęła.

— No, bo usłyszeliśmy strzały i pobiegliśmy do willi państwa Sanford, a jak wróciliśmy, to już było za późno na pieczenie kartofli, więc musiałam je ugotować. — To mówiąc Dina wpiła palce w plecy brata tuż pod lewą łopatką. Archie zrozumiał sygnał i uspokoił się natychmiast. — Mniejsza o to zresztą. Fakt, że było wpół do piątej, kiedy April patrzyła na zegar, i że zaraz potem usłyszeliśmy strzały — zakończyła z prze-

konaniem.

— Ledwie zdążyłam wrócić na ganek, tam już ktoś strzelił — dodała April.

— Jesteś pewna? — nieśmiało spytał Bill Smith.

Trójka młodych Carstairsów jak jeden mąż kiwnęła energicznie głowami z wzorową solidarnością.

— Panie poruczniku — odezwał się sierżant O'Hare — niech pan pozwoli, ja to załatwię. Wychowałem własnych dziewięcioro.

Sierżant zbliżył się do April i pogroził palcem tuż przed jej nosem. — Gadaj prawdę — ryknął — bo pożałujesz! Która była godzina, jak usłyszałaś strzały?

— Wpppół ddo pppiątttej — wyjąkała April i wybuchając płaczem przebiegła przez pokój, by ukryć twarz na matczynym łonie. — Mamusiu! — łkała. — Boję się tego pana!

— Proszę nie straszyć mi dzieci — ostro powiedziała Marian.

— April przez pana płacze! — wrzasnął Archie i z całej siły kopnął sierżanta w kostkę.

— Wstydziłby się pan! — karcącym tonem wtrąciła Dina. — I to ojciec dzieciom!

Oblicze sierżanta O'Hare przybrało kolor surowego buraka. Nie wyrzekł ani słowa.

— Poczekajcie na mnie w samochodzie — oschle rzucił mu rozkaz porucznik Bill Smith.

Sierżant O'Hare pomaszerował ku drzwiom mieniąc się na twarzy różnymi odzieniami purpury i szkarłatu. Na progu przystanął i wyciągając oskarżycielski palec w stronę Marian Carstairs, ryknął:

— Pani jest jej matką. Powinna jej pani spuścić dobre lanie. — To rzekłszy zniknął trzaskając drzwiami.

— Okropnie mi przykro, że sierżant zdenerwował tę maleńką! — Bill Smith usiłował przebłagać urażoną rodzinę. — A przecież dość spojrzeć na nią, żeby od razu wiedzieć, że to bardzo wrażliwe dziecko.

— April wcale nie jest zbyt wrażliwa — odparła Marian gładząc włosy córeczki. — Każdy by się zdenerwował na jej miejscu. Skoro dzieci mówią, że słyszały wystrzał o wpół do piątej, to znaczy, że słyszały go o wpół do piątej, i sprawa skończona. Czy pan śmie przypuszczać, że moje dzieci chciałyby wprowadzić w błąd policję?

Oczy Marian Carstairs spotkały wzrok porucznika i wytrzymały go długą chwilę. Bill Smith na próżno szukał formułki, która nie uchybiając grzeczności wyraziłaby jego przeświadczenie, że April kłamie jak z nut. Wyobrażał sobie dziewczynkę w roli świadka na sali sądowej, przysięgającą wśród łez, że strzały usłyszała o wpół do piątej. Wyobrażał sobie również wrażenie, jakie wyrzeze to na zespole przysięgłych.

— Niech będzie i tak — powiedział oschłym tonem. — A więc o wpół do piątej. Dziękuję za cenne informacje i przepraszam, że państwa niepokoiłem.

— Miło nam było — odparła nie mniej oschle Marian. — Mam nadzieję, że nie zajdzie potrzeba dalszych dyskusji na ten temat. Dobranoc panu.

Dinę ogarnęła panika. Podbiegła do drzwi, otworzyła je przed porucznikiem.

— Szkoda, że musi pan już iść — powiedziała serdecznie. — Było nam bardzo przyjemnie, że nas pan zechciał odwiedzić. Prosimy zajrzeć znowu w najbliższym czasie.

Porucznik Bill Smith patrzył na nią w osłupieniu, całkowicie zbity z tropu i bardzo zakłopotany. Sam nie wiedział dlaczego, ale żał mu było stąd odchodzić. Po złożeniu krótkiego raportu w komendzie policji miał wrócić do swego wykwintnego, lecz pustego hotelowego apartamentu. Chętnie by został dłużej w tym miłym saloniku.

— Ano — powiedział — dobranoc. — Potknął się w progu, zaczerwienił i powtórzysz: — Dobranoc — wyszedł.

April zachichotała. Marian Carstairs zsunęła ją ze swych kolan i wstała z fotela.

— Nie pojmuję, jak mogłam kiedykolwiek łudzić się, że lubię dzieci! — oznajmiła z oburzeniem, kierując się ku schodom. — Bardzo proszę trzymać się z dala od tej historii — rzekła stanowczo — i mnie do niej nie mieszać. — Na drugim stopniu przystanąła jednak. — Swoją drogą chciałabym się dowiedzieć, co mówiliście w tym swoim pogańskim języku? — spytała.

— April powiedziała: „Ja odpowiem” — pisnął tryumfalnie Archie, nim któraś z siostr zdążyła go uszczypnąć. A Dina powiedziała: „Mów ty!” Trzeba tylko każdą literę... Auuuu!

— Czekaj, już ja ci dam! — syknęła wściekle April.

Marian Carstairs skrzywiła się z niesmakiem.

— Tak też przypuszczałam. Nie wierzyłam wam, chociaż ten naiwny policjant Smith dał się nabrać. Ale proszę, żeby na tym był koniec. Nie interesuje mnie, kto zabił Flore Sanford, a policjantów nie cierpię.

Odwróciła się i poszła na górę.

Troje małych Carstairsów milczało co najmniej przez sześćdziesiąt sekund. Z pierwszego piętra dobiegał znowu terkot maszyny do pisania.

— No, tak — z żalem w głosie powiedziała wreszcie Dina. — Ale pomysł był dobry.

— Nie „był” — poprawiła April — ale „jest”. Jeżeli mamusia nie chce wykryć, kto zabił panią Sanford, to my się tym zajmiemy. Właśnie my mamy większe możliwości niż ktokolwiek na świecie. Nie potrzebujemy nawet prosić mamusi o pomoc, wszystkiego się dowiemy z książek J. J. Lane’a.

— Ale ja nie o tym myślałam — odparła Dina. — Chodziło mi o niego — wskazała palcem drzwi, za którymi przed chwilą zniknął Bill Smith.

Archie pociągnął nosem.

— Mnie się podobał — oznajmił.

— Nie martwcie się — powiedziała April. — Jeśli chodzi o mamusię i Billa Smitha,

to... April nabrała tchu i wyrecytowała: — konflikt i antagonizm przy pierwszym spotkaniu stanowią często wstęp do szczęśliwej, miłości.

— Tego sama nie wymyśliłaś! — zawołał Archie.

— Zgadłeś — roześmiała się April. — Przeczytałam to zdanie w jednej z książek mamusi.

ROZDZIAŁ 3

Pierwsze śniadanie w dni powszednie odbywało się w domu Carstairsów wedle dwóch schematów. Niekiedy schodząc rano do kuchni dzieci zastawały tam już krzątającą się matkę. Zwykle miała na sobie wesoły pikowany szlafroczek w kwiaty, a głowę owiązaną chustką, rzadziej — robocze spodnie. Drugi typ ranka odznaczał się tym, że dzieci same przygotowywały śniadanie i przed wyruszeniem do szkoły zносиły na tacy kawę i czystą popielniczkę zaspanej i ziewającej matce.

Z góry było wiadomo, jaki przebieg będzie miał następny ranek. Jeżeli ostatnia zasypiająca latorośl Carstairsów słyszała późnym wieczorem stukającą w szalonym tempie maszynę do pisania, znaczyło to, że nazajutrz Dina musi natychmiast po alarmie budzika pędzić na dół i gotować owsiankę. Pamiętnego dnia April i Dina, chociaż poszły spać bardzo późno, mając do omówienia tyle wydarzeń, słyszały terkot maszyny w pokoju matki, zapowiadał się więc ranek typu drugiego.

Dzień zaczął się pechowo. Wszyscy wstali w najgorszych humorach. Przejęta dyskusją o morderstwie w willi Sanfordów, Dina zapomniała nastawić budzika i spała o kwadrans za długo. Archie wprawdzie obudził się wcześniej, ale zajęty klejeniem czołgu z tektury, zuchwale odmówił udziału w przygotowaniu śniadania. April spędziła pół godziny przed lustrem, próbując kolejno czterech różnych uczesań. Gdy wreszcie troje Carstairsów spotkało się w kuchni, do momentu przejazdu szkolnego autobusu zostało ledwie pół godziny. Sytuacja była bardzo napięta.

— Archie — powiedziała Dina — zrobisz grzanki.

— Figa — odparł Archie. — Wypchaj się.

Mimo tak bezczelnej odpowiedzi, umieścił grzanki w piecyku.

— April — powiedziała Dina — przynieś mleko.

— Jeszcze czego! — mruknęła April. Ale przyniosła mleko.

— Bądźcie cicho — powiedziała Dina. — Nie trzeba budzić mamusi.

Zapadło milczenie. Kiedy Dina mówiła tym tonem, nikt nie replikował.

— A poza tym — ciągnęła Dina, podejmując przerwana przez noc dyskusję — nie

możemy dzisiaj zwagarować ze szkoły. Pamiętacie, ile było kłopotu po przednim razem.

— Policja zbierze wszystkie poszlaki, nim zdążymy wrócić do domu — pośpiesznie stwierdziła April.

Dina nic na to nie odpowiedziała, ten argument był już dostatecznie przedtem roztrząsany.

— Nie możemy prosić mamusi o usprawiedliwienie dla wszystkich trojga — ciągnęła. — Po pierwsze: mamusia śpi. Po drugie: kierownik szkoły kręcił nosem, kiedy przynieśliśmy zaświadczenie, że nas wszystkich na raz rozboleły zęby, w dniu, w którym do miasta przyjechał cyrk. Gdyby znowu kierownik wezwał mamusię straciłaby biedaczka masę czasu.

— No, dobrze, dobrze — mruknęła April. — Ale po powrocie ze szkoły natychmiast...

Dina spochmurniała.

— Obiecałam Pete'owi, że zagram z nim po lekcjach w krokieta.

April z brzękiem odstawiła butelkę mleka.

— Ano, jeśli dla ciebie randka z tym piegowatym chudzielcem jest ważniejsza niż kariera rodzonej matki...

— Pss... — spróbował uciszyć ją Archie.

— Jak śmiesz psykać na mnie! — warknęła April i trzepnęła brata w ucho.

Archie wrzasnął: — Ty jędz! — i oddał cios.

Z kolei zawyla April: — Auuu! Nie ciągnij mnie za włosy!

Dina skoczyła ku April, April skoczyła za bratem, April ryczała, Archie piszczał, Dina usiłowała przekrzyknąć oboje. Przygotowane śniadanie wylądowało z głośnym plaśnięciem na podłodze i rozprysnęło się po całej kuchni. Nagle przytomniejąc, Dina napomniała szeptem:

— Ej, dzieci, spokój!

Zapadła cisza.

W progu stanęła Marian Carstairs, zarumieniona, z zaspanymi oczyma. Miała na sobie pikowany szlafrok i barwną chustkę na głowie. Trójka Carstairsów patrzyła na matkę, matka spoglądała na nich i na poniewierające się na ziemi śniadanie.

— Mamusiu — poważnie oświadczyła April — jeżeli powiesz „piskłeta w gniazdku żyją zgodnie”, uciekniemy z domu na zawsze.

Archie zachichotał. Dina wzięła się do zmiatania szczątków jedzenia z podłogi, Marian ziewnęła i uśmiechnęła się trochę kwaśno.

— Zaspałam — powiedziała. — Co macie na śniadanie?

— To — odparła Dina wskazując pełną śmietniczkę. — Myśmy też zaspali.

— No, trudno — rzekła matka. — Nie widzę tu zresztą smakołyków, mała szkoda.

W ciągu czterech minut podejmuję się usmażyć jajecnicę. Gazeta jest?

W pięć minut potem wszyscy siedzieli przy stole i jedli jajecnicę, a Marian rozłożyła gazetę.

— Czy policja znalazła pana Sanforda? — spytała Dina sztucznie obojętnym tonem. Marian Carstairs potrząsnęła głową.

— Szukają dalej. — Westchnęła: — Któż mógł się spodziewać, że tak łagodny człowiek jak Wallie Sanford dopuści się zabójstwa!

Dina zerknęła przez ramię matki na pierwszą stronę gazety, gdzie historia morderstwa zajmowała całą drugą kolumnę.

— Czy to nie dziwne, mamusiu — powiedziała. — Pani Sanford została trafiona tylko jedną kulą. A drugiej policja nie znalazła.

— Jakiej drugiej? — spytała Marian.

— Słyszeliśmy dwa strzały — przypomniała April.

Marian podniosła wzrok znad filiżanki.

— Czy jesteście pewni?

Troje Carstairsów przytaknęło jednomyślnie.

— To rzeczywiście dziwne — powiedziała Marian, jakby w zamyśleniu.

Dzieci skwapliwie wykorzystały ten moment przewagi.

— Wiesz, mamusiu — szybko odezwała się Dina — założę się, że ty byś prędzej rozwiązała tę zagadkę niż policja. — I przypominając sobie, co matka poprzedniego wieczora powiedziała o policji, dodała: — To są tępaki.

— Pewnie, żebym to umiała zrobić — wyrzekła w zadumie Marian Carstairs. — Niemal każdy... — Urwała i przybierając surowy wyraz twarzy oświadczyła: — Mam bez tego dość roboty. Spóźnicie się na szkolny autobus, jeżeli nie ruszycie natychmiast, i to pełnym gazem.

Troje Carstairsów spojrzało na kuchenny zegar i ruszyło pełnym gazem. Matka w przelocie pocałowała każde z dzieci na pożegnanie. Lecz April, wychodząc ostatnia, raz jeszcze rzuciła okiem na zegar i błyskawicznie obliczyła możliwości: jeśli pobiegnie na przełaj i utrzyma dobre tempo, oszczędzi sześćdziesiąt sekund. Przytuliła się do matki i zerknęła żałośnie.

— Na Boga! — zdumiała się Marian. — Co ci się stało, córeczko?

— Pomyślałam sobie — wyszlochała April — jak to będzie okropnie, kiedy my dorośniemy i powychodzimy za mąż, i wyprowadzimy się, a mamusia zostanie samiuteńka!

I wycisnąwszy na policzku matki bardzo mokry pocałunek April pomknęła niczym zając skłonem pagórka w dół, zadowolona, że posiadała w jej głowie myśl, która powinna wydać pewne owoce, w wypadku, gdyby podczas nieobecności dzieci na widowni zjawiał się porucznik Bill Smith.

Marian Carstairs wróciła wolnym krokiem do kuchni. Zebrała ze stołu talerze, umie-

ściła je w zmywalni, puściła na nie strumień gorącej wody, odstawiła mleko i masło do lodówki. Teraz, gdy trzy pary nóg nie tupały po schodach i trzy głosy nie rozbrzmiewały gwarem, dom zdawał się bardzo pusty i bardzo cichy. Marian uczuła się samotna, niewiarygodnie osamotniona, i nagle ogarnęło ją zniechęcenie. April miała słuszność. Jakże okropne będzie życie, kiedy dzieci wyrosną, założą własne domy i odejdą w świat.

W pokoju na pierwszym piętrze w maszynie tkwiła strona 245 urwana na wierszu, który brzmiał tak. „Clark Cameron przyjrzał się nieruchomej postaci leżącej na podłodze i prostując się rzekł z namysłem: — To nie był atak sercowy. Ten człowiek został zamordowany, zamordowany tak, jak i tamci...” Marian Carstairs miała już gotowy dalszy ciąg: „Z ust bladej dziewczyny wyrwał się cichy okrzyk grozy...” Wiedziała też, że powinna bez zwłoki przebrać się w robocze spodnie i siaść do maszyny, by nastukać dziesięć następujących stron „Siódmego truciciela”.

Zrobiła jednak coś zupełnie innego: wyszła do ogrodu i zaczęła przechadzać się nerwowo po wysypanej żwirem ścieżce. Oczywiście, minie sporo lat, nim zostanie sama. Co najmniej dziesięć. Ale dziesięć lat przemknie jak sen. Nie do wiary, że to już dziesięć lat, odkąd Jerry... Marian siedła na ławce, którą zwykle zajmowały jej córki, kiedy łuskały groszek, i raz jeszcze przywołała na pamięć historię swego życia.

Poznali się na rogu ulicy w Chicago, nad trupem gangstera, przeszytego serią z karabinu maszynowego. Była to jej pierwsza poważniejsza wyprawa reporterska. Marian miała wówczas ledwie dziewiętnaście lat, chociaż przysięgła, że skończyła dwadzieścia pięć, gdy ubiegała się w redakcji o ten reportaż. Trzęsła się ze strachu. Georges Carstairs był smukły, miał niesforną ciemnoblond czuprynę i uśmiechniętą, piegową, sympatyczną twarz. Powiedział: „No co, mała, zapomniała pani wszystko, czego panią nauczycieli w szkole dziennikarskiej?” W dziesięć minut później spytał: — „Może byśmy się spotkali jutro wieczorem?”

Spotkanie nie doszło nazajutrz do skutku. Tego bowiem wieczora wybuchnął pożar w wielkiej hurtowni. Spotkali się dopiero w rok potem, w łodzi unoszonej przez wzburzone wody wezbranej powodzią Missisipi. Jerry oświadczył się natychmiast, jeszcze w łodzi. Ślub wzięli w Nowym Jorku w urzędzie stanu cywilnego, tego samego dnia, gdy mer miasta, Walker, witał zwycięzcę oceanu, Charlesa Lindbergha. Jerry odprowadził nowo poślubioną małżonkę do drzwi hotelu i pośpieszył w towarzystwie fotografów na lotnisko. Nazajutrz zjawił się zmęczony, nie ogolony, i powiedział: „Pakuj prędko walizy, kochanie. Za dwie godziny startujemy do Panamy”.

Dina urodziła się w upalnym, zakurzonej miasteczku meksykańskim, gdzie nie było lekarza i gdzie nikt nie rozumiał ani słowa po angielsku — a Marian nie znała żadnego innego języka prócz angielskiego. Jerry znajdował się w odległym o trzydzieści mil ośrodku rewolucji, o której pisał reportaż. April przyszła na świat w Madrycie w dniu ucieczki króla Alfonsa. Urodziła się w taksówce, gdy Marian jeździła po mieście poszu-

kując gorączkowo swego męża. Gdy nazajutrz Marian oprzytomniała, znalazła przy łóżku kartkę, którą Jerry zostawił wyjeżdżając do Lizbony: „Daj jej na imię Marta ku czci mojej babki”. Marian zakłęła, oblała łzami poduszkę i nazwała córeczkę April.

W trzy tygodnie potem z dwojgiem dzieci ruszyła w pościg za Jerry’em do Lizbony, Paryża i Berlina, za każdym razem dowiadując się, że wyjechał poprzednim pociągiem dalej. Dopiero w Wiedniu na dworcu ujrzała męża, który oczekiwał z olbrzymim bukietem w ręku, wykupiwszy całą kwiaciarnię. Na ten widok zapomniała od razu o gniewie.

W pierwszych dniach roku 1932 urodził się Archie. Stało się to na pokładzie chińskiej fregaty wchodzącej do portu w Szanghaju podczas bombardowania tego miasta przez flotę japońską. Wówczas też państwo Carstairs postanowili wreszcie osiedlić się gdzieś na stałe.

Jerry znalazł pracę w redakcji nowojorskiej gazety. Wynajęli mały domek na Long Island, zgodzili służącą imieniem Walda, kupili na raty meble. Przez pierwszy miesiąc Marian czuła się jak w niebie, przez drugi uważała nowy tryb życia za bardzo przyjemny, w trzecim zaczęła się nudzić. Tydzień przetrwała nucąc piosenkę „Nie mam co robić z czasem...” — po czym zasiadła do pisania sensacyjnej powieści kryminalnej. Miała wielką ochotę przeczytać Jerry’emu już pierwsze rozdziały, ale niestety Jerry pełnił służbę sprawozdawczą na procesie Hauptmanna. Kiedy skończyła powieść i dała ją mężowi do przeczytania, wyjeżdżał do Waszyngtonu i dopiero stamtąd zadepeszował entuzjastycznie: „Brawo, kochanie!” Chciała mu pokazać odpowiedź z agencji literackiej, do której wysłała swój maszynopis, lecz Jerry przebywał wówczas na Florydzie. Wrócił bardzo przemęczony, a zanim zdążył zapoznać się z treścią listu agencji, dostał polecenie wyjazdu do Newark, gdzie zamordowano Dutcha Schultza. W dwa dni później Jerry leżał w szpitalu. Lekarze stwierdzili zapalenie płuc.

Żył jeszcze pięć dni i któregoś z tych pięciu dni odzyskał przytomność na tyle, że zdołał wysłuchać listu wydawcy, zawierającego propozycję wydania książki, pochwałę autorki i zachętę do dalszej pracy. Jerry bardzo się ucieszył. Marian zapamiętała na zawsze jego radość i słowa: „Spisałaś się doskonale, kochanie!” Potem zapadł w gorączkowy sen.

Wracając z pogrzebu, znalazła w skrzynce pocztowej umowę wydawniczą i czek na honorarium autorskie.

Z perspektywy czasu pierwsze lata, jakie wówczas nastąpiły, przedstawiały się w pamięci Marian niby ciemna, zamazana plama. Nie miała ani grosza. Jerry zawsze wydawał swoją gażę, zanim ją dostał do ręki. Honorarium za pierwszą książkę pokryło zaległy czynsz za domek na Long Island i koszty przeprowadzki do małego mieszkanka na Manhattanie. Walda nie chciała opuścić dzieci. Marian zaproponowano pracę w redakcji, która zatrudniała Jerry’ego. Zgodziła się skwapliwie. Drugą swoją powieść krymi-

nalną napisała wieczorami i nocami, a gdy Walda miała wychodne, stuknęła na maszynie nadstawiając uszu w stronę dzieciennego pokoju, gdzie każdej chwili któraś z trzech latorośli mogła się obudzić i zapłakać.

Wszystko to zdawało się dziś bardzo odległe. Następne lata minęły bez zdarzeń, niemal zapomniane. Zostawiły w pamięci ledwie parę ważniejszych epizodów. Walda wyszła za męża i przepaszając za swą dezercję opuściła rodzinę Carstairsów. Marian straciła posadę w redakcji. Dina zachorowała na odrę. Przeprowadzali się kilka razy, aż wreszcie znaleźli ten domek. Dziesięć lat spędzonych przy maszynie do pisania.

Ale warto było trudzić się dla tych trojga dzieci. Marian bawiła się z nimi razem wspaniale. Co prawda, rosna szybko. Wkrótce przyjdzie czas, że opuszczą dom. Zaczną własne życie. Ona zaś będzie wtedy starzejącą się kobietą, piszącą sensacyjne powieści na przenośnej maszynie w jakimś hotelowym pokoju.

Marian Carstairs wstała mówiąc sobie: „Dość tych bzdur!”

Gdyby tak mieć przed sobą dzisiaj miłe spotkanie... Gdyby pojechać do śródmieścia, do fryzjera, kosmetyczki, manicurzystki, a potem w nowej sukni czekać na dzwonek u drzwi... Gdyby tak mieć znowu dwadzieścia lat...

Marian ruszyła wolno ścieżką w głąb ogrodu. „Owszem, masz umówione spotkanie — napomniała samą siebie. — Ze stroną 245 nowej powieści. Radzę ci dotrzymać umowy!”

Może następny wiersz nie powinien brzmieć: „Z ust bladej dziewczyny wyrwał się stłumiony okrzyk grozy...” Nie, lepiej będzie: „Oficer policji odwrócił się i blednąc krzyknął z cicha...” Tak, to dobre... Marian przepowiadała sobie to zdanie na głos, idąc w zamyśleniu dalej: „Oficer policji odwrócił się i blednąc krzyknął z cicha. «Nie rozumiem... » — wyjąkał. «Oczywiście, że pan nic nie rozumie — zimno odparł Clark Cameron. — Policjanci nigdy nic nie rozumieją»... Nie, ta replika brzmi niezręcznie. Za długa. Bez puenty. Marian szeptem spróbowała różnych wariantów „Oczywiście. Znana tępota policji”. To jej się spodobało i powtórzyła głośno: „Znana tępota policji”.

— Słucham panią? — powiedział Bill Smith ukazując się zza krzaka. — Pani była łaskawa powiedzieć coś o policji?

— Powiedziałam... — Marian, oderwana zniemacka od strony 245, patrzyła niechętnie na porucznika. — Co pan tu robi w moim ogródku?

— To już nie pani ogródek — wyjaśnił łagodnie. — Pani przeszła granicę sąsiedniej posiadłości, która jest chwilowo pod nadzorem policji. Zamordowano pani sąsiadkę, jeśli wolno przypomnieć.

Marian oprzytomniała. Owijając się ciasniej różowym pikowanym szlafrocikiem powiedziała:

— Przepraszam — i zawróciła na ścieżce.

— Chwileczkę! — rzekł Bill Smith. — Chwileczkę, proszę się zatrzymać.

Ale Marian skręciła wzdłuż żywopłotu nie racząc się obejrzeć.

Jak postąpiłby w tej sytuacji Clark Cameron? Popełniono morderstwo w najbliższym sąsiedztwie, rozwiązaniem zagadki zajmował się antypatyczny — jakkolwiek przystojny — oficer policji. Oczywiście, gdyby Clark Cameron był kobietą...

Marian Carstairs prychnęła pogardliwie i przyspieszyła kroku. „Najwyższy czas wracać do strony 245 — powiedziała sobie. — «Clark Cameron przyjrzał się nieruchomej postaci leżącej na podłodze i prostując się rzekł...»»,

Coś zaszeleściło w zaroślach tuż przy ścieżce. Marian Carstairs zdretniała nagle ze zgrozy. W sąsiedztwie popełniono morderstwo, a morderca nie ujęty krążył zapewne w pobliżu. Jeśli ją spotka coś złego, kto wychowa trójkę małych Carstairsów? Otworzyła usta do krzyku, ale głos uwiązł jej w gardle. Może zabójca Flory Sanford krył się w zaroślach i podejrzewał, że ona go spostrzegła? Teraz padnie strzał albo cios i któż zaopiekuje się Diną, April i małym Archibaldem? Marian stała przykuta strachem do miejsca.

— Proszę pani, pani Carstairs! — doszedł jej uszu ochrypły szept.

Marian odwróciła głowę. Spośród liści wychylała się ku niej mizerna, przerażona, zarośnięta twarz mężczyzny. Twarz, niegdyś przystojna, męska, budząca zachwyty, teraz jednak podrapana, zakrwawiona, brudna.

— Na litość boską — rozległ się znowu ochrypły szept. — Błagam, niech pani nie wzywa policji. Pani przecież nie może mnie podejrzewać, że to ja zabiłem Florę!

To był Wallie Sanford. Mąż ofiary, poszukiwany przez policję trzech stanów. Morderca. Marian wiedziała, że wystarczy jeden okrzyk, a zjawią się policjanci i ujmą zbiega. Jutro w gazetach ukażą się wielkie nagłówki: „Znana autorka powieści sensacyjnych wykrywa mordercę”. Reklama dla jej książek doskonała. Mimo to...

— Niech mi pani uwierzy — szeptał bez tchu Wallie Sanford. — Niech mi pani uwierzy!

Za zakrętem ścieżki żwir zatrzeszczał pod męskimi butami. Ktoś szedł ciężko. Zbliżał się...

— Biegiem przez krzaki! — szepnęła Marian. — Biegiem! Ja ich tu zatrzymam.

Wallie Sanford zniknął. Oddalający się szelest kroków znaczył jego ślad. Kroki na żwirowanej ścieżce chrzęściły coraz bliżej. Wtedy Marian Carstairs krzyknęła głośno i przenikliwie.

Porucznik Bill Smith jednym susem znalazł się tuż przy niej.

Chwytną ją za ramię spytał:

— Co panią tak przestraszyło?

— To mysz! — wyjąkała Marian. — Mysz, tu, na ścieżce!

— Ach! — odetchnął z ulgą Bill Smith. — Złakłem się, że... — Urwał w pół zdania.

— Proszę pani, czy by pani nie zechciała... To znaczy, prosiłbym panią... — Trzymał jeszcze wciąż jej ramię. — Chciałbym z panią porozmawiać, gdyby się pani zgodziła...

może zjedlibyśmy razem obiad czy kolację, czy może pani lubi kino...

Marian spojrzała mu prosto w twarz.

— Ani mi się śni. I proszę zdjąć rękę z mego ramienia.

Bill Smith popatrzył w jej oczy.

— Przepraszam — powiedział i odwracając się, sztywno odmaszerował.

Marian wbiegła do domu i jednym tchem po schodach do swego pokoju. Po raz pierwszy od dziesięciu lat groziło jej, że się rozpłacze.

Wallie Sanford. Ścigany, może zabójca! Powinna była oddać go ręce policji. Nie, nie mogła, wyglądał zbyt nieszczęśliwie.

Ta propozycja... Prosił ją o spotkanie. Pierwsza taka propozycja od ilu lat?

Marian siadła przed toaletą i zdyszana spojrzała w lustro. Różowy szlafrok w kwiaty, kolorowa chustka, rumieńce na twarzy, błyszczące oczy. Głupstwo! Wracaj do strony 245. Akapit drugi, wiersz trzeci. Po słowach: „Clark Cameron itd.” „Ten człowiek został zamordowany. Tak samo jak tamci”

Zaczęła wolno wypukiwać słowa: „Przystojny oficer policji stłumił krzyk grozy”. Nie, źle! Oficerowie policji nie krzyczą ze zgrozy. „Sądzę, że pan się myli — rzekł przystojny oficer policji...” Także źle. Clark Cameron nie może się mylić. Marian przekreśliła drugie zdanie. Lepiej zacząć od nowego wiersza.

„Przystojny oficer policji rzekł...”

— Och — zniecierpliwiała się Marian. — Co za bzdura!

Zaiksowała wszystko i zaczynając od nowego akapitu wystukała z furją: „Znana tępota policji...”

ROZDZIAŁ 4

Zabierajcie się stąd, jazda! — rzekł sierżant O'Hare. — Rozejść się, powiadam.

— Niesłychany tupet — April z zimną krwią zwróciła się do Diny. — Ten człowiek nie słyszał widać o przepisach zabraniających obcym ludziom wstępu na teren prywatnej posiadłości.

Archie zachichotał bezwstydnie.

Sierżant O'Hare poczerwieniał i cofnął się o krok, przenosząc nogi z trawnika Carstairsów na trawnik Sanfordów, po czym głośniejszym głosem powtórzył:

— Jazda stąd. Rozejść się!

— O co chodzi? — spokojnie zapytała Dina. — My przecież tutaj mieszkamy.

— Mieszkacie w domu — odparł sierżant. — O, tam! Rozejść się, proszę!

— Mieszkamy także w ogrodzie — odezwała się także April.

— Mieszkamy wszędzie! — wrzasnął Archie podskakując. — Wszędzie nam wolno być.

— A to jest nasz ogródek — dodała Dina.

— Powiedziałem... — zaczął sierżant i zachłysnął się. — Proszę odsunąć się od żywopłotu.

— Ogromnie lubimy ten żywopłot — poinformowała go April.

Archie cofnął się nieco i strzelił z procy w gąszcz żywopłotu. Sierżant wzdrygnął się i siny z wściekłości ryknął:

— Powiedziałem, jazda stąd!

— Ależ oczywiście — odparła Dina. — Jeśli pan się tak zachowuje!

Trójka wycofała się spod ogrodowej furtki nie spojrzawszy nawet na sierżanta.

— Będziemy mieli z nim masę kłopotu — złowroźnie oznajmiła Dina.

— Tak ci się tylko zdaje — odpowiedziała April z niezmaconą pogodą. — To on będzie miał z nami masę kłopotu. — Swobodnym spacerowym krokiem szła przez trawnik, by sierżant O'Hare mógł stwierdzić, że odwrót odbył się honorowo. Gdy nie mógł ich już dostrzec, April zatrzymała się mówiąc: — Chodźcie, dzieci, jest jeszcze furtka od

ogrodu warzywnego.

Ale przy furtce ogrodu warzywnego stał na straży bardzo znudzony młody policjant. Potrząsnął głową i mruknął:

— Nie. Nie wolno.

Dina przyglądała mu się chłodno przez chwilę, wreszcie powiedziała:

— Obiecaliśmy pani Sanford, że opielemy jej brukiew.

— Dobry kawał! — uprzejmie tym razem odparł policjant. — Pani Sanford już nie zależy na brukwi. Panią Sanford zamordowano. Rozumiecie?

— Rozumiemy — rzekła April podnosząc w górę jedną brew. — Coś podobnego! — dodała z miną nieco obrażoną. — Zamordowano! To szczyt złego smaku. — Podniosła drugą brew sygnalizując decyzję siostrze i bratu. — Pójdziemy chyba stąd, co?

Młody policjant długą chwilę patrzył za oddalającą się trójką, a na jego rumianej twarzy malowało się zdumienie.

— Obstawili teren ze wszystkich stron — stwierdziła z rozpaczą Dina. — Nawet furtkę przy śmietniku.

Przystanęli, żeby rozważyć sytuację.

— A jednak musimy tam się jakoś dostać i przeszukać dokładnie — powiedziała April.

— Czego mamy szukać? — spytał Archie. — Powiedzcie, czego?

— Skądże możemy wiedzieć, czego — niecierpliwie odparła Dina. — W ogóle trzeba szukać.

— Ale czego, czego, czego? — krzyczał Archie.

— Słuchaj, Archie — wystąpiła z powagą April. — To jest teren zbrodni. Pierwszym obowiązkiem detektywa jest zbadanie terenu zbrodni. Jesteśmy detektywami, więc musimy przeszukać teren.

— Tylko że tu się aż roi od policji — dodała Dina. — Widzisz!

Archie rozejrzał się wokół i naocznie upewnił o prawdziwości słów Diny.

— No, dobrze — powiedział. — Ale czemu nie próbujemy dostać się przez bramę wjazdową? Gapy, gapy, gapy!

Dziewczynki spojrzały po sobie.

— Można by spróbować — powiedziała April.

— Idziemy, idziemy, idziemy! — wrzasnął Archie.

— Cicho, smarkaczu — zgromiła go bez gniewu April. — Spieszmy, nim zza gór nadciągną posiłki!

I pobiegła przodem ku alei wjazdowej. Archie piszcząc z podniecenia pędził za nią. Doganiając siostrę na zakręcie przy bramie wysapał:

— A co to są te posiłki?

April zatrzymała się i odparła surowo:

— Liczba mnoga od posiłek. Jak będziesz starszy, to zrozumiesz.

Dina dopędziła rodzeństwo i uzupełniła wyjaśnienie.

— To, co zostaje po siłku. A siłek to zagraniczna rasa osiołka.

— Nabieracie mnie — oburzył się Archie. — Wstrętne jędze!

— Bądźcie cicho — powiedziała April. — Po co zadajesz głupie pytania?

Archie nagle przysiadł na murku przy bramie. Sapał, żałując, że nie jest smokiem i nie umie dmuchnąć ogniem i siarką.

— Nienawidzę bab! — oświadczył i z całych sił kopnął piętami mur, na którym siedział. Chwilę szukał w pamięci jakiejś zabójczej obelgi i wreszcie wybuchnął: — Antypatyki!

— Bądźcie wreszcie cicho — powiedziała Dina.

— Chodźmy — zawołała April.

Ruszyła w aleję prowadzącą od szosy do willi Sanfordów. Nigdzie tu nie było widać policjantów — w mundurach ani po cywilnemu.

— To może być pułapka — szepnęła dramatycznie April do siostry. — Podpełzniemy w krzakach. Staraj się nie robić hałasu!

Zbliżając się do żywopłotu, zobaczyły przed domem znajomy, długi, popielaty kabriolet, a przy nim dwie znajome postacie. Dina i April szybko dały nura w gąszcz żywopłotu. Cichutko podsunęły się bliżej. W pewnym momencie Dina chwyciła April za ramię szepcząc:

— Pamiętasz, co mamusia mówi zawsze o podsłuchiwaniu?

— To nie jest podsłuchiwanie — odszepnęła April. — To wywiad. Zupełnie co innego. Uważaj, bo gałązki trzeszczą.

Czołgały się cal po calu, aż wreszcie w odległości trzech stóp od samochodu przypnęły w zaroślach.

Polly Walker stała obok swego wozu. Miała na sobie białą płócienną suknię z kolorowym haftem pod szyją. Duży czerwony kapelusz słomkowy dobrany był do haftu. Złocistorude loki spływały na biel sukni. Wyglądała jak wystraszony podłotek.

Bill Smith, z nogą na błotniku, opierał się łokciem o krawędź otwartego okna samochodu. Starał się przybrać minę zimną i surową, ale miał wyraz twarzy sympatyczny i zakłopotany.

— Zapewniam pana — mówiła właśnie Polly Walker w chwili, gdy dziewczynki znalazły się w zasięgu jej głosu — że nie mam pojęcia, gdzie on może być. Nie miałam od niego znaku życia od... — głos jej się załamał, jakby połknęła następne słowa.

— Od? — spytał spokojnie porucznik Bill Smith.

April i Dina oceniły z uznaniem jego ton i całe zachowanie. Tak mógłby mówić Clark Cameron.

— Szkoda, że mama tego nie słyszy! — szepnęła Dina.

— Od przedwczoraj.

Śliczne usta Polly Walker otworzyły się i zaraz znowu zacięły się z uporem. Westchnęła przeciągle. Dina podejrzewała, że Polly w duchu liczy do dziesięciu.

— Po co pan mnie tu wezwał? Po co te wszystkie niedorzeczne pytania?

— Wczoraj — odparł Bill Smith — pani nam powiedziała, że nie zna Walliego Sanforda. Oświadczyła pani, że znała tylko Florę Sanford i że ona zaprosiła panią na herbatę. — Bill Smith zdjął stopę z błotnika i wyprostował się sztywno. — Ale przed chwilą przyznała pani, że przedwczoraj widziała się z Walliem Sanfordem... — Urwał. Polly Walker stała jak słup, z pobladłą twarzą. — Kiedy pani spotkała po raz pierwszy Walliego Sanforda?

— To było... — Polly zaczepnie wysunęła szczękę. — Nie sędzę, aby to była pańska sprawa.

April ścisnęła rękę Diny: — Pamiętasz? To jest z jej roli w „Dziwnym spotkaniu”.

Porucznik Bill Smith wzdrygnął się na te słowa. Było mu wyraźnie bardzo przykro.

— A jednak nie znała pani Flory Sanford. Co do jej męża, to przedstawiono go pani na przyjęciu 16 stycznia bieżącego roku. Prawda? Od tego dnia widywano panią często w jego towarzystwie. Pani Sanford dowiedziałyszy się o tym...

— Och, nie! — przerwała Polly Walker. — To nie tak było! Wcale nie tak! — Przygryzła dolną wargę, ściągnęła w tył ramiona. — Nie będę nawet próbowała tłumaczyć się z tak niedorzecznych zarzutów. Miejsce nie wydaje mi się też odpowiednie do śledztwa. Jeśli pan ma jeszcze jakieś dalsze pytania, proszę zwrócić się do mego adwokata.

Polly Walker otworzyła drzwiczki samochodu. April miała ochotę krzyknąć: „Brawo!” Dina szepnęła:

— Żywcem to wzięła ze swego ostatniego filmu. Pamiętasz, byliśmy na tym w kinie „Bijou”.

Tym razem April uciszyła ją:

— Tsss...

Polly trzasnęła drzwiczkami i zapuściła silnik. Bill Smith chwytając krawędź drzwiczek powiedział:

— Proszę się zatrzymać...

— Czy jestem aresztowana? — spytała lodowatym tonem Polly. — Jeżeli nie, to, daruje pan, ale pilno mi, bo miałam w programie dzisiejszego popołudnia kilka morderstw i obawiam się, że już nie zdążę wszystkich popełnić.

Wycofała wóz spomiędzy krzewów w takim tempie, że liście sypnęły się z gałęzi. Porucznik Smith chwilę patrzył za oddalającym się samochodem. Potem odwrócił się i wolnym krokiem, ruszył w stronę willi Sanfordów.

— Tę replikę sama wymyśliła! — szepnęła z zachwytem April. — Ależ z niego patałach.

— Nie wyrażaj się w ten sposób o swoim przyszłym ojczymie — skarciła ją Dina. — A teraz, w nogi! Może ją dogonimy na skrzyżowaniu, jeśli trafi na czerwone światło. Biegiem!

Wybrnęły z gąszczu na drogę i puściły się pędem wzdłuż szosy niby króliki. Widziały przed sobą szary kabriolet zwalniający na zakręcie, żeby przepuścić wyjeżdżającą z boku ciężarówkę. Dobiegłszy do zakrętu stwierdziły, że wóz Polly stanął, zatrzymany na przejeździe sygnałem świetlnym. Dziewczynki zbiegły ze wzgórza.

— Nie dogonimy — szepnęła bez tchu April. — Światła...

Błysnął zielony sygnał, ale szary samochód nie ruszył z miejsca. Stał, jednym kołem lekkomyślnie zahaczony o krawędź chodnika. Jakiś inny samochód zatrąbił z oburzeniem i objechał szary kabriolet dookoła. Światło zmieniło się znowu. Szary wóz nie drgnął jednak.

— Chyba jej się nic nie stało — powiedziała April. — Polly Walker jest właściwie jedynym świadkiem w tej sprawie. Musimy się czegoś od niej dowiedzieć.

Przy kierownicy tkwiła sztywno biało ubrana postać. Wyglądała, jak by ją ulepiono ze śniegu.

— Czegóż się chcesz od niej dowiedzieć? — spytała Dina. — To gwiazda filmowa. Ma adwokatów. Jeśli nie chciała odpowiadać na pytania policji, jakże możesz spodziewać się, że nam powie... Och, April!

Posąg ze śniegu nagle roztajał. Pod białą suknią ramiona drżały wstrząsane łkaniem.

Dina dopadła samochodu. W błyskawicznym odruchu współczucia otoczyła ramieniem szyję płaczącej. Polly Walker, tuląc twarz do piersi Diny, szlochała głośno. Wcale teraz nie wyglądała na gwiazdę filmową. Była po prostu przerażonym, nieszczęśliwym podlotkiem. Dina pogłaskała jej głowę takim gestem, jakim uspokajała braciszka w tych wyjątkowych momentach, gdy Archie uginał się pod ciężarem przeciwności życiowych. Szepnęła:

— Niech pani nie płacze. Wszystko będzie dobrze.

— Ooo! — zawodziła Polly. — Ooo, Cleve, Cleve! Ja nie chcia... — Zakrztusiła się wpół słowa. Nie płakała wdzięcznie i zachwycająco jak w „Dziwnym spotkaniu”. Twarz jej poczerwieniała, loki rozkręciły się, łzy płynęły strumieniem; pociągała nosem głośno i wcale niepięknie.

— Wallie! — szlochała. — On tego nie zrobił! To wcale nie było potrzebne. On nic nie wiedział. Nie cierpię go! Ale to nie on... Och, co za głupcy!

— No, już cicho, cicho — niezbyt rzeczowo pocieszała ją Dina.

Polly Walker wyprostowała się, wyciągnęła chustkę i głośno wytarła nos.

— A ja mu tak wierzyłam! — krzyknęła rwącym się głosem.

April wskoczyła na stopień samochodu.

— Niech pani nam powie, kto jest ten Cleve?

— Cleve jest moim... to znaczy był... — Nagle Polly podniosła zalaną łzami twarz i mokrymi ślicznymi oczyma przyjrzała się swoim pocieszycielkom. — Ach, to wy, moje małe przyjaciółki!

— Zaslugujemy na pewno, żeby nas pani nazywała przyjaciółkami! — uroczyście oświadczyła Dina.

— Zjawiacie się zawsze w najbardziej fatalnych momentach — szepnęła Polly Walker i chusteczką otarła twarz.

— I zadajemy fatalne pytania — chłodno powiedziała April. — Warto by upudrować wieczko, laleczko.

Polly Walker bezwiednie sięgnęła po puderniczkę. Bez większego rezultatu przejechała puszką po nosie.

— Jesteście kochane dzieciaki. Gdybym kiedykolwiek miała... doprawdy, chciałabym...

April przyjrzała jej się krytycznie.

— Puder się rozmazuje. Może lepiej byłoby najpierw umyć liczko, siostrzyczko. Niech pani nam zaufa. Czy pan Sanford jest pani... — April zawahała się nad wyborem odpowiedniego słowa: — ...przyjacielem?

Polly Walker w pierwszej chwili nie bardzo zrozumiała to określenie. Potem, wypuszczając z rąk puderniczkę, wybuchnęła śmiechem.

— Ach, nie! — zawołała. — Nie! Oczywiście że nie! Co też wam...

— Dlaczego więc — bezlitośnie nalegała April — zamordował swoją żonę?

— Dlatego — odparła Polly — że ten list... — Urwała i spojrzała w oczy dziewczynki. — O czym wy mówicie, dzieci?

— Może panią zainteresuje ta informacja — powiedziała April. — My wiemy, że pan Sanford nie mógł zamordować swojej żony. Wysiadł z pociągu o 16 min. 47. A strzały słyszałyśmy o szesnastej trzydzieści.

Polly Walker otworzyła usta ze zdumienia.

— Na pewno — poparła siostrę Dina. — April właśnie poszła do kuchni spojrzeć na zegar, bo...

— Tylko nie zaczynaj znowu tej historii z kartoflami — przerwała jej April. I zwracając się do Polly Walker dodała: — Widzi pani, nie ma powodu do płaczu. Nie bez tak gorzko, pieścioszko.

— Ależ to niemożliwe — odparła z bezradną miną Polly. — Przecież kwadrans przed piątą byłam...

— Proszę pani — z wielką godnością powiedziała Dina — nie zechce pani chyba dla głupich piętnastu minut zrobić z nas krzywoprzysięzców.

Polly Walker przyjrzała się dziewczynkom uważnie i uśmiechnęła dość kwaśno, nim

odrzekła:

— Oczywiście, nie zechcę. — Samochód zadygotał pod jej stopami. — Wracajcie, moje dzieci, do domu i nie wtrącajcie się w nie swoje sprawy.

Szary kabriolet ruszył pędem. Dina i April stały chwilę, patrząc, jak szybko oddala się po szosie.

— Ma tupet dziewczyna — powiedziała wreszcie Dina. — „Moje dzieci!” A sama nie ma więcej niż dwadzieścia lat.

April westchnęła.

— Nie wiem, co to za jeden ten Cleve — szepnęła w rozmarzeniu — ale mam nadzieję, że będzie jej wart.

Wracały z wolna pod górę.

— Czuję — odezwała się z namysłem April — że dowiedziałyśmy się czegoś bardzo ważnego, ale nie umiemy jeszcze tego szczegółu dopasować do całości. Tak samo było z Clarkiem Cameronem w książce mamusi. Wyśledził człowieka, który kupował tony pietruszki; a później okazało się, że to właśnie był morderca, chociaż z początku nikt tego nie przypuszczał. Clark Cameron czuł od razu, że coś w tym...

— Nie gadaj tyle — niecierpliwie przerwała Dina. — Przeszkadzasz mi myśleć.

— Ach, przepraszam szanowną panią — rzekła April.

Zrobiły w milczeniu dalszych dwadzieścia kroków pod górę. Nagle Dina stanęła.

— April! — wykrzyknęła. — Gdzie się podział Archie?

April spojrzała na siostrę i głośno przełknęła ślinę.

— Siedział tam — wykrztusiła wreszcie niepewnie — na murku przy bramie.

Pobiegły przed willę Sanfordów. Ale ani tam, ani nigdzie na horyzoncie nie było wiadać Archiego.

— Pewnie poszedł do domu — powiedziała April bez przekonania.

Dina krzyknęła kilka razy: „Archie! Archie!”, lecz nie doczekała się odpowiedzi. Bardzo błada, zwróciła się do April.

— Nie mogło mu się chyba stać nic złego... nic takiego...

— Myślę, że mu się nic nie stało — rzekła April. Wypatrzyła cywila strzegącego dyskretnie bramy do ogrodu Sanfordów i podeszła do niego z przymilnym uśmiechem.

— Czy nie widział pan małego chłopca? Taki rozczochrany, z brudną buzią, z dziurami na łokciach i z rozwiązanymi sznurowadłami?

Tajniak się rozpromienił.

— Ach, ten brzdąc! Owszem, widziałem. Poszedł kilka minut temu tam — wskazał za siebie dużym palcem — pod górę, do cukierenki Luke’a z sierżantem O’Hare. Dina zaczerwieniła się ze złości, April zbladła, obie zaś oniemiały.

— Czemu panienki pytają? — mówił bardzo grzecznie tajniak. — Może go mamusia szuka?

— Nie — odparła Dina. — My go szukamy. — I pod nosem mruknęła jakieś słówko. Na szczęście tajniak nie dosłyszał. Dina bowiem powiedziała: „Judasz”.

ROZDZIAŁ 5

„Nie trzeba brutalnych środków. Wystarczy psychologia — mawiał chętnie sierżant O’Hare. — Na psychologię każdy się złapie”.

Kiedy więc ujrzał Archibalda siedzącego samotnie i wciąż jeszcze kipiącego ze złości na murku przy bramie, postanowił zastosować metodę psychologiczną. Bądź co bądź — przypomniał sobie w porę — wychował własnych dziewięcioro. Powinno pójść z tym smykiem jak po maśle.

— Dzień dobry, chłopcze — powiedział. — A gdzież to siostrzyczki?

— Bimbam siostrzyczki — odparł posępnie Archie nie podnosząc głowy.

Sierżant udał zgorzzenie.

— Ejże? — zawołał. — Czy to ładnie tak się wyrażać o grzecznych panienkach?

— Grzeczne panienki! — zgrzytnął Archie. — Antypatyki! — Spojrzał w górę na sierżanta: — Wie pan co?

— No? — spytał O’Hare.

— Nienawidzę bab! — Archie szukał chwilę właściwego słowa. — Ja nimi pogardzam! — oświadczył.

— Co ty mówisz? — Sierżant cmoknął: — ts, ts, ts... — Po chwili namysłu rzucił z sztuczną niedbałością: — Gdybyś chciał stąd pójść, musiałbyś pewnie najpierw spytać siostry o pozwolenie?

— W ogóle z nimi nie rozmawiam i o nic nie potrzebuję się pytać — odparł z goryczą Archie. — To są głupie gapy, co nic nie wiedzą.

— A to się dobrze składa — rzekł sierżant O’Hare — bo właśnie idę do Luke’a i myślałem sobie, że może byś chciał pójść ze mną.

Archie otworzył usta, żeby zawołać: „Byczo!”, ale w ostatniej chwili pohamował się i powiedział: — No...

Był w rozterce. Sierżant O’Hare to przecież nieprzyjaciel. Z drugiej jednak strony Archie i tak zamierzał wybrać się do Luke’a. Syrop słodowy u Luke’a kosztował dwadzieścia pięć centów bez kremu i bez czekolady. A z czekoladą i z kremem...

Archie wstał i wpakował ręce do kieszeni.

— Dobra jest — oświadczył. — Idę.

Nim minęli trzy wille po drodze do Luke'a, Archie słuchając opowiadania sierżanta zdążył zmienić opinię o policjantach. Żeby na własną rękę nakryć dziewięciu rozpruwaczy kas pancernych! Bez broni wdrzeć się do meliny gangsterów, w której każdych drzwi, każdego okna strzegł karabin maszynowy. A kiedy z ogrodu zoologicznego uciekły dwa lwy...

— No, nic nadzwyczajnego — mówił sierżant O'Hare. — To dla policjanta chleb z masłem. Zresztą, to nie były bardzo duże lwy.

Opowiadał o swym bohaterstwie z całą skromnością. Archie słuchał z otwartymi ustami, wreszcie rzekł:

— No! Wie pan co? Złapał pan kiedy mordercę?

— Pewnie! — odparł sierżant O'Hare. — Łapie się dzień w dzień. Zwykła rzecz. — Głos miał już trochę znudzony. — A czy ci już mówiłem, jak ścigałem dzikusa, co uciekł z cyrku, uzbrojony w łuk i zatrute strzały?

— I co? I złapał pan? — spytał Archie wlepiając w sierżanta oczy pełne czci i uwielbienia. — Niech pan opowie!

— Opowiem — przyrzekł sierżant. — Ale trochę później. — Siadł na wysokim stoliku przy kontuarze i zwrócił się do Luke'a: — Podwójny syrop słodowy z czekoladą i z kremem dla mojego przyjaciela i kawa dla mnie.

— Byczo! — wyrwało się Archiemu. Ale w tej chwili ukłuł go wyrzut sumienia. Dina przepadała za syropem słodowym z kremem. Szkoda, że nie ma Diny. Zaraz jednak przypomniał sobie śmiertelną urazę do sióstr i sumienie ucichło.

— O czym to mówiliśmy? — podjął sierżant mieszając łyżeczką w filiżance. — My, mężczyźni, musimy trzymać sztamę, a dziewczynki...

— Właśnie — potwierdził Archie. — Dziewczyny na niczym się nie znają. — Pociągnął łyk syropu. Nie doznał rozkoszy, jaką sobie obiecywał. Powiedział: — Niech pan mówi o tych zatrutych strzałach.

— Ach, tamta historia! — rzekł sierżant. — To było tak: Znalazłem człowieka podziurawionego jak sito zatrutymi strzałami. A miałem, rozumie się, podręczną apteczkę przy sobie. Jak myślisz, co mu dałem?

Archie wyjął słomkę z ust.

— Rycynę?

— Zgadłeś! — ucieszył się sierżant. — Słuchaj, mały, jesteśmy koledzy, prawda?

— Aha — odpowiedział Archie chwytając znów słomkę w zęby.

— A koledzy nie mają przed sobą żadnych tajemnic. Mają?

Archie dokazał nie lada sztuki potrząsając przecząco głową bez wypuszczenia słomki z ust.

— I dlatego — ciągnął sierżant czując już pewny grunt pod nogami — koledzy mówią sobie zawsze prawdę. Mam rację?

Archie wciągnął przez słomkę resztkę syropu z niemiłym dla ucha bulgotem. Wyjął słomkę z ust.

— Ma pan rację — bąknął.

— To może mi coś powiesz — zaproponował sierżant O'Hare. — Może mi powiesz... A nie wypiłbyś jeszcze jednej porcji?

Archie spojrzał w głąb pustej szklanki. Toczył w sercu tajemną walkę z sumieniem, które uparcie powtarzało mu do ucha wyrzut: „Zdrajco!” Z drugiej jednak strony prawdą było, że Archie nienawidził bab i że sierżant O'Hare był wielkim człowiekiem, bohaterem, a w dodatku — jego kolegą. Podwójna porcja syropu z czekoladą i kremem...

— Jaka była naprawdę godzina, kiedyście usłyszeli strzały? — spytał łagodnie sierżant.

Archie, chcąc zyskać na czasie, spytał naiwnie:

— Bo co?

Sierżant przyjrzał mu się, odgadł jego rozterkę i postanowił podejść od innej strony.

— Powiem ci szczerze: ja myślę, że wy wcale nie wiecie dokładnie, która wtedy była godzina.

— Tak pan myśli? — wyzywająco spytał Archie. — A właśnie że wiemy.

— No, twoja siostrzyczka nie wie, bo mi powiedziała nieprawdziwą godzinę.

Archie wydał pogardliwie usta słysząc czułą nazwę „siostrzyczka.”

— Założę się, że ty także nie wiesz — ciągnął sierżant.

— To pan przegra zakład, bo wiem — odparł Archie urażony. Głos wewnętrzny, szepczący: „Zdrajco!”, przycichł w głębi jego mózgu. Oto wspaniała sposobność pomsty na siostrach i zaimponowania nowemu przyjacielowi: — Wiem!

— Taak? — spytał sierżant niedowierzająco. — no to powiedz.

— Była właśnie... — Archie urwał i zaczął ssać słomkę, chociaż szklanka była już pusta.

Sierżant siedział między nim a oknem, Archie nad krzepkim jego łokciem dostrzegął ulicę. Na chodniku za oknem stały Dina i April gestykułując wymownie. Dziewczyny. Archie nienawidził dziewczyn. Nagle April zasygnalizowała hasło, oznaczające solidarność rodzinną, Dina zaś dodała gest, po tysiackroć stosowany przy stole i odczytywany zawsze niedwuznacznie: „Nie mów!” Słomka skrzypnęła nieprzyjemnie o dno szklanki. Archie zsunął się z taboretu.

— Było dokładnie wpół do piątej — oświadczył. — Bo April poszła do kuchni spojrzeć na zegar, czy już czas wstawiać kartofle. Do widzenia panu. Muszę już iść do domu.

— O wpół do piątej? — Na wpół do siebie powtórzył chmurniejac sierżant. I zwró-

ciwszy się znowu do chłopca spytał: — A może byś jednak wypił jeszcze jedną szklankę?

— Dziękuję, nie — odparł Archie. — Czuję, że już więcej nie zmieściłbym.

Dina i April czekały na niego w bocznej ulicy opodal cukierenki. Dina chwyciła go za ramię, April zasyczała jak żmija.

— Co on chciał z ciebie wyciągnąć?

— Ooch! — jęknął wywijając się z rąk siostry Archie. — Chciał się dowiedzieć, o której godzinie usłyszeliśmy strzały. No, więc mu powiedziałem.

— Archie! — krzyknęła April.

— Powiedziałem, że było punkt wpół do piątej. April poszła właśnie do kuchni zobaczyć, czy już czas wstawiać kartofle. No i tyle.

Dina i April patrzyły sobie wzajem w oczy.

— Ach, Archie! — rzekła April. — Nie ma na świecie równiejszego chłopaka od ciebie.

I uściskała go. Dina objęła go z drugiej strony i ucałowała w policzek. Archie wyrywał im się piszcząc.

— Dość tego! — wołał. — Jestem mężczyzną i mam przyjaciela policjanta.

April zerknęła w stronę cukierenki. Mrużąc oczy powiedziała:

— Mów po imieniu: szpicla. — A potem do Diny: — Idź z Archiem do domu. Już ja temu grubasowi sama powiem, co należy.

— Mam nadzieję — odparła Dina.

Archie protestował gwałtownie, Dina jednak wzięła go za rękę mówiąc:

— Chodź no ze mną. Twój przyjaciel wygląda na policjanta, ale jest szpiclem. Zresztą, nie trzeba ci tego tłumaczyć.

— No, wiem — przyznał Archie. — Nadużył mojego zaufania.

April i Dina parsknęły śmiechem.

— Archie — poważnie oświadczyła Dina. — Oszczędzałam na puderniczkę, ale kupię ci za te pieniądze pistolet wodny, na który od dawna masz ochotę. No, chodźmy już.

— Dina zwróciła się do April: — Liczę na ciebie, że zrobisz tego grubasa na szaro. Tylko nie zapomnij, że masz być w domu na czas, żeby oskrobać jarzyny do obiadu.

April otrząsnęła się z niesmakiem:

— Proszę cię, nie wspominaj skrobania jarzyn w takim momencie.

Czekała, póki Dina z Archiem nie zniknęli z horyzontu. Wówczas dopiero przygładziła włosy, poprawiła kołnierzyk bluzki i niedbałym krokiem weszła do cukierenki, gdzie sierżant O'Hare z nieszczęśliwą miną siedział nad pustą filiżanką po kawie. Przez myśl April przemknęło wszystko, co postanowiła powiedzieć grubasowi o nikczemnych szpiclach wykorzystujących naiwność małych chłopców. Były w tym zaplanowanym przemówieniu słówka, które Dina — a kto wie, może i Archie — przyjęliby okla-

skami. Lecz obserwując smutną minę sierżanta, April zmieniła zamiar. Wpadła na lepszy pomysł. Przy tym nie wiedziała na pewno, czy Archie się z czymś nie wygadał.

Wspięła się na taboret obok sierżanta O'Hare i żalonym głosem powiedziała do Luke'a:

— Chętnie wypijałabym syrop słodowy, ale mam tylko pięć centów, więc proszę szklankę coca-coli.

— Coca-coli już nie ma — rzekł Luke.

April westchnęła dramatycznie.

— No, trudno. Proszę dać lemoniadę.

— Sprawdzę w magazynie, czy mam jeszcze butelkę lemoniady — odparł Luke.

April przez parę sekund siedziała bez ruchu. Potem odwracając niby przypadkiem głowę, rozpromieniła się, jak by zaskoczona miłym spotkaniem.

— Ach, pan sierżant tutaj! Co za niespodzianka!

Sierżant spojrzał na April. Ręka zaświerzbiała go, żeby przełożyć smarkatą na kolanie i wsypać jej porządne łanie. W porę jednak pohamował się wspomniawszy prawa psychologii. Uśmiechnął się więc przyjacielsko i rzekł:

— Ho, ho, ho! Witam śliczną panienkę.

W tej chwili Luke wrócił ze składu i oznajmił:

— Niestety, lemoniada także już wyszła.

— No, trudno! — rzekła zboląła April. — Proszę po prostu szklankę wody.

— Chwileczkę — wtrącił się sierżant O'Hare, jak gdyby olśniony nagłym pomysłem.

— Nie wypijałabyś, mała, syropu słodowego? Ja funduję.

Oczy April rozszerzyły się ze zdumienia i radości.

— Ach, panie kapitanie, jaki pan uprzejmy!

— Proszę podać podwójny czekoladowy syrop dla paniarki — rozkazał sierżant O'Hare najwyraźniej mile polechtany. — Z kremem. Z podwójnym kremem. — Po czym zwrócił się do April: — Nie jestem kapitanem. Mam rangę sierżanta.

— Ach! — westchnęła April. — Wygląda pan na kapitana. — Wlepiła w niego ogromne, niewinne oczy, pełne podziwu. — Założę się, że pan wyjaśnił mnóstwo tajemniczych zbrodni.

— Ano — skromnie odparł sierżant — to i owo zrobiło się w życiu.

Przyszło mu na myśl, że może jednak omylił się w swej pierwszej ocenie małej April Carstairs. To, zdaje się, bardzo miła, dobrze wychowana paniarka. Przy tym — niezwykle inteligentna.

— Gdyby pan zechciał mi opowiedzieć o swoich wyczynach! — z przejęciem prosiła April.

Sierżant O'Hare opowiedział o dziewięciu rozpruwaczach kas bankowych, o melinie gangsterów, o lwie, który uciekł z ogrodu zoologicznego i o zatrutych strzałach. April

wpatrując się w niego, zafascynowana, wypila pierwszą szklankę syropu i połowę drugiej. Nagle łyzy wezbrały w jej oczach.

— Ach, panie kapitanie... przepraszam, panie sierżancie... Chcę pana prosić o radę.

— Proś śmiało — odparł sierżant. — Zawsze ci służę.

— Bo, widzi pan... — wyjąkała April. — Ja coś wiem o tym morderstwie. Tylko że nie śmiem nikomu powiedzieć.

Sierżant O'Hare wyprostował się na stołku.

— Dlaczego nie śmiesz?

— Bo... — April pociągnęła nosem i zaczęła gorączkowo szukać chustki do nosa. — Mamusia... Jeszcze nigdy nie byłam nieposłuszna mamusi. Pan chyba też uważa, że człowiek powinien zawsze słuchać swojej matki, prawda? Że tu nie może być wyjątków, prawda?

— No, pewnie — przyznał sierżant O'Hare.

— Właśnie! Dlatego chciałam prosić pana o radę.

April rozejrzała się po cukierce, sprawdzając, czy nikt ich nie podsłuchuje. Luke stał u drzwi tłumacząc się klientowi, dla którego zapomniał zostawić jakiegoś ilustrowanego pisma. W jednej z łóżek cukierki drzemał jakiś nieznajomy mężczyzna w szarym ubraniu. W głębi lokalu starsza pani w kapeluszu ubranym kwiatami czytała etykiety gotowych lekarstw, ustawionych na półkach.

— A więc tak — mówiła April. — Czy pan uważa, że osoba, która ma pewne informacje, cenne dla władz prowadzących śledztwo w sprawie morderstwa, powinna donieść o tym policji, mimo że matka tej osoby surowo jej zabroniła mieszać się do tej historii?

— Bardzo trudny problem — orzekł sierżant O'Hare z namysłem, chociaż z góry wiedział, co odpowie na pytanie April. — Nie chciałybyś okazać nieposłuszeństwa matce. Ale przecież nie chciałybyś także, by morderca bezkarnie pozostawał na wolności i kręcił się po okolicy.

April zadrżała.

— Ach, nie! Ale, widzi pan, nikt nie wie, że ja tam byłam i że podsłuchałam tę rozmowę. Nie powinnam była tam chodzić. Będę miała masę przykrości, jak się to wyda. Bo właśnie Henderson... Henderson to jest żółt w mojego braciszka... Więc Henderson uciekł i szukałam go. Wcale nie chciałam podsłuchiwać, słowo honoru! Mimo woli słyszałam wszystko. Bo ona strasznie się złąkla, a on mówił okropnie głośno.

— Aha — powiedział sierżant O'Hare, z trudem opanowując głos, żeby nie zdradzić podniecenia. — Kto się złąkł?

— No, pani Sanford. On jej groził...

April urwała. Po chwili powiedziała:

— Ale ja skończę ten syrop i już muszę iść. Powinnam przygotować jarzyny do obia-

du.

— Masz jeszcze masę czasu — uspokoił ją sierżant O'Hare. — Wypij, drugą porcją. Stawiam!

— Ach, dziękuję! — zawołała serdecznie April.

Wiedziała, że nie może bezkarnie pozwolić sobie na więcej niż jeden syrop. Sytuacja wszakże była wyjątkowa. Wychyliła szklankę do dna w dwóch łykach. Zaraz zjawiała się przed nią nowa porcja. Podwójna, z kremem. April upiła troszkę i spojrzała ze szczerą niechęcią na niemal pełną jeszcze szklankę.

— Nie zapamiętałabym tak dobrze — ciągnęła swoją historie dalej — gdyby nie groził, że ją zabije. Nie przypuszczałam, oczywiście, że mówi poważnie. Ach, nie! Nie powinnam tego panu opowiadać! Mamusia zabroniła nam wtrącać się do tej nieszczęśliwej sprawy.

— Słuchaj — rzekł sierżant O'Hare. — Poradzę ci dobrze. Jestem twoim przyjacielem. Możesz mi zaufać, to znaczy, poufnie zwierzyć, co wiesz. Rozumiesz? Nikomu nie powiem, że to od ciebie się tego dowiedziałem. — Zaniepokoił się po ojcowsku: — Co to? Czy ci nie smakuje?

— Nie, nie. Pyszne! — zapewniła go April.

Zdołała przełknąć jeszcze odrobinę, krzepiąc się myślą, że cierpi dla ważnej sprawy.

— Mów, mów — zachęcał sierżant dobrotliwie. — U mnie sekret jak w studni.

— Więc to było tak — podjęła April. — Henderson... ten żółw... przegryzł sznurek i uciekł. Szukaliśmy go wszędzie. W ogrodzie państwa Sanford jest altanka obrosnięta winem, myślałam, że Henderson pewnie się tam schował. Podeszłam blisko i wtedy usłyszałam jakieś głosy w altanie. Staralam się zachowywać cichutko, bo pani Sanford gniewa się, kiedy wchodzimy na jej teren. Nie podsłuchiwałam, słowo honoru! — April podniosła wielkie, mokre od łez oczy na sierżanta. — Pan mi wierzy, prawda?

— Wierzę, wierzę — skwapliwie odparł sierżant O'Hare. — Taka grzeczna panienka nie podsłuchiwałaby umyślnie, to pewne.

— Dziękuję panu! — rzekła April. Wbiła wzrok w podłogę i szepnęła: — Może jednak nie powinnam o tym mówić nikomu... Bo on się odgrażał. A nie chciałabym nikomu przyczynić kłopotów... — Uśmiechnęła się uroczo do sierżanta. — To może już reszty nie opowiem, zgoda?

— Słuchaj — poważnie rzekł sierżant. — Jeśli tamten człowiek jest niewinny, musisz mu dać szansę usprawiedliwienia się przed policją. A jakże będzie mógł się usprawiedliwić, jeżeli policja nie zna wszystkich faktów dokładnie?

— No, tak... — przyznała April. — Skoro pan tak uważa...

Sierżant O'Hare tryumfował w duchu, lecz odezwał się słodkim tonem:

— Jak się ten człowiek nazywa, pewnie nie wiesz?

— Wiem, oczywiście — odparła April.

Na gwałt szukała w pamięci jakiegoś stosownego nazwiska. W pierwszej chwili nie przychodziło jej nic do głowy prócz nazwiska pewnej postaci z opowiadań pisanych przez matkę dla własnych dzieci, kiedy jeszcze były małe: Persyflaż Ashubatabul. Ale takie nazwisko w tym wypadku nie zdałoby się na nic. Zaczęła mówić szybko:

— To było tak. Rozmawiali o jakichś listach, on powiedział, że nie ma dziesięciu tysięcy dolarów. A ona, to znaczy pani Sanford, roześmiała się i powiedziała, że radzi mu znaleźć te pieniądze. A na to on... — April ściągnęła brwi, jak by skupiając pamięć. — Aha, wiem... Powiedział, że gdyby miał płacić dziesięć tysięcy dolarów za kilka listów, które napisał w chwili słabości, wołałby ją zabić.

April zrobiła artystyczną pauzę, spojrzała na sierżanta i szepnęła:

— Strasznie się złękłam. Jeszcze teraz trzęsę się, kiedy to wspominam. Boję się, że będzie mnie to straszło w snach.

— No, no, no! panienczko — uspokajał sierżant O'Hare. — Nie trzeba się bać, nie trzeba.

Łzy popłynęły ciurkiem po twarzy April. Wyglądała najwyżej na osiem lat, na niewinne, bezbronne dziecko.

— Panie kapitanie — szepnęła drżącym głosem. — On powiedział, że ją zabije. Nie żartował, mówił poważnie. Ale ona śmiała się i powtarzała, że radzi mu wpłacić dziesięć tysięcy gotówką i najpóźniej do czwartej po południu. Wtedy on się także zaśmiał i odpowiedział, że o czwartej przyjdzie z rewolwerem, a nie z pieniędzmi. — April odsunęła szklankę i cichym, rozdygotanym głosem dodała: — Strasznie się złękłam.

— No, no, no — serdecznie i kojąco mrucał sierżant O'Hare. — Opowiedz mi wszystko dokładnie, a potem jak zrzucisz cały ciężar z serca, będziesz mogła o tej całej historii zapomnieć. — Zniżył głos. — Wiesz, panienczko, psychologia poucza, że jak się taką tajemnicę komuś zwierzy, przestaje ona dręczyć.

— Ach! — westchnęła April. — Jak pan wszystko doskonale rozumie! — Zwróciła na niego ogromne załzawione oczy. — Pan z pewnością ma dzieci!

— Wychowałem dziewięcioro — rzekł sierżant, siląc się lekkim tonem pokryć słuszną dumę. — I wszystkie wyszły na ludzi. Wypij ten syrop do końca, to bardzo pożywne. I powiedz mi coś jeszcze. Czy przyjrzałaś się temu mężczyźnie w altance? Mogłabyś go opisać?

April przecząco potrząsnęła głową i przysunęła szklankę z powrotem przed siebie.

— Nie widziałam go wcale. Słyszałam tylko głos. Nie wiedziałabym nazwiska, gdyby nie to, że pani Sanford je wymówiła.

— Ach, tak! — rzekł sierżant. — Więc znasz jego nazwisko?

April skinęła głową.

— Powiedziała... Powtarzam słowo w słowo, panie kapitanie... — April zrobiła pauzę.

Musiała na gwałt wymyślić jakieś nazwisko. Persyflaż Ashubatabul nie nadawał się zdecydowanie. Szukała w pamięci nazwisk. Aha, nowy maszynopis matki! April zdążyła przeczytać dwadzieścia ostatnich stron. Było tam jakieś imię i kilka wierszy dialogu z nim związanego. April rozpromieniła się i patrząc z uśmiechem na niecierpliwącego się już sierżanta oświadczyła:

— Powiedziała: „Rupercie, nie miałbyś odwagi dotknąć rewolweru, cóż dopiero wy-celować i strzelić”.

— Rupert? — powtórzył imię sierżant. Zanotował. — A co on na to powiedział?

— On powiedział... — April ufała swej pamięci, że odtwarza wiernie tekst maszynopisu matki. — Powiedział: „Myślisz, że jestem lękliwy jak mysz, ale dowiodę ci, że umiem być odważny jak mężczyzna”. A potem... — Nazwisko do tego imienia trzeba było dokomponować... — a potem ona powiedziała: „Cicho, ktoś nadchodzi!” Chwilkę oboje milczeli i znowu ona zawołała: „Ach, Wallie! Pozwól sobie przedstawić: pan van Deusen”.

— Van Deusen — mruknął sierżant O’Hare. Zapisał nazwisko obok imienia w notesie. Rupert van Deusen. Uśmiechnął się tkliwie do April. — Mów dalej, panieneczko.

— To już wszystko — niewinnie odparła April. — Ten człowiek, ten pan van Deusen, powiedział: „Miło mi pana poznać”, a pan Sanford powiedział „Może pan zajdzie do domu, napijemy się czegoś”. No i odeszli, i więcej nic już nie słyszałam. — Uśmiechnęła się do sierżanta. — A potem Archie znalazł Hendersona. W koszu od bielizny, w pralni.

— Hendersona? — marszcząc brew spytał sierżant.

— No, tego żółwia — przypomniała mu April. — Archie hoduje żółwia. Mówiłam panu przecież. Przegryzł sznurek i uciekł. Szukaliśmy go i właśnie podczas tych poszukiwań usłyszałam przypadkiem tę rozmowę.

— Aha, prawda! — rzekł sierżant. Zamknął notes i wsunął go do kieszeni. — Pamiętam, Henderson. Cieszę się, że go Archie odnalazł. No, co, może chcesz jeszcze syropu.

April, maskując dreszcz wstrętu, odpowiedziała grzecznie:

— Dziękuję, panie kapitanie. — Wstała. — Muszę już iść do domu i oskrobać te jarzyny. — Cień przemknął przez jej twarzyczkę. — Ale niech mi pan przyrzeknie, że nikomu nie powie! Bo jak by się mamusia dowiedziała...

Powiedziała to z tak namiętnym zapałem że nawet drzemiący opodał mężczyzna w szarym ubraniu ocknął się i spojrzął na nią.

— Miałabym okropne kłopoty, gdyby mamusia się dowiedziała — ciągnęła April.

Była blada i wyraźnie bardzo strapiona.

— Obiecuję — rzekł sierżant.

— Ach, dziękuję, panie kapitanie!

Po czym April wyszła z godnością. Sierżant wyjął notes i sprawdził jeszcze raz swoje zapiski. Dobra, grzeczna, inteligentna dziewczynka. Wychował własnych dziewięcio-

ro i znał się na dzieciach. Nazywała go „panem kapitanem”. Ha, kto wie, może w przyszłości...

Gdyby na przykład udało mu się odnaleźć tego Ruperta van Deusena, zanim porucznik Bill Smith palnie jakieś głupstwo... Sierżant zatrzasnął notes, wetknął go w kieszeń i wyszedł.

W piętnaście sekund po wyjściu sierżanta mężczyzna w szarym ubraniu skoczył całkowicie wytrzeźwiony z fotela i zawołał:

— Daj mi trochę drobnych, Luke!

Gorączkowo wsunął monetę w otwór automatu telefonicznego. Wreszcie dostał połączenie.

— Tu Frank Freeman — mówił podniecony. — Połączcie z działem miejscowym. — I po chwili: — Halo, to ty, Joe? Słuchaj...

W pięć minut później dyktował jeszcze swoje sprawozdanie przez telefon, a garść monet była na wyczerpaniu.

— Mówiłem: „wiarygodny świadek”. Zrozumiałeś? Dobrze. Van Deusen. Rupert van Deusen. Dlaczego, u licha, nie słuchasz uważnie? R jak róża, U jak ukulele. P jak pantofel... Masz? Rupert van... Zapisuj: D jak dureń, E jak etymolog, U jak... Przestań kłąć, bo nie powiem nic więcej. Rupert van Deusen. Dobrze. Pisz dalej: „Wiarygodny świadek, którego nazwiska nie możemy ujawnić, stwierdził...”

ROZDZIAŁ 6

Gdzieżeś ty się podziewała tyle czasu? — rzekła Dina. Lecz podnosząc wzrok nad kartofli, które obierała, na wchodzącą siostrę, przeraziła się jej wyglądem. — April! Co ci jest?

Twarz April miała wyraźnie zielonkawy odcień.

— Wytłumaczę później — jęknęła i wybiegła co tchu z kuchni.

W pięć minut potem wróciła, blada jeszcze, ale już nie zielona.

— Jedną szklankę syropu mogę znieść, więcej ani kropli — wyjaśniła. — Kremu nie-nawidzę, a od czekolady dostaję zawsze mdłości. Trzy porcje to ponad siły.

Kartofel wypadł z rąk Diny. Przyjrzała się siostrze krytycznie.

— Po co, na Boga, zamawiałaś aż trzy porcje?

— Bo to najdroższe rzeczy, jakie ma Luke na składzie — odparła urażona April. — Nie chciałabyś chyba, żebym temu cymbałowi O'Hare pozwoliła wykpić się pięciu centami?

Dina prychnęła. Uwielbiała krem i czekoladę.

— Dobrze już, dobrze, męczennico! — powiedziała oziębłym tonem. — Oskrob marchewkę. A na drugi raz ..

— Nie będzie drugiego razu, przynajmniej nie z tym O'Hare — oświadczyła April. Z westchnieniem wzięła do ręki szroteczkę i zaczęła szorować marchew. — Ja...

Urwała. Przyszło jej na myśl, że lepiej nie powierzać Dinie i Archiemu tajemnicy nie-szczęsnego i całkowicie wymyślanego młodzieńca nazwiskiem Rupert van Deusen. Może się zdarzyć, że sierżant zada im jakieś pytanie na ten temat, a wówczas nie wytrzymają, żeby mu się w nos nie roześmiać. Spośród całej trójki jedna tylko April ukończyła chlubnie kurs dramatyczny dla młodocianych adeptów pod kierunkiem panny Grubee.

— Co: ja? — spytał Archie odrywając się od płukania sałaty.

— Ja jestem ja — stwierdziła spokojnie April. — Ty jesteś ty, my jesteśmy my, oni są oni, co nasze to nasze, a dwadzieścia cztery godziny to doba, a trzysta sześćdziesiąt pięć

dni to rok. Podaj mi tamtą szczotkę, bracie-wariacie.

— Och! — oburzył się Archie. — Och, jęzda! — I marszcząc czoło z wysiłku umysłowego, odpalił: — Służę ci szczotką, idiotko.

— Jesteś za mały, żeby mi mówić po imieniu! — odparła April.

— Spokój, dzieci! — napomniała Dina. — Mamusia pracuje. — Wsunęła kartofle do piecyka. — Słuchajcie uważnie. Minęły dwadzieścia cztery godziny, nawet trochę więcej, a nie posunęliśmy się ani o krok dalej...

— Ani o krok bliżej, chciałaś powiedzieć — poprawiła April, puszczając strumień wody na marchew.

— Bliżej do czego? — spytał Archie.

Dina zatrzaskała drzwiczki pieca.

— Zastanów się, Archie — powiedziała. — Wczoraj zamordowano panią Sanford. Postanowiliśmy wykryć mordercę, czyś już zapomniał? Przestańcie więc zabawiać się tak dziecinnie i...

Przeraźliwy okrzyk doleciał z sąsiedniej willi. April i Dina spojrzały po sobie blednąc. Archie skoczył ku drzwiom. April odciągnęła go z powrotem na środek kuchni.

— Drugie morderstwo! — szepnęła bez tchu. — Może tym razem złapiemy sprawcę na gorącym uczynku!

— Stój! — krzyknęła Dina. — Mamusia...

W pokoju na pierwszym piętrze maszyna terkotała głośno.

— Powiemy jej później — zdecydowała April.

— Lećmy — pisnął Archie.

Puścili się pędem przez zarośla warzywnego ogródka. Nagle April chwyciła siostrę za ramię.

Nie, to nie było drugie morderstwo. Znad żywopłotu ujrzeli sąsiadkę z tej samej ulicy, panią Carleton Cherington III, w fioletowej sukni szyfonowej i dużym również fioletowym kapeluszu, szamocącą się w ramionach młodego policjanta i oblaną szkarłatnym rumieńcem od podwójnego podbródka aż po wyskubane brwi. Wyrwała się wreszcie i poprawiając na głowie kapelusz, usiłowała jednocześnie odzyskać godną postawę.

— Nie miałam pojęcia, że weszłam na cudzy teren — wysapała. — Wracając z przyjęcia u sąsiadów, chciałam sobie skrócić drogę...

— Pani usiłowała dostać się do tej willi — stwierdził policjant.

Zaśmiała się sztucznie.

— Śmieszny pomysł!

— Rzeczywiście bardzo śmieszny — odparł policjant. — Zwłaszcza śmiesznie to wyglądało, kiedy pani gramoliła się do środka przez kuchenne okno.

Pani Carleton Cherington III uporała się w końcu z kapeluszem i odzyskała dech.

— Młodzieńcze — rzekła — przyznam się, że istotnie próbowałam wejść przez to

okno.

Policjant przyjął wyznanie bez większego wrażenia.

— Przecież sam panią z tego okna ściągnąłem — powiedział...

— Każdy ma swoje słabostki — odparła tonem poufnego zwierzenia. — Nie będę przed panem ukrywała mojej... Zbieram drobiazgi pamiątkowe, frędzle od dywanu, jakieś gwoźdźki czy skuwki od mebli... Zapewniam pana jednak...

— Kradzież z włamaniem — stwierdził policjant.

— Ach, nigdy nie biorę nic cennego! — wyjaśniła dama. — Chodzi mi jedynie o pamiątkę. — Wyprostowała się w całej okazałości. — Młodzieńcze, jestem małżonką generała. Moje nazwisko brzmi: Carleton Cherington III!

Zamieszanie, jakie w tym momencie wybuchło przed willą, zmusiło młodego policjanta do odłożenia na później odpowiedzi, którą już miał na ustach i która z pewnością nie była uprzejma. Skoczył z pomocą kolegom. Pani Carleton Cherington III przez chwilę spoglądała za nim, potem zaś pomknęła jak zając ku bramie wjazdowej.

— I to ta kolubryna! — zdziwiła się April.

— Lubię ją — powiedziała Dina. — Pamiętasz, jak nam piekła owsiane ciasteczka? Ma trochę fioła, ale jest pocziwa. Zdaje się, że ją coś trapi.

— Tsss... — syknął Archie wskazując palcem grupkę przed domem.

Troje Carstairsów kryjąc się w zaroślach, podpełzło bliżej ośrodka akcji. Posuwali się szybko i jak umieli najciszej. Przed frontowymi drzwiami willi Sanfordów rozgrywała się gwałtowna sprzeczka. Ze strony policji brali w niej udział: porucznik Bill Smith, młody policjant i agent w cywilu. Ich przeciwnikiem był łagodny starszy pan, koło sześćdziesiątki, z wystraszoną miną, woskową cerą, siwymi włosami, ubrany w przyzwoity granatowy garnitur. W ręku trzymał teczkę.

— Żądam stanowczo — mówił. — Muszę tego żądać! Nazywam się Holbrook, Henryk Holbrook.

— Dlaczego usiłował pan dostać się do wnętrza tego domu? — pytał Bili Smith.

— Właśnie mówię — denerwował się starszy pan. — Nazywam się Holbrook. Jestem... a raczej należałoby powiedzieć: byłem doradcą prawnym pani Sanford. Jako jej adwokat czułem się w obowiązku...

— Otwierać jej drzwi wytrychem, co? — przerwał mu Bill Smith. — To nie jest wyjaśnienie, proszę pana!

— Ależ ja... — starszy pan urwał.

— Jako prawnik powinien pan wiedzieć, że do tego domu nie wolno wchodzić bez upoważnienia policji.

Henryk Holbrook pobałdł jeszcze bardziej.

— Obowiązek wobec klientki — wyjąkał — wobec nieboszczki...

— Zapewniam pana — łagodniej nieco powiedział Bill Smith — że mienie pańskiej

zmarłej klientki jest całkowicie bezpieczne. Policjanci, których pan widzi wokół domu, nie stoją tu jedynie dla urozmaicenia krajobrazu.

— Zwyczaj nakazuje — jękał pan Holbrook — w przypadku nagłej śmierci klienta...

— W takim razie, zgoda — uprzejmie rzekł Bill Smith. — Może pan sprawdzić stan rzeczy wewnątrz domu, ale w towarzystwie policjanta. Proszę bardzo.

— A, nie... — płątał się pan Holbrook — to raczej nie, nie sądzę, aby to było niezbędne. Polegam w zupełności na pańskim zapewnieniu, że wszystko jest w porządku. Przykro mi, że niepokoiłem pana...

To rzekłszy Henryk Holbrook pospiesznie wycofał się ku drodze, gdzie stał jego samochód.

— Jakiś niewyraźny ten facet — szepnęła April.

Dina, chwytając ją za rękę, syknęła:

— Patrz! Pierre! Pierre Desgranges! Ten malarz!

Po drugiej stronie alei wjazdowej sunął ukradkiem za żywoplotem krępy siwobrody człowieczek. Co chwila przystawał i rozglądał się dokoła. Miał na sobie welwetowe spodnie, koszulę w kratę i beret. W zębach trzymał nie zapaloną fajkę. W pewnej chwili dał zniecierpliwionemu krzaki. Dzieci, wstrzymując oddech, czekały parę minut, lecz człowieczek nie pokazał się więcej.

Archie szepnął (zakwiczał — jak określała jego żalosne kwilenie April):

— Do dooomu!

Dina mocno przytrzymała go za rękę, April zaś mruknęła:

— Nie bój się!

Lecz w scenie, która roztaczała się przed ich oczyma, było coś budzącego lęk. Różowa willa, w której murach zaledwie wczoraj zamordowano kobietę... Rój policji dokoła... Tych troje ludzi — z pewnością nie znających się nawzajem — którzy wszyscy próbowali wdrzeć się do wnętrza domu... Olbrzymie drzewo morwowe zawiesiło swój cień nad willą, niby rękę olbrzyma.

— Wiesz, April — powiedziała Dina — właściwie trzeba już wracać, bo nie zdążymy oczyścić jarzyn.

— Trzeba koniecznie — skwapliwie zgodziła się April. — Marchew gotuje się tak długo!

Pomknęły cicho jak myszy alejką ku własnemu ogrodowi.

Nikt nie odezwał się ani słowem, póki marchew nie znalazła się w rondelku na piecu, a sałata, opłukana i przyrządzona, w lodówce. Archie, nie bez protestu, zabrał się do nakrywania stołu.

— Wiesz, April — powiedziała wówczas w zamyśleniu Dina — zastanawiam się nad sekretem pani Sanford. Dlaczego te wszystkie osoby chcą dostać się do jej domu? Czegoś tam z pewnością szukają. Bo pani Cherington nie jest wcale kolekcjonerką pamią-

tek, a pan Holbrook nie próbowałby wyłamać zamku, gdyby miał rzeczywiście prawo do wkroczenia tam z wiedzą policji.

— Tak mówisz? — odparła April nie zdradzając własnego zdania. Podzielała bowiem wątpliwości siostry.

— A pan Desgranges... Czego on tam szukał?

— Może chciał malować obraz — zauważyła April.

— Pan Desgranges nie maluje domów ani drzew — odrzekła niecierpliwie Dina. — Tak mówiła mamusia. Maluje wyłącznie wodę.

Archie, który w tym momencie wpadł do kuchni po masło, zdumiał się bardzo:

— Maluje wodę? Kto maluje wodę?

— Pan Desgranges — powiedziała April. — Mamusia poznała go i sam jej mówił, że jest malarzem, a kiedy spytała przez grzeczność, co maluje, powiedział, że wodę,

— A to bzik! — orzekł Archie i zabierając masło wybiegł do jadalni

— Staralam się wytłumaczyć ci — ciągnęła przerwaną rozmowę Dina — że musi istnieć jakiś szczególny powód, dla którego ci wszyscy ludzie chcą dostać się do willi.

— Umilkła na chwilę zaszępiła. — Coś schowano w tym domu i teraz te osoby próbują wejść po to, żeby tę rzecz znaleźć. Wiesz, April, ja myślę...

Przerwał jej Archie wpadając z wrzaskiem do kuchni.

— Właśnie że nie! — krzyczał. — Właśnie że nie! Nie maluje się wody, tylko wodą!

Siostry spojrzały na siebie ponad głową chłopca z rezygnacją.

— Archie — rzekła April — pan Desgranges nie maluje wodą, ale olejem. Olejem, powiadam!

Krągła twarz Archiego przybrała złowróżbny odcień czerwieni.

— Dlatego że jestem od was mniejszy...

— Słuchaj, Archie — pospiesznie i surowo uciszyła go Dina. — Nie wrzeszcz. Pan Desgranges maluje obrazy. Farbami olejnymi. Zrozumiałeś?

— No chyba! — z irytacją odparł Archie.

— No i na tych obrazach maluje wodę. Idzie nad brzeg oceanu, siada i maluje obraz. Ale nie maluje brzegu ani łodzi, ani ludzi.

— A niebo? — spytał Archie z niedowierzaniem.

— Nie maluje nic prócz wody — stanowczo oświadczyła Dina.

Archie prychnął gniewnie.

— To po co chodzi taki kawał drogi aż nad ocean? — spytał. — Mógłby siedzieć w domu i patrzeć w balię.

Zgarnął kilka widelców i noży i wybiegł do jadalni. Dina westchnęła ciężko.

— Więc, jak mówiłam... — urwała znowu.

— Mówże! — popędzała ją April.

— Mnie się zdaje, że pani Sanford była szantażystką,

April milczała przez całą minutę, nie ufając swemu głosowi. Wreszcie, zdobywszy się na obojętny ton, oznajmiła:

— To by mnie wcale nie zdziwiło.

— Jak to? — spytała trochę zaskoczona Dina. — Więc ty także podejrzewałaś ją o to?

April postanowiła wyznać wszystko. Nigdy nie umiała zachować sekretów wobec Diny, nawet wtedy, gdy chodziło o niespodziankę na urodziny albo na gwiazdkę.

— Słuchaj — zaczęła, jakkolwiek czuła, że Dina nie pochwali jej zuchwalstwa. — Dzisiaj po południu...

— Wiesz co? — przerwała jej Dina. — Trzeba urządzić przyjęcie!

April patrzyła na nią w osłupieniu.

— W takiej chwili przyjęcie? — wykrztusiła. — Teraz ci się zachciewa zabawy?

Dina w rozmarzeniu skinęła głową.

— Jutro wieczorem. W piątek. Ty wydostaniesz od mamusi pozwolenie. Około dziesięciorga. Ty zaprosisz pięcioro i ja drugie tyle.

— Ależ, Dino, przyjęcie...

Do kuchni wtargnął Archie.

— Ja też, ja też, ja też! Mnie musicie także wziąć do zabawy.

— Dobrze, dobrze — odparła Dina. — Zaprosisz swoją Bandę.

Archie zaczął skakać wrzeszcząc: — Hura!

April zadrżała. Banda składała się z dwunastu małych chłopców, w wieku od dziecięciu do dwunastu lat, osobników bez wyjątku krzykliwych, nie domytych i jak najgorszej sławy.

— Dina, czyś ty oszalała?

— Pobawimy się w poszukiwanie skarbu — powiedziała Dina. — Świetna myśl. Akcja obejmie oczywiście także sąsiedni ogród. Przy tej okazji uda się nam może nie tylko przeszukać teren, ale również dostać się do willi.

— Rozumiem! — ucieszyła się April. — A Banda...

— Banda, o ile ją znam — odparła Dina — dostarczy policji tyle roboty, że nikt nie będzie zważał na nas. Zaraz po obiedzie ułożymy listę gości. Ale ty chciałaś mi coś powiedzieć, kiedy ci przerwałam?

— Ach, tak... Więc słuchaj, Dino... — April językiem zwilżyła wargi. — Dzisiaj po południu...

— No, córeczki, jak tam? — zabrzmiał od progu miły głos Marian Carstairs. — Obiad, widzę, już prawie gotów. Nie zdawałam sobie sprawy, że to już tak późno.

Marian była wciąż jeszcze w roboczych spodniach, włosy miała potargane, a na czole smugę od kalki.

Dina widelcem spróbowała kartofle.

— Wszystko właściwie gotowe — powiedziała. — A co słyhać z indyczką?

— Indyczka! — Marian zbladła, potem poczerwieniała. — Indyczka leży spokojnie w lodówce! Miałam ją wstawić do pieca o drugiej, ale oczywiście myślałam o czym innym. Teraz już chyba za późno.

Wszyscy spojrzeli na zegar. Dochodziła szósta.

— Nic nie szkodzi — pogodnie oświadczyła Dina. — W spiżarni są trzy puszki sardynek. Uwielbiamy sardynki. — I dodała masła do kartofli.

— W takim razie indyczka zostanie na jutro — westchnęła Marian. Była zgnębiona, wzrok jej błagał o przebaczenie. — Wszystko przez to, że mam za wiele na głowie. Bo przecież bardzo lubię gotować.

— Mamusia gotuje najlepiej na świecie — odezwał się Archie.

— Mamusiu — uroczyście przemówiła April — powinnaś wyjść za mąż. Wtedy mogłabyś gotować, ile dusza zapagnie.

— Za mąż! — Marian zarumieniła się i było jej z tym bardzo do twarzy. — A któż by się zechciał ze mną ożenić!

U drzwi wejściowych zabrzączał dzwonek. Marian skoczyła ku schodom. Z półpiętra zawołała:

— Otwórz, Dino. Ja zaraz zejść!

Zeszła rzeczywiście po pięciu minutach. W niebieskiej sukience, umalowana. Włosy zdążyła pięknie ułożyć, a nawet w ostatniej chwili wetknęła w nie różę.

April aż gwizdnęła na ten widok.

— Ha! Ależ mamusia to w mig załatwiła!

— Kto to dzwonił? — spytała Marian patrząc w stronę saloniku.

— Chłopak z gazetami — wyjaśniła Dina. — Zapłaciłam mu. Jesteś mi winna dwadzieścia dwa centy. — i rozpostarła gazetę na stole.

— Oooo... — powiedziała Marian i zaraz dodała niedbałym tonem: — A w gazecie może jest coś nowego o tym morderstwie?

— Niesłychane! — zawołała Dina. — Patrz, April!

— Pokaż, pokaż — krzyczał Archie wtykając głowę pod ramię Diny.

Wszyscy czworo skupili się nad gazetą.

Czarno na białym wydrukowane na pierwszej stronie zdania zawirowały przed zdumionymi oczyma April. „Od własnego korespondenta...” „Rupert van Deusen...” „Wiarygodny świadek, którego nazwiska nie możemy ujawnić...” Przez chwilę April zdawało się, że zemdleje. Ale to było prawdopodobnie tylko wspomnienie trzech porcji syropu.

— Pani Sanford! — zdumiała się Marian. — Nie sposób w to uwierzyć! — Po jakimś czasie dodała: — Dziwna rzecz... Rupert van Deusen. Nazwisko brzmi jakoś bardzo swojsko. Skąd ja je znam?

— Założę się, że policja znajdzie go bez trudu — dufnie zauważył Archie. — Z takim

nazwiskiem!

— April — z wolna powiedziała Dina. — Miałymy rację. Ona była naprawdę szantażystką.

Lecz April, gdy wreszcie odzyskała zdolność mowy, wykrztusiła tylko:

— Przepraszam, ale zdaje się, że marchewka już się przypaliła.

ROZDZIAŁ 7

— Goście przyniosą coś do jedzenia — powiedziała Dina — a my kupimy coca-colę.
— To rzekłszy zabrała się do wertowania książki telefonicznej.

— Kupimy? — spytała April. — Ciekawam za co. Nie wiem, jak stoją twoje interesy, ale ja mam dwadzieścia centów, a winna jestem Kitty piętnaście.

Dina spochmurniała.

— Wzięłam już od mamusi zaliczkę na pensję za przyszły tydzień.

— Właściwie to mamusia powinna kupić coca-colę — rzekła April. — Robimy przecież to wszystko dla niej.

— Dla siebie także — odparła Dina. — Działamy dla dobra całej rodziny. — Zamyśliła się na chwilę. — Może Luke zgodzi się dać colę na kredyt? Ile butelek będzie nam potrzebna?

— Bardzo wątpię — powiedziała April. — Ile nam potrzebna? Czekaj... Dwanaścioro dzieci nie licząc nas... Powiedzmy, trzydzieści butelek. Czyli półtora dolara bez zastawu za butelki. A pamiętaj, że przyjdzie też Banda.

— Rozpacz! — jęknęła Dina. — Co zrobić? Za nic nie chciałabym prosić mamy o pieniądze. I tak była taka dobra, że od razu zgodziła się na zabawę. Półtora dolara! I Banda na dodatek! Przyjdzie ich co najmniej dziesięciu i wypiją po dwie butelki na pewno. Warto by mieć też coś w rezerwie. No, niechby było razem dwadzieścia. To znowu dolar i dwadzieścia pięć centów. W sumie dwa dolary siedemdziesiąt pięć. Tyle nam Luke nie da na kredyt. Zresztą już mu jestem winna dwadzieścia pięć centów.

April westchnęła i dumiała długą minutę.

— Nie ma rady, trzeba pożyczyć od Archiego. Ma forszę. On zawsze ma forszę. — Do-dała po chwili: — Archie to kutwa.

W tym momencie Archie, w pogoni za kotem Jenkinsem, który ukradł ostatnią sardynkę, wpadł do hallu. Na dźwięk swego imienia zahamował w miejscu poświęcając sardynkę.

— Ejże? — spytał. — Co to znaczy „kutwa?”

— Kutwa to jest taki bogacz. Nie przeszkadzaj nam teraz, Archie! — powiedziała Dina.

April uszczypnęła siostrę i skwapliwie wyjaśniła:

— Kutwa to jest taki bogaty człowiek, który zarazem jest odważny, przystojny, szybki w nogach i wszystkich innych zwycięża. Po prostu — nadczyłowiek.

— Ha! — ucieszył się Archie. — I ja jestem kutwa?

— Jeszcze jaki! — odparła April.

— Siadaj, Archie, chcemy z tobą porozmawiać — rzekła Dina.

— Ja będę z nim rozmawiała — oświadczyła April, po raz wtóry szczypiąc Dinę. — Słuchaj, braciszku, naradzamy się właśnie, czy zaprosić na zabawę twoją Bandę, czy raczej nie.

— Zaprosicie! Ja was błagam! — jęknął Archie.

— Bo to, widzisz, jest tak... — zaczęła April.

W pięć minut później, po wyczerpujących rokowaniach, strony doszły do porozumienia. Ustalono warunki krótkoterminowej pożyczki na sumę dwóch dolarów i siedemdziesięciu pięciu centów. Archie zastrzegł sobie wyłączne prawo do pieniędzy odzyskanych po zwrocie butelek, przy czym miał do niego należeć nie tylko zastaw za butelki kupione na zabawę, lecz za wszystkie zużyte w ciągu tygodnia przez rodzinę. Otrzymał też pozwolenie zaproszenia Bandy.

Dina przeliczyła gotówkę: pięć monet po dwadzieścia pięć, jedenaście po dziesięć, sześć po pięć i dziesięć pojedynczych centów. Zsypała wszystko do swojej portmonetki.

— Zgadza się. Teraz zastanówmy się, kogo zaprosimy.

— Moja lista jest taka — oświadczyła April: — Joe i Wendy, Lew i Jim, i Bunny.

— Bunny? — skrzywiła się Dina. — Ta smutna pomyłka natury! Ja zapraszam Eddiego. Niech przyprowdzi Mag. Poza tym Willy...

— Willy to fajtłapa — powiedziała April.

— On fajtłapa? Żartujesz chyba? — oburzyła się Dina. — Willy'ego trzeba pilnować, żeby się zanadto nie rozbrykał. A zresztą oni się kochają z Joellą, a Joellę musze zaprosić.

— Dlaczego? — spytała April. — Joellą jest strasznie głupia.

— Słuchaj, April — perswadowała Dina. — Goście na pewno zechcą też potaćczyć, a tylko od Joelli można pożyczyć płyty. — Dina przeliczyła na palcach parami: — Eddie i Mag, Willy i Joella.

— Nie zapomnij o sobie — powiedziała April.

— Pamiętam, nie bój się — odparła Dina. — Eddie i Mag, Willy i Joella, i... Pete i Dina. — Przyjrzała się krytycznie siostrze. — Zauważyłam, że ty zawsze zapraszasz chłopców, którzy cię lubią, i dziewczynki, których nikt nie lubi.

— Nie jestem naiwna — zimno oświadczyła April. — Nie bawię się w myszkę z żadnym kotkiem. Nie staję z nikim do wyścigu.

— A ja uznaję tylko wolną konkurencję — odcięła się Dina, sięgając po słuchawkę.

— Tylko nie zaczynaj od telefonu do Pete'a, bo usniemy, zanim pozapraszasz resztę — powiedziała April.

Telefony zajęły dwie godziny z okładem. Ten i ów oddzwaniał nawzajem, a między jedną rozmową a drugą toczyły się zażarte dyskusje. „Więc zadzwoń, Mag, do Eddie'go, a potem mi odpowiedz...” „Jeżeli Joemu matka nie pozwoli przyjść, to może zaprosimy zamiast niego Russela?” „Słuchaj, Wendy, będziemy poszukiwali skarbu, więc ubierz się odpowiednio”. Archie zablokował linię na pół godziny, zwołując Bandę. Nim Joe zatelefonował, że przyjdzie, zaproszono już Russela. Wobec tego należało dodatkowo zaprosić jakąś dziewczynkę do pary. Nim uzgodniono kandydaturę, Lew zadzwonił, że nie będzie mógł przyjść, więc problem został rozwiązany automatycznie. „Bunny, prawie wszyscy chcą przynieść parówki, więc może ty postaraj się o jakieś ciasteczka”. „Joello, czy nie mogłabyś przynieść kilku płyt? Willy pomoże ci dźwigać”.

Wreszcie wszystko załatwiono. Odbyła się też rozmowa z Petem, zaczęta od słów; „Halo, Pete, tu Dina. Słuchaj, Pete, mieliśmy jutro wieczorem grać w krokieta, otóż...” — i trwająca dwadzieścia minut — według zegarka April.

Dina ziewnęła.

— Zjadłabym chętnie kawałek tortu — powiedziała.

— Ja też — odparła April. — Ale gdzie jest Archie?

Archie leżał na brzuchu pośrodku saloniku zatopiony w najnowszym numerze komiksów. Potrząsnął głową mówiąc:

— Dziękuję, już zjadłem kawałek tortu.

W kuchni było ciepło i pachniało przyjemnie. Dina wyciągnęła ze spiżarni tort, upieczony poprzedniego wieczora przez matkę: trzy warstwy i na wierzchu gruby pokład cukru z syropu klonowego. April sprawdziła czy kot Jenkins i żółw Henderson nie są głodni i czy śpią jak należy na swych kwaterach. Dina zabrała się do odkrawania pokazanych porcji tortu, lecz nagle podniosła głowę węsząc.

— Coś się piecze! — rzekła. — April, może to ty zapomniałaś zamknąć piekarnik?

— Ja? Nie! — odparła April, odruchowo przybierając obronną postawę.

— Ktoś to w każdym razie zrobił — stwierdziła Dina. — Ja nie.

Na tym spór skończył się, ponieważ weszła matka.

— Zdaje się, że pora ją przewrócić i podlać masłem — rzekła wesoło. Miała na sobie stare spodnie z czerwonego welwetu, z plamami od kwasu od czasu doświadczeń dokonywanych wspólnie z Archie'm przy zabawie w „Małego chemika”. Twarz miała wyraz znużenia, była trochę brudna i zupełnie nie umalowana. Włosy opadały na kark, końce palców nosiły ślady kalki.

— Winszuję apetytu — powiedziała patrząc na przygotowane porcje tortu. — Na starość będziecie grube jak beczki. Czy nikt nie był łaskaw zajrzeć do indyczki?

— Do jakiej indyczki? — zdziwiła się April.

Marian Carstairs otworzyła piekarnik i wyciągnęła brytfannę.

— Miałam zamiar uprzedzić was o tym — wyjaśniła — ale oczywiście zapomniałam. — Indyczka na szczęście wyglądała pięknie: skórka zarumieniła się w sam raz. Pachniała wspaniale. — Postanowiłam upiec ją dzisiaj, bo jutro mogłabym nie zdążyć

April i Dina zerknęły na siebie. Matka podchwyciła ich spojrzenie.

— Uprzedzam, że zamorduję osobę, która pozwoli sobie powiedzieć, że jutro pewnie bym znowu o tym zapomniała — oznajmiła cierpko i groźnie podniosła do góry widelec. — Nie jestem wcale roztargniona — stwierdziła stanowczo. — Po prostu mam za wiele na głowie. Włącznie z wami. — Odłożyła widelec. — Póki pamiętam, pomówmy o tej projektowanej na dziś wieczór zabawie.

Dziewczynkom ciarki przeszły po plecach. Czyżby matka chciała cofnąć pozwolenie? Teraz, kiedy już zawiadomiono telefonicznie całe towarzystwo!

— Mówiłyście, że goście przyniosą coś do jedzenia — ciągnęła dalej Marian. — Powinniście wy ze swej strony kupić zapas coca-coli, jakieś słodyczne, fistaszki i tak dalej... — Marian przeszukała kieszenie spodni, wyciągnęła plik notatek, cztery agrafki, zgniecione i puste opakowanie po papierosach, sześć kartoników zapalek, rachunek ze sklepu kolonialnego, garść guzików, list od nauczycielki matematyki z klasy April, pudełko spinaczy i wreszcie trzy banknoty dolarowe. — Macie. To chyba starczy?

Dina zachłysnęła się z zachwytu.

— Ach, mamusiu!

April zachłysnęła się nie mniej entuzjastycznie

— Mamusiu, my naprawdę możemy sobie same poradzić!

— Bierzcie — powiedziała matka. Wsunęła pieniądze do kieszonki w swetrze Diny. — Niech to będzie moja funda. — W skupieniu spróbowała indyczki widelcem. — Gotowa! — oznajmiła wyłączając piekarnik.

Indyczka była nie tylko upieczona: stanowiła arcydzieło sztuki kulinarnej. Matka przyglądała jej się z dumą, April z pożądlivością. Dina odłożyła porcje tortu z powrotem na półmisek.

— Jakoś straciłam apetyt — mruknęła.

Matka westchnęła:

— Może nie powinnam była piec jej dzisiaj. Na zimno już nie będzie jutro taka smaczna.

Z saloniku nadbiegł Archie.

— Ejże? Co tu tak pachnie?

Kot Jenkins zbudził się, otworzył jedno oko i spytał:

— Miau?

— Wstydz się, kłamczuchu — odpowiedziała mu Marian. — Nie jesteś głodny!

— My za to jesteśmy głodne — oznajmiła Dina.

— Ostatecznie — po namyśle zawyrokowała matka — po jednym sandwiczu mogliśmy sobie pozwolić...

W kuchni zawrzała błyskawiczna akcja. Dina krajała chleb, April smarowała kromki masłem, matka sięgnęła po nóż do dzielenia drobiu, Archie przyniósł z lodówki mleko, Jenkins poprosił — nie daremnie — o kawałek chrupkiej skórki indyczej.

— Proszę o szklankę maślanki — powiedziała matka.

— Maślanka raz! — zawołała Dina.

— Maślanka raz! — jak echo powtórzyła April.

— Już się robi — odparł Archie startując w stronę lodówki.

Matka, krając grube plastry indyczego mięsa, zanuciła wesoło i trochę fałszywie:

Powiedzieli mu na stacji w Monroe:

Masz spóźnienie, uważaj, Pete...

Trójka podjęła chórem, niezbyt zgodnym:

Starą miał lokomotywę,

Model dziewięćdziesiąt siedem...

Jenkins miauknął na znak protestu, Henderson skurczył się w swojej skorupie.

— Pamiętasz, mamusiu, jak śpiewałaś to Archiemu do snu?

— Ciebie także usypiałam tą balladą — powiedziała matka. — April też. Musiałam, bo to jedyna, jaką umiem.

Układając plastry soczystego mięsa między cienkimi kromkami chleba śpiewała dalej:

Palacz, chłop tęgi, usmolony,

Kazał mu dodać węgla, Pete...

Urwała i wskazując ostrzem noża na Archiego rzekła:

— Założę się o dziesięć centów, że nie pamiętasz następnej linijki!

— Przyjmuję zakład — odparł Archie — ale najpierw pokaż mi dziesięć centów.

Matka odłożyła nóż i zaczęła szperać po kieszeniach.

— Nie trudź się, mamusiu — przyszła z pomocą Dina i wyławiając z własnej kieszeni pieniądze wręczyła go matce. Archie nabrał tchu, odstawił butelkę z maślanką i za-

ćwierkał:

*Spójrz, jak wspina się pod górę
Dzielna dziewięćdziesiąt siedem..*

— Wygrałem! A teraz daj mi dziesięć centów.

— Łap! — zawołała matka. Posmarowała monetę mydłem i rzuciła w powietrze. Pie-
niążek przylgnał do sufitu. Archie jęknął.

— Czekaj cierpliwie — pocieszyła go Dina. — Kiedyś przecież spadnie.

— A kto wie, jak się zaczyna ta zwrotka, która się kończy:

*I znaleźli go pod stosem żelastwa
Wczepionego w rączkę hamulca..*

— Ja wiem! — wyrwał się Archie. — Zaczyna się tak:

Pędzili z góry w dół, dziewięćdziesiąt mil na godzinę...

— Sześćdziesiąt na godzinę — poprawiła Dina.

— Dziewięćdziesiąt!

— Sześćdziesiąt!

— Nieprawda!

— Nie kłóćcie się, dzieci — łagodziła matka stawiając na stole półmisek sandwiczów.

— Zresztą wcale nie: „pędzili” tylko: „toczy się z góry w dół”.

Podeszła do kuchenki, żeby nastawić kawę i zaśpiewała pełnym głosem:

*Toczy się z góry w dół, dziewięćdziesiąt mil na minutę,
Gwizdek rozdziera powietrze.
I znaleźli go pod stosem żelastwa
Wczepionego w rączkę hamulca...*

— Ale mamusiu! Nie na minutę, na godzinę! — protestował Archie.

— I nie dziewięćdziesiąt, ale sześćdziesiąt — dodała Dina.

Pogodzili się dopiero po zjedzeniu dwóch sandwiczów na osobę i wypiciu po szklan-
ce mleka. Dina podała tort. Archie odgryzł spory kęs, krzyknął: „Hura!” — i pocałował
matkę, zostawiając na jej nosie ślad klonowego lukru.

— Ale ostatnią zwrotkę umiem całą — oświadczył. — Kto się zakłada? — Z ustami
pełnymi tortu zaśpiewał:

Nauka stąd dla wszystkich żon...

April, Dina i matka przyłączyły się do chóru:

Strzeżcie się gniewnych słów...

Ktoś zapukał do drzwi wejściowych ostro, urzędowo.

Gdy żegna dom wasz drogi mąż...

Stukanie powtórzyło się, tym razem głośniejsze.

— No, trudno — powiedziała Marian — otworzę.

Podeszła do drzwi, podczas gdy trójka dzieci kończyła ostatnią zwrotkę:

Może nie wróci nigdy już!

— Cicho! — szepnęła Dina.

Zapadła cisza, wszyscy wlepili wzrok w drzwi. W progu stał porucznik Bill Smith w towarzystwie umundurowanego policjanta.

Troje małych Carstairsów oniemiało w pierwszej chwili ze zdumienia, w następnej — z rozpacz. Spojrzeli na porucznika: przystojny, nieskazitelnie ubrany, niemal wymuskany. Spojrzeli na matkę: stare welwetowe spodnie z plamami wypalonymi kwasem, ślady kalki na palcach, twarz nie umyta i nie umalowana. Włosy rozsypały jej się do reszty i zwisały w kosmykach na kark. Smuga lukru wciąż jeszcze trzymała się na nosie.

— Przepraszam, że zapukałem do drzwi kuchennych — rzekł Bill Smith — ale zobaczyłem światło w tym oknie. Przyszedłem zapytać, czy nie miała pani może ostatnio jakichś niepożądanych gości?

— Niepożądanych gości? — odparła lodowatym tonem matka. — Nie, pan jest pierwszy.

April, spostrzegając zrozpaczony wyraz twarzy Diny, szepnęła:

— Nie martw się, Dina! Nie chcemy przecież naprawdę wydać mamy za policjanta. Bill Smith zeszywniał.

— Przepraszam, że panią niepokoję — rzekł. — Mieszkanka tej samej ulicy, niejaka pani Harris, zameldowała nam, że ktoś wykrada prowianty z jej spiżarni na ganku. A inna sąsiadka, pani...

— Cherington — podpowiedział nazwisko asystujący mu policjant.

— Pani Cherington doniosła, że ktoś nocował w jej kurniku. Najwidoczniej jakiś włóczęga płacze się po okolicy.

Teraz Marian Carstairs złąła się na dobre.

— Sądziłam, że do pana należą sprawy o morderstwo — powiedziała.

— Tak jest — odparł Bill Smith. — Ale właśnie dlatego muszę interesować się tymi meldunkami.

— Ja właśnie... — zaczęła Marian i urwała. — Czy powinna udzielić władzom wszelkich informacji, jakie posiadała? Stanęła jej w oczach poblądła, zarośnięta, wystraszona twarz człowieka, którego spotkała tego ranka. Zabrzmiał jej w uszach ochryply szept: „Na miłość boską, niech pani nie wzywa policji!” Nie, nie mogła go wydać! Nie mogła, ponieważ była najgłębiej przeświadczona, że Wallie Sanford nie zamordował swojej żony.

— Pani coś chciała powiedzieć — przypomniał Bill Smith.

— Chciałam powiedzieć — rzekła uśmiechając się i nieporadnie usiłując przygłodzić włosy — że bardzo żałuję, ale nie mogę panu w niczym dopomóc. Nie zauważyliśmy żadnego włóczęgi. Gdyby ktoś ukrywał się w tej okolicy, przyszedłby z pewnością do nas, bo lodówka stoi na ganku od dziedzińca i nie ma zamka. — Zrezygnowała z daremnych prób poskromienia niesfornej koafiury i uśmiechnęła się nieco przyjaźniej: — Czy nie sądzi pan, panie poruczniku, że osoby w typie pani Harris i Cherington są może zbyt nerwowe i puszczają wodze wyobraźni, wystraszone tym morderstwem w sąsiedztwie?

Bill Smith odpowiedział szerokim uśmiechem.

— Pani ma z pewnością rację — rzekł i zwrócił się do towarzyszącego mu policjanta: — Zameldujcie, że obeszlśmy domy przy tej ulicy, przeprowadziliśmy wywiad z mieszkańcami i nie stwierdziliśmy nic podejrzanego. — Potem znów do Marian Carstairs: — Bardzo pani dziękuję. — Pociągnął nosem: — Jak tu coś pięknie pachnie!

Dina chwyciła w lot okazję. Wysunęła się naprzód.

— Pan porucznik na pewno jest głodny. Założę się, że pan nie jadł obiadu!

— Przegryzłem jakąś kanapkę — powiedział Bill Smith.

— Kanapka to nie obiad! — oburzyła się April.

Ku ogólnemu zdumieniu i uciesze dziewczynek, Bill Smith oblał się rumieńcem.

— Nie, doprawdy — powiedział — muszę iść.

— To nie ma sensu — stwierdziła Dina.

— Umrze pan z głodu — dodała April.

— Mamy pyszną indyczkę — przyłączył się Archie.

Porucznik Bill Smith uległ wobec wyraźnej przewagi. Miał przeciw sobie zgraną trójkę. Nim oprzytomniał, już siedział przy stole. Marian, sama nie wiedząc dlaczego i kiedy, ukroiła jeszcze jeden plaster indyczki, April i Dina w okamgnieniu podały nóż, wi-

delec, talerz, filiżankę. Archie włączył kontakt maszynki do kawy. April posmarowała chleb masłem. Dina nałożyła hojną porcję tortu.

Bill Smith rozpromienił się z zachwytu.

— Lukier z syropu klonowego! — wykrzyknął. — Taki sam, jaki robiła moja matka! Ileż to lat nie jadłem nic podobnego!

Dina usadowiła matkę na kuchennym krześle, April naląła jej kawy. Bill Smith wziął do ust pierwszy kęs sandwicza z indyczką i ocenił: „Pycha!” Jenkins, na nowo zbudzony, miauknął żałośnie. Bill Smith podrapał go za uchem i nakarmił kawałkiem indyjskiej skórki.

— Pan lubi koty? — spytała Marian.

Ten moment wybrało troje małych Carstairsów, aby taktownie zniknąć ze sceny. Archie co prawda nie omieszkał odwrócić się na progu i wrzasnąć:

— Niech pan koniecznie spróbuje mamusinego tortu. Mamusia gotuje najlepiej ze wszystkich na świecie!

April, ujawszy go za kołnierz, pociągnęła, na schody.

— Najlepszy tort można przesłodzić — pouczyła brata.

Potem nastąpiła, jak co wieczór, walna bitwa o to, czy Archie ma już iść spać, czy też może jeszcze trochę posiedzieć. Jak zwykle też, Archie przegrał. Zyskał jedynie pięć minut udając, że zapomniał pacierza, i drugie pięć minut pod pozorem, że zaniedbał umyć zęby. Mówienie „dobranoc” zdołał przeciągnąć na następne dziesięć minut. Wreszcie jednak znalazł się w łóżku.

Dina zamknęła drzwi sypialni, którą dzieliły z April.

— Powinnyśmy chyba oddać Archiemu pożyczone pieniądze — rzekła.

— Może — odparła April. — Nie jestem pewna. Archie nic nie wie o tym, że mamusia dała nam trzy dolary na coca-colę itede.

— To by było sprzeniewierzenie — surowo osądziła Dina.

— Bardzo możliwe — zgodziła się April. — Ale w niedzielę jest Dzień Matki. Nie można dawać byle czego. Jeżeli zwrócimy dług Archiemu już jutro, i tak nie zrzeknie się procentów. A jeżeli zaciągniemy u niego nową pożyczkę na prezent dla mamy, znowu postawi swoje warunki. Zrobimy inaczej... — April przez chwilę obliczała w myślach. — Powiemy mu, że przeznaczyłyśmy ze swoich pieniędzy dwa dolary i siedemdziesiąt pięć centów na podarek dla mamusi.

— To już lepiej zaokrąglić do trzech dolarów — wmieszała się Dina. — Dwadzieścia pięć oszczędzimy z pieniędzy przeznaczonych na coca-colę. Wtedy Archie będzie musiał wybulić półtora dolara od siebie.

— I kupimy mamie coś naprawdę przepięknego — powiedziała April. — Nie damy jej czekoladek, bo to szkodzi na cerę. Kwiatów nie ma co kupować, bo można dostać wspaniałe bukiet od pani Cherington z jej ogrodu. Powiemy jej, że to na Dzień Matki,

na pewno nie pożałuje swoich najwspanialszych róż.

— Słyszysz? — szepnęła April chwytając siostrę za rękę.

Za oknem coś zaszeleściło z cicha. April zgasiła światło i podeszła do okna. Wyjrzała. Kępa hortensji poruszała się jak żywa. Nagle wyskoczył zza niej jakiś cień i pomknął ku starej altance.

— To ten włóczęga! — szepnęła Dina.

— Morderca! — jęknęła April.

— Skąd wiesz? — spytała Dina.

— Mordercy zawsze wracają na miejsce zbrodni. Wiem, bo czytałam w książkach.

— Bzdura — powiedziała Dina. — Patrz, April!

— Skrada się na ganek od strony podwórka — stwierdziła April. Mocno ścisnęła rękę siostry.

— Zaczniemy krzyczeć — zaproponowała Dina. — Zawołajmy Billa Smitha i mamę.

Wybiegły do hallu i po schodach na parter. Ale tu Dina zatrzymała się i syknęła w ucho April:

— Słyszysz?

Z kuchni dobiegał gwar przyjaznej rozmowy i śmiech. Bill Smith mówił:

— Jeszcze jeden kawałek tortu, ale naprawdę już niewielki!

Głos matki odpowiadał:

— A kawy pan pozwoli? Właśnie jest gorąca.

April i Dina przez długą chwilę patrzyły na siebie wzajem. Potem Dina na palcach przeszła przez salonik do drzwi frontowych, ciągnąc April za sobą. Wyśliznęły się na dwór i bezszelestnie zamknęły drzwi.

— Boisz się, April? — szepnęła Dina.

— Nnie — odparła April, głośno łykając ślinę.

— Ja też nie — powiedziała Dina, łudząc się, że siostra nie słyszy szcękania jej zębów. — Załatwimy to same.

ROZDZIAŁ 8

Archie nigdy nam tego nie przebaczy — szepnęła April. — Powinnyśmy były obudzić go i wziąć z sobą na tę wyprawę.

— Archie musi jutro wstać rano do szkoły — surowo odparła Dina. — Zresztą on by nie umiał wyjść z domu tak, żeby nikt nie słyszał.

Stały nasłuchując. Cisza panowała teraz niczym nie zakłócona. Na trawniku krzewy tkwiły nieruchomo w blasku księżyca. Dziewczynki posuwały się bezszelestnie wzdłuż ścian domu.

— Jeżeli to morderca — szepnęła April — co zrobimy?

— Ty go zatrzymasz, a ja pobiegnę po mamusię. Mamusia zawoła policję i cała załuga spadnie na nią.

Dokoła było wciąż cicho. Dziewczynki czekały chwilę w cieniu muru, trzymając się mocno za ręce. Odblask z okna kuchni leżał jasnym prostokątem na murawie. Nagle do uszu ich dobiegł szmer. Tym bardziej przerażający, że dobrze znajomy. Skrzypnęły zawiasy drzwi od ganku wychodzącego na podwórko. Powoli, cichutko, jak gdyby ktoś ukradkiem otworzył, a potem zamknął za sobą drzwi. Dwa skrzypnięcia, trzecie jeszcze cichsze. Ktoś przytrzymał drzwi ostrożną ręką.

April i Dina pomyślały jednocześnie: „Żeby ona tylko nie zauważyła, że ja się boje!”

Ktoś przemknął jak duch bezszelestnie po schodkach ganku. Tylko butelka mleka błysnęła w blasku księżyca, a duchy przecież nie spacerują z butelkami pod pachą. Cień przebiegł szybko brzegiem trawnika, krzaki zaszeleściły lekko i znowu zapadła cisza.

Dziewczynki ostrożnie posunęły się pod murem, a później ścieżką, wydeptaną w zaroślach podczas zabawy w komandosów.

— W razie czego — pocieszała się Dina — zawsze możemy krzyknąć o ratunek.

— Ja się nie boję — skłamała April.

Ostatnich parę kroków podpełzły aż pod kępę hortensji. April szarpnęła rękę Diny.

— To naprawdę on! — szepnęła.

Mężczyzna ukryty za krzakiem chłęptał mleko tak chciwie, jak by od tygodnia nie

miał nic w ustach. April i Dina błyskawicznie znalazły się tuż przed nim. Spojrzał na nie oczyma nieprzytomnymi ze strachu.

— Niech się pan nas nie boi — uspokoiła go szeptem Dina. — My pana nie wydamy.

Tuląc do piersi butelkę, cofnął się o krok.

— Czy to ładnie, panie Sanford? — skarciła go April. — Mleko po czternaście centów litr! Powinnyśmy jednak wezwać policję.

Wallie Sanford przyglądał im się chwilę. Potem wypuścił z rąk butelkę, wreszcie nawet uśmiechnął się blado.

— Niech pan wypije do końca to mleko — szepnęła Dina. — Potrzebuje pan odżywienia. Wyjdzie panu na zdrowie.

Instynktownie dziewczynki wyczuwały, że Sanford jest na granicy ataku nerwowego. I również instynktownie znalazły najwłaściwsze wyjście z sytuacji.

— No, co? — powiedziała Dina do April. — Czy oddamy go w ręce policji?

— Nie oddamy — odparła April. — Lubimy go. To dobry chłop.

— Twarz ma pocziwą — stwierdziła Dina. — Mordercy nie miewają pocziwych twarzy.

— Chyba że się maskują — zauważyła April. — Ale ten człowiek nie umiałby nabrać muchy.

— Przyjrzałam mu się dobrze — powiedziała Dina. — Musi być głodny. — Popatrzyła spode łba na oszołomionego pana Sanforda i surowo nakazała: — Proszę wypić to mleko!

— Podejmuję się go wyżywić — rzekła April. — Ale gdzie go ukryjemy?

Wallie Sanford drżącą ręką odstawił pustą już butelkę.

— Nie zamordowałem mojej żony — oświadczył.

— Wiadomo — zapewniła go Dina. — My też tak myślimy. I właśnie staramy się to udowodnić.

Patrzył na nie zdumiony.

— Dzisiaj rano zdobyłem gazetę — powiedział. — To wy, zdaje się, powiedziałyście policji, że strzały padły o godzinie wpół do piątej. Ale to nieprawda. Wysiadłem z pociągu o czwartej czterdzieści siedem. A jednak ja też słyszałem te strzały.

— Niech pan tego lepiej nie mówi policji — szepnęła Dina. — Naraziłby się pan, na wiele kłopotliwych pytań.

— Ale dlaczego wy wmawiacie policjantom, że to się stało o wpół do piątej? — spytał Wallie Sanford.

— Dlatego — odpowiedziała April — że nie wierzymy, aby to pan zabił panią Sanford. Pan nie wygląda na mordercę.

Wallie Sanford jęknął i ukrył twarz w dłoniach.

— Bóg mi świadkiem — wyjąkał — że miałem szczerą ochotę to zrobić.

Dina i April taktownie milczały przez długą chwilę. Potem odezwała się April:

— Kochany panie, po co pan tak uparcie tkwi w tej okolicy? Czy nie lepiej by było dać nogę?

— Nie mogę się stąd ruszyć. Muszę się dostać do domu. — Zacisnął pięść i wpił zęby we własny palec. — To jej dom. Nie mój. Ona go kupiła.

Zdawało się, że zapomniał, z kim rozmawia, zapomniał, że stoją przed nim małe dziewczynki, mieszkanki sąsiedniej willi. Dina i April wyczuły to. April trąciła ukradkiem Dinę i powiedziała:

— Teraz pewnie pan się ożeni z Polly Walker?

— Ożenić się? Z Polly? — zdziwił się Wallie. — Co znowu! Zaraz wam wytłumaczę. To było tak...

Dina szturchnęła siostrę i szepnęła: „Tama puściła”. April skinęła głową. Było to powiedzonko, pełne dla nich obu treści. Zdarzało się, że Archie długo nie mógł zdobyć się na jakieś wyznanie, aż w pewnej chwili nagle zaczynał mówić jak najęty. Wtedy siostry wiedziały: tama puściła.

— Poznałem ją i od razu mi się spodobała — szeptał Wallie Sanford. — Mówiłem jej komplementy. Zaprosiłem parę razy na lunch. Może nie powinienem... Ale dałem jej do zrozumienia, że mam duże stosunki, znam różne ważne osobistości. To oczywiście blaga. Gdyby nie Flora, byłbym po dziś dzień skromnym pośrednikiem w handlu nieruchomościami. Dzięki Florze stałem się administratorem licznych nieruchomości. To awans! Teraz pewnie przypadnie mi zarząd majątku Flory... Chyba że mnie powieszają. Ale nie, w tym stanie nie wieszają ludzi... Nie mogą mnie skazać... Jestem niewinny! Ja jej nie zabiłem! Chciałem, tak, któż na moim miejscu nie miałby ochoty jej zabić! Ale nie zabiłem. Jak tego dowieść? I ta Polly... Nie powinna być wplątana w tę okropną historię. Ona też jest niewinna. Jestem pewny, że ona nie zabiła Flory. Jestem pewny...

— Niech się drogi pan nie denerwuje — powiedziała Dina.

— Musicie, musicie mi uwierzyć! — mówił Wallie Sanford. — Dowiedziałem się, że Polly wybiera się do mojej żony w odwiedzinach. Wiedziałem, po co. Przestraszyłem się... Widzicie, było tak. Wyszedłem z biura wcześniej i przyjechałem tu pociągiem. O czwartej czterdzieści siedem. Poszedłem na przełaj, przez nie zabudowane parcele. Chciałem odwieść Florę od jej zamiarów. Wiedziałem, dlaczego zaprosiła Polly. Nie chciałem...

— Urwał, chwilę chwytał oddech, potem ciągnął dalej: — Byłem już blisko domu, kiedy usłyszałem strzały. Dwa strzały. Potem z bramy wjazdowej wytoczył się samochód. Za nim drugi... Wbiegłem do willi... Ona leżała na podłodze... Zabita! — Szarpnął gwałtownie głową i szepnął: — Nie zmartwiłem się wcale,.. Była zła, nie możecie sobie wyobrazić, jak była zła...

April i Dina mocniej chwyciły się za ręce.

— Uciekłem — spowiadał się szeptem Wallie Sanford. — Zdawałem sobie sprawę, że na mnie przede wszystkim padnie podejrzenie. Policja szuka mnie... Ukrywam się przed nią. Ale jestem okropnie zmęczony. Ach, jaki jestem zmęczony! — Schował swoją wymizerowaną twarz w dłoniach. — Muszę kraść mleko, jedzenie, gazety... Może powinienem sam zgłosić się na policję. Ale oni... Jakże im udowodnię?

— Niech się pan uspokoi — łagodnie i serdecznie prosiła Dina. — Wszystko byłoby dobrze, gdyby pan mógł chociaż jedną noc przespać porządnie.

— Potrzeba panu snu — dodała April — i przestrzeni życiowej. Otwartych przestrzeni, jak najdalej stąd i jak najprędzej. Wie pan, są na świecie pociągi, autobusy. A na szosie mógłby pan się też zabrać z kimś na łebka. — Spojrzała na pobladłą twarz Sanforda i szybko zakończyła: — Jeśli źle radzę, daj mi w zęby.

— Naprawdę — poparła siostrę Dina — powinien pan stąd zwiać jak najdalej. Byłby pan bezpieczny.

— Bezpieczny! — westchnął Wallie Sanford. — Tak, mógłbym być bezpieczny. Ale, widzicie, nie mogę uciec. Muszę zostać tutaj. Muszę dostać się do domu. Flora ukryła dowody przeciwko mnie... Jeśli ja ich nie znajdę, znajdzie je policja.

— Niech pan nam powie, gdzie są, a już my je wydobędziemy — rzekła April.

Wallie Sanford zwrócił na nią zrozpaczone oczy.

— Ba, gdybym ja to wiedział? Gdybym wiedział, gdzie Flora schowała te papiery, byłbym je dawno zniszczył. Czy myślicie, że ożeniłbym się z nią, gdyby nie to?

— A więc nie poślubił jej pan z szalonej miłości? — spytała April.

— Nie bredź! — szturchnęła ją Dina.

— Poza tym jest jeszcze Polly... — ciągnął nieszczęśnik. — Chciałem jej pomóc, a wplątałem ją w tę historię. Gdybym zwał, gotowi ją aresztować pod zarzutem morderstwa. A przecież wiem na pewno — mówił przeciągając ręką po twarzy nerwowym gestem — że Polly tego nie zrobiła. Jestem o tym przeświadczony. — Westchnął głęboko i szepnął, — Ach, jak strasznie mi się chce spać!

Oparł głowę na ramieniu, ukrył twarz w zgięciu łokcia, nie poruszał się przez długą chwilę. Dziewczynki patrzyły bez słowa.

— Okropnie niewyspany — szepnęła wreszcie ze współczuciem Dina. — Ale nie powinien spać tutaj. Na tej wilgotnej trawie ..

— Może jednak zawołajmy mamusię — zaproponowała April. — Niech mamusia go tu znajdzie. Przecież to właśnie jego szuka policja. Mamusia zyska rozgłos.

— Czyś ty oszalała? — zapytała Dina.

April spojrzała na bladą, półuśpioną twarz Sanforda i odpowiedziała rzeczowo:

— Już dawno. Czy nie zauważyłaś tego dotychczas? Przypuśćmy, że nie zawołamy mamusi. Gdzie w takim razie schowamy tę znajkę?

Problem był nie lada. Nikogo nie udałoby się schować w domu tak żeby go matka

nie znalazła, a tym bardziej mężczyzny z rozstrojem nerwowym i podejrzanego o morderstwo. W suterenie ukryć go nie sposób, ponieważ nazajutrz miała przyjść Magnolia — praczka. W garażu Archie trzymał akwarium z kijankami i panowało tam wskutek tego morowe powietrze.

— Nie ma gdzie go podziąć — doszła do wniosku Dina. — Musi tu zostać. Żeby się tylko nie przeziębził!

Nagle coś zaszeleściło w krzakach. Dina i April ścierpły. Wallie ocknął się i podniósł bladą jak płótno twarz.

— A może w moim szałasie? — odezwał się dyszkancik. — Tam jest przecież łóżko polowe i grotę podziemną, w której zmieściła się kiedyś cała piąta klasa i nawet nauczyciel gimnastyki nie mógł ich znaleźć...

— Archie! — powiedziała Dina. — Ty przecież mówisz przez sen!

— Wcale nie śpię — odparł Archie i drobna figurka w pidżamie wysunęła się z zarosli. — Nie śpię i wszystko słyszałem, coście tu mówiły. Szałas ma dobry dach i łóżko, i grotę podziemną, którą wykopaliśmy tam we dwóch z Lampartem, i tam można się doskonale schować. Grota jest olbrzymia, przecież zmieściła się cała piąta klasa, jak chłopaki postanowiły zwagarować.

— Cała piąta klasa! — lekceważąco powiedziała April. — Raptem piętnastu smarkaczy. A zresztą to nie jest grotę i nie wykopaliście! Jej we, dwóch z Lampartem, ale fundamenty domu, którego potem nie zbudowano, a wyjście tylko sklecieli tuż obok szałas i zrobili dziurę do piwnicy. Podziemna grotę, ha!

— Ale jeżeli mogła się tam schować cała piąta klasa, to i on się tam zmieści — oznajmił Archie.

— Można by tam zataszczyć jakieś koce — w zamyśleniu mówiła Dina. — Coś do jedzenia znajdzie się w lodówce. A rano, zanim pójdziemy do szkoły, trzeba by mu zanieść gorącej kawy. — Zmarszczyła surowo twarz, zwracając się do Archiego: — Jak śmiałeś wyleźć z łóżka, pętaku?

— No, wiesz! — oburzył się Archie. — To miałem może pozwolić, żeby moje siostry w nocy wychodziły bez męskiej opieki?

Było sporo kłopotów, bo składzik z zapasową pościelą okazał się zamknięty na klucz, tak że Archie musiał wpełznąć przez okno, by wydostać kilka koców. Resztki wczorajszego obiadu znajdowały się w głębi lodówki i trzeba było niemałej zręczności, żeby się do nich dostać systemem bezszmerowym, a Wallie Sanford usypiał w każdej pozycji. W końcu jednak wspólnymi siłami rodzeństwo uporało się z tym wszystkim. W kwadrans później Wallie Sanford, nakarmiony resztką szynki, bezpieczny w podziemnej grocie, spał jak zabity na polowym łóżku, otulony kocami.

Pozostawał już tylko problem powrotu do domu, tak by nikt tego nie usłyszał ani nie zobaczył. Archie rozwiązał go w sposób bardzo prosty: wdrapał się po rynnie, przetra-

wersował z pomocą kraty oplecionej dzikim winem na dach ganku i bez szelestu skoczył bosymi nogami przez okno do swego pokoju.

April chciała pójść w ślady brata, lecz Dina w ostatniej chwili chwyciła ją za ramię:
— W twoim wieku! — szepnęła zgorzozona. — W nowych spodniach!

April uznała wagę tych argumentów bez sprzeciwu. Wraz z Dina wśliznęła się cichutko do domu przez drzwi frontowe. Na schodach przystanęły chwilę. W pokoju matki nie stukała maszyna. W kuchni jednak świeciło się jeszcze i słychać było rozmowę. Słychać było także śmiech.

— Ależ na pewno: „Pędzili z góry w dół...”

— Nie! „Toczy się” — mówiła matka.

— No, niech będzie i tak. Więc: „Toczy się z góry w dół, dziewięćdziesiąt mil na godzinę...”

— Sześćdziesiąt — poprawiła matka.

— Najchętniej przyznam pani we wszystkim słuszność — rzekł Bill Smith. — Widzi pani...

W tym momencie April kichnęła. Gdybyż tylko kichnęła! Kichnęła tak potężnie, że straciła równowagę, zachwiała się, chwyciła kotary, która z hukiem spadła przewracając wielki mosiężny wazon, zdobiący podest schodów. Wazon z przeraźliwym łoskotem, skacząc na każdym stopniu, potoczył się aż na sam dół.

— Dzieci! — krzyknęła z kuchni, matka. — Dzieci!

Dina błyskawicznie opanowała sytuację. W dwóch susach znalazła się na górze i przez poręcz schodów zrzuciła siostrze płaszcz kąpielowy oraz ranne pantofle. April równie błyskawicznie pozbyła się bucików i skarpetek, wzięła pantofle, owinęła się płaszczem kąpielowym, rozburzyła sobie włosy na głowie.

— Dzieci! — krzyknęła raz jeszcze matka.

April, różowa, zaspana, wpadła do kuchni. Matka i Bili Smith siedzieli naprzeciw siebie przy stole. Między nimi ruina indyczki i ledwie okruchy tortu.

— Moja maleńka! — zawołała zrywając się matka. — Co ci się stało?

— Śniły mi się strachy! — zaszlochała April.

Matka usiadła tuląc April na kolanach. April robiła, co mogła, żeby wyglądać najwyżej na sześć lat.

— Biedactwo! — rozczulił się Bill Smith.

Stanął nad nią i usiłował ukoić maleństwo okruszynami tortu. Udało jej się wsunąć trochę do kieszeni dla Diny.

— Jakież to nerwowe dziecko! — rzekł Bill Smith do matki. April zakwiliła z cicha.
— No, cicho już, cicho! — uspokajał ją porucznik.

— April nie jest wcale nerwowa — odparła matka urażona. — I nie jest już dzieckiem. — Spozrzęła pod płaszczem kąpielowym bluzkę i spodnie. — A co gorsza...

Dzwonek u drzwi zadzwonił w samą porę. Zsuwając April ze swych kolan, matka poszła otworzyć. Porucznik Bili Smith nie odstępował jej ani na krok. April, korzystając z zamieszania, umknęła na półpiętro i tam zatrzymała się nasłuchując.

— Bardzo przepraszam, że panią niepokoję — mówił sympatyczny męski głos. — Chciałem pomówić z oficerem policji, prowadzącym śledztwo w sprawie morderstwa, jakie popełniono na pani sąsiadce, i dowiedziałem się, że można go tutaj zastać...

— Ach tak — odparła matka. — Proszę, niech pan wejdzie.

— Słucham pana. Jestem — odezwał się Bill Smith — Z kim mam przyjemność?

April wyjrzała nad barierą schodów. Zobaczyła przystojnego młodego człowieka, smukłego, opalonego, z roześmianymi niebieskimi oczyma i kędzierzawymi włosami.

— Dowiedziałem się z gazet — rzekł młody człowiek — że pan mnie poszukuje.

— Tak? — spytał Bill Smith.

— Ja jestem Rupert van Deusen — oświadczył młody człowiek. — To prawda, że pani Flora Sanford... nieboszczka pani Sanford szantażowała mnie, będąc w posiadaniu pewnych listów, które nieopatrznie kiedyś napisałem. Nie przeczę, miałem z nią rozmowę dokładnie tej treści, jaką powtórzył „wiarygodny świadek”. Ale w chwili, gdy dokonano morderstwa, znajdowałem się co najmniej o dwadzieścia mil stąd, u fryzjera, który strzygł mi włosy. Wielu świadków może poświadczyć, że tak było.

Bill Smith przez długą chwilę patrzył na gościa zaskoczony. Potem rzekł:

— Czy zechce pan udać się ze mną do kwatery policji, by sprawdzić pańskie alibi?

— Z przyjemnością — odparł młodzieniec. — Służę wszelką pomocą w wyjaśnieniu sprawy.

— Muszę więc niestety pożegnać panią — zwrócił się Bill Smith do Marian Carstairs. — Dziękuję za doskonałą kolację!

— Było mi bardzo miło gościć pana — odpowiedziała Marian.

Obaj mężczyźni wyszli. April śmignęła po schodach, wpadła do sypialni i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Dina, zajęta pisaniem pamiętnika, podniosła na siostrę oczy.

— Na litość boską, April! — zawołała. — Wyglądasz, jakbyś zobaczyła upiora!

— Zgadłaś! — odparła trzęsąc się April. — Zobaczyłam człowieka, który nie istnieje!

ROZDZIAŁ 9

Nie po to wstąpiłem do policji, żeby udzielać dobrych rad — rzekł sierżant O'Hare tonem urażonej godności. — Nie redaguję kącika „Dobre rady cioci Ady”. Ale jestem twoim starym kolegą i muszę po koleżeńsku — broń Boże nie oficjalnie — wytknąć ci grube błędy, które popełniasz. Nie powinieneś być wypuścić tego Ruperta van Deuse-
na na wolność.

Porucznik Bill Smith westchnął, przysiadł na najniższym schodku przed willą Sanfordów i zapalił papierosa.

— W chwili gdy strzelano do pani Sanford — rzekł — ten facet siedział u fryzjera w odległej dzielnicy Los Angeles. Kilkanaście osób, włącznie z fryzjerem, potwierdza ten fakt. Czy chcesz mi wmówić, że zniknął z fotela fryzjerskiego, przebył siedemnaście mil z okładem, zastrzelił Florę Sanford i wrócił tak, że nikt nie zauważył jego nieobecności? Naczytałeś się ostatnio za wiele historii o raketach międzykontynentalnych.

— I wszyscy ci świadkowie zidentyfikowali gościa z namydloną twarzą, co? — lodo-
wato spytał O'Hare.

— Van Deusen strzygł włosy — wyjaśnił Bill Smith. — Nie golił się przecież.

— No, więc dobrze, dobrze — zgodził się O'Hare. — Ma facet murowane alibi. Ale coś mi tu śmierdzi w tej całej historii. Groził pani Sanford. Ta mała sprytna dziewczuszka słyszała to i wszystko mi opowiedziała. On temu nie przeczy. I wypuszczasz go na wolność tylko dlatego, że ma alibi! Gdyby naprawdę nie łączyło go nic z tym zabójstwem, czyby się zgłosił?

— Może to po prostu uczciwy, lojalny obywatel, który chce pomóc władzom? — powiedział już znużony Bill Smith.

Sierżant O'Hare zbył ten argument jednym jedynym słowem. Bardzo mocnym słowem.

— Przypuśćmy więc, że masz rację — odparł Bill Smith. — To on zamordował panią Sanford, ale mamy do czynienia z morderstwem doskonałym, ponieważ zabójca udowodnił niezbitcie swoje alibi. Napiszmy raport w tym duchu i przestańmy się tą spra-

wą przejmować. — Po chwili milczenia dodał z goryczą: — Jakiś raport w każdym razie musimy złożyć, i to wkrótce.

Sierżant O'Hare zerknął ku niemu spod oka.

— Zdaje się, że jesteś mocno niewyspany — stwierdził.

Bill Smith westchnął zamiast odpowiedzi. W ciągu dwóch dni śledztwa w sprawie morderstwa w willi Sanfordów nie posunął się ani o krok naprzód. Po raz setny dokonał w myśli przeglądu skromnego zasobu danych, jakie udało mu się zebrać. Zastrzelono kobietę, Florę Sanford, osobę bogatą i despotyczną. Jej mąż — wedle informacji, jakie udało się dotychczas uzyskać — był mężczyzną przystojnym, młodszym od żony, słabego charakteru. Ów mąż flirtował z młodą aktorką, Polly Walker. Dziewczyna wydawała się nie tylko ładna, lecz również pełna temperamentu i energii, gotowa walczyć o to, czego pragnie.

Bill Smith wiedział już, że Polly Walker nie zetknęła się nigdy osobiście z Florą Sanford za jej życia. W dniu morderstwa miały się spotkać. Czy postarała się o to pani Sanford, czy też Polly? Do spotkania nie doszło, ponieważ Polly przybywając do willi zastała Florę Sanford martwą.

Nie! Coś tu jest niejasnego. Musiały się jednak znać. Polly, telefonując do policji, powiedziała drżącym głosem dosłownie tak: „...natychmiast! Zamordowano panią Sanford”.

— Jakim sposobem — rzekł głośno Bill Smith — wiedziała, że leżąca na podłodze kobieta jest panią Sanford, jeżeli jej nigdy przedtem nie widziała?

Sierżant O'Hare spojrział na porucznika ze szczerą troską.

— Radzę ci po koleżeńsku — rzekł — prześpij się, Bill. Wrócimy tu jutro rano i przewrócimy dom do góry nogami. Co prawda, jeśli ta dama przechowywała kompromitujące papiery, to pewnie trzymała je w sejfie bankowym, na nazwisko pani Johnowej Smith.

Porucznik Bill Smith nie odpowiedział. Zapalił nowego papierosa i patrzył przed siebie w gąszcz zarośli. Zbyt wiele faktów niewytłumaczonych. Na przykład zniknięcie Walliego Sanforda. Dlaczego ten człowiek zniknął? Miał przecież niewzruszone alibi. W momencie, gdy padły strzały, siedział w pociągu kolei podmiejskiej. Czy uciekł, czy może został uprowadzony albo nawet zamordowany?

Dlaczego różne, niczym ze sobą nie związane osoby próbowały wdrzeć się do willi po śmierci Flory Sanford? Pani Carleton Cherington III nie wyglądała na pospolitą kolekcjonerkę pamiątek. A ten mały, do królika podobny adwokacina Holbrook... Prawnik powinien wiedzieć, że nie należy przy pomocy wytrycha dobierać się do mieszkania, w którym popełniono zbrodnię, nawet jeżeli zamordowana była jego klientką. A trzeci dziwny gość, ów przyłapany w krzakach pod domem, Pierre Desgranges, podający się za Francuza i za malarza? Nie miał zresztą wcale francuskiego akcentu, o ile Bill Smith

się orientował. Na zakończenie Rupert van Deusen. Co, do licha, robił w całej tej historii Rupert van Deusen?

Słyszano dwa strzały. Florę Sanford zabiła jedna kula. Gdzie podziała się druga? Nie było jej z pewnością w obitym kretonie saloniku, gdzie rozegrał się dramat. Ten pokój przeszukano z mikroskopijną dokładnością. Czy znaczy to, że popełniono jeszcze drugie zabójstwo, a ofiarę ukryto? Z bramy natychmiast po zbrodni wyjechały dwa samochody. Dwa strzały... Dwa samochody... Jeden trup. Osoby, podejrzane ze względu na motyw, mają alibi. Dom trzeba przeszukać, ponieważ znajdują się w nim prawdopodobnie dokumenty szantażu. Bill Smith jęknął.

— Jak się czujesz? — troskliwie spytał sierżant O'Hare.

— Niewyraźnie — odparł Bill Smith.

Odrzucił papierosa i wstał. Poprzez liście drzew dostrzegł sąsiedni dom. Wspominał ciepłą, przytulną kuchenkę. Zawsze przepadał za pieśniami kolejarzy. Indyczka i tort... Tak, Marian Carstairs była nie tylko wzorową matką, utalentowaną i piękną kobietą, lecz także znakomitą gospodynią. Bill Smith doszedł na skraj tarasu Sanfordów. Stąd widział nie tylko oświetlone okno, lecz i samą Marian Carstairs przy maszynie. Jak ciężko pracowała! To wstyd, żeby taka urocza kobieta musiała tak harować — pomyślał. Jaki smutny los przypadł jej w udziale: sama na świecie, dźwiga ciężar wychowania i utrzymania trójki przemiłych, inteligentnych dzieci.

Nagle spostrzegł, że cały dom Carstairsów jest rzęsiście oświetlony, zapalono nawet lampy w sieni i w bramie. Czy ktoś może zachorował? Któreś z dzieci? Nie, to wykluczone: Marian nie siedziałaby tak spokojnie przy maszynie. Czuwałaby przy łóżku swego maleństwa, jak najsprawniejsza i najczulsza pielęgniarka. Cóż więc znaczy ta iluminacja?

— Słuchaj no, Bill — rzekł sierżant O'Hare. — Albo idziemy do domu, albo rewidujemy tę willę.

Bill Smith, przemocą ściągnięty w ten sposób ze świata marzeń na ziemię, odpowiedział gniewnie:

— Zaraz pójdziemy do domu i przeprowadzimy rewizję.

Sierżant przyglądał mu się przez, chwilę w zadumie:

— Ty rzeczywiście jesteś jakiś niewyraźny — stwierdził.

Nagle od strony domu Carstairsów rozległ się przenikliwy młodzieńczy okrzyk. Po nim nastąpiły dalsze, jeszcze bardziej rozdzierające.

— Co, do licha! — krzyknął Bill Smith i jednym susem zeskoczywszy na trawnik, już biegł w stronę sąsiedniego ogrodu, gdy sierżant chwycił go za rękaw i zatrzymał.

Krzyk tymczasem wzrastał się. Można było rozróżnić głosy chłopców i dziewcząt. Ktoś wrzasnął przeraźliwie: „Jak śmiesz, Eddy!” Potem buchnęły dźwięki muzyki i nastąpiło istne piekło.

Bill Smith, zahamowany w rozpędzie na środku trawnika, szepnął bez tchu:

— O'Hare! Gwizdek na alarm!

— Dajże spokój — odparł nie puszczając łokcia zwierzchnika sierżant O'Hare. — To dzieci się bawią. Wychowałem własnych dziewięcioro, znam się na tym.

Bill Smith, odzyskując normalny oddech, powiedział:

— Oo! — z ulgą i zaraz powtórzył: — Ooo! — innym zgoła tonem, ponieważ w tym momencie jakaś drobna postać, mknąca z szybkością meteoru, wystrzeliła z zarośli i trafiając głową w żołądek porucznika, razem z nim runęła na trawę.

— Przepraszam pana — rzekł grzecznie mały chłopiec, ubrany w granatowe płócienne spodnie i podarty sweterek, z twarzą nie do wiary brudną, a na dobitkę wymalowaną czerwoną farbą. — Jestem członkiem Bandy. Do widzenia!

Zniknął w krzakach, skąd nawoływały go głosy rówieśników: „Wracaj, Slukey, i nie rób hałasu, idziemy kraść colę!”

Porucznik Bill Smith wstał i otrzepał ubranie.

— Może jednak warto by gwizdnąć na alarm — stwierdził. Spojrzał w okno, przy którym Marian Carstairs niewzruszenie pisała dalej na maszynie. — Jak ona może to wytrzymać? Niepojęte! — mruknął.

— Rzecz przyzwyczajenia — powiedział sierżant O'Hare. — Posłuchałbyś, co moje czasem wyprawiały! — I podchodząc na granicę dwóch ogrodów wrzasnął ostro: — Ciszej tam! — Skutek był natychmiastowy, zapadła głucha cisza. — Widzisz? — spytał zwracając się do porucznika. — To przecież dzieciaki. Żebyś tak miał własnych dziewięcioro...

— Niech mnie Bóg broni! — powiedział Bill Smith, lecz niezupełnie szczerze.

Jakkolwiek bowiem nigdy by się do tego nie przyznał, nieraz zazdrościł sierżantowi O'Hare. Kto wie, gdyby się był ożenił ze śliczną ciemnowłosą dziewczyną, w której kochał się w ostatnim roku w szkole... Na imię jej było Betty-Lou. Miała ciepły, miękki, południowy głos. Była słodka i bezradna. Bill Smith uwielbiał ją, skończył szkołę, podczas wakacji pracował w biurze firmy Hopner i wówczas postanowili oboje, że wezmą ślub tej samej jesieni, jeżeli pan Hopner zatrzyma Billa na posadzie.

Ale w sierpniu umarł ojciec Billa. Raniony kulą gangstera, przeżył jeszcze w szpitalu pięć dni. Zdażył zobowiązać syna, żeby wstąpił do szkoły policyjnej. Ostatnie jego słowa brzmiały: „Opiekuj się matką i bądź dobrym policjantem”.

Bill wstąpił do szkoły policyjnej. Betty-Lou przyrzekła, że na niego poczeka. W trzy tygodnie później wyszła za mąż za przedstawiciela fabryki samochodów z Portland.

Bill opiekował się matką, póki żyła. Był dobrym policjantem. Awansował szczebel po szczeblu, aż doszedł do rangi porucznika w oddziale tropienia zabójstw. Ojciec byłby z niego dumny. Nie ożenił się dotychczas. Dlaczego? Nie miał czasu, nie miał pieniędzy, a spośród spotykanych dziewcząt żadna nie była podobna do Betty-Lou, nie miała

jej miękkiego, południowego głosu, nie zdawała się tak jak ona bezradna i godna uwielbienia.

W końcu doszedł do wniosku, że świetnie czuje się jako kawaler, mieszkając w wygodnym hotelu, z doskonałą fachową obsługą i restauracją w pobliżu.

Ale w ostatnich czasach ogarnęły go wątpliwości.

Hotel był niewątpliwie wygodny. Usługa bez zarzutu. Fachowa pokojówka, której co tydzień płacił za sprzątanie, lecz której twarzy ani imienia nie pamiętał, porządnie wieszła w szafie jego ubrania i opróżniała popielniczki. Restauracja miała dobrą kuchnię. Kelnerka nawet nie podawała mu jadłospisu, znając upodobania stałego gościa. Przynosiła tylko wieczorne gazety. On ze swej strony nigdy jej się nawet nie przyjrzał.

Ale w restauracji nie można dostać tortu z lukrem klonowym... A w hotelowym pokoju panuje całkowita cisza...

Co prawda, Betty-Lou nigdy by się nie zgodziła na dziewięćoro dzieci. Kto wie, czy zgodziłaby się choćby na jedno. Nigdy też nie zabłysnęła talentem i nie umiała by napisać powieści. Nie śpiewała pieśni o rozbiciu starej lokomotywy... Nie wyglądałaby uroczym mimo smugi syropu na nosie...

— Dobrze się stało, że za mnie nie wyszła — powiedział Bili Smith na cały głos.

— Co proszę? — spytał zdziwiony sierżant O'Hare.

— Myślałem sobie — odparł porucznik. — Myślałem, że trzeba wreszcie przeszukać tę willę. A wolałbym... — Urwał i nie dokończył zdania.

Tymczasem Dina i April były w wielkiej rozterce. Zabawa rozwijała się znakomicie. Coca-cola chłodziła się w lodówce. Goście przynieśli mnóstwo prowiantów: parówki, frytki z kartofli, prażoną kukurydzę, ciasteczka. Na stole w kuchni znalazła się niespodzianka — olbrzymi tort z bilecikami tej treści: „Na wypadek klęski głodowej — mamusia”. Joella przyniosła płyty. Eddie i Mag jak dotąd jeszcze się nie pokłócili. A Banda nie przysparzała zbyt wielu kłopotów — jak dotąd.

Jednakże... Poszukiwanie skarbu zaczęło się pomyślnie. Wendy znalazł pierwszy trop w kącie pod zegarem słonecznym. Pete znalazł następny w zapieczętowanej butelce pływającej po basenie ze złotymi rybkami. W tej chwili szukano z zapałem dalej. Wkrótce akcja przeniesie się na teren Sanfordów — zgodnie z programem.

Ale... Ze swego wyglądu były zadowolone. Dina w szkockiej spódniczce, sweterku i półbucikach białych z brązowym, April w sukience z bladoniebieskiej organdy, z kwiatami we włosach. Nawet Archie umył się, przyczesał i włożył najlepsze spodnie.

Mimo wszystko... Zabawa przynosiła zaszczyt gospodarzom, a matce nie przeszkodziła w pracy. Dina i April w pewnej chwili zajrzały na górę. Marian pisała gorączkowo, pobladła z przejęcia, całkowicie pochłonięta ostatnim rozdziałem swojej książki i nieświadoma harmideru, panującego na dole.

Z wyjątkiem... Spisek Bandy, zmierzający do rabunku coca-coli wykryto w porę.

Godni zaufania chłopcy stanęli na straży na ganku od strony dziedzińca, by udaremnić zamach. Dekoracje z bibułki nie doznały jak dotychczas uszczerbku. Sytuacja zdawała się opanowana.

Wszakże...

— Jak to zrobić, żeby odczepić się od reszty towarzystwa — szepnęła April do ucha Dinie — i poszukać tego, czego naprawdę szukamy?

— Nie mam pojęcia — gniewnym głosem odparła Dina. — Pete ustawicznie depce mi po piętach.

— Pete to już wyłącznie twoje zmartwienie — powiedziała April.

— Może byśmy opowiedziały mu, o co chodzi — zaproponowała Dina, — i niechby nam pomógł.

— Ten półgłówek? — krzyknęła April. — Powiedz, siostrze, czy to chwilowe zaćmienie, czy też na zawsze straciłaś rozum?

— Cóż takiego? — broniła swojej propozycji Dina. — Jakiś sposób trzeba przecież znaleźć. Byle tylko...

— Dino! Gdzie jesteś? — odezwał się w pobliżu głos Pete'a.

April warknęła gniewnie.

— Jestem tutaj — odpowiedziała Dina z rezygnacją.

Z zarośli wyłonił się Pete, szykowny w płóciennych spodniach i kraciastej koszuli. Miał szesnaście lat, pięć stóp i dziesięć cali wzrostu oraz skłonność do potykania się o własne stopy.

— Ooo, April! Wiesz, Joe cię szuka.

— Nie szkodzi — odparła z niezmaconym spokojem April.

W nagłym natchnieniu Dina powiedziała:

— Pete, mój drogi, czy zechcesz oddać mi przy sługę?

— Dla ciebie wszystko — rzekł wielbiciel.

— Zapomniałam o serwetkach z bibułki. Gdybyś mógł skoczyć na rowerze do Luke'a i kupić paczkę za dziesięć centów...

— Skoczę zaraz — oświadczył Pete.

— Dam ci dziesięć centów — powiedziała Dina i zaczęła obmacywać kieszenie sweterka. — April, nie masz przypadkiem drobnych przy sobie?

April potrząsnęła przecząco głową i krzyknęła: — Archie! — Archie stawiał się na wezwanie natychmiast, skacząc po dwa stopnie schodów na raz. — Archie, możesz dać dziesięć centów?

— Na co? — spytał Archie.

— Nie pytaj, tylko dawaj — surowo skarciła go April, mrużąc do brata porozumiewawczo jedno oko.

Archie wręczył dziesięć centów April, April przekazała je Dinie, Dina Pete'owi. Pete

zawołał: — Zaraz wrócę — i pobiegł w kąt, gdzie zaparkował rower.

— To już razem dwa dolary i osiemdziesiąt pięć centów jesteście mi winne — stwierdził Archie.

— Zwrócimy, nie bój się — zapewniła go Dina. — Teraz — westchnęła — trzeba się wziąć ostro do roboty.

Przeszli przez trawnik na granice ogrodu Sanfordów. Właśnie rozległ się krzyk Joelli, która znalazła trop w butelce od mleka między liliami wodnymi na basenie Sanfordów. Od bramy wjazdowej pędził policjant krzycząc: „Zabierajcie się stąd, dzieciaki!” Z wrzaskiem tryumfu zsunął się z pnia drzewa Eddie, który odkrył trop w ptasim gnieździe. Wobec tego drugi policjant, trzymający straż wewnątrz willi, zbiegł do ogrodu schodkami od kuchennego wejścia. Jednocześnie Bunny puścił się pędem na przełaj ku warzywnikowi Sanfordów.

— Wszystko gra na medal — powiedziała Dina. — Cały teren mamy w garści. Ale — wskazała palcem porucznika Billa Smitha i sierżanta O’Hare, stojących na frontowym ganku różowej willi — jak się pozbędziemy tych dwóch?

— Ze też musieli właśnie dzisiaj tu przyjść! — mruknęła April. Zwróciła się do Archiego: — Słuchaj, bracie, twoja Banda musi ich odciągnąć sprzed domu.

— Tere fere — obraził się Archie. — Dlaczego zawsze ja? Jak coś trzeba zrobić, to zaraz ja i Banda! Dlaczego same tego nie zrobicie? Jak my mamy sobie poradzić?

— Ruszcie konceptem — powiedziała Dina. — Chociażby: podpalcie dom...

— Ha! — wrzasnął Archie i pędząc po schodach w dół ryczał: — Hej, Slukey, Pinhead! Do mnie, chłopaki!

— Już oni to załatwią — z ufnością w głosie powiedziała April. — Znam Bandę!

I pierwsza wsunęła się przez altankę na teren Sanfordów. Dina za nią.

Dwaj policjanci, wspierani przez sierżanta O’Hare, mieli pełne ręce roboty. Ledwie wypłoszyli Wendy’ego z rabaty różanej, gdy Joella wyskoczyła spod zegara słonecznego, a Willy zza pnia gruszki. Trzej przedstawiciele władzy uwijali się jak w ukropie. Lecz Bill Smith tkwił nadal przed drzwiami willi.

— Czy jesteś pewna, że nie zabraknie przedwcześnie tropów? — spytała szeptem Dina.

April skinęła głową.

— Poumieszczałam tropy wszędzie, na całym terenie. Przyłączmy się do poszukiwania skarbu.

Zgiełk był dokoła coraz głośniejszy, gdy skradały się przez zarośla. Natknęły się na stos pustych butelek po mleku, zostawionych tu niewątpliwie przez Walliego Sanforda. Znalazły jamę królika, scyzoryk, który Archie zgubił miesiąc temu, chusteczkę Mag i szczątki flaszki z coca-colą. April rozdarła lekko swoją organdynową suknię, a Dina podrapała sobie nos o jakąś zwisającą gałąź.

Po kwadransie April oznajmiła:

— Nic tu nie znajdziemy ciekawego. Gdyby było coś ukrytego poza domem, odkryłabym to wcześniej, przy rozkładaniu tropów. Musimy dostać się do willi.

— Musimy — odparła Dina — ale jak? — Nagle chwyciła rękę April: — Słyszysz? Od ulicy doleciał ryk syreny. Potem drugi. Trzeci zabrzmiał gdzieś dalej.

— Jeszcze jedno morderstwo! — krzyknęła April.

— Nie, to nie syreny policyjne — rzekła Dina. — To raczej... Och, April! Widzisz?

Tuż za zakrętem ulicy błysnęła jaskrawa łuna i buchnął kłęb dymu. W minutę później między drzewami widać już było płomienie.

— Wielkie nieba! — jęknęła April. — Archie wziął poważnie naszą radę!

ROZDZIAŁ 10

Dina chciała biec ze wzgórza ku ulicy, lecz April uczepliła się jej ramienia.

— Stój! — powiedziała. — Trzeba wykorzystać tę okazję!

Teren opustoszał, prócz nich dwóch nie było żywej duszy. Wszyscy, nie wyłączając umundurowanych policjantów, sierżanta O'Hare i porucznika Smitha, pospieszyli do pożaru.

— Drzwi od kuchni nie zamknięte! — stwierdziła April.

— Archie! — lamentowała Dina. — Jeśli to się wyda...

— Nasza w tym głowa, żeby się nie wydało — rzekła April. — Nie marudź.

Skrajem trawnika obiegły dom pod kuchenny ganek. Drzwi były na oścież otwarte. W kuchni pod zapaloną lampą leżał na stole najnowszy numer „Zagadek kryminalnych” oraz bułka z szynką, którą widocznie policjant sobie przygotował.

Reszta domu tonęła w ciemnościach, w przerażających ciemnościach. Na palcach przeszły przez pokój kredensowy do jadalni, a stąd do obitego kretonem saloniku. Posadzka była zasłana papierami, a miejsce, gdzie znaleziono ofiarę mordu, obrysowane kredą. April zadrżała:

— To właśnie tutaj! — szepnęła.

— Nie bój się, April — powiedziała Dina.

— Ja? Bać się? Ani mi w głowie! — Na szczęście zęby przestały jej dzwonić. — Masz latarkę?

Dina przytaknęła.

— Ale użyję jej tylko w ostateczności. Światło mogłoby zwrócić uwagę. — Umilkła na chwilę. — Może tracimy czas daremnie. Policja z pewnością przeszukała dom bardzo dokładnie.

— Mężczyźni! — prychnęła wzgardliwie April. — Mężczyźni nie mają pojęcia, gdzie kobiety chowają swoje tajemnice. Zastanów się, gdzie mamusia chowa takie rzeczy, jak prezenty urodzinowe, listy od dyrektora szkoły albo książki, których jej zdaniem nie powinniśmy czytać?

— No, wiadomo — odparła Dina. — Na dnie kosza z brudną bielizną w łazience, w pudełku na kapelusze, pod materacem w swoim łóżku, za lustrem na toalecie, pod dywanem w jadalni, w ramce portretu dziadka, w szufladzie pod starymi sukniami wieczorowymi albo za encyklopedią na najwyższej półce biblioteki. Czasem też pod obiciem nad schodami.

— Więc teraz rozumiesz? — spytała April. — Nie wyobrażam sobie, żeby policjanci szukali w takich skrytkach.

Weszły na piętro i zaczęły z wolna, ukradkiem, zwiedzać pokój po pokoju. Wszędzie pozostały ślady rewizji dokonanej przez policję. Biurko zmarłej Flory Sanford, jej toaleta, mały sejf wmurowany w ścianę ziały pustką.

— Może tu coś było, może policja już znalazła wszystko — rzekła Dina.

— W każdym razie spróbujmy i my coś znaleźć — powiedziała April zaglądając pod dywan.

— Pani Sanford musiała używać bardzo wiele kosmetyków — zauważyła Dina badając toaletkę. — Jakie tu mnóstwo flakoników i słoiczków!

— Nie przyszłyśmy tutaj, żeby pielęgnować urodę — skarciła ją April zdejmując ze ściany jakiś obraz.

Za oknem znowu zawyła syrena. Odblask łuny padał na ściany garderoby Flory Sanford. Dina niespokojnie spojrzała w okno.

— Pożar, zdaje się, wielki.

— Jeśli masz ochotę, biegnij tam, proszę bardzo — oziębłe powiedziała April, która właśnie obmacywała materac. Nagle podniosła głowę: — Dina! Tam się pali, a mamusia...

Skoczyły do okna, wyjrzały. Poprzez ogród dostrzegły okno oświetlone i przy maszynie matkę. Odetchnęły z ulgą.

— No, tak, mamusia przecież kiedyś nie przerwała pracy mimo trzęsienia ziemi — rzekła Dina. — Pamiętasz? W domu posypały się szyby, drzwi wejściowe zacięły się tak, że nie można było ich otworzyć, przy tej samej ulicy runęła jakaś kamienica, hałas był piekielny.

— Pamiętam. Okropnie się przerażyliśmy — odparła April. — Pobiegłyśmy na górę, żeby się przekonać, czy mamusi nic złego się nie stało, a mamusia wyszła na nasze spotkanie do sieni i zawołała: „Przestańcie, dzieci, trzaskać drzwiami!”

Dina roześmiała się, ale natychmiast przytomniejąc powiedziała:

— April! Jeśli Archie narazi się na karę...

— Nic mu nie będzie — uspokoiła April. — Do dzieła!

W garderobie, w sypialni Flory Sanford ani w pokoju gościnnym nie znalazły nic ciekawego.

W dziesięć minut później April zawołała:

— Ależ z nas patałachy! Pomyśl, jeśli pani Sanford miała jakieś kompromitujące dowody, na pewno nie ukryła ich w swoim pokoju! Wybrała raczej pokój męża, bo w ten sposób w razie czego on byłby skompromitowany, a nie ona. Na pewno tak zrobiła, to była bardzo chytra osoba.

Przeszły do pokoju Walliego Sanforda. Uderzył je kontrast z pokojem gościnnym, obitym słodkoróżową tapetą, i sypialnią Flory Sanford, z szaroniebieskimi jedwabnymi kotarami i olbrzymimi lustrami. Sypialnia Walliego była niewielka, umeblowana najtańszymi sprzętami, okna osłaniały story z szarego płótna.

— Nie posądzałam go o tak skromne upodobania — stwierdziła Dina.

— Głupiaś — odparła April. — To ona mu tak urządziła pokój. Ona miała pieniądze, nie on.

Przetrząsały dalej wszystko. Nagle Dina wpadła na pomysł:

— Skoro tu już jesteśmy... Wiesz, panu Sanford bardzo potrzeba czystej koszuli i skarpetek. Wyniosę trochę jego bielizny pod swetrem, jutro mu zaniemiemy do szafasu.

— To weź także żyletkę — poradziła April. — Mydło znajdzie się w domu.

W pięć minut później April odkryła za ramą lustro grubą kopertę. Gwizdnęła przeciągle zajrzawszy do środka. Dina poświeciła jej, zasłaniając latarkę od strony okna. W kopercie był notes, plik wycinków z gazet, jakieś listy. April rzuciły się w oczy znajome nazwiska: Cherington, Walker, Holbrook, Sanford.

— Dina, to na pewno właśnie to! — powiedziała.

Z kolei Dina przejrzała zawartość koperty.

— Och! — jęknęła nagle. — Patrz, April, w tym wycinku jest nasze nazwisko!
— Przeczytała uważnie: — Tak, Marian Carstairs.

— Niemożliwe! — szepnęła April. Dina podała jej papier. Bardzo blada, April zdecydowała: — Weźmiemy to do domu i przeczytamy dokładnie. — Zebrała wszystkie dokumenty, wsunęła z powrotem do koperty.

Dina dzwoniąc zębami wyjąkała:

— W każdym razie mamusia nie mogła tego zrobić! Bo kiedy usłyszałyśmy strzały, mamusia pisała na maszynie... — Urwała patrząc pytająco na siostrę.

Obu jednocześnie przyszła do głowy ta sama myśl. Przypomniały sobie pewną książkę, napisaną przez matkę i podpisaną nazwiskiem Clarka Camerona. Morderca miał niezachwiane alibi. Gospodyni oraz kilka innych osób słyszało stukanie maszyny w jego pokoju w chwili, gdy popełniono morderstwo. Potem okazało się, że zbrodniarz nagrał na płyty terkot swojej maszyny i nastawił patefon automatyczny, mogący bez przerwy przegrać dziesięć płyt.

— Głupstwo! — powiedziała April. — Nie mamy magnetofonu, a nasz patefon trzeba po każdej płycie na nowo nakręcać.

— No, tak — przyznała Dina. — A jak pobiegłyśmy natychmiast po usłyszeniu strza-

łów na górę, mamusia siedziała przy maszynie.

— A poza tym — stanowczo oświadczyła April — mamusia nigdy w życiu nie popełniła nic takiego, żeby ją ktoś mógł szantażować, — Przyjrzała się grubej kopercie i spytała: — Jak my to stąd wyniesiemy? Może się zdarzyć, że spotkamy kogoś po drodze.

— Ty schowaj na sobie — odparła Dina.

— W tej przezroczystej sukni? — spytała April. — Nie, nie jestem magikiem.

— No, więc dobrze, daj mnie — zgodziła się Dina. Wepchnęła kopertę pod sweter. — Trochę tego za wiele, pamiętaj, że mam już za pazuchą zyletkę, koszulę i skarpetki pana Sanforda!

April przyjrzała jej się krytycznie i drwiąco.

— Przy dobrych chęciach zmieściłabyś jeszcze materac — powiedziała.

— Dałabyś spokój! — oburzyła się Dina. — Chodźmy już stąd. Jestem bardzo niepokojna. Trzeba co prędzej upewnić się, gdzie jest Archie i czy mu się nic nie stało. No i co robią nasi goście, szukający skarbu... — Zgasiła latarkę. — Chodźmy, April.

Przemknęły bezszelestnie przez hall na piętrze. W oknach jeszcze czerwieniła łuna.

— Taki wspaniały pożar — z goryczą mruknęła April — a nas tam nie było!

— Poświęciliśmy się dla ważniejszej sprawy — przypomniała jej Dina. Lecz natychmiast psyknęła: — Psss...

Na parterze rozległ się nikły szelest. Ktoś tam poruszał się ostrożnie, ukradkiem. U drzwi wejściowych cicho skrzypnęła klamka. Nagle doszedł ich stłumiony huk jakby małej eksplozji i z brzękiem posypało się szkło. Dina i April cofnęły się w głąb hallu, ku oknu, i spojrzały: sprzed domu wybiegł mężczyzna. W połowie trawnika zatrzymał się i obejrzał. Nim zniknął znowu, zdążyły dostrzec wyraźnie jego twarz, oświetloną blaskiem księżyca. To był człowiek, który nie istniał! Rupert van Deusen. April stłumiła na ustach okrzyk.

— Kto to? — szeptem spytała Dina.

— Podejrzany osobnik, niewątpliwie — odpowiedziała również szeptem April. Teraz już głośno dzwoniła zębami.

Chwilę nasłuchiwały. Na dole znowu coś zaszeleściło. Jak gdyby ktoś po omacku szukał czegoś w ciemnościach. Od czasu do czasu błyskała ręczna latarka.

— Może lepiej schowajmy się, April! — cichutko tchnęła Dina.

April potrząsnęła głową.

— Gdzie tu się schować — odparła. — W ostateczności możemy wyjść na dach i zsunąć się na ziemię po rynnie. Mam nadzieję, że jest gdzieś w pobliżu rynna.

Ktoś poruszał się tuż u stóp schodów. Dziewczynki zamarły, przechylone nad barierą. Ciemna postać zatrzymała się, odwróciła głowę, znieruchomiła na moment. W dziwnym blasku poświaty księżycowej zmieszanej z łuną pożaru zobaczyły twarz smagłą, chudą, ocienioną spuszczonej rondem kapelusza. Twarz ta miała wyraz przerażenia,

jakkolwiek człowiek nie był bezbronny: blask księżyca odbijał się metalicznie w lufie rewolweru, który ścisnął w rękę. Dina odciągnęła siostrę od barierki. Okno z górnego hallu wychodziło na dach przybudówki.

W tej chwili usłyszały strzał. Strzał i zaraz po nim dziwny miękki łoskot. Zaległa cisza.

Dziewczynki wróciły ku barierce. U stóp schodów rysował się na podłodze niby gęsty cień. Dostrzegły leżący tuż obok rewolwer i kapelusz, który potoczył się o krok dalej na dywan. Gdzieś w głębi domu na parterze zamknęły się drzwi, bardzo cicho.

— Wychodzimy stąd natychmiast — ochryple szepnęła Dina. — Jeżeli nie ma rynn, skaczemy.

Znalazły coś lepszego niż rynnę: kratę, po której pięła się winorośl. Szybko, zgrabnie jak koty zsunęły się na ziemię i kryjąc w cieniu murów obieżyły dom wokoło.

— Nie zgub tych...rzeczy — powiedziała April.

— Nie bój się, pilnuję ich dobrze — szepnęła zdyszana Dina.

Zwolniły kroku podchodząc do ganku od strony kuchni. Wszystko tu zdawało się zwyczajne i bezpieczne. W pobliskim oknie widać było matkę schyloną nad maszyną. Blask księżyca zalewał trawnik. Łuna na niebie już przybladła.

— Czeka! — szepnęła April chwytając Dinę za łokieć.

— Na litość boską, uciekajmy stąd co prędzej — syknęła Dina.

— Nie. Słuchaj: popełniono drugie morderstwo. Słyszałyśmy, nieomal widziałyśmy! Pamiętasz, co mówi ten facet w książce mamusi: „Jest prawie niemożliwe zataić morderstwo nie popełniając drugiego”. Dino, morderca jest w tej chwili w tym domu.

— Spróbujmy zajrzeć przez okna werandy — zgodziła się Dina.

— Ale trzeba bardzo uważać... Do licha z tą kopertą, uraża mnie właśnie w to miejsce, gdzie mam skórę oparzoną od słońca. Że też ty musiałaś dzisiaj wystroić się w organdyne!

— Nie mów tak dużo — uciszyła ją April.

Skradając się pod ścianami, podeszły pod okna werandy. Światło lamp ulicznych z tej strony wspierało księżyc tak, że wnętrze salonu jasne było jak w dzień. Ze swego punktu obserwacyjnego widziały werandę, salon i hall, łuk schodów i podest na półpiętrze. Ale u stóp schodów nie leżał żaden martwy kształt, nie było na dywaniku kapelusza ani błyszczącego rewolweru. Nie było nic!

— Dino — szepnęła April. — Miałaś rację, trzeba stąd wiać. — Zachłysnęła się ze zdumienia: — Może nam się to wszystko przyśniło?

— Wykluczone! — ostro, zbyt ostro odparła Dina. — Widocznie ten człowiek nie został wcale zabity. Przez ten czas, gdy my schodziłyśmy z dachu i okrążyły willę, on wstał i wyszedł. — Jakby na potwierdzenie jej teorii zawarczał silnik samochodu ruszającego z dróżki na tyłach willi ku bramie wyjazdowej. — Słyszysz? — tryumfowała Dina.

— Teraz jak najprędzej trzeba odnieść zdobycz do domu, schować ją i przyłączyć się do gości.

Pobiegły pustym trawnikiem na przełaj ku altanie i stąd na teren własnego ogrodu. W pobliżu ani żywej duszy, z daleka dochodził jeszcze podniecony gwar zebranych przy dogasającym pożarze ludzi. Z piętra domu rozległ się terkot rozpędzonej maszyny do pisania.

— Póki goście się nie rozejdą, schowamy kopertę na dnie kosza z brudną bielizną — powiedziała Dina — potem...

— Pss — przerwała jej April.

Schodami ogrodowymi wspinali się na stoki wzgórza porucznik Bill Smith i sierżant O'Hare. Na widok dziewczynek przystanęli, a Bill Smith umilkł nagle w połowie zdania:

— Nie powinniśmy byli zostawiać tego miejsca bez ochrony.

April przypomniała sobie, że czytała gdzieś, iż najlepszą metodą obrony jest atak. Odezwała się więc z oburzeniem:

— Dokąd to panowie idą przez nasz ogród?

— Chcieliśmy sobie skrócić drogę — wysapał sierżant. Nie był przyzwyczajony do biegania po schodach.

Dina szybko wmieszała się do rozmowy.

— Co z tym pożarem? Gdzie się paliło? Jak do tego doszło?

— Pożar już opanowany — rzekł sierżant O'Hare ocierając pot z czoła, zadowolony z pretekstu do chwili wytchnienia. — Palił się nie zamieszkaný dom. Ktoś podłożył ogień.

— To skandal! — zawołała April. — Okropne przestępstwo! (Archie, Archie, jak mogłeś! — jęknęła w duchu.)

— Co panowie zrobią z winowajcą, jeśli uda się go wykryć? — spytała Dina.

— Pójdzie na dwadzieścia lat do więzienia — odparł O'Hare. Odzyskał nareszcie dech, dodał więc: — Wykryjemy go, możecie być spokojne!

— Och! — westchnęła Dina. — Och! — dodała innym, już tonem.

Eleganckie popielate ubranie porucznika Smitha pokryte było kurzem, strzępami liści i trawy. Nawet we włosach miał źdźbła zieleni, a na twarzy zadrapania. W dodatku zdawał się bardzo zirytowany. Patrzył na wypchany sweter Diny.

— Co tam... — zaczął.

Lecz April, przyglądając mu się ze zdumieniem, przerwała:

— Co się panu stało?

— Stratował mnie jeden z przyjaciół waszego braciszka — powiedział Bill Smith. — Umyślnie!

— Niech się pan nie przejmuj — odparła April. — Oni to robią z nami stale. — Zo-

rientowała się, że konieczna jest jakaś doraźna akcja, by odwrócić uwagę porucznika od wypchanego swetra Diny. — Stale i ustawicznie, lecz jedynie wtedy, gdy stoją na głowie i kłapią uszami — dodała szybko.

— Szczególnie we wtorki — pospieszyła z pomocą Dina.

— Zaokrąglone kanty ratują nam życie — oznajmiła April.

— Ach, tylko w dni deszczowe, niestety...

— Deszcz jednak bardzo rzadko pada — wpadła jej w słowa April — i farbuje wszystko na fioletowo.

— Chyba że patrzy się na to zezem — podjęła Dina.

— To mogłoby ściągnąć słońce na ziemię.

— Nie ma obawy, jeśli przez następne dwa tygodnie potrwa sobota.

— Chwileczkę... — zdołał wtrącić sierżant O'Hare. Bill Smith oniemiał ze zdumienia.

April szturchnęła w bok Dinę. Cofnęły się ku schodom ganku.

— Pan pewno myśli, że mamy bzika? Wcale nie — powiedziała niewinnym głosem. I kładąc palec na dolną wargę zabelkotała błyskawicznie: — Be be be...

Sierżant O'Hare parsknął śmiechem. Nie mógł się powstrzymać.

— Nie denerwuj się, Bill — powiedział do porucznika. — Wychowałem własnych dziewięcioro...

Bill Smith jednak denerwował się najwyraźniej. Zbliżył się po oświetlonym przez księżyc skrawku trawnika i stając tuż przed dziewczynkami spytał surowo:

— Gdzie wasza matka?

— Mamusia pracuje — ozięble i dostojnie odpowiedziała April. — Nie wolno jej przeszkadzać.

— Och... — zaczął Bill Smith i połknął jakieś słowo.

— Zuzmumykukajuj! — szepnęła rozkazująco April do Diny.

Dina śmignęła po schodach w górę, ściskając mocniej kopertę, koszulę pana Sanforda oraz jego skarpetki. April oparła się o balustradę, zmierzyła wzrokiem porucznika i powiedziała chłodno:

— To nieładnie krzyczeć na dzieci. — Podeszła parę stopni wyżej i dodała: — A zwłaszcza wyrażać się brzydko o ich matce. Przykro mi, że pan jej nie lubi, bo nam ona się podoba.

Bill Smith wyciągnął jakiś zeschnięty liść zza kołnierza i rzekł:

— Ależ bardzo lubię... Macie uroczą i mądrą matkę. Niestety, nie ma pojęcia o wychowywaniu dzieci.

— No, no — łagodził sierżant O'Hare. — Gdybyś wychował własnych dziewięcioro...

April chwyciła w lot okazję: wychylając się przez barierę powiedziała zatroskanym głosem:

— Ach, panie kapitanie! Czy pan naprawdę myśli, że to morderca umyślnie podpalił ten dom, żeby odciągnąć policję sprzed willi i dostać się do jej wnętrza? Czyż to możliwe?

Bill Smith i sierżant O'Hare spojrzeli po sobie. Potem szybko puścili się przez altankę ku sąsiedniej willi. April straciła ich z oczu, gdy gnali kłusem przez trawnik Sanfordów.

Dina na palcach zeszła ze schodów. Była już nieco spokojniejsza.

— Łup w worku. To znaczy, w worku z brudną bielizną. — Zachichotała, lecz poważniejąc natychmiast, dodała: — Jutro rano wraz ze śniadaniem zaniemiemy biedakowi panu Sanfordowi czystą koszulę i skarpetki.

— I żyletkę — uzupełniła April. — Ale to będzie jutro. Dziś mamy pilniejsze sprawy. Trzeba zgromadzić całą kompanię. Pamiętasz chyba, że mamy gości?

— Jak się pozbyłaś tych dwóch panów?

— Ach, drobiazg! — odparła April. — Po prostu podpaliłam jeszcze jeden dom.

— Z tego lepiej nie żartuj — powiedziała Dina. — Chodźmy, trzeba znaleźć Archiego. Może biedak jest w opałach?

April przybladła na wspomnienie tego niebezpieczeństwa. Biegając po schodach obok siostry, oznajmiła:

— W razie czego zrobimy mu murowane alibi. Powiemy, że był z nami przez cały czas aż do chwili wybuchu pożaru.

— Byle nie złapali go na gorącym, uczynku — westchnęła Dina. — Ten cymbał sierżant wspomniał, że ogień został podłożony.

— Nie powiedział, kto to zrobił — wysapała April. — Nie martw się, nawet gdyby złapali Archiego, my go jakoś wyratujemy.

— Musimy — stwierdziła Dina. — Bądź co bądź, rodzony brat! Szczęście, że przynajmniej wybrał dom nie zamieszkały!

Z miejsca, gdzie kończyły się schody ogrodowe, było już widać wyraźnie scenę pożaru: czerwone smugi dymu, wystrzelające od czasu do czasu płomienie, pięć sikawek strażackich i ciemny krąg widzów dokoła. Dziewczynki pobiegły teraz ścieżką.

Nie ubiegły jeszcze dziesięciu kroków, gdy wpadły na małą, zdyszaną i bardzo podnieconą figurkę.

— Ha! — krzyknął Archie. — Właśnie po was wracam. Nie możecie przecież stracić całego pożaru. Spieszcie się, to zdążycie jeszcze zobaczyć, jak się dach zapadnie. — I podskakując z niecierpliwości, poganiał: — Prędeż, prędeż!

— Ach, Archie! — jęknęła Dina. — Jak mogłeś zrobić coś podobnego!

Archie spojrzął jej w twarz, przestraszył się, nieomal rozplakał.

— Bo co? — spytał.

— Czy cię przy tym ktoś widział? — badała Dina.

— No, pewnie — odparł zaskoczony. — Wszyscy mnie widzieli.

April odsunęła na bok Dinę. Wiedziała, że wypytyując prosto z mostu nic z brata nie wyciągną. Siłąc się na spokój zagadnęła:

— Powiedz, Archie, gdzieżeś był w chwili, kiedy wybuchnął pożar?

— Gdzie miałem być? — obraził się Archie. — Same kazałyście zrobić coś takiego, żeby policjanci odstąpili od willi. Więc ja z moją Bandą zaraz urządziliśmy w krzakach wilczy dół. Potem Goony miał narobić takiego wrzasku, żeby policjantów na to miejsce ściągnąć. Złapałoby się na amen. Ale wtedy właśnie nadjechała straż ogniowa i cała Banda poleciała do pożaru. Bill Smith swoją drogą wpadł i tak w pułapkę. A ja, jak zobaczyłem, że O'Hare poszedł drogą do tego palącego się domu, pomyślałem, że już mogę też tam pobiec, i pobiegłem. Przecież nie co dzień mamy pożar na naszej ulicy!

— No, mamy szczęście! — powiedziała Dina do siostry, oddychając z ulgą. — Archie tego nie zrobił.

— Chwała ci, panie! — westchnęła do wtóru April.

— Czego nie zrobiłem? — dopytywał się Archie.

— Nie podpaliłeś domu — wyjaśniła Dina.

Archie popatrzył na dziewczęta oszołomiony.

— Co wy znowu pleciecie? Czyście powariowały? Przecież to by było przestępstwo. Kryminał.

April ucałowała go, Dina uściskała. Archie wywinął się z siostrzanych objęć.

— Już dosyć, dosyć! — Chodźmy tam, bo się bez nas dach zawali.

Ruszyli pędem z pagórka. Strażacy puszczały strugi wody na dom, który od pięciu lat stał tutaj, opatrzony tabliczką: „Do wynajęcia”. Inni zlewali wodą pobliskie zarośla i budynki. W chwili gdy trójka Carstairsów pojawiła się na widowni, przenikliwy gwizdek rozdarł powietrze i strażacy odskoczyli od płonącego domu. W sekundę potem dach runął z łoskotem, a snop iskier wystrzelił pod niebo. Niby olbrzymi balon uniósł się w górę kłęb dymu. Strażacy wracali ciągnąc gumowe węże.

— Widzicie? Mówiłem, mówiłem! — entuzjasmował się Archie.

— Dobrze, dobrze, mówiłeś — powiedziała April. — Bubądziudź cucichucho.

— To ci heca! — krzyknął Archie i wpadając w tłum widzów zaczął zwoływać Bandę: — Hej, Slukey, Admirał, Goony!

— Banda w komplecie — ponuro stwierdziła Dina. — A my straciłyśmy niemal całe widowisko. Patrz, April, to już koniec. Gdzie się podziali nasi goście?

Dym zmienił kolor, płomienie przygasły. Od czasu do czasu tryskały ostatnie iskry. Jedna z sikawek, pozbierawszy sprzęt, odjechała przy akompaniamencie huku silnika i brzęczenia dzwonek. Tłum zaczął się rozpraszać.

Teraz poznajdowali się uczestnicy przyjęcia u Carstairsów. Wszyscy zbierali się koło Diny i April.

— Gdzieście się podziewały cały czas? — pytała Joella.

— Czy widziałyście wszystko? — pytała Bunny.

— Nareszcie, April, szukałem cię wszędzie — powiedział Joe.

— Gdzieście się schowały? — pytał Pete.

— Widziałyście, jak dach się zawalił? — pytał Eddie.

Wreszcie Mag uściskała Dinę mówiąc:

— Ach, pożar był naprawdę wspaniały!

— Cieszymy się, że wam się podobał — grzecznie odparła Dina. — Zawsze staramy się zabawić gości jak najlepiej. Na przyszły raz urządzi się mały wybuch.

Mag z chichotem pobiegła naprzód, goniąc Eddiego. Bunny zaproponowała:

— A może teraz dla odmiany potańczymy?

— Głodny jestem! — wrzasnął któryś z członków Bandy.

Czerwony samochód dowódcy straży ogniowej stał tuż przy chodniku. Dowódca rozmawiał z jednym z podwładnych i dziewczynki przechodząc usłyszały kilka słów:

— ... nie ma co do tego wątpliwości — mówił oficer straży. — Wszystko było oblane naftą. Poza tym, jak sądzę, użyto jakiegoś zegarowego zapłonu. Sprawa jasna jak słońce.

— Dina! — wołał Pete.

— Idę, idę — odpowiedziała głośno Dina.

— April! — zawołał Joe.

— Zaraz was dogonimy — odparła April, ale przytrzymała Dinę za rękaw. — A więc domu nie podpalił Archie ani jego Banda! — stwierdziła.

— Archie umie kłamać, ale nie tak przekonująco — powiedziała Dina.

— Ale pożar odciągnął policjantów od willi Sanfordów — ciągnęła dalej April.

— No wiesz, to już zdążyłam zauważyć — odparła Dina. — Wyobraź sobie, że oczy otworzyły mi się już w dziesięć dni po urodzeniu. Więc co z tego?

— To ... — April zaczerpnęła tchu w płuca: — Ktoś uplanował na dzisiaj jakąś akcję w willi Sanfordów. Ktoś inny, nie tylko my! Widziałyśmy część tej akcji. Możliwe, że plan nie został wykonany. Ale pożar wywołał umyślnie ten ktoś.

— Nie Archie — stwierdziła Dina.

— Oczywiście że nie Archie — przytaknęła April — ale kto ?

Głosy odezwały się znowu:

— Dina, April!

— A niech ich dudiabubluli — zirytowała się Dina — No, zrobiliśmy wszystko, co się dało dzisiaj zrobić. W domu jedzenie przygotowane, płyty pożyczone od Joelli wspaniale. Chodźmy! Ostatecznie to przecież jest nasze przyjęcie.

ROZDZIAŁ 11

Około drugiej nad ranem April poruszyła się w łóżku, ocknęła, usiadła i szepnęła:

— Dina! Dina!

Dina, śpiąca obok w bliźniaczym łóżku, przewróciła się na drugi bok, otworzyła jedno oko i spytała:

— Hę?

— Dina, słyszałam syrenę!

Dina uniosła się na łokciu i mrugając zaspanymi oczyma, nasłuchiwała. Świat cały był cichy, tylko na pobliskim drzewie jakiś ptak ćwierkał drwiąco.

— Śniło ci się, April — powiedziała Dina. — Śpij.

— Śpię — mruknęła April chowając twarz w poduszce.

Dina słuchała jeszcze chwilę. Na drodze słychać było żywy ruch samochodowy. I gdzieś w oddali znowu odezwała się syrena. Dina otworzyła usta, żeby zawołać: „April”, ale rozmyśliła się: kto wie, może to jednak złudzenie.

Drzwi uchyliły się cichutko i na palcach wszedł w pidżamie Archie.

— Ej, dziewczynki! Słyszałem syrenę! — szepnął.

Dina z westchnieniem siadła na łóżku.

— Ja też — powiedziała. — I April słyszała. Ale już dzisiaj widzieliśmy jeden pożar. Na tę noc wystarczy.

— Tym razem to nie była syrena strażacka — odezwała się April głosem stłumionym przez poduszkę. — Policyjna.

— Pewnie policjant na motocyklu gonił jakiegoś automobilistę, który jechał z niedozwoloną szybkością — odparła Dina, jednakże bez wielkiego przekonania.

— Gdzieś blisko... — powiedziała April.

— Jeżeli znowu kogoś zabili, to ja nie idę — rzekł Archie

— Och, dajcie spokój! — zirytowała się Dina. Po chwili jednak dodała z namysłem:

— Może byśmy się ubrali i spróbowali sprawdzić, o co chodzi?

W korytarzu rozległy się szybkie, zdecydowane kroki i w progu stanęła matka. Była

ubrana jak do pracy.

— Dlaczego jeszcze nie śpicie? — spytała.

— Spaliśmy już — rzekła Dina.

— Ale się zbudziliśmy — dodała April.

— Usłyszeliśmy syrenę — wyjaśnił Archie. — Znowu kogoś w sąsiedztwie zamordowali!

— Macie bujną wyobraźnię! — energicznie i żywo zaprotestowała matka. — Za dużo widzieliście kryminalnych filmów. Jazda do łóżek! — Dała Archiemu lekkiego klapsa: — Spać, dzieci!

— Wy też, dziewczynki, nie bawcie się w Indian po nocy. — I matka zamknęła drzwi stanowczym gestem.

— No — szepnęła w chwilę potem Dina — to już nie mamy wyboru!

Czuwała jednak przez parę następnych minut, nadstawiając uszu. To była na pewno syrena policyjna. Co mogło się zdarzyć? Gdyby policja znalazła pana Sanforda, syrena zawyłaby o wiele bliżej. Zatem nowe morderstwo? Po tajemniczych wypadkach, zaobserwowanych tego wieczora w willi Sanfordów, Dina gotowa była we wszystko uwierzyć. Spróbowała porozumieć się z siostrą. Ale April już spała. Wobec czego szepnąwszy: — Niech się dzieje co chce — Dina usnęła także.

Zbudził ją zapach smażonego boczku. April ocknęła się w tej samej chwili. Siedząc na łóżku patrzyły na siebie zaspanymi oczyma. Dina spojrzała na zegarek: było wpół do jedenastej!

— Ach, April! — jęknęła. — Mamusia pracowała do późna w nocy. Powinniśmy były wstać wcześniej i zrobić dla niej kawę!

Wyskoczyły z pościeli, opłukały wodą twarze, naciągnęły szlafroki i zbiegły po schodach na parter. Na półpiętrze minął je Archie, również w szlafroku, umyty, ale rozczochrany.

— Hej! — wrzasnął zeskakując jednym susem z trzech ostatnich schodów. — Co tu tak pachnie?

W kuchni matka wesoło pogwizdywała pieśń o katastrofie starej lokomotywy. Boczek rumienił się apetycznie na ruszcie, naleśniki skwierczały przysmażane na patelni, maszynka do kawy bulgotała obiecująco, a na fajerce grzał się dzbanek przyrządzonego już kakao. Stół był nakryty, Henderson, uwiązany przed domem, z zadowoloną miną obgryzał główki mleczka, a Jenkins, nad pustą już miseczką, oblizywał się ze smakiem.

— Ach, mamó! — wykrzyknęła Dina. — Myśmy miały zamiar...

— Dzień dobry — powiedziała matka. — Właśnie chciałam was zbudzić. — Matka miała na sobie robocze spodnie i była wyraźnie zmęczona.

— Jak to się stało, że mamusia tak wcześnie dzisiaj wstała? — spytała April.

— Wcale się nie kładłam tej nocy — odparła matka zsuwając naleśniki na nagrany

talerz. I bardzo rzeczowym tonem dodała: — Skończyłam książkę.

— Ach, mamusiu, jak to świetnie! — zawołała Dina.

— Jak wspaniale! — zawtórowała April.

— Hura! — wrzasnął Archie.

— Przestańcie mnie ścisnąć! — mówiła matka udając gniew. — Rozlejcie kakao.

Proszę przynieść gazetę, masło, syrop klonowy i popielniczkę. Żywo.

W ciągu sześćdziesięciu sekund śniadanie stało na stole.

W połowie czwartego naleśnika April spojrzała na matkę krytycznie:

— Mani nadzieję, że teraz mamusia pójdzie do fryzjera. W tym uczesaniu mama wygląda, jak by wyszła z oka cyklonu.

— Zamówiłam już sobie godzinę u fryzjera na poniedziałek — odparła matka.

— Manicure także — stanowczo oświadczyła Dina.

— Koniecznie — zgodziła się matka. — Kto wie, może nawet zafunduję sobie masaż twarzy.

— Mama się zrobi na lalę — powiedział Archie rzucając skórkę od boczku Jenkinsovi i wsuwając piątego naleśnika.

Wreszcie, jak zwykle na zakończenie śniadania, matka do ostatniej filiżanki kawy zapaliła papierosa i otworzyła gazetę. Ledwie jednak wzięła ją do ręki, ziewnęła i rzekła:

— Spać mi się chce okropnie.

Wstała i ruszyła schodami na górę. Trójka Carstairsów eskortowała ją wiernie. Pokazała im grubą paczkę na stoliku obok maszynki z kawą.

— Jak przyjdzie goniec z agencji, dajcie mu to. Dobranoc. — W połowie schodów przystanęła, jakby sobie coś przypominając: — Szkoda, że to wczorajsze przyjęcie nie bardzo wam się udało — powiedziała.

Dina otworzyła usta ze zdumienia, a April spytała:

— Ha?

— No, przecież było cały wieczór tak cicho — odparła matka — że chyba nie bawiliście się dobrze.

— Bawiliśmy się wspaniale — rzekła Dina.

— Cieszy mnie to — powiedziała matka i ruszyła po schodach dalej. — Do zobaczenia!

Troje Carstairsów popatrzyło po sobie.

— Albo mamusia ogłuchła — oznajmiła uroczyście Dina — albo była naprawdę wczoraj wieczór bardzo zajęta pisaniem. — Westchnęła kręcąc głową. — No, chodźmy! Trzeba zanieść jedzenie panu Sanfordowi, pozmywać talerze i wybrać się do miasta po prezent na Dzień Matki.

— Przede wszystkim — odparła April — muszę zobaczyć, co piszą w gazecie o naszym pożarze. — Rozłożyła gazetę na stole, zajrzała do niej i krzyknęła: — Dina! Patrz!

O pożarze nie było na pierwszej stronie ani słowa. (Znalazły potem wzmiankę o nim, wydrukowaną petitem na siedemnastej stronie). Było natomiast coś o wiele bardziej interesującego.

— To on! — powiedziała Dina.

W willi Sanfordów panowały owego wieczora ciemności, a mężczyzna z rewolwerem w ręku stał na samym dole schodów, tak że widziały go w skrócie z góry. Mimo to nie mogły wątpić, że poznają charakterystyczną smagłą twarz pod opuszczonym rondem kapelusza.

— Pokażcie i mnie! — dopominał się Archie. Przyjrząwszy się fotografii zawołał: — Ja go znam! Przedwczoraj kręcił się koło domu!

— Co ty mówisz? — zdumiała się Dina. — Czego chciał?

— Pytał o drogę do państwa Cherington — odparł Archie. — I pokazałem mu.

— Dlaczego nam o tym nic nie powiedziałaś? — spytała April.

— A bo ja wiedziałem, że tego pana też zamordują? — bronił się Archie.

— Rzeczywiście, powinien był cię uprzedzić — zimno odrzekła April. — Pamiętaj, żebyś nam wszystko zawsze mówił!

— Oho! — zawołał Archie urażony. — Pewnie, że mógłbym wam dużo rzeczy opowiedzieć!

— Na przykład co? — prowokowała April.

— Och, jędze! — warknął Archie.

— Nie kłóćcie się, dzieci — wmieszała się Dina. — Chcę tu coś przeczytać...

— Ja też chcę czytać! — oświadczył Archie.

„Podziurawione kulami ciało niejakiego Franka Riley, notorycznego przestępcy i szantażysty, znaleziono dzisiaj o świcie w opuszczonej pływalni”.

— To te syreny, które słyszeliśmy w nocy! — powiedziała April. — Dino, wiesz, chodzi z pewnością o stary basen na terenie Harrisów. To zaledwie trzy parcele stąd. Pani Harris trzymała tam ostatnio kaczki.

— Chodźmy tam zobaczyć! — krzyknął Archie. — Chodźmy zaraz!

— Nie hałasuj, Archie! — powiedziała Dina roztargnionym tonem, Prychnęła pogardliwie: — „Podziurawione kulami!” Co za przesada. Przecież dostał tylko jeden strzał.

— Nie oburzaj się, tylko czytaj dalej — powiedziała April wskazując następny akapit reportażu.

„... początkowo mniemano, że Riley, znanego policji i popularnego w świecie przestępczym, zabiła szajka jego kompanów zwabiwszy go na przejażdżkę samochodem. Lecz ekspert sądowy, doktor William Thackleberry, po zbadaniu zwłok stwierdził, że wszystkie rany, prócz jednej — śmiertelnej — zadane zostały w kilka godzin po śmierci ofiary, prawdopodobnie po to, by stworzyć pozory zbrodni zbiorowej...”

— Zgadza się! — zawołała April. — Tak musiało być. Zabito go w willi Sanfordów,

a potem przeniesiono trupa i wrzucono do starej pływalni.

— Nie przerywaj, April — napomniała siostrę Dina. — Czytam dalej...

„Morderstwo wykryto, gdy pani Williamson, zbudzona odgłosem strzałów, zatelefonowała do policji skarżąc się, że sąsiedzi strzelają do jej kota...”

Dina zachichotała:

— Jak bym widziała panią Williamson!

— Wiesz co? — wtrącił się Archie. — Ja znam tego kota. Jenkins zwyciężył go w pojedynku w zeszłym tygodniu. Dzielny stary Jenkins!

— Bądźże cicho! — uspokoiła go April.

„Riley odsiadywał ostatnio karę za rabunek. Przed paru laty był aresztowany pod zarzutem udziału w porwaniu i morderstwie Betty LeMoe, został jednak wówczas zwolniony z braku dowodów winy...”

— Czekaj chwilę — przerwała April. — O tym porwaniu czytałam niedawno w „Prawdziwych sprawach kryminalnych”. Mniej więcej przed dwoma miesiącami... Była tam też fotografia tego Rileya. Dlatego jego twarz od razu wydała mi się skądś znajoma. — April nabrała tchu. — To była śpiewaczka... czy może artystka operetki, naprawdę sławna. Porwano ją sprzed teatru po przedstawieniu, a potem przyszedł list, pisany jej ręką, że wróci do teatru w piątek punktualnie w południe, jeżeli jej przyjaciele wpłacą okup. Ale...

— Mów wolniej — poprosiła Dina — bo za chwilę pęknie.

— No, więc wpłacono okup — wolniej i urażonym tonem ciągnęła April. — Piętnaście tysięcy dolarów. A Betty LeMoe znalazła się w piątek punktualnie o dwunastej w południe, ale w trumnie! Na wieku trumny była przypięta kartka, że porywaczom naprawdę bardzo przykro, ale musieli ją zabić, bo mogła ich wydać. Policja nie wykryła po dziś dzień sprawców. W artykule dalej pisali o późniejszym śledztwie, ale mamusia zabrała mi ten numer, zanim zdążyłam przeczytać do końca.

— Mamusia zabrała ci to pismo? — zdziwiła się Dina. — Dlaczego?

— Nie wiem — odparła April. — Powiedziała, że to nie jest lektura odpowiednia dla mnie.

— Dziwna historia — rzekła Dina. — Zwykle przecież pozwala nam czytać wszystko, co chcemy.

— Mnie pozwala czytać wszystkie obrazkowe książki — wtrącił Archie.

— Ja też się wtedy zdziwiłam — odparła April — bo nieraz czytałam „Prawdziwe sprawy kryminalne” i mamusia nic nie miała przeciw temu. Nawet pożyczała ode mnie numery i sama także je czytała.

— Moje komiksy też mamusia wszystkie czyta! — nie dał się przelicytować Archie.

— Archie — rzekła Dina — nie hałasuj tyle!

Archie parsknął gniewnie.

— A ja ci powiadam — zawołał z oburzeniem — że to świństwo!

— Archie, jak ci nie wstyd! — zgromiła go April, — Mamusia ma święte prawo pożyczać od ciebie twoje książki, a nawet, jeśli jej się podoba, zabrać mi numer pisma.

Archie, podskakując w miejscu, krzyknął:

— Ojej, ojej, ojej! Nie zrozumieliście! Ja przecież nie o mamusi mówiłem, tylko o gangsterach. To świństwo, żeby wziąć okup, a potem nie wypuścić porwanej osoby całej i zdrowej. I w dodatku bardzo głupio z ich strony, bo jeżeli potem porwą kogoś innego, ludzie przypomną sobie o tej historii i nikt nie będzie głupi płacić okupu, skoro i tak tego kogoś zabiją. Więc gangsterzy nic nie zarobią. Tak się nie prowadzi interesów!

— Archie, ty masz główkę nie od parady — przyznała April.

— Ja mam główkę, a biedny pan Sanford już pewnie nie ma nic prócz wielkiej dziury w żołądku — powiedział Archie.

Dina i April spojrzały na siebie. Dina zdecydowała.

— Rzeczywiście, trzeba go nakarmić. Przynies żyletkę i te rzeczy April, a ja tymczasem usmażę dla niego parę naleśników.

— Jeszcze nie przeczytaliśmy tych papierów, które znalazłyśmy w willi — przypomniała April. — Wczoraj goście rozeszli się tak późno, że nie miałyśmy czasu. Może lepiej nie zwlekajmy z tym dłużej. Na Boga, czyś ty wcale nie ciekawa, co tam jest?

— Bardzo jestem ciekawa — odparła Dina. — Mimo to musimy jeszcze z tym poczekać. Nie wiadomo, od czego zaczynać! Mamy dziewięć milionów spraw do załatwienia dzisiaj, ta będzie dziewięćmilionowa-pierwsza. Teraz nie marudź, April, ruszaj się żywo.

April skłoniła się nisko starszej siostrze:

— Słucham cię, o pani!

Po schodach biegła na palcach, żeby nie zbudzić matki, która już zapewne usnęła.

— Jakie dziewięć milionów spraw? — pytał Archie. — Dlaczego dziewięć milionów? Czy liczyłaś?

— Wyrwę ci bez liczenia dziewięć milionów włosów z głowy, jeżeli nie przestaniesz mnie zanudzać — powiedziała Dina. — Idź do pralni, przynieś stamtąd wiadro i nalej do niego gorącej wody.

— Słucham cię, o pani! — zadrwił Archie. — Skąd wiesz, że ja mam dziewięć milionów włosów na głowie? — zawołał jeszcze od drzwi.

— Porachuj i jeżeli się nie zgadza, zgłoś reklamację — odparła Dina.

Wyjęła czysty ręcznik, znalazła kawałek mydła. April wróciła z góry niosąc koszulę, skarpetki i żyletkę w tej samej chwili, gdy pojawił się Archie wlokąc za sobą pełne wiadro. Dina udrapowała ręcznik na szyi chłopca, wetknęła mu do jednej kieszeni mydło, do drugiej żyletkę, do trzeciej skarpetki. Złożoną starannie koszulę umieściła pod jego pachą, a rączkę wiadra w garści.

— Marsz teraz z tym wszystkim do szafasu, do pana Sanforda! — rzekła.

— Ojej! — krzyknął Archie z udaną wściekłością. — Zawsze wszystko ja! Mimo to chwycił mocniej wiadro i wybiegł.

Dina przysmażyła kawałek boczku i przygotowała suty zapas naleśników. April odgrzała kawę i wlała ją do termosu. Wędrówka przez dziedziniec z zastawioną tacą mogłaby zwrócić uwagę, umieściły więc półmisek naleśników, boczek, sowitą porcję masła i dzbanuszek syropu w starym tekturowym pudle. Nóż, widelec, łyżka, filiżanka i serwetka znajdowały się już w szafasie.

— Weź jeszcze pudełko papierosów z szuflady mamusi — poleciła siostrze Dina.

— Dobrze — odparła April — ale prędzej czy później mamusia zauważy, że ostatnio znikają jej papierosy. Nie chcesz chyba, żeby pomyślała, że to my padliśmy ofiarą zgubnego nałogu.

— Rób, co ci mówię, i nie filozofuj — fuknęła Dina.

Sądząc z tonu, była naprawdę zirytowana.

— Słucham, o pani! — ulegle odpowiedziała April sięgając po papierosy.

— Przynieś także gazetę — przypomniała Dina.

— A jeżeli mamusia zbudzi się i zechce przeczytać gazetę?

— Kupimy drugą w mieście — odparła Dina. — Teraz chodźmy!

— Rozkaz! — odparła April wtykając płachtę gazety pod pachę. — Czy słyszałaś o tej kretynce, co przyszła do szkoły i powiedziała...

— Czy słyszałaś, co zrobiła pewna starsza siostra, kiedy młodsza siostra za wiele gadała? — spytała Dina. — Nie? No, to proś pana Boga, żebyś się nie dowiedziała na własnej skórze. — Stąpając uważnie z pudłem w objęciach dodała: — Okropnie trudno utrzymać to pudło w równowadze.

— I to moja rodzona siostra — mruknęła niby do siebie April. — Niezrównoważone pudło.

Gdy weszły do szafasu, Wallie Sanford był już ogolony, wykąpany i ubrany w czystą koszulę. Na ich widok nieomal się uśmiechnął. Twarz miał jeszcze wciąż bardzo bladą, lecz nie był już podobny do wystraszonego, załamane go fizycznie i nerwowo uciekiniera, kryjącego się w krzakach i żyjącego kradzionym mlekiem.

— Co pan powie o tym śniadanku? — spytała Dina otwierając pudło i ukazując jego zawartość.

— Jest wszystko, nawet kawa — dodała April stawiając przed nim termos. — Usługa w tym hotelu funkcjonuje doskonale. Kelnerka nie omieszkała przynieść też gazety porannej oraz papierosów.

— Jeżeli pan jest rzeczywiście tak zgłodniały, jak pan wygląda — powiedziała Dina — to może lepiej odwrócimy się plecami, póki pan wszystkiego nie zje.

— Jestem tak zgłodniały — odparł Wallie Sanford smarując masłem naleśnik — że

nawet wasz wzrok mnie nie powstrzyma.

Gdy połknął ostatniego naleśnika, April biorąc termos do ręki spytała:

— Czy można nalać panu kawy?

— Lejcie kawę, sypcie róże — odrzekł Wallie Sanford wybuchając niepohamowanym śmiechem.

— Zasypiemy pana chętnie, chociaż nie różami — ostro ucięła Dina — jeżeli się pan natychmiast nie uspokoi.

Wallie Sanford ukrył twarz w dłoniach.

— Zgłoszę się na posterunku policji. Szukają mnie. Oddam się w ich ręce. Nie wytrzymam tego dłużej.

— Na co właściwie szanowny pan się uskarża? — zagadnęła April. — Na wikt czy na usługę?

— Na to wyczekiwanie — odparł. — Na to ukrywanie się niczym złoczyńca. Przypuśćmy, że zamkną mnie w więzieniu. Nie mogą mnie tam zatrzymać długo, ponieważ jestem niewinny. Przekonają się wreszcie o tym, Wykryją prawdziwego zabójcę Flory, a wtedy mnie uwolnią.

— Będzie pan mógł zażądać odszkodowania za bezpodstawne uwięzienie — powiedziała April. — Niegłupi pomysł. — Zwróciła się po chwili zastanowienia do Diny. — Wiesz, może to nie jest zła myśl. Może powinien się zgłosić dobrowolnie.

— Co? — zdumiała się Dina. — Teraz, kiedy natrudziliśmy się tyle, żeby go ukryć?

— Mógłby zapuścić brodę i wyjechać do Ameryki Południowej — zaproponował Archie.

— Bądź cicho, bo ja myślę — powiedziała April. Zmarszczyła czoło. — Przypuśćmy, że pan Sanford zgłosi się do policji. Oni podejrzewają, że to on zabił panią Sanford. Kiedy go dostaną w swoje ręce, uspokoją się, a my będziemy mogli wykryć prawdziwego mordercę bez przeszkód z ich strony.

— Tak, ale jeśli nam się nie uda wykryć prawdziwego mordercy — z namysłem spytała Dina — co się wtedy stanie z panem Sanfordem?

— No, cóż, trzeba to zaryzykować — odparła April. I zaraz dodała: — On zresztą ma alibi. Siedział w pociągu, kiedy usłyszeliśmy strzały.

— To prawda — zgodziła się Dina. — Ale ryzyko pozostaje wielkie.

— Muszę to zrobić — odezwał się Wallie Sanford. — Muszę!

— Czy ja wiem... — zaczęła Dina. Nagle coś sobie przypomniała: — Nie! Niech pan z tym poczeka przynajmniej do jutra. Może tylko do dzisiejszego wieczora. Obiecuję pan?

Wallie Sanford patrzył na nią nie rozumiejąc.

— Dlaczego? — spytał.

— Niech pan nie pyta — rzekła Dina. — Proszę nam zaufać. My wiemy, co robimy.

Niech pan tu siedzi cicho, póki nie przyjdziemy znowu.

— Ale... — Wallie Sanford spochmurniał. — Przecież jesteście tylko dziećmi. Czy wyobrażacie sobie, że możecie coś osiągnąć?

— Możemy wykluczyć jakiś motyw zbrodni z pańskiej strony — powiedziała z dużą pewnością siebie Dina. — Wtedy chociaż pan zgłosi się do policji, nie będą mogli znaleźć uzasadnienia swoich podejrzeń. Rozumie pan? Będzie pan miał alibi i nie będzie pan miał motywu. Będą musieli pana zwolnić.

— Jak to zrobicie? — pytał Wallie Sanford. — Jak to możliwe?

— Mniejsza z tym jak — odparła Dina. — Dość, że mamy na to sposób.

W końcu obiecał im czekać w kryjówce, póki nie przyjdą po raz drugi.

— Przyślę Archiego — obiecała Dina — z sandwiczami i świeżą kawą. Postaramy się też o coś do czytania. A teraz, do widzenia, niech się pan trzyma!

Trójka zaraz wróciła do domu. Dina przygotowała z resztek indyczki sandwicze, nalała do termosu kawy, April zaś wyszukała cały stos ilustrowanych pism. Wszystko to Archie zaniósł do szałasu, podczas gdy dziewczynki porządkowały naczynia po śniadaniu.

— No, jak tam, — spytała Dina trochę niespokojnie, gdy Archie wszedł znowu do kuchni.

Archie uspokoił ją jednak.

— Pali papierosy i czyta gazetę — zameldował.

— No, będzie chyba siedział cicho — powiedziała Dina. — Przynajmniej mam taką nadzieję... — Nagle, porzucając na wpół tylko umyty dzbanek od kawy, dodała: — To byłoby straszne, gdyby się okazało, że on to jednak zrobił!

Archie, łasujący jakieś okruchy w pudle po biszkoptach, spytał:

— Że zrobił co?

— Że ukradł dwanaście pączków, które schowałam w puszce od mąki — wyjaśniła April,

— Ja ich nie brałem! — tonem obrażonej niewinności krzyknął Archie. — A zresztą nie w puszce od mąki, tylko w pace na kartofle, i nie dwanaście, tylko dwa, i, jeden już był i tak nadgryziony.

— Cicho, dzieci! — powiedziała Dina. — Mówmy poważnie. Przypuśćmy, że to jednak Wallie Sanford zabił Florę...

— Niemożliwe — stwierdził Archie. — On ma alibi. April poszła spojrzeć na zegar, czy już czas wstawiać kartofle...

— Archie! — krzyknęła Dina. Archie umilkł.

— Nie, Dino — rzekła April. — On nie kłamał, kiedy nam mówił, że tego nie zrobił. A poza tym...

— Zastanów się — odparła Dina. — Gdyby okazało się, że to on... Och! Odpowiada-

libyśmy jako wspólnicy!

— Komu byśmy odpowiadali? — spytał Archie.

— Przestań nudzić, Archie! — zniecierpliwiła się Dina. — Weź lepiej ten kosz ze śmieciami i wynieś go!

— Jędze! — mruknął Archie. — Całą robotę na mnie zwałają!

I wychodząc trzasnął ze złości drzwiami.

Dina odwróciła się ku siostrze i patrząc jej w oczy rzekła:

— Doprawdy, April, boję się tego poważnie.

— Dlaczego? — spytała sztucznie niedbałym tonem April.

— Jak to: dlaczego? — odparła Dina. — Ukrywamy go u siebie. A jeżeli to on zabił Florę Sanford? A jeżeli to on także zabił wczoraj tego człowieka?

— Nie on — odezwał się Archie wchodząc do kuchni i ciskając z łoskotem na ziemię pusty kosz. — Przecież kazaliśmy mu siedzieć w grocie i nie wytykać nosa na czas naszej zabawy. Ktoś z Bandy stale stał na warcie w pobliżu, żeby się policjanci tam nie zbłąkali. — Archie wygarnął palcem resztkę syropu z dzbanuszka i oblizał palec ze smakiem. — Nie mógł wyjść z szałasu. Banda pilnowała. — Wpakował drugi palec do dzbanuszka. — Ja im zresztą nie powiedziałem, o co chodzi.

— Odstaw ten dzbanuszek! — rzekła Dina. — Czy jesteś pewien, że Wallie Sanford ani na chwilę się nie wymknął?

— Jak dwa najlepsze chłopaki z Bandy wartowały? — spytał Archie ze szczerym oburzeniem. — Czyś ty zwariowała?...

— Troszkę zwariowała rzeczywiście — przyznała April. — Nie przejmuj się nią, Archie. Teraz trzeba zdecydować, co zrobimy najpierw: czy pojedziemy do miasta po prezent na Dzień Matki, czy zmyjemy talerze, czy przygotowujemy bieliznę do prania, czy też przeczytamy wreszcie te papiery, które znalazłyśmy wczoraj wieczorem?

Dina, jak się zdawało, nie słyszała jej słów. Powiedziała marszcząc w zamyśleniu brwi:

— Czy sądzisz, że ten gangster rzeczywiście został zabity w willi Sanfordów?

Siostry chwilę patrzyły na siebie, potem podeszły do okna i wyjrzały. Willa Sanfordów, widoczna poprzez rozległy trawnik, tchnęła ciszą i spokojem. Tylko jeden policjant strzegł jej, siedząc na ganku od dziedzińca, z rozpostartą na kolanach gazetą.

— Trzeba wreszcie przeczytać te papiery — powiedziała April — skoro je zdobyliśmy takim kosztem!

Dina potrząsnęła głową.

— Nie, najpierw zajmijmy się czymś innym. Patrz, teraz można dostać się tam bez trudu! — Zwróciła się do brata, który głaskał Jenkinsa. — Na ganku willi państwa Sanfordów siedzi policjant. Czy podejmujesz się zająć go tak, żeby nie spostrzegł, jak my z April wdramy się po kracie od dzikiego wina do środka?

Archie klepnął kota na zakończeniu pieszczot, odepchnął go i zbliżył się do okna.

— Czy nie ma więcej policjantów? — spytał.

— O ile nam wiadomo, nie ma — rzekła Dina.

— I wy chcecie się dostać do willi?

— Coś w tym rodzaju. Zgadłeś — odparła April.

Archie namyślał się w milczeniu.

— A czy będę musiał dzisiaj wycierać talerze? — spytał.

— Nie będziesz dzisiaj wycierał talerzy — skwapliwie obiecała April.

— Wiec dobrze — zgodził się Archie. — Możecie wejść do willi zwyczajnie, przez kuchenne drzwi. Bo policjant stamtąd odejdzie. — W progu jeszcze przystanął: — Ale pamiętajcie, nie wycieram dzisiaj talerzy! — I z tymi słowami zniknął.

— Miejmy nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze — szepnęła April.

Dziewczynki wybiegły z domu i ukryte za żywopłotem podkradły się możliwie najbliżej kuchennego wejścia do willi.

Nagle rozległ się przenikliwy krzyk. Policjant strzegący ganku zerwał się rzucając na ziemię gazetę, skoczył ze schodków i puścił się pędem przez trawnik w ślad za pomykającą drobną postacią. Złapał chłopca za rękaw. Wywiązała się błyskawiczna rozmowa, lecz Dina i April nie słyszały słów, odgadując jedynie treść z gestów. Potem policjant przez ogród Sanfordów i na przełaj trawnikiem pobiegł w stronę zarośli otaczających cały teren. Archie, wskazując coś palcem i wrzeszcząc, prowadził.

Dziewczynki szybko przebiegły skrajem warzywnika na kuchenny ganek willi. Było tu pusto, tylko numer „Sensacji kryminalnych” leżał na ziemi obok przewróconej popielniczki.

Weszły do wnętrza domu. Panowała tam pustka i cisza, niemal zbyt doskonała. Wśliznęły się do salonu, z którego schody prowadziły na piętro. W pełnym świetle dziennym pokój zdawał się przytulny, słoneczny, prawie przyjazny. Drogie Angielskie kretony, ładne meble, piękne dywany, akwatinta w stylowej oprawie nad kanapą, a nad kominkiem obraz olejny, niewątpliwie portret rodzinny. Nic, co by przypominało, że tu rozegrał się dramat jednego, a może nawet dwóch morderstw.

April wzdrygnęła się ze zgrozy. Posunęła się jeszcze o krok w głąb pokoju: portret znad kominka mrugał na nią! Szepnęła:

— Dina!

— Pss — uciszyła ją siostra. — Co ci się stało?

— Nic — odparła April. — Nic zgoła. Tylko wydało mi się, że widzę Ashabatabula skaczącego przez sznurek.

W innych okolicznościach Dina odpowiedziałaby śmiechem. Ashabatabul był tradycyjnym mitem rodzinnym. Lecz wobec powagi chwili ofuknęła siostrę:

— Nie miał językiem bez potrzeby!

April odważyła się posunąć o krok bliżej do kominka. Spojrzała przy tym na swoje ramiona i stwierdziła, że mogłyby zastąpić tarkę do jarzyn, tak się zjeżyły gęsią skórką. Jeszcze jeden krok... Portret mrugnął znowu.

— Jeżeli dostałaś czkawki, napij się wody — poradziła szeptem Dina. Zatrzymując się u stóp schodów chwyciła April za rękę: — Tu coś jest nie w porządku...

— Racja — potwierdziła dygocąc April. Idąc wzrokiem za spojrzeniem Diny, powtórzyła drętwiąc: — Coś nie w porządku! W tym miejscu upadł ten człowiek... Widzieliśmy... A przynajmniej tak nam się zdawało...

— Chyba że nam się to wszystko przyśniło — odparła Dina. — Nie ma śladu, że tu właśnie ktoś... — Zabrakło jej tchu. — Słuchaj, może go zabito gdzie indziej i wrzucono do tej pływalni. Może to nie ma nic wspólnego z tą pierwszą sprawą?

— Taak — powiedziała April. — Ale dlaczego w takim razie ten dywanik, którego wczoraj tu nie było, leży tuż przy schodach? Wczoraj widziałam go przed kanapką.

Dina milczała przez chwilę.

— To prawda — powiedziała wreszcie. — Ktoś przesunął dywanik. Dlaczego?

— A dlaczego my czasem przesuwamy dywaniki? — spokojnie spytała April. — Jeżeli rozlejemy coś, zrobimy plamę na posadzce, przykryjemy ją dywanikiem. Teraz wiem, że tu wczoraj naprawdę popełniono morderstwo. Gdybyś zajrzała pod dywanik...

— Nie, nie trzeba — skwapliwie przerwała Dina, wyraźnie zieleniejąc na twarzy. — Znalazłyśmy, czegośmy szukały. Teraz chodźmy już stąd.

— Chwileczkę — odparła April. — Spójrz na ten portret wuja Herberta, czy jak go tam zwali, nad kominkiem.

Dina, protestując, spojrzała jednak. Wuj Herbert był srogim brodatym jegomościem, sądząc z uczesania — politykiem, i miał na sobie frak. W jego obliczu było coś dziwnego.

— Zabawne — powiedziała Dina. — Jedno oko ma niebieskie, a drugie żółte. Że też malarz... — Urwała, bo April pociągnęła ją nieco w bok, w blask słońca. — Ach! April! On mruga!

— Właśnie — przyznała April ponuro. — Na mnie też mrugnął przedtem dwa razy. To zależy od oświetlenia, zdaje się...

Głos Diny drżał, gdy powiedziała:

— April, co to jest?

— Strzały były dwa — wyjaśniła April — ale trup tylko jeden. — Zerknęła w górę na oblicze wuja Herberta: wyglądało ono w tym momencie nieomal sympatycznie. — I znaleziono tylko jedną kulę... — April zaczerpnęła tchu i uśmiechnęła się do wuja Herberta. — A teraz my — dokończyła — znalazłyśmy drugą!

ROZDZIAŁ 12

Patrz, Dino — mówiła April w podnieceniu — człowiek, który wystrzelił oko wujowi Herbertowi, musiał stać w tym miejscu. Tylko tu!

Dina popatrzyła na portret.

— Celny strzał! — powiedziała z podziwem.

April aż parsknęła z oburzenia.

— Moim zdaniem kompletne pudło! — rzekła. — Spójrz na wuja Herberta. Czy chciałabyś zastrzelić nieboraka? — Dina stłumiła wybuch śmiechu i potrząsnęła przecząco głową. — Widzisz! — podjęła April — ten, kto strzelił wujowi w oko, celował w coś... czy w kogoś innego. I prawdopodobnie nigdy przedtem nie miał rewolweru w ręku.

— Czekaj minutkę — przerwała Dina.

Zerknęła na zakreślony kredą na podłodze owalny kształt i przymknęła oczy.

— Co ci jest? — zaniepokoiła się April. — Dino, może ci słabo?

— Mumilulczucz! — szepnęła Dina. — Ja myślę! — Otworzyła oczy. — W jednej książce mamusi... może pamiętasz... detektyw wykrywa mordercę dzięki znajomości geometrii czy czegoś w tym rodzaju. Wylicza linię strzału...

— Szkoda, że oblałaś się z arytmetyki w drugiej klasie — zauważyła April. — Ale z pomocą maszyny do dodawania może byś obliczyła, kto zabił panią Sanford.

— Odczep się, April — fuknęła Dina — i słuchaj: były dwa strzały. Pani Sanford stała w tym miejscu. Sposób, w jaki upadła, dowodzi, że strzelano z tego kierunku — wskazała niebieską kanapkę w drugim końcu pokoju. — Drugi strzał padł z jadalni.

— Dlaczego tak przypuszczasz? — spytała April.

— Sama dobrze nie wiem — odparła Dina. — Staram się zgadnąć. Może zabójca za pierwszym razem chybił i strzelił po raz drugi.

— Oba strzały padły tuż jeden po drugim — powiedziała April. — A od niebieskiej kanapki do jadalni jest dość daleko. Równie daleko jak od jadalni do kanapki. Chyba żeby zabójca miał narty...

Dina spojrzała z naciskiem na siostrę.

— Były dwie osoby. Na pewno dwie.

— Słyszałyśmy dwa strzały — powiedziała April. — Słyszałyśmy warkot dwóch wyjeżdżających stąd samochodów. Musiało więc być dwóch morderców. Ale jeden z nich chybił. — Rozejrzała się dokoła po salonie, mrużąc oczy. — Pytanie, który mianowicie...

Dina zdawała się oszołomiona.

— Nie rozumiem — powiedziała.

— Oczywiście. Przecież w pierwszej klasie także oblałaś się z matematyki — powiedziała April. — Słuchaj uważnie. Dwa strzały, dwie kule. Jedna trafiła panią Sanford, druga wuja Herberta w oko. Musiały paść z dwóch rewolwerów, chyba że strzelał Nadczłowiek, który jednym krokiem przebył odległość między niebieską kanapą a jadalnią lub odwrotnie. Wszystko więc gra. Rozumiesz? Trzeba tylko mieć dwie kule, dwa rewolwery, znać kąt dwóch strzałów i znaleźć odciski palców dwóch osób.

— Nic z tego nie mamy — stwierdziła pośepnie Dina. — A gdybyśmy miały, i tak nie wiedziałybyśmy, do kogo należały rewolwery, gdzie stały obie te strzelające osoby, no, i kto zostawił odciski palców. Wracajmy do domu i weźmy się wreszcie do zmywania talerzy.

— Za łatwo się zniechęcasz — zauważyła, April. Popatrzyła z namysłem w lewe oko wuja Herberta. — Gdybym tak weszła na krzesło...

W tej chwili ze ścieżki przed domem dobiegł odgłos pospiesznych kroków. Dziewczynki spojrzały na siebie a potem na pokój w poszukiwaniu jakiejś kryjówki.

— Schody! — szepnęła April.

Wbiegły jednym tchem na piętro i zatrzymały się na podeście nasłuchując.

— W ostateczności — uspokoiła siostrę szeptem Dina — pozostaje nam zawsze okno i krata od winorośli.

— Pss! — syknęła April.

Do willi wbiegł policjant, a za nim, trop w trop Archie. Policjant dopadł telefonu, nakręcił numer posterunku policyjnego, przedstawił się jako McCafferty. Był bardzo młody i rumiany, a w danej chwili bardzo wzburzony.

— Niech pan nie zapomni powiedzieć o tych połamanych gałęziach dokoła — rzekł Archie rozglądając się po salonie, czy nie ma gdzieś sióstr. — I niech pan powie...

— Mówi McCafferty — krzyczał w telefon policjant, mocno zdenerwowany — proszę mnie połączyć natychmiast...

— ... o tych śladach krwi — ciągnął Archie — i o nożu wbitym w pień drzewa...

— Chwileczkę — rzucił w telefon policjant i zasłaniając tubę zwrócił się do chłopca: — Jaki znów nóż?

— Wbity w pień drzewa — powtórzył Archie. — W tym miejscu, gdzie pewnie padł

tamten facet. — Archie zdawał się maleńki, wystraszony, blady. — Pan nie rozumie?

— Nie rozumiem — odparł policjant. — Ale... — W tym momencie połączono go z oddziałem policji. Zdyszonym głosem zameldował więc, że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa wpadł na trop nowego morderstwa. Podejrzane miejsce znajduje się w pobliżu willi Sanfordów i niedaleko od pływalni, w której wykryto zwłoki Franka Rileya.

Gdy policjant zajęty był rozmową telefoniczną, April zdołała wymienić spojrzenia z bratem i dała mu sygnał: „Zabierz go stąd”. Archie przytknął trzy palce do dolnej wargi, co znaczyło: „Rozumiem, już się robi”.

McCafferty odłożył słuchawkę. April cofnęła się od schodów. Archie, otwierając szeroko niewinne oczęta, spytał:

— Dlaczego pan nie powiedział nic o tym trupie?

— Hę? — zdumiał się policjant. — O jakim trupie?

— Tam — Archie niewyraźnie machnął ręką. — W krzakach. Obok tego miejsca, które panu pokazywałem. Podziurawiony od kul.

McCafferty w osłupieniu przyglądał się chłopcu. Sięgnął znów po telefon i wezwał samochód policyjny. Potem wybiegł przez kuchnię i puścił się pędem ku zaroślom według wskazówek Archiego.

— Dino, podaj mi jakiś nóż — powiedziała April ciągnąc krzesło pod portret wuja Herberta. — Nie ma chwili do stracenia.

Dina pobiegła do kuchni, drżącymi rękami przetrząsnęła szufladę ze sztućcami i w okamgnieniu była z powrotem, z ogromnym nożem w garści. April już stała na krześle majstrując w oku wuja Herberta. Zerknąwszy w dół na przyniesiony przez Dinę nóż, mruknęła:

— Szkoda, że nie wzięłaś żurawia portowego!

— Chwyćłam pierwszy lepszy — tłumaczyła się Dina. — Spiesz się, April.

— Nie poganiaj mnie — odparła April. — Delikatna operacja trwa czasem kilka godzin. — Wydłubała kulę, wetknęła ją w kieszeń bluzki, przytwierdziła zgniecionym kawałkiem plastra. Potem, przyjrzawszy się krytycznie wujowi Herbertowi, oznajmiła: — Okropnie głupio wygląda z jednym okiem. A poza tym, warto by dać policji temat do rozmyślań.

Na stole przy bibliotece stał wazon z przywiedłym bukietem geranium. April wybrała jeden kwiat i starannie umieściła go w pustym oczodole wuja Herberta. Zwróciła się do siostry:

— Zetrzyj porządnie odciski palców z trzonka noża — poleciła. — No, policjanci pomęczą się trochę, nie będą darmo brali gaży.

— April, co ty wyprawiasz! — zdumiewała się Dina. — No, niech tam zresztą...

Umyła nóż, podczas gdy April pobiegła na pierwsze piętro po jakąś szminkę.

— Nie dotykaj niczego rękami! — przypominała April. — Weź tę ścierkę z kuchni. O, tak! — Na ostrzu noża wielkimi literami napisała „Ostrzeżenie!” Potem, biorąc nóż ostrożnie przez ścierkę, ustawiła na kominku tak, że ostrzem wskazywał kwiat geranium. — A teraz — powiedziała — uciekajmy!

Wyszły przez kuchnię i ogród warzywny. W krzakach po drugiej stronie willi słychać było ciężkie kroki. Z oddali dolatywał już żałosny jęk syreny. W momencie, gdy dziewczynki przekraczały granicę własnego terytorium, April wsadziła palec do ust i zawyla jak kojot. Na ten zew natychmiast zjawił się Archie.

— Archie — powiedziała April — zwołaj tu Bandę Ale migiem!

— Przez telefon? — spytał Archie.

— Nie. Alarm!

— Już się robi — odparł Archie i pakując dwa palce do ust gwizdnął przeraźliwie, na przemian długimi i krótkimi sygnałami. Nie upłynęła minuta, a odezwały się zewsząd gwizdki w odpowiedzi. — Chłopaki zaraz tu będą — oznajmił Archie.

Syrena policyjna jęczała coraz głośniejsze, coraz bliżej. Lecz Banda okazała się szybsza od policyjnego samochodu. A przynajmniej większość Bandy przybyła wcześniej. April dokonała błyskawicznego przeglądu oddziału: brudne płócienne spodnie, podarte swetry, zmierzwione czupryny. Wszyscy wyglądali mniej więcej jednakowo i wszyscy byli podobni do Archiego jak dwie krople wody. Wytłumaczyła im zadanie.

Banda zrozumiała w lot. Wraz z trójką Carstairsów gromada chłopców znalazła się na tyłach domu w tym samym momencie, gdy głos syreny zamierał, a samochód hamował u wjazdu.

Dina sypnęła płatków mydlanych do miski, nalała gorącej wody; April zgarnęła ze stołu brudne talerze do zmywalni i chwyciła jakąś ścierkę. Archie z kamratami już grał w kamyki na dziedzińcu.

Trzy minuty upłynęły, nim na ścieżce koło domu zadudniły ciężkie kroki i rozległy się gniewne głosy.

— ... Powiadam wam — mówił drżącym z wściekłości głosem Bill Smith — że to jest to samo miejsce, gdzie wczoraj wpadłem w tę cholerną pułapkę, zastawioną przez...

— Ależ tam pełno połamanych gałęzi! — odpowiedział McCafferty.

— Pewnie! Ja właśnie je połamałem — rzekł Bill Smith. — Runąłem przecież na nie!

W tonie młodego policjanta brzmiało rozżalenie.

— Ależ to miało wszelkie pozory... A ten chłopczyk mówił...

Do rozmowy wmieszał się głęboki baryton sierżanta O'Hare:

— Gdybyś ty, McCafferty, wychował własnych dziewięcioro...

Lecz Bill Smith już walił pięścią w drzwi kuchenne. Otworzyły mu dziewczynki, Dina z rękami w mydlinach, April z półmiskiem w jednej, a ścierką w drugiej ręce.

— Ach, to pan! — zaszcebiotała April. — Dzień dobry! Pozwoli pan filiżankę kawy? Właśnie myślałyśmy o panu.

— Za kawę dziękuję — rzekł Bill Smith. Kipiał wręcz ze złości. — Proszę mi powiedzieć natychmiast...

— Psss! — syknął zgoła niedyskretnie sierżant O'Hare. — Pozwól, że ja się z nimi rozmówię. Bądź co bądź ja... — Sierżant odchrząknął i wystąpił naprzód: — Dzień dobry, panienczki!

— Ach, pan kapitan O'Hare? — ucieszyła się April. — Jakże to miło z pana strony! Jak się pan miewa?

— Sierżant, sierżant, panienczko — poprawił O'Hare. — Miewam się doskonale. A ty?

— Świetnie — odparła April. — Wygląda pan wspaniale!

— Ty także ślicznie wyglądasz — odwzajemnił komplement sierżant.

— Słuchaj — szepnął porucznik Bill Smith — dość tej operetki!

Sierżant O'Hare odsunął porucznika łokciem i ciągnął dalej rozmowę.

— Moja panienczko, mam pewne bardzo ważne pytanie i wiem, że, ty mi odpowiesz szczerą prawdę, bo to nikomu nie zaszkodzi, a nam bardzo pomoże.

April wpatrywała się w niego niewinnymi oczyma.

— Więc powiedz mi, kochaneczko — podjął słodkim głosem sierżant O'Hare — gdzie był twój braciszek przez ostatnią godzinę?

— Archie? — wyrzekła April zdumiona i zaskoczona. Ścierka omal nie wypadła jej z rąk. Potem niewinnie, przekonująco i zupełnie zgodnie z prawdą odparła: — Archie nam pomagał. — I zaczęła wycierać półmisek do blasku.

Odsuwając na bok sierżanta, Bill Smith spytał:

— Pomagał wam? W czym?

Z kolei zabrała głos Dina, manifestacyjnie gestykulując mokrymi rękami i ociekającym mydlinami zmywakiem.

— Ach, wiem, że nie powinnyśmy go brać do tych robót, to przecież chłopak, nie ma obowiązku pomagać przy gospodarstwie, ale tyle było pracy, nie wiedziałyśmy, od czego zaczynać, bo trzeba i pozmywać, i opróżnić wiadro ze śmieci, i spalić papiery z kosa, i wystawić na drogę blaszany kubek z odpadkami, i wysypać proszkiem podłogę na ganku od kuchni...

Bill Smith popatrzył najpierw na nią, a potem na strapionego policjanta.

— Zdaje się, że spałeś i miałeś złe sny — rzekł zimnym tonem.

McCafferty potrząsnął głową.

— Powiadam, jak było, panie poruczniku — mówił z nieszczęśliwą miną. — Czuwałem w willi i robiłem, co mi kazano, kiedy ten chłopiec przybiegł z krzykiem, okropnie wzburzony, że w krzakach kogoś zamordowano. Cóż miałem zrobić?

— Oczywiście, musiał pan wdrożyć śledztwo — odezwała się April.

— Bądź łaskawa nie wtrącać się w te sprawy — powiedział Bill Smith.

— No, a krzaki rzeczywiście były połamane i stratowane. A kiedy już telefonowałem na posterunek, chłopiec powiedział mi jeszcze o jakimś nożu tkwiącym w pniu drzewa i o trupie podziurawionym kulami. Co miałem zrobić? Postąpiłem zgodnie z regulaminem: zareagowałem natychmiast.

— Jeśli zareagujesz podobnie choć raz jeszcze — rzekł Bill — odeślę cię błyskawicznie z powrotem do regulowania ruchu ulicznego. — Bill Smith spojrzał na April i Dinę.

— Gdzie jest teraz wasz brat?

Dziewczęta patrzyły mu w twarz z tępych wyrazem oczu. Dina wyjrzała na dziedzińiec, gdzie Banda grała w kamyki.

— Był tu przed chwilą — powiedziała.

— Zeszedł pewnie do piwnicy, żeby oczyścić piec z popiołu — dodała April tak głośno, by słowa jej dosłyszano w najodleglejszym kącie podwórka. — Albo pobiegł po kartofle. Albo...

— Mniejsza z tym — przerwał jej Bill Smith. — Czy jesteście pewne, że przez cały czas wam pomagał?

— Od śniadania bez minuty przerwy — prawdomównie stwierdziła Dina.

Bill Smith z ciężkim westchnieniem zwrócił się do zatroskanego młodego policjanta.

— Może któryś z tych chłopców... — rzekł i wyszedł na podwórko. Za nim ruszył O'Hare i McCafferty. Dina zaś i April śledziły rozwój akcji z progu kuchni.

McCafferty długą chwilę przyglądał się członkom Bandy, wreszcie, krzywiąc się smutnie, rzekł:

— Wszyscy kubek w kubek do siebie podobni. Bo ja wiem, może ten? — I palcem wskazał Slukeya.

Bill Smith zmierzył Slukeya srogim wzrokiem i spytał.

— Czy to ty?

— Słowo daję, nie ja! — odparł Slukey. Niedawno postradał frontowy ząb w chlubnej walce, wskutek czego seplenił mocno. — Zrestą syba była jus pęknięta, zanim zuciłem kamień.

— Zdaje się, że to rzeczywiście nie on — powiedział McCafferty i zaczął bacznie przyglądać się Admirałowi.

— Gdzie byłeś przez ostatnią godzinę? — zagadnął Admirala Bill Smith.

Admiral zbladł i odmówił wszelkich zeznań. Wreszcie sierżant O'Hare, odprowadziwszy go na stronę i przyparłszy do muru, wydobył zwierzenie. Admiral nie miał sióstr, matka jego nie miała żadnej pomocy, ktoś więc musiał zmywać po śniadaniu talerze, gdyby jednak Banda dowiedziała się o tej hańbie...

Sierżant O'Hare przyrzekł solennie, że Banda nigdy nie pozna kompromitującej prawdy.

Goony, jak się okazało, załatwiał sprawunki dla babci. Pinhead strzygł trawnik pani Cherington. Flashlight grał gry na fortepianie. Wormly podlewał ogródek. Cała Banda jak jeden mąż wykazała się solidnym, niewzruszonym alibi. Najmłodszy i najmniejszy spośród jej członków zamknął śledztwo pytaniem:

— Czy panowie są naprawdę policjanci? Bo ja zbieram autografy...

— Wszyscy kubek w kubek do siebie podobni — powtarzał McCafferty.

— Dajmy temu wreszcie spokój — powiedział znużony Bill Smith. — Chodźmy do roboty.

Wszyscy trzech policjanci ruszyli ścieżką pod oknami kuchni. Lecz w tym samym momencie z czeluści piwnicy wyłonił się zasapany Archie taszcząc olbrzymi kosz, do połowy napełniony popiołem drzewnym. Popiół gęstą chmurą unosił się nad koszem i oblepiał twarz oraz włosy chłopca.

— Halo! — zawołał Archie, zdyszany, lecz wesoły.

Na widok sierżanta O'Hare wspomniawszy chytry podstęp, jakim ten grubas usiłował skłonić go do zdrady sekretów rodzinnych, i postanowił odpłacić mu z nawiązką. Energetycznie stuknął koszem o ziemię tuż u stóp sierżanta. Obłok pyłu wystrzelił gwałtownie w powietrze, tak że piękny granatowy garnitur sierżanta posiwił w mgnieniu oka.

— Ojej! — krzyknął Archie. — Strasznie przepraszam! — I pędem, wymijając policjantów, wpadł między Bandę krzycząc: — Hura!

Wormly zorientował się momentalnie w sytuacji i spytał głośno:

— Długo jeszcze będziesz siedział w tej piwnicy?

— Licho wie — odparł Archie. — Popiołu do diabła i troszkę. Jeszcze chyba potrwa drugą godzinę.

Nie wyjaśnił oczywiście, że pierwszą godzinę spędził na wynoszeniu popiołu tydzień temu. Z tym drobnym zastrzeżeniem słowa jego nie mijały się z prawdą.

— Bubrurawuwo bubruracucie! — cichym głosem wyraziła mu uznanie April.

Sierżant O'Hare chwycił Archiego za kołnierz i przywłókł przed oblicze McCafferty'ego.

— Czy to ten? — spytał.

McCafferty w skupieniu przyjrzał się umazanej popiołem twarzy, skudłonej czuprynie i strzępom swetra, który Archie wskrzesił w piwnicy ze skrzyni na szmaty.

— Nie — oświadczył po namyśle. — Wcale niepodobny do tamtego.

— No, to chodźmy — rzekł O'Hare. — Szkoda czasu na głupstwa. Nie przejmuj się na przyszłość wybrykami dzieciaków. Możesz mi wierzyć, wychowałem własnych dziecięciuro.

Po czym oddalili się wraz z nieszczęsnym McCaffertym w stronę sąsiedniej willi.

— Ciekawam, jak się najstarszy z tej dziewiątki uchował — powiedziała April.
Dina zaśmiała się i wezwała Bandę na ganek.

— Ej, chłopaki, macie tu resztkę lodów i pół tortu z wczorajszego przyjęcia. Ale jeść musicie tu, na ganku.

Banda w mig rozsiadła się na kuchennym ganku.

— To się opłaciło — wyjaśniła Dina siostrze, rozdzielwszy lody między chłopców.
— Inaczej Archie poszedłby do więzienia.

— Poczciwa stara Banda! — westchnęła April wieszając ścierkę na kołku. — A tute-
rurazuz dudo dzudziełuła! Zbadajmy sekrety prywatnego życia nieboszczki Flory San-
ford, zanim się na nowo pupiekukłuło rurozuzpupętuta.

Dina wypłukała zmywak i rozwiesiła go porządnie na kołku nad zlewem.

— Rurozuzpupętuta się na pewno — powiedziała w zadumie — jak policjanci za-
uważą lewe oko wuja Herberta.

ROZDZIAŁ 13

Zamknęły się na klucz w swoim pokoju i wysypały na łóżko Diny zawartość grubej płóciennej koperty: listy, notatki, dokumenty, wycinki z gazet. April na chybił-trafił wybrała jakiś wycinek.

— Spójrz, Dino, na tę fotografię! — zawołała.

Fotografia przedstawiała mężczyznę w średnim wieku, bardzo przystojnego, w mundurze wojskowym. Nad fotografią nagłówek brzmiał:

„Skazany przez sąd wojskowy”.

Pod fotografią nazwisko: pułkownik Charles Chandler.

— Nie pojmuję — rzekła Dina. — Kto to jest?

— Przyjrzyj się uważnie — powiedziała April. — Wyobraź sobie tę twarz z siwymi włosami i małą bródką.

— Ach! — zawołała Dina. — Pan Cherington!

— Tak jest: Carleton Cherington III — uroczyście obwieściła April.

Dina patrzyła na nią oszołomiona.

— To nie ma sensu. Cóż on takiego zrobił?

April przebiegła szybko wzrokiem całą wzmiankę.

— Ukradł moc pieniędzy. Piętnaście tysięcy dolarów. Stało się to pięć lat temu, sądząc z daty gazety. W pierwszej chwili wmawiał, że kasa w biurach sztabu została okradziona przez włamywaczy, ale potem okazało się, że to on wziął te pieniądze, nie wiadomo na co, bo nigdy ich nie znaleziono. Sąd wojskowy wykluczył go z armii.

Wzięła do ręki drugi wycinek, przyczepiony do pierwszego:

— Aresztowano go i uwięziono. Wyrok: cztery lata. Tu piszą o nim takie różne historie, że chlubnie skończył szkołę wojskową w West Point i odznaczył się bohaterstwem na froncie podczas wojny światowej i że ojciec jego był szanowanym oficerem, itd.

— Cztery lata? — zastanawiała się Dina. — Ależ oni mieszkają tu już bez mała od trzech lat!

— Poczekaј chwilczkę — rzekła April czytając trzeci i ostatni wycinek, bardzo krót-

ki. — Wypuszczono go na słowo z więzienia.

— Aha — zrozumiała Dina. — I wtedy zmienił nazwisko, i tutaj się osiedlił. Nazwisko zresztą wybrał sobie piękne!

— To już na pewno wymyśliła ona: pani Carleton Cherington III! — wydeklowała April. — Ale widzisz, nie porzuciła męża w nieszczęściu. Ciekawam, co zrobił z tymi pieniędzmi.

— Wydał pewnie dawno — rzekła Dina.

— Na co? — spytała April. — Proszę cię, użyj tego, co przez grzeczność nazywamy w rodzinie twoją inteligencją. Zamieszkali tu zaraz po zwolnieniu go z więzienia. Nie mogli przez ten czas wydać takiej sumy. Domek wynajęli małeńki i skromny. Założę się, że nie wydają na siebie dwóch tysięcy rocznie. Ona chodzi wiecznie w tych samych starych sukniach. Nie najmują sprzątaczkę nawet raz na miesiąc. Jedyłą ich rozrywką jest hodowla pięknych róż.

— Może musiał spłacić długi karciane? — powiedziała Dina.

— On? — krzyknęła April. — Pan Cherington? Czyli pułkownik Chandler... Czy tak wygląda karciarz?

— No, nie — zgodziła się Dina. — Nie, nie mam pojęcia, na co mógł wydać taką sumę. I wiesz, April, w głowie mi się nie mieści, żeby ten uroczy starszy pan...

— Nie jest wcale stary — powiedziała April. — Przyjrzyj się tej fotografii. Pięć lat temu nie miał pięćdziesięciu lat. — Zmrużyła oczy. — Jest tylko jedno wytłumaczenie zagadki tych pieniędzy: pani Sanford szantażowała go.

— To wydaje się logiczne — rzekła Dina. Patrząc na stos papierów rozrzuconych na kołdrze, dodała: — Bierzmy się do roboty, April, nie możemy tu siedzieć nad tym do wieczora.

Prawie wszystkie notatki, listy i wycinki naznaczone były u góry nazwiskiem, wypisanym niebieskim atramentem, drobnym, ostrym charakterem. April wybrała, paczkę opatrzoną nazwiskiem Desgranges.

Mała kolekcja, poświęcona Pierre'owi Desgranges, składała się z kilku listów podpisanych imieniem Joe, a w nagłówku adresowanych: „Kochana Floro!” Było w nich mnóstwo osobistych, błahych wzmianek, jak: „Cieszę się, że odezwałaś się do mnie znowu...”, „Jak się bawiłaś w Kalifornii?”, „Czy pamiętasz doskonały koniak u Raviela?”, „Czy wciąż jesteś zadowolona ze swego małżeństwa?”, „Czy nie zapomniałaś uroczego wieczoru spędzonego w Coney Island?” Listy pisane były na firmowym papierze jednego z nowojorskich czasopism.

Bez trudu jednak można było wybrać zdania, odnoszące się do Pierre'a Desgranges, ponieważ ktoś podkreślił je wszystkie grubo niebieskim atramentem.

„...Tajemniczy artysta, o którym wspominasz, mógłby być, sądząc z rysopisu, Armandem von Hoehne, który przed paru laty nielegalnie dostał się zza granicy do naszego kraju

i jest odtąd daremnie poszukiwany przez policję... Jeśli to on, nic dziwnego, że podaje się za Francuza. Miał bowiem matkę Francuzkę i wychował się w Paryżu. Uzbieraliśmy sporo danych o nim z okresu poprzedzającego jego zniknięcie z horyzontu. Proszę, napisz mi wszystko, czego się o nim dowiesz, może będzie sensacyjny reportaż dla gazety...

W drugim liście: „...jeżeli ten Desgranges jest Armandem von Hoehne, to ukrywa się nie przed F.B.I., lecz przed agentami nieprzyjacielskimi, którzy go poszukują od dawna, mając rozkaz sprzątnąć tego człowieka. Jeśli to on, miał powody, by zapuścić brodę”.

W następnym z kolei: „...tak, von Hoehne rozporządza dość znacznymi pieniędzmi. Wiadomo, że uciekając z Europy wywiózł cenną, biżuterią odziedziczoną po matce...”

Potem znów: „...Nie, fotografii tego von Hoehne nie posiadamy, lecz można go zidentyfikować po znaku szczególnym. Ma mianowicie na lewym przedramieniu długą, skośną bliznę, od łokcia do napięstka, ślad po pojedynku. Napisz mi koniecznie zaraz, gdyby ten Desgranges okazał się poszukiwanym Armandem von Hoehne. Byłoby to dla gazety wielkim sukcesem, gdybyśmy pierwsi rozwiązali zagadkę...”

Wreszcie: „...Szkoda, że ten artysta nie jest, jak stwierdziłaś, Armandem von Hoehne! Straciłem sensacyjny reportaż! Ale skoro nie ma blizny na ramieniu, to rzecz oczywista, podejrzewaliśmy go niesłusznie”.

April oderwała się od listów i powiedziała:

— Pierre Desgranges usiłował dostać się do willi nazajutrz po śmierci Flory Sanford. Czy widziałaś go kiedy z zawiniętymi rękawami, Dino?

— Nie — odparła Dina — ale przecież...

— Jasne jak słońce — rzekła April. — Pierre Desgranges jest Armandem von Hoehne ukrywającym się przed agentami nieprzyjacielskimi, którzy go postanowili zabić. Flora Sanford wykryła jego tajemnicę. Dowiedziała się też, że on ma pieniądze.

— A gdy pieniądze wyczerpały się — dokończyła Dina — zagroziła, że go zdradzi. Wtedy on ją zastrzelił.

— To okropne! — westchnęła April. — Musiał wiedzieć, że pani Sanford ma jakieś dowody na piśmie, wystarczające, by go skompromitować. Inaczej nie starałby się wśliznąć do willi po morderstwie. Jeżeli to on ją zabił, gotów był na wszystko, byle znaleźć i zniszczyć te papiery. Na pewno nie zawahałby się przed podpaleniem domu. Morderstwo nie miałooby sensu, gdyby nie pozbył się dzięki niemu dokumentów, grożących mu zdemaskowaniem.

— Pewnie masz rację — powiedziała Dina. — Ale nie mogę sobie wyobrazić tego miłego, łagodnego człowieka w roli mordercy.

— Ma na przedramieniu bliznę po pojedynku — przypomniała jej April.

— Tak przypuszczasz?

— Polegaj na mnie — zapewniła April. — Już ja to sprawdzę.

— Jakim sposobem? — spytała Dina.

— Jeszcze nie wiem — odparła April. — Ale coś wymyślę.
Dina odłożyła paczkę papierów dotyczących Desgranges'a na łóżko.
— A więc miałam rację — rzekła. — Pani Sanford była szantażystką!
— I doszłaś do tego samodzielnie! — stwierdziła April. — Co za geniusz! — Chwilę wahała się, czyby nie powiedzieć siostrze o tym, że ona też zgadła trafnie, i o historii Ruperta van Deusen. Postanowiła jednak zamilczeć.
— To takie dziwne — powiedziała Dina. — Przecież mieszkała od lat tuż koło nas...
— Każdy mieszka tuż koło kogoś — odparła April. — Przestań się rozczulać nad nią z tego tylko powodu, że ją zamordowano. Nie ma dnia, żeby kogoś nie zamordowano. Kiedyś szukałam dla mamusi danych statystycznych w „Almanachu świata” i dowiedziałam się, że w 1940 roku zginęło z rąk morderców osiem tysięcy dwustu ośmiu ludzi w samych Stanach Zjednoczonych. A cóż dopiero na całym świecie! Pomyśl, ile wobec tego ludzi ginie w ten sposób każdego dnia!
— Mogłabym wyliczyć dokładnie, gdybym miała ołówek i kawałek papieru — rzekła Dina.
— Mniejsza z tym — prędko odparła April. — Ale przestań się martwić śmiercią pani Sanford. Wiesz przecież, jaka była zła.
— Wiem — powiedziała Dina i zadrżała ze zgrozy.
— Pamiętasz, jak nas wypędziła, kiedy prosiłyśmy grzecznie o kilka narcyzów do ustrojenia tortu dla mamy na urodziny?
— A pamiętasz, jak nam groziła, że wezwie policję, kiedy Archie wbiegł na jej trawnik w pogoni za Hendersonem? — spytała Dina.
— Spacerowała zawsze w pięknych strojach i poetyczna niczym lilia — dodała April. — Ale mamusia mówiła, że pani Sanford ma taki oryginalny kolor włosów tylko dzięki kosztownej sztuce fryzjerskiej.
— No, wiele kobiet rozjaśnia sobie włosy — zaprotestowała Dina. — To już trzeba Florze Sanford przyznać, że była bardzo ładna, chociaż za szczupłą i jakby chorowita.
— Założę się, że pan Desgranges nie uważał jej za ładną! — powiedziała April. — Ani pan Cherington. Ani — tu April podniosła jeden z wielu dokumentów w górę — ani ten gość...
„Ten gość”, jak się okazało, był niewinnym z pozoru kierownikiem firmy handlowej, właścicielem małej willi, mężem i ojcem kilkorga drobnych dzieci. Niestety, miał drugą żonę w Rock Island, w stanie Illinois. Poślubił tę dwudziestodziewięcioletnią kobietę mając lat dwadzieścia jeden i żył z nią tylko przez sześć tygodni. Ponieważ nie miał pieniędzy na koszty rozwodowe ani na płacenie alimentów, kobieta zaś pracowała jako kelnerka w jakiejś knajpie i zarabiała dość dobrze — nie przeprowadził formalnie rozwodu, wyjechał po prostu i zmienił nazwisko.
Znalazły się też w papierach Flory Sanford dokumenty obciążające lekarza wiejskie-

go, który sfałszował świadectwo zgonu, by stara wdowa nie utraciła praw do odszkodowania, ponieważ towarzystwo ubezpieczeń odmawiało wypłat w razie samobójstwa.

Była pokaźna paczka niedyskretnych listów pewnej znanej w towarzyskich kołach damy, której fotografią nieraz dziewczynki widywały w dodatku niedzielnym Times'ów, a która za nic nie chciała, by wydało się, że jej matka służyła jako pokojówka w nędznym hoteliku w Cincinnati.

Był dokument stwierdzający, że pewna niemłoda już nauczycielka języka angielskiego, zatrudniona w bardzo purytańskim zakładzie wychowawczym dla pańienek, została kiedyś przyłapana przez lotny patrol policyjny w speluncie nielegalnego hazardu, gdzie weszła, w naiwności ducha mniemając, iż to przyzwoita restauracja.

— Pani Sanford nie gardziła masową produkcją — stwierdziła April. Przerzuciła papiery i wyciągnęła mną paczkę listów. — O, tu mamy coś ciekawszego.

Odczytała list, pisany fioletowym atramentem na papierze firmowym drogiego nowojorskiego hotelu.

Kochana Floro!

Miałaś rację w swoich przypuszczeniach co do tego ponurego adwokata Holbrooka. To jego córka! O ile jednak mogłam zbadać sprawę, stary wolałby umrzeć niż przyznać się w swoim rodzinnym mieście do tej latorośli. Musi mieć bzika, bo ja na jego miejscu czułabym się dumna z takiej córki. Kiedy tańczy ten swój numer, ubrana w trzy pawie pióra i sznurek pereł, publiczność zrywa się z miejsc i oklaskuje ją entuzjastycznie. A jak zarabia! Gdyby jej roczny dochód ułożyć dolar przy dolarze, mielibyśmy łańcuszek nie krótszy niż rewia floty atlantyckiej. Ludzie bywają rozmaici, ten jej tata pewnie się gorszy, że zmieniła już trzech mężów, ale moja droga, jakże kobieta może zdobyć doświadczenie, póki nie nauczy się czegoś na własnych błędach! Może też nie podoba się staremu rozgłos, jaki sobie zdobyła, ale moim zdaniem każda reklama dobra, jeżeli przyciąga tłum na widownię i forszę do kasy. Mam nadzieję, Floro kochana, że tych parę informacji umożliwi Ci zmuszenie faceta do zajęcia się bezpłatnie Twoimi interesami prawnymi. Bardzo, bardzo dziękuję za dziesięć dolarów, które mi przysłałaś, przydały się ogromnie! Mam nadzieję, że czujesz się dobrze?

Twoja Vivienne

— Pan Holbrook! — krzyknęła Dina. — Któż by to pomyślał! Więc on ma córkę, która tańczy ubrana w trzy pawie pióra i sznurek pereł! Ten świątobliwy pan Holbrook! Przecież on kiedyś surowo zgromił Archiego za to, że gwizdał w niedzielę. Natknął się na niego wyjeżdżając z bramy pani Sanford...

— Nigdy nic nie wiadomo! — uroczyście oświadczyła April.

Wzięła następny list, również pisany fioletowym atramentem i na hotelowym papierze.

Kochana Flo!

Zrobiłam wszystko tak, jak sobie życzyłaś. Zwróciłam się do niej powołując się na dawną znajomość, bo występowałyśmy kiedyś w tej samej rewii w Maryland, jakkolwiek wtedy ona była chórzystką, a ja primadonną... Tak, tak! Kiedy więc dostałam się do niej, powiedziałam to, co chciałaś: że jej stary ojciec jest chory, nie wiadomo, czy odzyska zdrowie, marzy o jakiejś wiadomości od córki. Powiedziałam, że wiem o tym od pewnej wspólnej jego i mojej przyjaciółki, że ta osoba podejmie się pośrednictwa, więc trzeba do niej przesłać tych kilka słów, przeznaczonych dla staruszka. Uwierzyła od razu, nawet się rozplakała i napisała od ręki liścik, który Ci przesyłam wraz z kopertą zaadresowaną do pana Holbrooka, tak jak poleciłaś. Dziękuję Ci z całego serca za tę setkę, bardzo potrzebuję pieniędzy, bo muszę leczyć zęby, tym bardziej że zrobiłaś mi nadzieję na tę rolę w Hollywood. Dbaj o swoje zdrowie, Flo kochana, i daj mi znać możliwie prędko, czy dostanę tę rolę.

Vivienne

Do tego listu przypięta była koperta adresowana do pana Henryka Holbrooka. Wewnątrz list tej treści:

Tatusiu najukochańszy!

Dowiedziałam się przed chwilą, że jesteś chory. Błagam Cię, wyzdrowiej jak najprędzej! Przebacz mi wszystkie troski, jakich Ci przyczyniłam. Doprawdy, będziesz jeszcze kiedyś dumny ze mnie. Nigdy nie popełniłam i nie popełnię nic takiego, byś musiał się za mnie wstydić, daję Ci na to słowo! Wróć szybko do zdrowia, bo może już wkrótce zostanę prawdziwą gwiazdą w prawdziwym teatrze, a wtedy Tatusz przyjdzie na premierę i będzie mnie oklaskiwał!

Twoja szczerze kochająca córka B.

Następny list, jak dwa pierwsze pisany fioletowym atramentem, brzmiał:

Kochana Flo!

Rzeczywiście szkoda, że nie podpisała całym imieniem i nazwiskiem, ale skąd miałam wiedzieć, że Ci na tym zależy? A zresztą, nie śmiałybym żądać zmiany, skoro podpisała inicjałem. Nie gniewaj się na mnie, Flo kochana, robię przecież, co mogę, i staram się we wszystkim po koleżeńsku Ci dopomagać. Dałam jej list, który przysłałaś, rzekomo ręką ojca

pisany, z prośbą o fotografię i autograf. Rozplakala się ze wzruszenia. Korzystając z zamętu, sama wybrałam fotografię i wetknęłam jej pióro do ręki, ona zaś podpisała tym razem prawdziwym nazwiskiem. Przesyłam Ci tę fotografię w załączeniu. Flo kochana, gdybyś mogła pożyczyć mi kilka dolarów, byłabym nieskończenie wdzięczna, bo miałam w ostatnich tygodniach masę nieprzewidzianych wydatków.

*Zawsze oddana
Vivienne*

April odwróciła kartkę, odczepiła przypiętą fotografię i gwizdnęła z wrażenia.

— Ależ babka!

Fotografia była podpisana: Harriet Holbrook.

— Gdyby pan Holbrook ją zobaczył — rzekła Dina — padłby chyba trupem!

— Sądzę, że ją widział — powiedziała April. Na twarzy jej malowało się oszołomienie. — Musiał mieć pewność, że pani Sanford ukryła te dowody. Dlatego po jej śmierci usiłował włamać się do willi. Za nic nie chciał, żeby świat dowiedział się, iż jego córka tańczy, mając za cały strój kilka pawich piórek i garść perełek.

— Są dalsze listy — zauważyła Dina odkładając na bok fotografię.

Było kilka bilecików, pierwsze z nich pisane tym samym atramentem, następne innym, lecz wszystkie identycznym, nieco rozlazłym charakterem. Wszystkie też zawierały prośbę o pieniądze.

„...dentysta twierdzi, że muszę wstawić całą górną szczękę, to dosyć kosztowne, a wiesz przecież, że spodziewam się dostać rolę, bardzo Cię proszę o pożyczkę...”

„...obawiam się, że mój ostatni list do Ciebie nie doszedł, bo daremnie czekam na odpowiedź. Naprawę zębów będę musiała odłożyć na lepsze czasy, lecz zalegam od trzech miesięcy z opłatą za mieszkanie i wyznaczono mi ostateczny termin na najbliższy czwartek. Gdybyś mogła mi pożyczyć trochę pieniędzy, Flo, przez wzgląd na naszą starą przyjaźń, przyślij pocztą lotniczą, dzisiaj już mamy sobotę, sprawa jest paląca...”

Na żaden z tych listów, jak wynikało z ich treści, pisząca nie otrzymała odpowiedzi.

Ostatni, nagryzmolony ołówkiem na kartce taniego, liniowanego papieru, brzmiał:

„...jeżeli możesz, przyślij telegraficznie 25 dolarów. Adresuj do schroniska Armii Zbawienia...”

Kolekcję uzupełniał mały wycinek prasowy: wzmianka o samobójstwie niejakiej Vivienne Dange, ongi artystki operetkowej, która odebrała sobie życie w skromnym wynajętym pokoiku.

Dina cisnęła paczkę papierów na łóżko. Była okropnie wzburzona.

— Więc taka była Flora Sanford! Kazała owej Vivienne spełniać nikczemną robotę, nadstawiać karku, zapłaciła jej za to ogółem... — tu Dina przerzuciła listy sprawdzając

rachunek — ...sto dziesięć dolarów, dodała obietnicę protekcji w Hollywood, z pewnością zresztą kłamliwą, a potem, kiedy już dzięki tej nieboraczkce dowiedziała się wszystkiego, co jej było potrzeba, nie raczyła nawet odpowiadać na listy!

— Opanuj się, Dina! — uspokajała ją April. — Zbudzisz mamusię.

— Nie mogę! — odparła Dina. — Jak pomyślę o tej Vivienne, o panu Holbrook, o panu Desgranges, wszystko się we mnie gotuje!

— Uspokój się — rzekła April — mamy jeszcze sporo papierów do przejrzania.

Dina raz jeszcze parsknęła gniewnie i wreszcie ucichła.

April wybrała następną paczkę dokumentów do zbadania. Na wierzchu przypięta była fotografia formatu 8 na 10, błyszcząca odbitka zdjęcia, zrobionego prawdopodobnie przy magnezji i niespodzianie dla fotografowanych osób. Do fotografii przyczepiono kilka wycinków z prasy. April przyjrzała się i oddała zdjęcie Dinie mówiąc:

— Patrz!

— Pan Sanford! — szepnęła zdumiona Dina.

— I czarująca dziewczyna — dodała April.

Fotografia przedstawiała uliczkę na tyłach teatru, przed wyjściem dla aktorów. Walie Sanford był w smokingu, piękna dziewczyna w wieczorowej jasnej sukni i narzuconym na nią futrze. Miała długie ciemne loki i śliczną młodziutką twarz. Oboje wyglądały jak młoda wytworna para spiesząca na jakąś wieczorną zabawę, gdyby nie przerażony, zaskoczony wyraz twarzy.

Dina przeczytała wycinek z gazety.

CZY TAJEMNICZY PAN SANDERSON
BYŁ WSPÓLNIKIEM GANGSTERÓW, KTÓRZY
PORWALI BETTY LEMOE?

pyta Marian Ward

Przed dwoma dniami piękna Betty LeMoe zeszła ze sceny, na której zbierała huczne oklaski. Wywoływana przed kurtynę, wróciła raz jeszcze podziękować za brawa rozentuzjzmowanej publiczności. Potem udała się do garderoby, aby się przebrać i w całym blasku urody spotkać młodego wielbiciela, oczekującego na nią u wyjścia na tyłach teatru.

Garderobiana stwierdza, że Betty LeMoe stroiła się i malowała szczególnie starannie i była w jak najlepszym humorze. Wychodząc z teatru nucila wesoło, a wielbiciel powitał ją czule tuż za progiem. Szczęśliwa para szła wąską uliczką, gdy nagle jakiś samochód zatrzymał się tuż przy nich na skraju chodnika. Na oczach tłumnie wychodzącej z teatru publiczności, uzbrojony mężczyzna zmusił Betty LeMoe, by wsiadła do wozu. Towarzyszący jej młodzieniec zniknął w tłumie.

Rozmawiałam dzisiaj z garderobianą, która pomagała artystce przy przebieraniu się po spektaklu, oraz z odźwiernym, który przy drzwiach teatru pożegnał ją, kto wie, czy nie na zawsze. Oboje wymieniają nazwisko niejakiego „pana Sandersona”.

Ów pan Sanderson nieraz składał wizyty młodej artystce, przysyłał jej kwiaty i telefował do niej. Wydaje się niewątpliwe, że on właśnie towarzyszył jej tragicznego wieczoru w uliczce na tyłach teatru...

Reszta artykułu była oddarta. Drugi wycinek brzmiał tak:

POLICJA ŚCIGA WILLIAMA SANDERSONA
PODEJRZANEGO O WSPÓŁWINĘ
W ZABÓJSTWIE BETTY LEMOE

donosi Marian Ward

Policja pięciu stanów poszukuje Williama Sandersona, młodego agenta handlu nieruchomościami, zamieszanego prawdopodobnie w sprawę porwania i zamordowania Betty LeMoe.

Przez kilka tygodni, poprzedzających porwanie, William Sanderson dotrzymywał młodej aktorce towarzystwa w najkosztowniejszych lokalach nocnych i przysyłał jej cenne podarunki. Pracodawca Sandersona, pan J. L. Barker, zapytany oświadczył, że zarobki tygodniowe Sandersona nie przekraczały czterdziestu dolarów. Mimo to nie wykryto nadużyć w kasie firmy. Inspektor Joseph Donovan, który prowadzi śledztwo w tej sprawie, przypuszcza, że pieniądze na zabawy i prezenty otrzymywał Sanderson od gangsterów, planujących porwanie.

Sanderson zniknął natychmiast po uprowadzeniu artystki i dotychczas policja nie natrafiła na jego ślad...

— William Sanderson... — w zamyśleniu powtórzyła April. — Wallace Sanford. Nie wysilił zbytnio wyobraźni przy zmianie nazwiska.

— A cóż byś ty chciała? — spytała Dina. — Żeby się ochrzcił Acidofilusem McGillicudy? Zapewne miał znaczone ubrania i bieliznę, zachował więc te same inicjały. A poza tym, nie spodziewałam się, że jesteś tak straszliwą gapą. Czy nic nie zauważyłaś?

— Co miałam zauważyć? — spytała April.

— Kto pisał te artykuły? Marian Ward, patałachu!

— Ach! mamusia! — krzyknęła April. — To przecież jej dziennikarski pseudonim!

— I mamy tu coś więcej o niej — rzekła Dina, przerzucając papiery.

— Dawaj! — zawołała April chwytając list, podpisany imieniem uczynnego Joe

i opatrzony dopisanym u góry nazwiskiem: Carstairs.

Kochana Flo!

Tak, masz słuszość, Marian Ward, która pisała reportaże o sprawie porwania Betty LeMoe, i Marian Carstairs, którą poznałaś w Kalifornii, to ta sama osoba. Używała panieńskiego nazwiska Ward, gdy po śmierci męża dostała posadę w redakcji. Carstairs był zarynym chłopem! Znałem go dobrze. Marian później wyleciała z redakcji „Ekspresu” za to, że w dwa miesiące po zabójstwie Betty LeMoe oskarżyła w artykule policję o niedołęstwo, ponieważ nie wykryto sprawców czy chociażby podejrzanych w tej aferze. Odtąd wzięła się do pisania powieści detektywistycznych pod rozmaitymi pseudonimami. Kilka z nich czytałem, wcale niezłe. Dziwna rzecz, że nie napisała nic na temat porwania Betty LeMoe

Czy nie wybierzesz się w najbliższym czasie znów do naszego miasta?

Twój Joe

— Ten Joe wydaje się dość rozgarnięty — rzekła April z uznaniem, odkładając list. — Szkoda, że pomagał Florze w jej brudnych intrygach.

— Może robił to bezwiednie? — powiedziała Dina. — Myślał pewnie, że to zwyczajna przyjacielska korespondencja i towarzyskie ploteczki. Znali się widać dość powierzchownie, a pani Sanford w poszukiwaniu informacji pisywała do niego niewinne z pozoru liściki. Coś w tym rodzaju: „Poznałam uroczą sąsiadkę, panią Marian Carstairs, myślę, że to może ona pod nazwiskiem Marian Ward...”

April pokiwała głową w zadumie.

— A jak chytrze wyciągnęła z niego historię tego biednego pana Desgranges! — I nabierając tchu dodała: — Wiesz, pewnie w tym zeszycie „Prawdziwych spraw kryminalnych” była wzmianka o Marian Ward, dziennikarce wyrzuconej z redakcji za ostrą krytykę policji, i dlatego mamusia nie pozwoliła mi tego czytać.

— Bardzo prawdopodobne! — przyznała Dina i zmrużyła oczy. — Zabójstwo Flory Sanford ma coś wspólnego ze sprawą porwania Betty LeMoe. Pani Sanford przechowywała wszystkie wzmianki związane z tamtą aferą. Wyszła za Wallace’a Sanforda, czyli za Williama Sandersona. Frank Riley, podejrzany o udział w tamtej zbrodni, został zamordowany w jej willi wczorajszej nocy. Pani Sanford starała się też dowiedzieć, czy nasza matka jest tą dziennikarką, która interesowała się ongi tajemnicą Betty LeMoe.

— Jaki z tego wniosek? — spytała April.

— Taki, że jeśli mamusia... a raczej my w jej imieniu... wykryjemy zabójcę Flory Sanford, może tym samym rozwiążemy zagadkę śmierci Betty LeMoe i sensacja będzie niesłychana. Pomyśl, co za reklama dla mamusi!

— Panno Carstairs — powiedziała April z szacunkiem — pani jest doprawdy genialna!

— Dziękuję za uznanie, panno Carstairs! — odpowiedziała Dina. — Ale czytamy dalej. Może znajdziemy nowe poszlaki.

Następny list w paczce nie był podpisany i brzmiał tak:

Frank wychodzi na wolność w najbliższy wtorek, radzę Ci uważać. Może zwrócić się do ojca tej LeMoe. Przezornie zrobisz, jeśli wybierzesz się w dłuższą podróż.

Życzę powodzenia.

— To jest dowód — powiedziała Dina — że Flora Sanford była wmieszana w sprawę porwania Betty LeMoe.

— Wiedzieliśmy to i bez tego dowodu — odparła April. — Pewnie posłużyła się tym Rileyem jako wykonawcą, może zresztą innymi osobami także. Ale widać nie dostał zbyt wiele pieniędzy, skoro w rok później włamał się do banku, za co też poszedł do więzienia.

— Piętnaście tysięcy dolarów podzielone między liczną kompanię nie starczyło na długo — zauważyła Dina.

April wskazała na list.

— Frank Riley musiał mieć jakiś powód do urazy w stosunku do pani Sanford — stwierdziła.

Znalazły jeszcze list pewnej pielęgniarki, zatrudnionej jako dama do towarzystwa przy bogatej damie; pielęgniarka w słowach pełnych rozpaczliwej błagała, by pani Sanford nie zdradziła pracodawczyni, że przedstawione jej świadectwa były sfałszowane. Obiecywała, że jeśli zachowa tę dobrą posadę, będzie pani Sanford przysyłała każdy zaoszczędzony grosz... Były listy jakiegoś młodzieńca, który nie chciał, by jego krewni w jednym ze wschodnich stanów dowiedzieli się, że pracuje on jako barman. Były listy starszego urzędnika bankowego, ongi w innym mieście i pod innym nazwiskiem skazanego za sfałszowanie podpisu. Była wreszcie wyrwana z jakiegoś ilustrowanego pisma fotografia i życiorys wschodzącej młodej gwiazdki, Polly Walker, oraz parę jej listów.

Według tego życiorysu Polly, osierocona w dzieciństwie, wychowała się w wytwornym pensjonacie dla dziewcząt z najlepszych domów, a mając lat osiemnaście ruszyła na podbój publiczności Broadwayu i zacząwszy od małej rólki, wkrótce wybiła się do roli gwiazdy.

Pierwszy z załączonych listów pisany był na papierze poważnej firmy powierniczej.

Szanowna Pani!

Byłem rzeczywiście opiekunem Polly Walker do jej pełnoletności, czyli do przeszłego roku. Wdzięczny jestem, że poinformowała mnie Pani o krążących na temat mojej pupilki pogłoskach. Ufam, że zechce Pani zapobiec tym plotkom, wobec przyjaźni, jaką Pani oka-

zuje Polly...

— Ależ pani Sanford wcale nie była usposobiona przyjaźnie do Polly! — krzyknęła Dina. — Wręcz przeciwnie...

— Nie przerywaj, czytam dalej — powiedziała April.

Pogłoski te są, niestety zgodne z prawdą, jakkolwiek nie we wszystkich szczegółach. Ojciec Polly nie był skazany za zabójstwo swej żony, a matki Polly. Matka bowiem zmarła na zapalenie płuc, gdy Polly miała zaledwie roczek, a wówczas ojciec powierzył mi opiekę nad dzieckiem, nie chcąc, aby wzrastało z piętnem córki Bena Schwartz. Może pamięta Pani sławę tego króla szulerów i przemytników, który dzisiaj pokutuje w więzieniu Leavenworth, skazany na dożywotnią karę. Przed wyrokiem zdeponował w moich rękach cały majątek, jakim rozporządzał, na koszty wychowania i kształcenia Polly.

Mam nadzieję, że zechce Pani uczynić wszystko, co w Jej mocy, by nie dopuścić do rozpowszechnienia tych pogłosek i zachować smutną prawdę w sekrecie.

Mogłoby to nie tylko złamać karierę dziewczyny, lecz również zranić ją bardzo boleśnie, przypominając po tylu latach tragedię dzieciństwa...

Pod tym listem znalazły dziewczynki dwa krótkie bileciki na jasnoperłowym papierze.

Szanowna Pani!

Oczywiście, z przyjemnością odwiedzę Panią w poniedziałek o godzinie drugiej po południu

Polly Walker

Drugi bilecik:

Szanowna Pani!

Zdobyłam żadaną sumę i zgłoszą się z pieniędzmi w środę

Polly Walker

Dina i April spojrzały na siebie.

— W środę zamordowano panią Sanford — powiedziała Dina. — Polly odwiedziła ją po raz pierwszy na dwa dni przedtem. Pani Sanford pokazała jej list tego opiekuna i zaproponowała pewnie, że jej odprzeda ten kompromitujący dowód. A potem w środę...

— Nie, przecież pani Sanford już nie żyła, gdy Polly tutaj przyjechała — przypo-

mniała jej April.

Dina z westchnieniem pakowała listy z powrotem do wielkiej płóciennej koperty.

— Okropnie to wszystko zawikłane — powiedziała. — Jedna rzecz dziwi mnie szczególnie. Pamiętasz tego młodzieńca, o którym, pisano w gazecie?

— Franka Rileya? — spytała April.

Dina potrząsnęła głową przecząco.

— Nie, tego drugiego. Tego, który zgodnie z zeznaniami wiarygodnego świadka przyznał się, że go pani Sanford szantażowała, ale miał murowane alibi. Nazywał się Rupert van Deusen. Dlaczego w papierach pani Sanford nie ma nic, co by tego człowieka dotyczyło?

— Słuchaj, Dino — zaczęła April nabierając tchu. — Muszą ci wreszcie coś powiedzieć...

Nic więcej jednak nie zdążyła wyznać, bo w tym momencie rozległo się na dole energiczne pukanie do drzwi frontowych. Dina zerwała się z miejsca, wetknęła kopertę w worek na bieliznę i skoczyła ku schodom.

— Obudzą mamusię! — powiedziała.

— Archie jest na dole — uspokajała April biegnąc za siostrą.

Usłyszały skrzyp otwieranych drzwi wejściowych. U stóp schodów oczekiwał już Archie.

— Glina! — zameldował.

W progu stali porucznik Bill Smith i sierżant O'Hare, obaj zasapani i stroskani, a sierżant nawet bardzo blady.

— Gdzie jest wasza matka? — spytał Bili Smith.

— Matka śpi — odparła Dina. — Pracowała calutką noc i położyła się dopiero po śniadaniu.

— Ach tak! — powiedział oszołomiony Bill Smith.

— Słuchajcie no, panienki — wtrącił się O'Hare — czy byliście przez całe przedpołudnie w domu?

Obie dziewczynki skinęły głowami, Archie przyłączył się do zgodnego chóru:

— Nie wychodziliśmy za próg ani na chwilę!

— Może zauważyłyście... — Bill Smith urwał marszcząc brew. — Mamy powody przypuszczać, że ktoś obcy wałęsał się tu dzisiaj w okolicy. Ktoś dostał się do wnętrza willi Sanfordów. Czy nie słyszałyście, nie widziałyście nic podejrzanego?

Dina i April spojrzały najpierw po sobie, potem na policjantów.

— Żywego ducha tu nie było — zapewniła April. — Prócz panów nie widziałyśmy nikogo obcego.

Bill Smith otarł pot z czoła.

— No, trudno, dziękuję. Chcieliśmy sprawdzić...

Na odchodnym O'Hare powiedział do porucznika:

— Powiadam ci: to robota wariata. Nie ma innego rozwiązania tej zagadki.

April mrugnęła na Dinę. Dina stłumiła wybuch śmiechu. Archie podskakując zaczął się dopytywać.

— Że co, powiedzcie, że co?

— Nic ważnego — z godnością odparła April. — Ukłony od wuja Herberta.

ROZDZIAŁ 14

Ej, coście kupiły na prezent dla mamy? — wrzasnął Archie witając siostry powracające z miasta. — Ej, coście kupiły? Ej!

— Płyta mu się zacięła — stwierdziła April.

— Ej — powtórzył Archie — coście kupiły na Dzień Matki?

— Archie, nie hałasuj — upomniała brata Dina. — Czy kto do mnie telefonował?

— Nie — odparł Archie. — Ej, coście kupiły...

— Czy Pete nie dzwonił? — spytała Dina.

— Pete? Nie! — krzyknął Archie. — Ej, coście kupiły...

Dina była zdumiona.

— Przecież dzisiaj sobota — powiedziała. — Pete zawsze telefonuje do mnie w sobotę...

— Ej... — zaczął znowu te samą śpiewkę Archie.

— Czy nie było żadnych telefonów? — pytała April. — Nikt nie przychodził? Policja nie zgłaszała się? Nic nowego nie zaszło?

— Nie było telefonów — odparł Archie. — Nie było gliny. Nie było nowego morderstwa. Dom się żaden nie palił. Nic nie było. Ej, coście kupiły dla mamusi?

— Zaraz się dowiesz, bracie-wariacie — powiedziała April znudzona. — Kupiłyśmy dla mamusi książkę.

— Książkę? — Archie osłupiał. — Po co? Przecież mamusia sama pisze książki!

— Czasem też czyta — rzekła April.

— To zresztą jest specjalna książka — wyjaśniła Dina. — Obbleciałyśmy pół miasta, nim ją znalazłyśmy.

— Pokażcie! — dopominał się Archie.

Dina wyjęła z torby ozdobnie opakowaną paczkę.

— Zaglądać do środka nie wolno — oznajmiła. — Ekspedientka w księgarni zawinęła nam specjalnie pięknie tę książkę. Mamy też bardzo elegancki bilecik, na którym wypiszemy życzenia.

— O jędze! — westchnął Archie. — To mnie każecie w domu siedzieć i przyjmować wasze telefony, a same jeździcie sobie po mieście i kupujecie jakieś tam książki! Dobrze, dobrze, ja mam dla mamusi taki prezent, że wam oko zbieleje. Ale nie pokażę nikomu aż do jutra. Wam też nie pokażę!

— Bardzo ładnie! — pochwaliła April. — A co to jest?

— Nie powiem!

— Pewnie bukiet — zgadywała Dina.

— Wcale nie!

— Pewnie coś, co sam zmajstrowałeś — powiedziała April. — Domek dla ptaków albo podstawka do kalendarza na biurko.

— Nie! — odparł Archie z rozpromienioną miną.

— Mów, co chcesz — rzekła April. — To wszystko bujda, nie masz nic!

— Nie mam? — oburzył się Archie. — Chodź ze mną, to zobaczysz... — Zatrzymał się w porę. — Nie, nic nie zobaczysz. Nie dam się nabrać, nic ci nie pokażę.

— W porządku — obojętnie powiedziała Dina. — Nawet nie jesteśmy ciekawe. Ale jeżeli to jest drugi zółw, to radzę ci, zastanów się, bo Henderson nie będzie zadowolony z rywala.

— A jeżeli to jest jeszcze jeden słój z kijankami oświadczyła April — to ja wyprowadzam się z domu.

— Przypomnij też sobie, co się stało z białymi myszkami, które ofiarowałeś kiedyś mamie, i jak się Jenkins po nich oblizywał.

— Och, wstrętne dziewczyny! — parsknął ze złością Archie. — To nie jest zółw ani kijanki, ani myszy. To jest coś, co ja wiem, a wy się nie dowiecie aż jutro.

Był taki mały, umorusany, spocony i bronił się tak dzielnie, że Dina pogłaskała go po głowie, do reszty rujnując uczesanie.

— Cokolwiek to jest — powiedziała czule — mamusia na pewno się z tego szalenie ucieszy.

— Na pewno! — potwierdziła April i nie mniej czule pocałowała brata w nos.

— Nie liźcie mnie — krzyknął Archie, bez powodzenia udając obrazę.

Dina ukryła ozdobnie opakowaną książkę pod poduszką na kanapie. Po czym oznajmiła, że jest głodna.

Dwa głosy zgodnie odpowiedziały jej: „Ja też!” — i całe towarzystwo ruszyło do kuchni. Dina wyjęła ze spizarki chleb i masło kakaowe, Archie przyniósł mleko i słoik dżemu z lodówki, April wydobyła z za puszką na mąkę torbę frytek z kartofli, przechowywanych tam na czarną godzinę. Znalazł się też serek śmietankowy, resztką szynki, trzy banany, puszka oliwek i — niepojętym cudem ocalony — spory kawałek tortu.

— Pamiętajcie, że to tylko mała przekąska — upominała Dina smarując chleb masłem, serem i dżemem. — Wkrótce będzie obiad. April, proszę pokrajać tort na trzy

równe kawałki.

— Mnie, się należy największy — oświadczył Archie obierając banana i sięgając po garść oliwek. — Bo jestem najmniejszy i muszę urosnąć.

— Nie bądź świnia, Archie — powiedziała April oblizując z palców lukier.

— Co najwyżej jestem prosię — odparł Archie.

Posmarował chleb masłem, na to serem, na to dżemem, dodał plasterek szynki i ukoronował, to wszystko kawałkiem banana. Na wierzch wetknął jeszcze oliwkę ku ozdobie i jednym kęsem pochłonął dobrą ćwierć tak przyrządzonej kanapki.

— Prosię to też świnia — stwierdziła April. — I wyjmij natychmiast swoją prywatną łyżkę ze wspólnego dżemu.

— Nieprawda — powiedział Archie oblizując łyżkę.

— Prawda — powiedziała April.

— A jak nie wierzysz, sprawdź w encyklopedii i nie nudź — poradziła Dina.

Archie pobiegł po encyklopedię, April zaś do lodówki po następną porcję mleka, lecz przy tej sposobności odkryła zapomniane dwie butelki coca-coli. Trudziła się właśnie podziałem dwóch butelek na trzy równe porcje, gdy nadszedł Archie, kwaśny, ponieważ encyklopedia przyznała słuszność April, i zakwestionował sprawiedliwość podziału.

— Dinie naląłeś więcej niż mnie — stwierdził.

— Przestańcie się kłócić! — fuknęła Dina i zatkała bratu usta resztką lukru po torcie.

W pięć minut później na stole nie było ani okrucha, Archie zaś poszukiwał jabłek na dnie skrzynki z warzywami. Dina zgromadziła talerze i szklanki w zmywalni i płukała butelki po mleku.

— Słuchaj, April — rzekła po długim namyśle — jest pewna sprawa do załatwienia i ty ją załatwisz.

— Jeśli chodzi o wyniesienie puszek od konserw, to ani myślę — powiedziała April. — To jest robota Archiego.

— Losy całej rodziny ważą się na szali — powiedziała w przestrzeń Dina, spoglądając w okno — a moja siostra kłóci się o blaszane puszki! — Strzepnęła energicznie ścierkę i zwróciła się do April. — Słuchaj: pójdziesz do pani Cherington i poprosisz ją o różę do jutrzejszego bukietu dla mamusi.

April cisnęła swoją ścierkę na stół.

— I przy tej okazji — warknęła — spytam jej, czy to pan Cherington zabił Florę Sanford, ponieważ ona wiedziała, że ukradł piętnaście tysięcy dolarów z kasy pułkowej.

— No, wiesz! — oburzyła się Dina. — Nie namawiam cię do popełniania nietaktów!

— Jestem z natury nietaktowna — odparła April — ale tym razem postaram się zachować grzecznie. A jeśli pani Cherington zblednie i zmiesza się, a pan Cherington spojrzy na mnie zimno i wyniośle, co mam zrobić? Gwizdnąć na policję?

— April, ty się boisz! — podstępnie rzekła Dina.

— Wcale się nie boję! — zaprzeczyła April i oblała się rumieńcem. — Czy się bałam pójść do pani Cherington i poprosić o upieczenie tortu na zabawę Koła Rodzicielskiego?

— Ba, wtedy jeszcze nie przypuszczałaś, że to może pan Cherington zastrzelił Floreę Sanford — powiedziała Dina, wycierając ręce ścierką do talerzy. — Dobrze, lepiej pójdę tam sama.

— Nie, nie! — skwapliwie zawołała April. — Wrócę z różami i z dowodami rzeczowymi. Mogę wziąć z sobą kulę, którą znalazłyśmy w oku wuja Herberta, i sprawdzę, czy pasuje do rewolweru pana Cheringtona, jeśli on w ogóle ma rewolwer.

Ścierka wypadła z rąk Dinie.

— April! — krzyknęła. I z trudem chwytając znowu oddech, podniosła ścierkę. — Zupełnie zapomniałam o tej kuli.

— Może to być ważny dowód — rzekła April. — Kula, znaleziona na miejscu, zbrodni, często decyduje o sprawie. Jeżeli dowiemy się, z jakiego rodzaju broni pochodzi ta kula i kto w okolicy posiada taką właśnie broń...

— Załóż się ze mną, że ja się tego wszystkiego dowiem! — wrzasnął Archie. — Załóż się!

— Założę się z tobą, o co chcesz, że tego nie potrafisz się dowiedzieć — odparła April.

— Daj mi tę kulę! Przekonasz się!

— Jak to zrobisz? — spytała Dina.

Archie, dotknięty tą nieufnością, odpowiedział:

— Bardzo zwyczajnie. Zapytam policjanta. Oni się znają na kulach.

— I to nasz rodzony brat! — gorzko westchnęła Dina. — Taki chytry!

— Czekaj, Dino — przerwała jej April. — Może to nie jest najgłupsze. — Zwróciła się poważnie do brata: — Myślisz, że on się nie domyśli i, nie będzie czegoś podejrzewał?

— A ty co sobie wyobrażasz? — odparł z oburzeniem Archie. — Że ja mu powiem, że ty tę kulę znalazłaś w willi pani Sanford?

— Kto wie... — powiedziała w zadumie April. — Może on się jakoś z tego wymiga. Jest ryzyko, ale...

— Nie ma ryzyka! — wrzasnął Archie. — Jak ja co robię, to na mur.

Dina i April spojrzały na siebie ponad jego głową.

— Ostatecznie — orzekła wreszcie Dina — on nadstawi karku, a nie my. Dla pewności jednak zabrudzę trochę tę kulę.

— Już ja to sam zrobię — oświadczył Archie. — Możecie na mnie polegać. Wiem dobrze, jak to załatwię. — Wyrwał z rąk April kulę. — Nie bój się, nie zgubię, na pe!

Wybiegł, lecz po chwili wetknął znów głowę przez drzwi.

— Wiecie co? — krzyknął. — Biorę z sobą Slukeya i Flashlighta. Nie ma strachu, nie jestem frajer!

I zniknął.

Dina westchnęła,

— Ufajmy, że mu się uda. Bo jeżeli wpadnie...

— Nie wpadnie! — z przekonaniem odparła April. — No, a ja, jeżeli mam zdobyć bukiet dla mamusi na jutro, muszę wreszcie startować. — Sądząc z miny, April nie paliła się zbyt do tej misji. Długą chwilę marudziła jeszcze przy drzwiach. — A co ty będziesz tymczasem robiła?

— Jak myślisz? — gniewnie parsknęła Dina. — Ty i Archie dostaliście najłatwiejsze sprawy do załatwienia. Ja mam tylko dokończyć zmywanie, wyprać ścierki, ugotować obiad. — Badawczo przyjrzała się siostrze. — Boisz się, April?

— Nie obrażaj mnie — odpowiedziała April lodowatym tonem.

Wyszła przez kuchnię i na przełaj trawnikiem za domem.

Nie boisz się — mówiła sobie w duchu. — To dziwne łaskotanie w żołądku jest skutkiem kombinacji banana z marynowanym koperkiem. Nie podejrzewasz chyba tego przemiłego starszego pana o morderstwo!

Lecz pan Cherington nie był przemiłym staruszkiem! Był w rzeczywistości mężczyzną w średnim wieku, pułkownikiem, nazywał się Chandler i ukradł piętnaście tysięcy dolarów, siedział w więzieniu i używał fałszywego nazwiska. A pani Sanford wiedziała o tym. Dreszcz przebiegł April po plecach.

Oddzielony od niej rozległym trawnikiem Sanfordów, sierżant O'Hare siedział na ławce ogrodowej pogrążony w rozmowie z trzema małymi chłopcami, którzy chłonęli chciwie każde jego słowo. Byli to: Archie, Slukey i Flashlight. Sierżant, jak się zdawało, szczerze się bawił. April uśmiechnęła się na ten widok. Brawo, Archie!

Wąska, zarośnięta zielskiem ścieżka, ukryta za gęstym żywopłotem, prowadziła spod furtki warzywnego ogrodu Sanfordów w górę, do maleńkiego domku, w którym mieszkali państwo Cherington. Była co prawda wygodniejsza i lepiej utrzymana droga okrężna, lecz trójka Carstairsów zawsze wolała tę bardziej romantyczną ścieżkę, gdy wybierała się w odwiedziny do Cheringtonów.

Mały tynkowany domek mieścił jedynie dwa pokoje, kuchnię i łazienkę. Wielką jego ozdobę stanowił ogród, niewielki prostokąt doskonale utrzymanego, często strzyżonego trawnika i obfitość najwspanialszych róż. April widziała ten ogród co najmniej sto razy, ale zawsze ta orgia kwiatów w pierwszej chwili zapierała jej dech w piersi. Były tam róże tak ciemne, że nieomal fioletowe, olbrzymie róże żółte, białe, jaskrawoczerwone, wspaniałe okazy. Jedną ścianę domku oplatało wino ciężkie od szkarłatnych pąków, po sklepionej furtce pięło się wino innego gatunku, obsypane drobnymi jasnorożowymi kwiatami. Wśród kwiatów stała pani Cherington w roboczym kombinezonie i w du-

żym słomkowym kapeluszu, zasłaniającym jej twarz. W ręku, miała sekator.

Jest za gruba, nie powinna nosić kombinezonu — przemknęło przez myśl April. W tym, stroju pani Cherington wyglądała trochę śmiesznie. Lecz gdy podniosła głowę i serdecznie powitała dziewczynkę, April nagle spostrzegła, że nie jest wcale śmieszna. Nigdy dotychczas nie zauważyła tych głębokich zmarszczek na czole pani Cherington i wokół jej ust, niegdyś z pewnością ślicznych. Nigdy dotychczas nie zauważyła wyrazu jej oczu, smutnych nawet wówczas, gdy wargi się uśmiechały. April poczuła się dziwnie nieswojo.

— Dzień dobry, April — powiedziała pani Cherington. — Właśnie upiekłam pierniczki. Chcesz spróbować?

— Ach, to wspaniale! — zawołała April.

Pani Cherington piekła doskonałe pierniczki. April przepadała za nimi. Tym bardziej że lubiła też rodzynki, a pani Cherington zawsze dodawała rodzynki do pierników. Nagle April przypomniała sobie, po co tu przyszła. Miała jak szpieg wy badać tajemnice, których ci ludzie tak pilnie strzegli. April czuła, że jest coś bardzo niewłaściwego w przyjmowaniu słodczy od kogoś, kogo się szpieguje.

— Właściwie... — powiedziała z wolna. Urwała, przełknęła ślinę i dokończyła: — Właściwie przyszłam tu, żeby panią prosić o wielką uprzejmość. Jutro jest Dzień Matki. Przygotowaliśmy dla mamusi prezent, ale nie mamy kwiatów, więc...

— Ależ oczywiście, musicie dać mamusi kwiaty — powiedziała pani Cherington. — I dacie jej! Wszystko, co chcecie, bierzcie z mojego ogrodu. — Popatrzyła życzliwie na April. — Szczęśliwa kobieta z waszej matki!

— To my jesteśmy szczęśliwi — odparła April. Oczy pani Cherington przesłoniły się mgłą. April odwróciła wzrok od jej twarzy mówiąc: — Myśleliśmy, że kilka róż...

— Kilka róż! — zawołała pani Cherington. — Ależ zrobimy wspaniały bukiet. Zerwiemy najpiękniejsze! Może chcesz sama wybrać?

— Wolę, żeby pani wybrała — powiedziała April. — Tak, żeby jak najmniej obrabować ogród...

Pani Cherington rozejrzała się dokoła.

— Wiesz, róże są najpiękniejsze, kiedy się je zrywa wczesnie rano, o rosie — powiedziała. — Zrobię ci bukiet jutro raniutko, przyślij po niego braciszka.

— Pani jest strasznie dobra! — zawołała April.

— Bardzo was lubię — odparła pani Cherington i wróciła do obcinania przekwitłych róż. — A pierniczki stoją w kuchni na stole. Pełen półmisek.

— Ja... — zaczęła April i zamyśliła się na długą chwilę.

Biła się z myślami. Nie chodziło tu już tylko o pierniczki czy o róże. I nie o to nawet, że tak bardzo lubiła państwa Cherington. Ale przecież dowody rzeczowe, znajdujące się w płóciennej kopercie Flory Sanford, nie stanowiły dostatecznie przekonującej pobudki

morderstwa. Dawniej miały może zabójczą wymowę. Dzisiaj wszakże nie mogły nawet posłużyć skutecznie do szantażu. Ten człowiek już zniósł hańbiące wykluczenie z szeregów armii i karę więzienia. Gdyby pani Sanford ujawniła jego historię, przeprowadziłby się po prostu do innego małego domku w innym mieście, przybrałby jeszcze inne nazwisko i zasadziłby różami inny ogródek. Nic więcej mu nie groziło, nie miał powodu bronić się, mordując tę kobietę.

April uczuła tak wielką ulgę, że przez chwilę walczyła z chęcią płaczu. Powiedziała:

— Ach, to świetnie, zjem, z przyjemnością pierniczka — i ruszyła pod ścianą domu w stronę kuchni.

— Nie jednego — zawołała za nią pani Cherington — weź całą garść! Najlepsze są, póki nie ostygną.

— Niech mnie pani zanadto nie wodzi na pokuszenie — odparła April.

Serdeczny, życzliwy śmiech pani Cherington zabrzmiał w ogrodzie.

— Otwórz te drzwi z boku — powiedziała. — W schowku na szczytce znajdziesz papierową torbę. Weź trochę pierniczków dla Diny i Archiego. Jeśli na półmisku jest za mało, dołóż z glinianej miski, która stoi na półce w spiżarni.

— Ach, dziękuję pani! — zawołała April. — Jaka pani dla nas dobra!

Dina i Archie uwielbiali pierniczki z rodzynkami. Trzeba koniecznie jutro zanieść pani Cherington spory pęczek rzodkiewek z ogrodu, niedzielne gazety i salaterkę mrożonego kremu, który Dina robi na obiad ku czci mamusi — myślała April otwierając drzwi schowka. Znalazła papierową torbę i poszła do kuchni.

Dziwna rzecz, tyle razy była w domku państwa Cherington, a nigdy dotychczas nie spostrzegła w hallu tej fotografii. A przecież stała tu zawsze... April patrząc na nią uświadomiła to sobie. Po prostu nigdy nie zwróciła na nią uwagi. Prześliczna twarz w aureoli ciemnych, puszystych włosów. Coś jakby znajomego w rysach... Gdzie ja widziałam! tę twarz? — pytała się w duchu April.

Ach, oczywiście! To pani Cherington sprzed wielu, wielu lat! April zbliżyła się i w zamysleniu patrzyła na fotografię. Czoło bez zmarszczek, ciemne, trochę rzewne oczy, nie okolone cieniem. Kąciki ust odrobinę podniesione w nieśmiałym uśmiechu. Twarz szczęśliwej, pełnej nadziei młodej kobiety.

April przypomniała sobie zaczerwienioną twarz pani Cherington, jej wyskubane brwi, oczy tak łatwo napełniające się łzami.

— Jaka szkoda! — szepnęła do dziewczyny z fotografii.

Tamta odpowiedziała uśmiechem. W rogu był podpis: „Moim kochanym — Róża”. A więc pani Cherington miała takie piękne imię. Nic dziwnego, że starsi państwo hodowali róże.

April weszła do kuchni. Na stole piętrzyły się pierniczki, jeszcze gorące. Pachniały ponętnie. April patrzyła na nie w ekstazie. Jakie pulchne, ile w nich rodzynek!

Pani Cherington niemal co dzień piekła jakieś smakołyki i zawsze o wiele więcej, niż potrzebowała w swym małym gospodarstwie. Wszystkie dzieci z tej dzielnicy odwiedzały kuchenkę małego domku. Powinna mieć własnych choć z dziesięcioro — pomyślała April.

Napominając samą siebie, że brzydko jest postępować jak prosię odliczyła skrupulatnie dziewięć sztuk: po trzy dla każdego. Kusiło ją, żeby wziąć jednego dodatkowo, do zjedzenia po drodze, lecz doszła do wniosku, że to byłoby niełojalnie. Poprzestała na powąchaniu wonnego półmiska.

Nie, osoba piekąca takie pierniczki nie mogła być zdolna do zabójstwa!

Zapakowała starannie pierniczki do papierowej torby i wyszła kuchennymi drzwiami. Na schodkach stanęła zaskoczona. Na ławce w ogródku siedział stary pan Cherington z rewolwerem w ręku.

April krzyknęła cicho: — Och! — zeszła jeszcze o jeden schodek niżej i stanęła.

Pan Cherington podniósł głowę i przywitał ją z uśmiechem:

— Dzień dobry, April!

April zmusiła się do uśmiechu mówiąc:

— Dzień dobry panu! Obrabowałam państwu kuchnię! — Miała nadzieję, że głos jej nie drży. — Ale porwałam tylko dziewięć pierników. Niech więc pan nie celuje we mnie z tego rewolweru.

— Nie celuję w ciebie, a zresztą broń nie jest nabita — odparł pan Cherington śmiejąc się szczerze. Przyglądał się rewolwerowi z upodobaniem. — Trudno też nazwać to cacko śmiercionośną bronią! Kaliber dwadzieścia dwa. Zabawka dla pięknej damy, breloczek. — Podniósł rewolwer w górę, tak że ozdobiona masą perłową rękojeść rozbłysła w słońcu. — Ładne, co?

— Nie w moim guście — odpowiedziała April. — Boję się broni palnej.

Bała się zwłaszcza broni palnej w ręku człowieka, który mógł być mordercą... Mógł, na przekór argumentom, które sobie powtarzała, mimo niedostateczności pobudek, mimo fotografii pani Cherington, mimo doskonałości pierniczek.

Nie mogła oderwać oczu od pana Cheringtona. Był przystojny, nawet bardzo przystojny. Wysoki, smukły, trzymał się wspaniale. Postawa wojskowa, oczywiście. Przecież to pułkownik Chandler, bohater w latach wojny. Miał piękne szare oczy i szczupłą opaloną twarz. Siwe włosy i wypielęgnowana biała bródka doskonale pasowały do całości. Lecz nie powinien być siwy, powinien mieć włosy ciemne, jak na fotografii sprzed pięciu lat, gdy nie nosił brody.

April przypomniała sobie wiersz, którego uczyła się w szkole: „Włos mój posiwiął nie od starości...” Czy włosy pana Cheringtona — nie mogła się przyzwyczaić do nazywania go choćby w myślach pułkownikiem Chandlerem — zbielały w więzieniu? Czy może pod wpływem jakiegoś ciosu „w przeciągu jednej nocy” — jak mówią. Mamusia

co prawda twierdziła, że to przesąd, naukowo nie uzasadniony. Siwienie ma coś wspólnego z brakiem witamin. W więzieniu pewnie nie dają ludziom dość witamin. Nie bądź głupia — powiedziała sobie w duchu April. — Zgłupiałas ze strachu. Nie ma powodu bać się pana Cheringtona.

Z pewnym wysiłkiem przełknęła ślinę, popatrzyła na rewolwer i odezwała się lekkim tonem:

— Można by to nosić jako brelok przy bransoletce.

— Tak, do niczego więcej się nie nadaje — przyznał pan Cherington, odkładając miniaturowy rewolwer na ogrodowy stół.

April podeszła bliżej, siadła obok starszego pana na ławce, wlepiała w rewolwer zafascynowany wzrok. Cacko, z pewnością niegroźne.

— Czy mogę go dotknąć? — spytała.

— Śmiało! — odparł pan Cherington. — Mówiłem ci, że nie jest nabity.

Mrówki jej przeszły po skórze, gdy wzięła rewolwer do ręki. Leżał jej w dłoni wygodnie. Wycelowała w czuby sosen, sterczące po przeciwnej stronie ulicy za domem Cheringtonów i powiedziała:

— Bang!

— Tak celując trafiłabyś w drzewo na trzeciej ulicy! — roześmiał się pan Cherington. — Czekał, pokażę ci jak trzeba...

— Nie, nie — szybko odparła April. Położyła ostrożnie rewolwer na stole. — Rzeczywiście, bardzo jest ładny.

— Ale mało skuteczny — rzekł pan Cherington. — Gdybyś chciała naprawdę kogoś zastrzelić... — Urwał i po chwili dodał: — Louise lubi to cacko, prosiła, żebym je dla niej oczyścił.

— Pan się tak świetnie zna na rewolwerach — powiedziała z szacunkiem April. — Pewnie pan był kiedyś w wojsku? — Starła się nadać swemu głosowi najzwyczajniejszy ton, ale miała uczucie, jakby zamiast żołądka tkwiła w jej wnętrzu bryłka lodu.

Upłynęło co najmniej pół minuty, nim pan Cherington odpowiedział:

— Wszelkie informacje o broni palnej można znaleźć w encyklopedii w każdej bibliotece.

Ale ty się tego nie nauczyłeś w bibliotece — pomyślała April. Głośno zaś powiedziała:

— Z pewnością — i machnęła nogami tak, że piętami stuknęła od spodu w ławkę. — Niech mi pan coś powie...

Mówiąc to myślała, jak by tu wśliznąć się cichcem do kuchni i odłożyć pierniczki z powrotem na półmisek. W tej chwili bowiem zdawało jej się, że nie ma prawa do tego podarunku pani Cherington.

— Z przyjemnością, wszystko, co chcesz — odparł pan Cherington.

— Bo właśnie... — zająknęła się. — Pan się zna na broni i na tyłu różnych rzeczach... — Znow urwała. Pomyślała, że to, co w tym momencie czuje, w książkach nazywają zmrózeniem krwi w żyłach. Zdawało jej się, że bryłki lodu wypełniają ją całą. — Niech mi pan powie: kto, pana zdaniem, zabił panią Sanford?

— Panią Sanford! — powtórzył pan Cherington i wstał z ławki. — Ach, tak... — April miała wrażenie, że starszy pan chce zyskać na czasie, zupełnie jak Archie, gdy matka pytała go, dlaczego nie wrócił ze szkoły prosto do domu. — Kto zabił panią Sanford... — Pan Cherington uśmiechnął się do April ciepło, przyjaźnie: — Nie wiem. Nie jestem detektywem.

— Niech pan próbuje zgadnąć — powiedziała April.

Pan, Cherington patrzył na nią takim wzrokiem, jakby jej wcale nie widział. Jakby nie widział ani ogrodu, ani drzew, ani nieba. I tak, jak by nie było przy nim nikogo, odpowiedział:

— Ktoś, kto wiedział, że, na to zasłużyła.

April stłumiła okrzyk. Zamarła bez ruchu. Nagle starszy pan przypomniał sobie o gościu. April wstała, podał jej więc torbę z pierniczkami kłaniając się przed dziewczynką nisko, jak przed wielką damą.

— Odwiedź nas znowu prędko! — rzekł. — Nim się wyczerpie ta porcja pierniczków.

Wziął ze stołu rewolwer i odszedł... nie, odmaszerował do domu, wyprostowany, z podniesioną głową i ściągniętymi ramionami.

April patrzyła za nim, póki nie zamknęły się drzwi. Potem wymknęła się przez ogródek na tyłach domu, przelazła przez płot, trawiastym pagórkiem zbiegła na drogę i nie zatrzymała się, by zaczerpnąć tchu, aż na ścieżce pod własnym domem.

W kuchni Dina odstawiała na półkę ostatni wytarty talerz. April cisnęła na stół torbę z piernikami i powiedziała:

— Pani Cherington robi bukiet. Archie ma po niego iść jutro rano. — I padła na kuchenne krzesło.

Dina zatrzaskała drzwiczki kredensu.

— To świetnie — rzekła. Zajrzała do torebki. — Ach! Brawo, April! — Teraz dopiero spojrzała na siostrę. — Na miłość boską! — krzyknęła. — Kwiaty na jutro zapewniłaś, przyniosłaś pierniki — odruchowo sięgnęła do kieszeni po chustkę — dlaczego więc się mażesz?!

April chwyciła w lot chustkę, głośno wytarła nos i nie przestając płakać, głosem stłumionym przez chustkę wyjąkała:

— To właśnie najgorsze, że sama nie wiem!

ROZDZIAŁ 15

Przez wyrwę w żywopłocie widać było sierżanta O'Hare siedzącego na ławce w ogrodzie Sanfordów. Nie spał, nie czytał. Po prostu siedział.

— Może ja lepiej wrócę do domu — powiedział Slukey. — Zdaje się, że mnie matka woła.

— Slukey! — z wyrzutem odparł Archie. — Wiesz dobrze, że nikt cię nie woła. Ale jeżeli się boisz iść razem ze mną i Flashlightem, to wracaj do mamy.

— Kto się boi? — spytał Slukey.

— Kto jak kto, ale nie Slukey — poparł go Flashlight. Przyjrzał się poprzez żywopłot sierżantowi O'Hare. — Okropnie sztywny — stwierdził.

— On tropi mordercę — powiedział Archie. — Wcale go nie obchodzi, że wypuściłeś kurczaki pani Johnson na trawnik klubowy. Jeżeli nie chcecie iść ze mną, to wezmę z sobą Admirala. Wormly też pójdzie chętnie...

— Co ty znowu! — oburzył się Flashlight. — Idziemy z tobą.

— No, to chodźmy. Pamiętajcie, w razie czego buzia na kłódkę. Już ja sam będę mówił, co trzeba.

— Możesz mówić — odparł Slukey. — Ja tam nie rozmawiam z gliną.

— Nikt cię o to nie prosi — rzekł Archie. — Masz tylko robić, co ci mówiłem. — Nabrał tchu. — No, jazda! — I rzucił się naprzód przez dziurę w żywopłocie. Flashlight i Slukey pobiegli za nim. Nagle Archie zatrzymał się, popatrzył na sierżanta O'Hare, jakby go dopiero w tej chwili spostrzegł, machnął przyjaźnie ręką i zawołał:

— Hej, panie sierżancie!

— Hej, hej! — odpowiedział sierżant, rad zdaje się, ze spotkania.

Od pół godziny tkwił na ogrodowej ławce i czuł się nieco przygnębiony. Bill Smith, nie mniej od niego oszołomiony widokiem kwiatu geranium, który wyrósł nagle na portrecie w willi Sanfordów, wydrwił teorię sierżanta, twierdzącego, że mordercą musiał być wariat. Nie przekonało go nawet ostrzeżenie wypisane czerwoną farbą na nożu. Kiedy zaś okazało się, że użyto w tym wypadku czerwonej szminki do warg, O'Hare zaś

wysnuł stąd wniosek, że morderca był nie tyle wariatem, ile wariatką — porucznik zaś śmiał się szyderczo i kazał sierżantowi sięść przed willą na warcie, by nie dopuścić do dalszej inwazji obłąkańców, sam zaś udał się do laboratorium celem zbadania odcisków palców. Dlatego właśnie sierżant O'Hare siedział na ławce zgnębiony.

— Chodźcie bliżej — zawołał do chłopców, gdy ukazali się na skraju trawnika.

— To wcale nie glina — powiedział Slukey. — Nie ma przecież munduru.

— To detektyw — wyjaśnił z irytacją Archie. — Policyjny wywiadowca, jak Dick Tracy. Pewnie, że nie chodzi w mundurze.

— Nie wygląda wcale jak Dick Tracy — orzekł Flashlight.

— Nie, bo to nie jest Dick Tracy, tylko sierżant O'Hare — powiedział Archie. — Złapał kiedyś za jednym zamachem dziewięciu włamywaczy, a nawet nie miał rewolweru. — Archie podniósł głos: — Prawda, że pan nie miał rewolweru?

— Hę? — spytał sierżant nie rozumiejąc, o co chodzi.

— Wtedy, co to pan złapał dziewięciu włamywaczy.

— Ach tak! — rzekł przypominając sobie wszystko sierżant O'Hare. — Nie miałem. Złapałem ich gołymi rękami. Ośmiu ich było.

— Dziewięciu — poprawił Archie.

— Racja. Dziewięciu. Ale jeden o mały włos byłby mi umknął, nim połapałem tamtych ośmiu. Był uzbrojony w nóż, rewolwer i ręczny karabin maszynowy. Ale złapałem go w ostatniej chwili.

— O rany! — jęknął Flashlight.

— Jak wiadomo, działo się to tego samego wieczora, kiedy w ogrodzie zoologicznym wściekł się goryl i uciekł... — zaczął rozmarzając się sierżant O'Hare, po czym przez dziesięć minut snuł opowieść o wściekłym gorylu, by zakończyć ją zapierającym dech opisem ujęcia zwierza w pustym szybie windy na trzydziestym czwartym piętrze.

— To ci numer! — westchnął Slukey.

Archie kopnął Slukeya w kostkę, w ten dyskretny sposób przypominając mu jego rolę. Slukey podskoczył i zgodnie z programem spytał:

— A jak pan jest policjant, to dlaczego pan nie ma naszywek ani rewolweru?

— Mam odznakę — powiedział sierżant odchylając klapę marynarki — i rewolwer też mam. Widzisz? — Wyciągnął rewolwer, ukryty w kaburze pod połą, i złożył go na swych kolanach.

— Patrzcie, chłopaki — rzekł z szacunkiem Flashlight. — Czy można go dotknąć? Tylko jednym palcem!

— Proszę bardzo — grzecznie zgodził się sierżant.

— Wie pan co? — odezwał się Archie. — Czytałem w jednej książce o takim policjancie, który na oko umiał powiedzieć o każdej kuli, z jakiego ją wystrzelono rewolweru. To nie bujda?

— Nie — odparł sierżant. — To zresztą nic wielkiego.

Archie spojrział tryumfalnie na kolegów:

— A co? Nie mówiłem?

— Eee tam, nie wierzę — mruknął Flashlight.

— Pokaż panu ten nabój — nalegał Archie. — Przekonasz się...

Flashlight zagłębił rękę w kieszeni i wydobywszy z niej najpierw garść przeróżnych przedmiotów, wyłowił w końcu kulę. Była oblepiona używaną gumą do żucia, a na dobitkę pokryta warstwą okruchów ciastka oraz brudem.

— Może powinniśmy ją trochę oczyścić — rzekł z niejakim zawstydzaniem Flashlight i znalazłszy w drugiej kieszeni względnie czystą chusteczkę, wziął się do roboty.

— Napluj — poradził Slukey.

— Piachem ją szoruj — zalecał Archie. — Inaczej guma nie zlezie.

Jako tako czystą kulę wręczono wreszcie sierżantowi.

— Ja się zakładam, że pan nie zgadnie, z jakiego to rewolweru — oświadczył niedowiarek Slukey.

— Trzymam zakład! — krzyknął Archie. — Zobaczysz, że on zgadnie! To jest detektyw na medal! — I błagalnie zwracając się do sierżanta O'Hare zapytał: — Prawda, że pan powie, z jakiego rewolweru wystrzelono tę kulę?

Sierżant O'Hare nie zlekceważył błagania. Wziął w dwa palce kulę i oświadczył:

— To jest kula z rewolweru kalibru trzydzieści dwa.

— A co? — ucieszył się Archie. — Nie mówiłem wam?

— Ja się zakładam, że on zgaduje — powiedział Slukey.

— Ja się zakładam, że nie zgaduje, tylko wie! — odparł Archie.

— Jakim sposobem? — spytał Flashlight. — Skąd może wiedzieć?

Sierżant O'Hare spojrział na niego.

— Żebyśmy tu mieli miarkę, tobyś się przekonał. A tak musisz mi uwierzyć na słowo. Kaliber trzydzieści dwa, to znaczy, że kula ma średnicy trzydzieści dwie setne cala. Człowiek już tyle kul w życiu widział, że bez mierzenia poznaje. To jest kula kalibru trzydzieści dwa.

— To ci numer! — z podziwem wykrzyknął Slukey. — Założę się, że pan widział w życiu tysiąc kul!

— Milion! — skromnie poprawił sierżant O'Hare. — Kiedyś opowiem wam przy sposobności o zwariowanym magiku, do którego strzelano dziewięćdziesiąt razy, ale dopiero dziewięćdziesiąta czwarta kula go zabiła. Jest taka nauka: balistyka...

— Niech pan o tym magiku zaraz opowie! — prosił Archie.

— Ano — ulegając zaczął O'Hare — to było tak...

Słuchali z zapartym tchem i szeroko otwartymi oczami. Historia co prawda po dejrzanie przypominała obrazkowe opowiadanie z ostatniego zeszytu komiksów, lecz

chłopcy, nie zdradzając zawodu, wykrzykiwali ze zdumienia, zadawali pytania, bili brawo w najodpowiedniejszych miejscach.

— Widzicie — kończył sierżant — było dziewięćdziesiąt cztery kule, a każdą z nich poznaliśmy, z jakiej pochodziła broni. To bardzo proste, jeżeli zna się metodę.

Zwrócił rozpromienione oblicze ku trzem słuchaczom, zastanawiając się, czy przełkną wszystkie te bajki. Ale po historii o magiku nic już nie mogło ich zaskoczyć. Sierżant w zamyśleniu przyjrzał się kuli, którą trzymał na dłoni. — Ale powiedzcie, chłopcy, gdzie to znaleźliście?

Archie szturchnął w bok Flashlighta. Flashlight wyjaśnił skwapliwie:

— W klubie za strzelnicą można znaleźć tego na kopy.

I szturchnięty ponownie przez przyjaciela, dodał:

— Niech pan mi odda tę kulę. Mam tylko jedną.

Sierżant O'Hare oddał kulę.

— Nigdy nie zapomnę — zaczął znów, jak gdyby zatopiony we wspomnieniach — tego dnia gdy rozwścieczony tygrys uciekł z cyrku, występującego gościnnie w naszym mieście...

Archie pospieszył z interwencją:

— A wie pan co? — spytał. — Ja się założę, że pan się zna na kulach i rewolwerach najlepiej ze wszystkich ludzi na świecie.

— Nie, cóż znowu! — skromnie protestował sierżant.

— No, to prawie najlepiej — ustąpił Archie. — Na przykład, czy pan wie, jaka kula jest największa, jaka najmniejsza, jaka najniebezpieczniejsza, a jaka najniebezpieczniejsza?

Sierżant odetchnął głęboko, nim przemówił:

— To jest, widzicie, tak... — I wdał się w piętnastominutowy wykład balistyki, zaczynając od nauki o linii strzału, omawiając pokrótce rany postrzałowe, obszerniej natomiast sztukę identyfikacji kul, po czym zakończył opowieścią o zabójstwie pewnego policjanta z Brooklynu, kiedy to wykryto sprawcę dzięki rzeczoznawcy broni.

— Byczy chłop — powiedział Flashlight do Archiego.

— Mówiłem ci przecież! — odparł Archie.

— Faktycznie — dodał Slukey — wszystko wie.

— Policjant musi wszystko wiedzieć — skromnie stwierdził sierżant. — Każda wiadomość może się przydać. Na przykład, pewien dzikus, który z Borneo przywiózł z sobą łuk i zatrute strzały...

— Proszę pana — przerwał Archie. Znał już historię dzikusa i zatrutych strzał i obawiał się, że koledzy zaczynają się nudzić. A można było na nich polegać tylko tak długo, jak długo się nie nudzili. — Wie pan co? Niech pan mi coś powie...

— Co takiego? — spytał sierżant, niechętnie odrywając się od przygód dzikusa, była

to bowiem ulubiona pozycja w jego repertuarze.

— Niech nam pan powie — ciągnął Archie — z jakiego rewolweru była ta kula, która zabiła panią Sanford z tej willi? — Głową wskazał różową willę, po czym spojrzął wy-czekująco w twarz sierżanta.

— To była czterdziestka piątka — rzekł sierżant. — Rewolwer wojskowy. Solidna broń.

— Taki sam, jak ten pana rewolwer? — spytał Archie, a gdy sierżant kiwnął potaku-jąco głową, dodał:

— Niech pan go jeszcze pokaże!

— Proszę bardzo — dobrotliwie zgodził się sierżant i wyjąwszy rewolwer pokazał go na dłoni.

— To się nazywa rewolwer! — z odcieniem czci powiedział Archie. — Z takiego prawdziwego rewolweru nie można strzelać taką głupią małą kulką jak ta, co ją ma Fla-shlight, prawda?

— Oczywiście że nie — odpowiedział sierżant O'Hare wsuwając rewolwer do kabu-ry. — Widzę, że jeszcze niewiele zrozumiałeś z tego, co mówiłem o kalibrach broni. To jest tak...

I sierżant wrócił do wykładu balistyki, a trzech chłopcy słuchali z szacunkiem. Kiedy jednak doszedł do słów: — W lufie jest gwint, którego kąt można obliczyć... — Slukey podniósł głowę i krzyknął:

— Hej!

Gdzieś niżej, na drodze, rozległ się przeraźliwy gwizdek. Sygnał ten powtarzał się — zgodnie z wydanymi poprzednio zarządzeniami — co piętnaście minut, odkąd trzech chłopców wkroczyło na trawnik Sanfordów, lecz dotychczas żaden z nich nie zwracał na to uwagi.

— To Deadpan gwizdże — rzekł Slukey usprawiedliwiając się, że przerywa opowia-dającym. — Znaczy, że muszę już iść. Mamusia mnie szuka. Do widzenia, panie sier-zancie.

Slukey zniknął w gąszczu krzaków

— Do zobaczenia! — serdecznie krzyknął za nim sierżant. Odchrząknął podejmując wykład: — Badając uważnie kulę i nacięcia w lufie...

— Ojej — zawołał Flashlight. — Jeżeli matka Slukeya szuka go, to widać już czas na kolację. Muszę wracać do domu. Do widzenia, panie sierzancie.

I machając ręką na pożegnanie, puścił się pędem w dół ścieżki.

Sierżant odpowiedział również machnięciem ręki i ciągnął dalej:

— Znając więc kaliber kuli oraz ilość i kierunek nacięć w lufie...

— Bardzo pana przepraszam, ale Dina mnie woła — odezwał się Archie. — Mam na-kryć do stołu.

— Skoro tak, to idź, chłopcze — rzekł sierżant O'Hare. — Bardzo ładnie z twojej strony, że pomagasz siostrze. A jeśli będziesz chciał dowiedzieć się jeszcze czegoś o broni palnej...

— To już wiem, kogo pytać! — dokończył za niego Archie. — Pan jest strasznie mądry! Ja też, jak dorosnę, będę policjantem. Do zobaczenia, kolego!

Archie dał nura pod sklepienie altanki. Sierżant O'Hare westchnął spoglądając za nim. Żałował, że nie zdążył opowiedzieć historii o dziewięciu włamywaczach. Co prawda, mały Carstairs już ją raz słyszał, lecz można było dodać nowe szczegóły i warianty. Na przykład, aparat rentgenowski pozwalający zajrzeć przez mur do wnętrza bankowego podziemia...

— Kiedy skierowaliśmy na niego rewolwery, skoczył do karabinu maszynowego. Widzieliśmy przez mur tak wyraźnie jak przez szybę — improwizował.

Nagle za jego plecami odezwał się głos Billa Smitha, znużony, prawie gniewny:

— Co ty tam mruczysz pod nosem? Do kogo mówisz?

Sierżant O'Hare już otworzył usta, żeby opowiedzieć porucznikowi o wynalazku nowego aparatu rentgenowskiego, lecz powstrzymał się w ostatniej chwili.

— Wziąłem tu na spytki kilku chłopaków — powiedział bardzo rzeczowym tonem — którzy mogliby dostarczyć cennych informacji. Dzieci są niekiedy spostrzegawcze. Wychowałem własnych dziewięciorgo...

— Mam wyżej uszu twoich dziewięciorga dzieci — przerwał mu Bill Smith. — Słuchaj. Specjalista od odcisków palców nie znalazł nic na obrazie ani na nożu.

Opodał w krzakach Archie wypłacał dwóm wspólnikom honorarium: po pięć centów na głowę, po butelce coli i numer „Nowych komiksów”.

— Na przyszły raz nie zgodzę się wysłuchiwać tych jego bajd taniej niż za dziesięć centów gotówką — mruknął Flashlight. — Jesteś mi winien gumę, bo tamtą musiałem zmarnować na oblepienie kuli.

— Przecież to była już używana guma! — oburzył się Archie.

— Czy była używana, czy nie, to cię nie obchodzi — odparł Flashlight. — Jeszcze się nadawała do żucia, dlatego ją przechowywałem. — Spojrzał zaczepnie na Archiego i dodał: — Albo ci nie zwrócę tej kuli!

— Oddaj kulę natychmiast! — krzyknął Archie zapalczywie. — Bo jak nie... — Urwał. Nie pora na kłótnie! Wyłowił z kieszeni dość pokierszowaną gumę i wręczył ją kole-dze.

Flashlight obejrzał gumę ze wszystkich stron i bez entuzjazmu orzekł:

— No, niech będzie, przyjmuję.

Oddał w zamian kulę. Jakiś czas jeszcze trwała dyskusja, czy chłopcy mają odnieść Archiemu puste butelki po coca-coli, czy też zapłacić od razu gotówką po dwa centy. Spór rozstrzygnięto wypijając trunek na miejscu, tak że Archie mógł zabrać butelki.

Gdy Slukey i Flashlight schodzili ku ulicy, rozgorzał między nimi nowy konflikt.

— Prawda, że to ty oblepiłeś kulę — rzekł Slukey — ale gumę znalazłem pod stołem u Luke'a ja, a zresztą, ty ją żułeś dłużej ode mnie...

To jednak nie interesowało już Archiego, który, wolnym krokiem wracając ku domowi, obliczał w duchu wydatki: „dwie coli, jedna guma...”

Dina płukała marchew, April przyrządzała budyń, lecz gdy Archie stanął w drzwiach kuchni, obie przerwały robotę i wlepiły w brata pytające oczy.

— No, co? — spytała Dina niespokojnie.

— Po pięć centów na chłopaka, dwie cole — wyliczał Archie — to dziesięć centów, numer „Nowych komiksów” to dziesięć centów, do tego jeszcze, guma... Razem trzydzieści jeden centów.

— Co ty pleciesz, Archie? — spytała April.

— W sumie jesteście mi winne trzy dolary i szesnaście centów — odparł Archie.

— Oddamy, nie bój się — zapewniła Dina. — Powiedz lepiej, co z tą kulą,

— Dobrze — zgodził się wielkodusznie Archie. — Mówmy najpierw o kuli. — Wyjął kulę z kieszeni i położył na stole. — Trochę ją powalaliśmy.

— Archie, powiedz prędko, czy...

— W porządku! — odparł Archie. Silił się na obojętną minę i swobodę. — To jest kula kalibru trzydzieści dwa, czyli że wystrzelona z rewolweru trzydzieści dwa. A panią Sanford zastrzelono kulą kalibru czterdzieści pięć rewolweru wojskowego. Jeśli jesteście ciekawe nauki, która się nazywa balistyka, to mogę wam powiedzieć...

— Jesteśmy ciekawe tylko tego, czy ta kula i kula, która zabiła panią Sanford, pochodzą z tej samej broni — chłodno oznajmiła April.

— I już to wiemy właściwie bez ciebie — wyniośle dodała Dina.

— Jak to? — zawołał Archie z rozpaczą. — To ja się tyle namęczyłem, żeby od sierżanta O'Hare wyciągnąć te wiadomości o kulach i rewolwerach, i w ogóle, a wy mi teraz mówicie, że was to wcale nie obchodzi?

Dina szybko spojrzała na zrozpaczoną twarz brata.

— April zażartowała — powiedziała. — Bardzo nas obchodzi i nie mogliśmy już do czekać się twojego powrotu.

— Dina żartuje — wpadła jej w słowa April. — Czy naprawdę odważyłeś się spytać sierżanta? Co ci odpowiedział?

— Mnóstwo rzeczy — odparł Archie — Ta kula... — Tu Archie obszernie i szczegółowo wyjaśnił wszystko, pomijając wszakże historię zwariowanego magika, wściekłego tygrysa i zamordowanego w Brooklynie policjanta. — Widzicie więc, że naukowo dowiedziono: albo morderca miał dwa rewolwery, i to każdy inny, albo było dwóch morderców, każdy ze swoim rewolwerem.

— Archie, jesteś genialny! — zawołała April całując go w nos.

— Nie liź mnie! — jęknął Archie. — I nie zapomnij: trzy dolary szesnaście centów.

— Nie ma obawy — powiedziała April. — Już ty nie pozwolisz nam o tym zapomnieć. — Nałożyła porcje budyniu na spodeczki. — Musiało być dwóch napastników. Zresztą, tego domyślałyśmy się już przedtem. Obaj strzelali, ale czy obaj do Flory Sanford, czy do siebie wzajem? — Ustawiła talerzyki na stole kuchennym i zabrała się do wylizania rondelka. Nagle odsuwając rondel, powiedziała: — W tej historii jest jeszcze trzeci rewolwer!

Archie korzystając z okazji zagarnął rondel i sięgnął po łyżkę.

Dina wypuściła marchew z rąk.

— Pierwszy rewolwer: ten, z którego zabito panią Sanford. Czterdziestka piątka. Drugi: ten, z którego strzelono do portretu. Trzydziestka dwójka. I trzeci: rewolwer pana Cheringtona. Jak mówił, kaliber dwadzieścia dwa, zabawka dla dam. — Nagle spostrzegła manewr Archiego. — Oddaj natychmiast ten rondel! Skoro ja robiłam budyń, to do mnie należy... — Zajrzała w głąb naczynia. — Obyś pękł, Archibaldzie Carstairs!

— Nie żałuj mi — odparł Archie oblizując ostatnią kroplę z łyżki. — Przynajmniej nie potrzebujesz myć garnka.

Dina wstawiła marchew. Odwracając się od pieca, powiedziała:

— Wiesz, zastanawiam się, z jakiego rewolweru zabito Franka Rileya.

April zapomniała o budyniu.

— Ja też o tym myślałam — rzekła. — Bo jeżeli z tego samego...

— Zostawcie to mnie — dufnie odezwał się Archie. — Zakładam się o dziewięć milionów dolarów, że jutro się tego dowiem.

— Zakładam się o tę samą sumę, że się nie dowiesz — odparła April.

Archie przyjrzał się jej z powątpiewaniem.

— A naprawdę ile stawiasz? — spytał.

— Dwadzieścia pięć centów — bez namysłu wypaliła April.

— Perskie oko! — zadrwił Archie. — Nic z tego. Jak wygram, to będę ci musiał pożyczyc, żebyś mogła zapłacić, bo już nie masz ani centa. Nie, o pieniądze już się z tobą nie zakładam.

— A o co? — spytała April wzdychając.

— Jeżeli jutro dowiem się, z jakiego rewolweru zastrzelono tego Rileya... — Archie namyślał się chwilę — ... to przez cały tydzień nie wynoszę śmieci!

— Przez, cztery dni — próbowała targować się April.

— Mowy nie ma. Tydzień, ani dnia mniej.

— No, niech będzie. Zakład stoi!

— Jeżeli skończyliście tę zabawę, moje dziatki — surowo wtrąciła się Dina — to posłuchajcie mnie.

— Słuchamy, o pani! — skłoniła jej się nisko April.

— Padamy do stópek — dodał Archie.

— Wiemy już, jakie kompromitujące dowody przeciw swemu mężowi przechowywała Flora Sanford — mówiła Dina nie zważając na błazeńskie miny tam tych dwojga. — Wiemy, dlaczego Wallie Sanford uciekł po śmierci żony i dlaczego trzymał się w pobliżu domu. Mamy w ręku to, co on chciał odnaleźć.

— Może pójdziemy do niego — zaproponowała April — i powiemy mu, że mamy te papiery i będziemy je trzymać w bezpiecznym miejscu, póki nie zostanie wykryty prawdziwy sprawca zbrodni. Wtedy dopiero albo oddamy dokumenty zainteresowanym osobom, albo je spalimy. Wallie Sanford odetchnie spokojniej, jeśli się o tym wszystkim dowie.

Dina spojrzała na siostrę nieco z góry.

— Może by też warto spytać go, co wie o porwaniu Betty LeMoe. Kto wie, czy w ten sposób nie trafiliśmy na jakiś ślad.

— Co za inteligencja! — z zachwytem westchnęła April.

— A jeżeli pan Sanford nie zechce nic powiedzieć? — spytał Archie.

— Namówimy go, żeby mówił — oświadczyła Dina. — Bądź co bądź, teraz my mamy w ręku te dokumenty!

— A jeżeli on nam naopowiada kłamstw? — upierał się Archie.

— Archie — rzekła surowo Dina — za dużo gadasz. Mumilulczucz, albo nie weźmiemy cię z sobą.

Z ganku kuchennego rozejrzeli się pilnie dokoła, czy nikt ich nie śledzi. Potem chyłkiem pobiegli do szałas.

Lecz gdy wychylili się z zarośli, Dina stanęła jak wryta.

— Och! — krzyknęła.

Szałas był pusty. Pościel starannie złożona leżała na polowym łóżku. Naczynia stołowe stały porządnie na stole, obok równiutko spiętrzonego stosu czasopism. Na wierzchu rozpostarta była ranna gazeta, lecz z pierwszej strony wycięto fotografię Franka Rileya i wzmiankę o jego śmierci. Wallie Sanford zniknął jak kamfora.

ROZDZIAŁ 16

Archie zaczął się dobijać do pokoju sióstr nieomal o świcie.

— Hej, wstawajcie! — wołał donośnym szeptem. — Wstawajcie! To dzisiaj Dzień Matki!

— Wejdz! — odpowiedziała zaspanym głosem April.

Drzwi uchyliły się i Archie wszedł na palcach. Był już umyty i ubrany. Dina siadła na łóżku, ziewnęła, przetarła oczy.

— Jeżeli zgłosił się na posterunku policji — powiedziała — to będzie dziś o tym w gazecie. Jeżeli się nie zgłosił...

— Mam już pewną hipotezę — odparła ziewając April. — Myślałam o tej sprawie długo, nim zasnęłam. Przypuśćmy, że Betty LeMoe miała chłopca...

— Wiadomo, że miała — przerwała jej Dina. — Właśnie pana Sanforda, czyli raczej Williama Sandersona, jak się wówczas nazywał.

Dina sięgnęła po szlafrok.

— Miałam na myśli coś innego — odpowiedziała jej April. — Prawdziwego chłopca, zakochanego do szaleństwa. Jak Pete w tobie.

— Hi hi hi! — pisał Archie. — A dlaczego Pete wczoraj nie przyszedł?

— Bo musiał zaprowadzić swoją babcię do kina — wyjaśniła Dina lodowatym tonem i z wielką godnością. — Mów dalej, April.

— Wiec ten młodzieniec kochał ją do szaleństwa — ciągnęła rozmarzona April. — Pewnie chciał się z nią ożenić. Aż tu nagle porwano ją i zamordowano. Policja nie wykryła sprawców. Ale ten człowiek poświęcił resztę życia na rozwiązanie zagadki i pomśczenie ukochanej.

— Całą tę historię wzięłaś z jednej książki mamusinej — powiedziała Dina. — Clark Cameron przez dwadzieścia pięć lat szukał zabójców swojego przyjaciela i...

— Wcale się nie wypieram, że wzięłam to z mamusinej książki — przerwała jej April. — Ale w tym wypadku wszystko to doskonale pasuje. Ten młody człowiek w końcu trafił na ślad pani Sanford i miał dowody, że była zamieszana w zbrodnię. Dlatego ją zabił.

Potem zjawił się na horyzoncie Frank Riley. Ten sam człowiek zabija i jego. A wie — do-
dała poważnie — że William Sanderson to Wallace Sanford. Widzisz...

— Mam nadzieję, że pan Sanford zgłosił się na posterunku policyjnym — powie-
działa Dina patrząc uważnie w twarz siostry. — Byłby wtedy bezpieczny. Archie, skocz
no po gazetę.

— Ojej! — jęknął Archie. — Zawsze wszystko ja! Głodny jestem!

— Leć, Archie — rzekła Dina. — Zrobię tymczasem wafle na śniadanie.

— Hura! — ucieszył się Archie i wybiegł pędem.

— Dowiedz się, April, czy mamusia zejdzie na śniadanie, czy też woli, żebyśmy jej za-
niosły tacę na górę — dysponowała Dina myjąc twarz. — Ja tymczasem rozrobię cia-
sto na wafle.

W pięć minut potem dziewczynki krzątały się już po kuchni. Matka obiecała zejść na
śniadanie i włożyć na tę uroczystość niebieski szlafroczek. Dina ubijała jajka, April włą-
czała elektryczny piecyk, Archie zasapany wpadł z niedzielną gazetą.

— Zamawiam pierwszy komiksy! — oznajmił.

— Po śniadaniu — stanowczo odparła Dina. — Masz jeszcze iść po bukiet, pamię-
tasz?

— Zawsze wszystko ja! — powiedział Archie. — Och, jędze!

Puścił się pędem ścieżką w stronę domku państwa Cherington.

Dina otworzyła gazetę. Wallie Sanford nie oddał się w ręce policji. W gazecie była
wzmianka, że policja nadal go poszukuje.

— Och! — westchnęła April siadając na kuchennym stołku.

— Miejmy nadzieję, że nic mu nie grozi — powiedziała Dina. — Miejmy nadzieję,
że... — Głos jej się załamał.

— Miejmy nadzieję, że nie spoczywa na dnie jakiejś starej pływalni! — szepnęła
April głosem niemal przerażonym. — Ach, Dino, gdyby mu się coś stało, może z na-
szej winy!

— Nie mogliśmy go przecież zmusić, żeby się nie ruszał z kryjówki — powiedzia-
ła Dina.

— Ale gdybyśmy powiedziały policji, siedziałby w więzieniu, gdzie by go morderca
nie dosięgnął.

— Słuchaj, April — odparła Dina. — Nie wiadomo, czy rzeczywiście spotkało go ja-
kieś nieszczęście. Może siedzi gdzieś bezpiecznie. Nie martw się przed czasem. Teraz
trzeba myśleć o śniadaniu.

April posępnie pokiwała głową, wstała i zaczęła nakrywać do stołu. Była jeszcze
wciąż bardzo blada.

— Łamię sobie głowę daremnie, kto może być tym zakochanym młodzieńcem — po-
wiedziała Dina otwierając puszkę z mąką.

April drgnęła.

— O kim ty mówisz? — spytała.

— O tym wielbiciele Betty LeMoe — wyjaśniła Dina. — Pozostał tylko jeden człowiek, którego roli nie rozumiemy dotychczas. Rupert van Deusen.

April milczała. To samo podejrzenie od dawna już, ją męczyło.

— Musimy dowiedzieć się o nim czegoś więcej — powiedziała Dina odmierzając starannie mąkę. — To teraz pierwsze zadanie.

— Nie wiemy, gdzie mieszka. Nie wiemy o nim nic! — zauważyła April. W duchu dodała: Nie wiemy, jak się naprawdę nazywa!

— Jakoś go odnajdziemy — rzekła Dina z niewzruszoną wiarą we własne siły.

— Słuchaj, Dino — odezwała się April. — Coś muszę ci powiedzieć...

— Chwileczkę — przerwała jej Dina. — Telefon dzwoni. Przypilnuj tłuszczu na patelni.

April zdjęła patelnię z piecyka i poszła za siostrą.

— Halo! — zawołała Dina w telefon. — Halo!

Usłyszały brzęk monet wrzucanych do automatu. Potem odezwał się przyciszony, ale znajomy głos:

— Czy to panna Carstairs?

— Dina Carstairs przy telefonie — powiedziała Dina ze zdumieniem w oczach. — Kto...

— Przyjaciel — odpowiedział głos. — Przykro mi, że niepokoiłicie się pewnie moim zniknięciem. Dlatego chciałem wam donieść, że jestem zdrow i cały.

— Och! — krzyknęła Dina. — To pan... — ugryzła się w język. — Gdzie pan jest? Dlaczego pan to zrobił?

— Jestem w bezpiecznym miejscu — odparł. — Nikt mnie tu nie znajdzie. Wyniosłem się, bo... Zdaje się, że już wiem, jak się wszystko rozegrało. Nie martwcie się o mnie.

— Niech pan czeka! — gorączkowała się Dina. — Niech pan jeszcze nie kładzie słuchawki. Chcemy pana ostrzec. My, zdaje się, też wiemy już wszystko. To była zemsta. On pewnie będzie pana także szukał. Pan był przecież wmieszany... Pan rozumie, co mam na myśli... On... ten młody człowiek, który kochał tamtą dziewczynę...

W słuchawce przez chwilę trwało milczenie. Potem padło pytanie:

— O czym wy, u diabła, mówicie?

— Proszę pana — usiłowała wytłumaczyć Dina — znalazłyśmy te papiery, które pani... pan już wie, kto... które ona ukryła. Myśmy je teraz schowały bezpiecznie. Ale przeczytałyśmy. Wiemy wszystko. Widziałyśmy fotografię, na której pan jest przed teatrem z... pan już wie, z kim... Czytałyśmy wycinki z prasy.

— Proszę was, zechciejcie mi wierzyć! — mówił głos w telefonie. — Rozumiem, co

przypuszczacie. Ale to było inaczej. Dzieci kochane, nie chcę, żebyście tak o mnie myślały! Uwierzcie! Byłem całkowicie niewinny. Nie miałem o niczym pojęcia. Dopiero po niewczasie zorientowałem się, do czego mnie użyto. Było już wtedy za późno. Błagam was, wierzcie!

— Wierzimy panu — szybko odpowiedziała Dina. — My wierzymy. Ale tamten... Pan wie, o kim mówię... Tamten człowiek nie wie, że pan jest niewinny. Może nie zechce w to uwierzyć. Może nie da panu sposobności i czasu, żeby się pan usprawiedliwił. Niech pan się strzeże! On tak długo czekał na możliwość zemsty!

Znowu zaległa cisza. Potem pytanie:

— O kim wy mówicie?

— O tym młodym człowieku, który był w niej zakochany... — powiedziała Dina.

— Och, Boże! — w telefonie głos zadrżał nieomal śmiechem. — Tylko jeden młody człowiek kochał Betty: właśnie ja.

— Chwileczkę! — krzyknęła Dina. Nasłuchiwała jednak daremnie. Spróbowała jeszcze zastukać widelkami, wreszcie dała za wygraną. — Nie ma go już! Położył słuchawkę!

— W każdym razie wiemy, że jest bezpieczny — z ulgą stwierdziła April. — Jak dotąd... Co ci powiedział?

Dina powtórzyła jej słowa pana Sanforda. Siostry patrzyły na siebie oszołomione.

— Już teraz nic nie rozumiem — powiedziała April.

— Ja też nie — przyznała się Dina. — W dalszym ciągu jednak uważam, że trzeba zbadać bliżej osobę Ruperta van Deusena. Ale ty chciałaś mi coś powiedzieć, kiedy dzwonek telefonu nam przerwał.

— Nic ważnego — szepnęła April. Chciała wyznać Dinie swój sekret, ale chwila zdawała się nieodpowiednia. Wolą najpierw dowiedzieć się czegoś więcej o Rupercie van Deusenie. — Mamusia lada chwila zejdzie. Mamy jeszcze masę do zrobienia w kuchni.

Dina pobiegła do kuchni.

— Wiesz, nakryjemy dzisiaj na werandzie. To przecież wielkie święto. A kiedy Archie wróci z bukietem...

W kuchni i na werandzie zawrzała gorączkowa praca. Nadszedł Archie dźwigając jedno wielkie pudło i drugie mniejsze.

— Szkoda, że nie wziąłem z sobą ciężarówki — zawołał stawiając oba pudła na stole.

April otworzyła większe pudło i krzyknęła z zachwytem.

— Dino! Patrz! Najpiękniejsze róże! Cały pęk!

— Cudowne! — zawołała Dina. Przyniosła największy wazon, jaki był w domu. April tymczasem otwierała mniejsze pudełko.

— Ach, jakie urocze! — powiedziała Dina.

April wyjęła bukiet przynależny do butonierki: drobne różane pączki związane jasnoniebieską wstążeczką i ozdobione delikatną jak koronka paprocią.

— Na litość boską, nie płacz! — fuknęła Dina.

— Ja wcale nie płaczę — odparła April pociągając żałośnie nosem. — Mamusi to się z pewnością spodoba. Dino, ona nie jest zdolna do morderstwa!

— Mamusia!? — krzyknęła Dina.

— Pani Cherington — wyjaśniła April.

— Ach, co znowu! Ja przecież tego nie mówię!

— Moja siostrzyca spadła z księżycy — powiedział Archie.

— Cicho, bracie-wariacie — odparła April. — Nakrywaj do stołu.

Wiązanka najpiękniejszych róż stała na środku stołu, gdy Marian Carstairs zesła z pierwszego piętra. Żelazko do pieczenia wafli było rozgrzane, a ciasto przygotowane w dzbanuszkach. Spód pokrywki metalowego półmiska dobywał się smakowity zapach smażonego boczku, maszynka od kawy bulgotała obiecująco. Bukiet pączków różanych spoczywał na talerzu matki. Trójki dzieci — ani śladu! Marian stanęła w progu z okrzykiem: — Ach — i rozejrzała się wkoło. Nie było żywej duszy, lecz za firanką coś zaszeleściło, ktoś zachichotał, ktoś inny psyknął cichutko. Matka zaczęła mówić do siebie głośno, chełpiąc się, że ma najmilsze w świecie dzieci, zachwycając się kwiatami, zapachem śniadania, własnym szczęściem.

Wreszcie trójka wyskoczyła z wrzaskiem i długą chwilę matce groziła śmierć przez uduszenie w uściskach. Potem April przypięła jej bukiet do szlafrocza, Archie raz jeszcze cmoknął ją w nos, Dina zabrała się do pieczenia wafli.

Gdy ostatnia kropla ciasta została zużyta, a ostatni okruch ostatniego wafła zjedzony, Archie zaś wylizał resztkę syropu z dzbanuszka, Dina szepnęła do April: — Idź ty! — April potrząsnęła głową: — Idź lepiej ty! — Wtedy Dina zdecydowała: — Dobrze. Idziemy razem!

Pobiegły do saloniku, podniosły jedną z poduszek kanapy i wyciągnęły z ukrycia ozdobnie opakowaną paczkę. Z tryumfem złożyły ją na stole przed matką.

— To dla mnie? — zdziwiła się Marian.

— Chyba że jest jakaś inna matka w domu — odparła April.

— Jaki piękny bilet z życzeniami! Kto to malował?

— Kwiaty malowała April, a litery ja — wyjaśniła Dina. — Ale niech mamusia rozpakuje!

Patrzyły roześmiane, jak matka powoli — niemal denerwująco powoli — rozwija jedną po drugiej bibułki. Promieniejąc przyglądały się twarzy matki, gdy wreszcie zdjęła ostatnią warstwę opakowania i położyła na stole książkę.

Dr fil. Elsie Smithon Parsons
Jak postępować z dziećmi
Zarys psychologii dziecka do użytku rodziców.

— Niech mamusia jeszcze zobaczy, co napisane na karcie tytułowej — powiedziała April.

Była tam dedykacja:

„Ukochanej Matce od kochających dzieci — Diny, April i Archiego”.

Marian Carstairs przełknęła głośno ślinę.

— Ach, jaka piękna książka! Dziękuję wam!

— Będziemy czytać mamusi co dzień jeden rozdział — powiedziała Dina. — Na przemian, jednego dnia ja, a drugiego April. Wyliczyliśmy, że w ten sposób przeczytamy cały tom w ciągu dwudziestu dwóch dni, z niedzielami włącznie.

— Świetny pomysł! — zawołała Marian. Popatrzyła w zadumie na tytuł książki, potem w oczy córek. — Czy to nie jest przypadkiem delikatna forma krytyki mojego postępowania w stosunku do was? — spytała.

— Ach, nie! Mamusiu, co znowu! — krzyknęła Dina. — My tylko...

Zanim Dina zdążyła wspomnieć o uwadze, rzuconej przez porucznika Billa Smitha, April pospieszyła wyjaśnić:

— Jesteśmy doprawdy najzupełniej zadowolone z wychowania — powiedziała. — Podoba nam się sposób, w jaki mamusia z nami postępuje. Myślałyśmy jednak, że dla pewności...

— Czy mamusi ta książka naprawdę się przyda? — zatroskała się Dina.

— Ależ cieszę się z niej szalenie! I jeszcze bardziej cieszę się z was.

— My za mamusią wprost szalejemy! — oświadczyła Dina.

— Ja za wami szaleję jeszcze bardziej szaleńczo — odpowiedziała matka.

— My szalejemy jeszcze bardziej szaleńczo od największego szaleńca — przelicytowała Dina.

April nabrała tchu.

— Ale jeszcze nie oszaleliśmy z kretesem — uspokoiła matkę i przytykając palce do dolnej wargi zabełkotała: — Be be be be...

— Gdzie to Archie zniknął? — spytała nagle Dina.

— Był tu jeszcze przed minutą — odparła April rozglądając się dokoła.

Dina złożyła dłonie w trąbkę, żeby huknąć na brata, ale April zatrzymała ją w ostatniej chwili szturchnięciem.

— Słuchaj — powiedziała. Zapadła cisza. — Archie jest w piwnicy.

Rzeczywiście od schodów piwnicy dolatywały powolne, ostrożne stapania. W progu stanął Archie, rozczochrany, czerwony, uśmiechnięty błogo. Taszczył przed sobą ogrom-

ne pudło. Wniósł je na werandę i postawił u stóp matki:

— Masz!

Pudło było szczodrze, chociaż po amatorsku owinięte ozdobnym papierem i przewiązane kolorową wstążką. Tu i ówdzie wydłubano w nim dziury na wylot. Przypięty kartonik dużymi literami głosił: „Dla Mamusi — kochający syn Archie”. Na oczach zgromadzenia pudło zaczęło nagle podrygiwać. April odskoczyła z cichym piskiem. Z wnętrza odpowiedział jej pisk podobny, nikły i słaby, lecz niewątpliwy: — Miau!

— Ach, Archie! — szepnęła matka.

— Bo widzi mamusia — tłumaczył Archie — kocięta kotki matki Admirala właśnie podrosły w sam raz do oddania i wybrałem dwa najładniejsze. Już są nauczone porządku i w ogóle, a mamusia przecież lubi małe koty.

— Uwielbiam! — odparła matka.

— Są takie malutkie, że jedzą niewiele — zachwalał Archie.

Z pudła zawtórowało mu nowe: — Miau!

— Ach, Archie, otwórz prędzej, chcę je zobaczyć!

— Zaraz — odpowiedział Archie. — To jest prezent mamy. Mama tylko ma prawo otworzyć.

Matka rozwiązała wstążkę, złożyła porządnie papier. Pudło podrygiwało coraz gwałtowniej. Wreszcie zdjęto pokrywę. We wnętrzu stała miseczka z mlekiem i druga z jedzeniem oraz mała tacka z piaskiem. Wśród tego wszystkiego kręciło się dwoje małych kociąt, jedno czarne jak atrament, drugie białe jak śnieg, a oba z zatroskanymi pyszczkami.

— Ach, jakie urocze! — zawołała matka.

— Niech je mamusia weźmie na ręce — prosił Archie. — One wtedy zawsze mruczą.

Matka wyjęła kocięta, usadowiła na swoich kolanach. Mruczały rzeczywiście bardzo sympatycznie. April i Dina pogłaskały je delikatnie. Kocięta zamruczały głośniej,

— Nazywają się Kleksik i Apsik — wyjaśnił Archie.

April, która właśnie lekko skrobała Kleksika pod brodą, podniosła nagle zaniepokojone oczy.

— Czy aby Jenkins się nie obrazi? — spytała.

— Jenkins już się z nimi zapoznał — odparł Archie. — Zobaczysz!

I wybiegł na podwórko w poszukiwaniu Jenkinsa, zajętego polowaniem na resztki wczorajszego podwieczorku. Przyniósł go wkrótce na werandę. Kocięta na kolanach Marian zeszywniały na ten widok i powiedziały: — Efff!

— Puśćcie je na podłogę — komenderował Archie.

Kocięta wygięły grzbiety i zastrzygły uszami. Wielki, pospolity kocur Jenkins przeciągnął się, ziewnął, zrobił znudzoną minę. Zbliżył się, szturchnął nosem w nos Kleksi-

ka, potem Apsika.

— Widzicie? On je też lubi! — tryumfował Archie.

Jenkins usiadł, oblizał lewą przednią łapę, przybrał pozę pełną godności, przyglądając się kociętom, które zrobiły parę podskoków, fiknęły koziołka i zaczęły się bawić ogonem kocura. Tolerował te figle przez czas jakiś, potem ziewnął znowu, pokazując groźny rząd białych zębów, wstał i oddalił się z wolna. Porzucone kocięta przycupnęły i patrząc za odchodzącym zawołały: — Miau!

— Ach, moje biedactwa kochane! — rozczuliła się Dina. — Jak one miauczą!

— Cóż ty chciałeś? Żeby jodłowały? — trzeźwo odparła April. I skrobiąc Apsika za uchem, powiedziała: — Moje śliczności!

— To moje kocięta! Ja je dostałam w prezencie! — z udanym oburzeniem zawołała Marian. — Proszę mi oddać moją własność! — Zgarnęła kocięta na kolana i pogłaskała tkliwie. Maleństwa zwinęły się w puszyste kłębuszki pomrukując niby dwa miniaturowe motorki.

— Najważniejsze — przypominał Archie — że są takie małe i bardzo mało jedzą! — Po chwili dodał uroczyście: — Mam nadzieję, że mamusia je polubi.

— Już je lubię — odparła matka. — Szaleję za nimi!

— A ja szaleję za mamusią — powiedział rozpromieniony Archie.

— A ja szaleję za tobą szalenie!

Archie nabrał tchu w płuca i wyrecytował prędko:

— A ja szaleję za tobą jeszcze szalenie niż szalenie!

W tym duchu toczył się dialog przez pięć minut bez przerwy. Potem matka zdjęła celofan z pudełka papierosów, ugmiotła kulkę, uwiązała na długim sznurku i na tę przynętę zwabiła kocięta do saloniku. Troje młodych Carstairsów w zachwycie obserwowało igraszki kociąt, bardzo zadowolonych z zabawki. Kleksik skakał wyżej, Apsik natomiast szybciej. Matka dostała rumieńców, a oczy jej błyszcząły.

— Archie! — szepnęła April. — Miałeś genialny pomysł! — I uściskała brata.

— Ojej! Nie liź mnie! — bronił się Archie. — Jestem mężczyzną i jak dorosnę, będę policjantem.

— Bądź, czym chcesz — odpowiedziała April. — I tak za tobą szaleję!

— Ja też za tobą szaleję — odparł Archie.

— Nie! — zaprotestowała Dina. — Nie bisujcie tego numeru, bo już nie wytrzymam.

— Groźnie wskazała palcem stół: — Jazda sprzątać!

Sprzątnęli błyskawicznie. Prowianty odnieśli do lodówki, ze stołu zmiotli okruchy, talerze splukane odstawili do zmywalni, gdzie miały cierpliwie oczekiwać na dokładniejsze mycie. Bądź co bądź było święto!

W piętnaście minut później całe towarzystwo zebrało się w saloniku. Matka pośrodku na kanapce, z ciemnymi włosami nieco rozrzuconymi, z rumieńcami dobranymi od-

cieniem do różowych pączków w butonierce. April i Archie przytulili się po obu stronach do matki, kociecia na jej kolanach pomrukiwały przez sen, Dina, przysiadłszy na poręczy, czytała głośno, poważnie, wyraźnie.

Taki oto obrazek ukazał się oczom Billa Smitha, gdy stukając do drzwi zajrzał przez szybę do wnętrza. Uczuł w sercu żądło zazdrości. Przykro mu było, że zakłóci tę sielankę, lecz zorientował się poniewczasie. Zresztą miał ochotę włączyć się do tego grona.

Dina odłożyła książkę i pobiegła otworzyć drzwi. Przywitała porucznika bardzo serdecznie.

— Jak to miło, że pan przyszedł! — zawołała. — Czy pan już po śniadaniu? Może upiec wafła?

— Dziękuję, jadłem już śniadanie — odparł Bill Smith.

Wciągając w nos miłe zapachy, żałował, że nie skłamał.

— Ale kawy napije się pan z nami, prawda? — zaproponowała gościnnie Marian.

— Doprawdy... — rzekł Bill Smith sadowiąc się w fotelu — nie powinienem...

Dina i April podały kawę, cukier i śmietankę w rekordowym czasie jednej minuty i dwudziestu sekund.

— Państwo coś wspólnie czytali — powiedział Bill Smith. — Przykro mi, że prze-rwałem...

— Dina czytała książkę, którą mamusia dostała na Dzień Matki — wyjaśnił Archie. — Postanowiliśmy czytać co dzień jeden rozdział. Niech pan zobaczy. Dina i April wybrały tę książkę, bo... — Umilkł, kopnięty znienacka przez April powyżej kostki.

Bill Smith obejrzał książkę, przeczytał tytuł i dedykację.

— Bardzo pożyteczny prezent — powiedział wreszcie.

— Jestem tego samego zdania — wyzywająco odparła matka.

— A ode mnie mamusia dostała to — ciągnął Archie pokazując Kleksika i Apsika. — Niech pan się nachyli, to pan usłyszysz, jak mruczą!

Bill Smith schylił się posłusznie i przyznał, że mruczą rzeczywiście.

— Może jednak zje pan chociaż jednego wafła? — namawiała Marian.

— Niestety, nie! — odparł Bill Smith. — Żałuję, że zjadłem w hotelu śniadanie. Przepadam za domowymi wafłami, a nie cierpię restauracyjnej kuchni.

— Powinien pan mieć żonę i rodzinę — poważnie oświadczyła Dina. — I to żonę, która by umiała dobrze gotować.

Bill Smith zaczerwienił się, odchrząknął i po chwili kłopotliwego milczenia powiedział:

— Proszę pani, chciałbym z panią pomówić. Wiem, że pani jest bardzo zajęta, lecz proszę o chwilę rozmowy.

Dina spojrzała na zegar i wykrzyknęła z udanym przerażeniem:

— Ach, jak już późno. Dzieci, chodźcie, najwyższy czas pozmywać naczynia!

— Przecież dzisiaj mieliśmy nie zmywać! — wyrwał się Archie.
— Nic podobnego — odparła Dina. — Chodź ze mną!
— Ale ty sama mówiłaś... — protestował Archie.
Dina spiorunowała go wzrokiem i nieomal siłą zawlokła do kuchni.
— Za grosz taktu nie masz! — szepnęła mu na ucho.
— Czy nie wiesz, że są pewne rozmowy, które muszą się odbywać w cztery oczy?
— dodała April.
Archie, zupełnie ogłupiały, syknął:
— Ale ja chcę usłyszeć, co Bill Smith powie.
— Któż by nie chciał! — odparła Dina. — Bądź spokojny, usłyszymy wszystko.
Na palcach, bezszelestnie wrócili przez hali, weszli na półpiętro i przycupnęli na schodach. Stąd, niewidzialni, słyszeli każde słowo.
Śmiech matki dźwięczał miękko, melodyjnie, przyjaźnie, podobnie jak jej głos, gdy mówiła:
— To bardzo miło z pana strony, panie poruczniku, ale to są oczywiście komplementy!
Dina i April mrugnęły na siebie wzajem.
— Nie, zapewniam panią, że szczerze tak myślę — odparł Bill Smith.
Archie uśmiechnął się od ucha do ucha.
— Ach, panie poruczniku...
— Wolałbym, żeby mi pani mówiła po imieniu. „Panie poruczniku” brzmi tak oficjalnie! A pani nie ma w sobie nic oficjalnego!
Znowu zadzwonił śmiech matki.
— Niech będzie, Billu! Jeżeli mogę ci w czymś dopomóc...
Głos Billa Smitha nabrał nagle poważniejszego tonu.
— Mówię z panią otwarcie, sytuacja tak się zawikłała...
— Nawzajem proszę, Billu, mów mi po imieniu. „Pani” brzmi tak oficjalnie...
Roześmieli się oboje.
Troje młodych Carstairsów rozpromieniło się i skrzyżowało palce, żeby nie zape-

ROZDZIAŁ 17

Od wielu lat nie czułam się taka szczęśliwa — myślała Marian Carstairs gładząc Kleksika i Apsika. — Skończyłam książkę, mam parę dni wytchnienia przed sobą. Moje najmilsze na świecie dzieci obdarowały mnie wspaniałe. Odpoczywam bawiąc się uroczymi kociętami i patrząc, jak Bill Smith popija kawę.

Dziwna rzecz, jak bardzo zmienia się znajomy pokój, kiedy w fotelu siedzi mężczyzna. Wysoki, szczupły, siedzi... nie! rozpiera się w fotelu, z nogami na podnóżku. Zapala fajkę, szkaradną, starą faję, która zapowietrzy cały dom. Minę ma taką, jak by był u siebie.

Trudno, niechby firanki ucierpiały, ale miło, że znowu w domu pachnie starą, brudną fajką...

Nagle zorientowała się, że Bill Smith już od dłuższej chwili coś do niej mówi, z czego ani słowa nie słyszała. Zrobiło jej się gorąco.

— Dużo bym dał, żeby zgadnąć, o czym się tak zamyślałaś — powiedział Bili Smith. Marian czuła, że się czerwieni. Coraz gorzej!

— Myślałam... myślałam... — Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Zachowywała się niedorzecznie, zupełnie jak Dina w obecności tego piegowatego Pete'a. — Myślałam... A niech to diabli... — Wreszcie odzyskała oddech. — Myślałam, że trzeba kupić proszku przeciw pchłom, skoro mamy w domu kocięta.

— Nie stosuj proszku — odparł Bill Smith. — A jeśli chcesz koniecznie, to nie zaniedbaj wyczesać natychmiast po posypaniu. Będą zlizywały proszek z siebie i rozchorują się na żołądki. A poza tym, dlaczego podejrzewasz, że mają pchły?

— Jeśli jeszcze nie mają, to będą miały — rzekła Marian. — Wszystkie kocięta mają pchły.

— Ta prawda — zgodził się Bill Smith ze śmiechem. — Po tym się je nawet poznaje. Niewzruszone prawo przyrody. — Marian wyglądała prześlicznie w szeleszczącym niebieskim szlafrocuku, z bukiecikiem drobnych różyczek na ramieniu, z rumieńcami na policzkach. Czemuż nie mógł się odważyć na powiedzenie jej tego! — Ale nie przysze-

dłem tu na dyskusję o kotach...

W tym momencie Kleksik zbudził się, wyprostował, energicznie podrapał łapką za uchem i zasnął na nowo. Marian była mu wdzięczna za to intermezzo.

— O czym chciałeś porozmawiać? — spytała bardzo lekko.

— Powiedz mi, Marian, co wiesz o porwaniu i zabójstwie Betty LeMoe? — spytał Bill Smith.

Marian Carstairs patrzyła na niego rozszerzonymi ze zdumienia oczyma. Troje młodych Carstairsów drgnęło na schodach i zamieniło się w słuch.

— Dlaczego o to pytasz?

— Dlatego... — Urwał. Po chwili dalej: — Dlatego że utknąłem w tej sprawie na martwym punkcie. Marian, jeśli możesz, pomóż mi!

Po długiej pauzie Marian odpowiedziała bardzo cichutko:

— Zrobię, co w mojej mocy.

Dina i April spojrzały po sobie.

— Teraz powinniśmy przekazać mamusi wszystkie zdobyte dowody i wycofać się ze sceny — szepnęła April.

— Bo co? Bo co, powiedz! — nalegał Archie.

— Pss — uciszyła go Dina.

— Ale ja nie słyszałem, co mamusia powiedziała! — mruknął Archie.

Dina wprawną dłonią zamknęła mu usta sycząc:

— Cicho! Wytłumaczę ci później.

April szturchnęła sprawiedliwie oboje i szepnęła:

— Słuchajcie!

— Zdawało mi się, że już w tej sprawie wszystko wyjaśniłem — mówił Bill Smith.

— Zazdrosna żona, mąż-bałamut, ambitna młoda aktorka. Nagle nowa zbrodnia: zabito Franka Rileya. W najbliższym sąsiedztwie. Można by myśleć, że to tylko przypadkowy zbieg okoliczności, ale Frank został zastrzelony z tego samego rewolweru, z którego zastrzelono Florę Sanford.

Na schodach Archie spojrzął na April szepcząc:

— Ja bym sam też się tego dowiedział.

— Pss! — syknęła April. — Zakład leży.

— Frank Riley zostawił ponadto odciski palców — ciągnął dalej Bill Smith — na rozmaitych sprzętach w willi na parterze. Frank Riley był zaplątany w sprawę Betty LeMoe, jakkolwiek nie udowodniono mu winy. Sprawą tą zajmowała się bardzo inteligentna dziennikarka, Marian Ward. Telegrafowałem do Nowego Jorku, żeby się upewnić, że Marian Ward nazywa się Marian Carstairs.

Marian przez jakiś czas milczała, gładząc bezwiednym ruchem Kleksika.

— Tak — przyznała wreszcie. — Pisałam reportaże z tej sprawy. A co więcej, znałam

Betty LeMoe. Spotkałam ją na jakimś przyjęciu na krótko przed tą tragedią.

Bill Smith, oparty łokciami o kolana, pochylił się ku niej zaciekawiony.

— Proszę, mów dalej!

— Betty była... była prześliczna. Miała bardzo młodzieńczą i bardzo... jak by to określić?... bardzo szlachetną urodę. Przy tym piękny, wzruszający głos. Widziałam ją też raz na scenie. — Marian mówiła coraz bardziej rzeczowym tonem. — Występowała jako Betty LeMoe, ale oczywiście był to pseudonim. Nikt nie znał jej prawdziwego nazwiska, nawet po jej śmierci nie udało mi się tego dowiedzieć. Z pewnością jednak miała rodzinę, staroświecką rodzinę, która uważała występy na scenie za hańbę gorszą niżli śmierć. To zakrawa na trick reklamowy, lecz w tym wypadku tak było naprawdę. Nigdy bowiem w prasie nie ukazała się najmniejsza wzmianka o rodzinie Betty LeMoe — Marian spochmurniała. — Musieli to być ludzie niezamożni. Betty cieszyła się swoimi zarobkami jak małe dziecko nową lalką. Kupowała futra, perfumy, suknie u najlepszych krawców, nieomal skakała z radości, że jest gwiazdą. Na rachunku bankowym nie miała ani centa w momencie... kiedy się to stało.

— Któż wobec tego zapłacił okup? — spytał Bill Smith.

— Nie wiadomo. Doręczeniem zajął się dyrektor teatru, niejaki Abell, pieniądze jednak nie pochodziły z jego kieszeni ani z kasy teatru.

— Chyba jednak wiedział, kto je wpłacił? — spytał Bill.

Marian skinęła głową.

— Oczywiście.

— Abell — powtórzył Bill i wyjmując czarny notesik zapisał nazwisko, — A imię?

— Na imię miał Morris. Morris Abell — odparła Marian.

— Gdzie mógłbym go znaleźć?

— Musiałbyś się zająć spirytyzmem — powiedziała Marian. — Morris Abell umarł przed dwoma laty. Nie, nikt go nie zamordował. Umarł na zapalenie otrzewnej. Ja też podejrzewałam jakąś nieczystą sprawę ale okazało się, że chorował od dość dawna na ślepą kiszkę i za długo odwlekał operację.

Bill Smith schował notes do kieszeni.

— Szkoda. Mówiąc nawiasem, napisałaś kilka świetnych artykułów na temat tej sprawy. Czytałem je w archiwach prasowych.

Marian Carstairs podniosła głowę.

— Napisałam tak świetny artykuł, że przypłaciłam to utratą posady. Miałam szczerą sympatię dla Betty LeMoe. Płakałam, kiedy dowiedziałam się, że gangsterzy odesłali ją nieżywą, w trumnie. Policja aresztowała Franka Rileya. Przesłuchano go, ale wypuszczono z braku dowodów. Potem władze zobojętniały na tę sprawę. Ja nie mogłam zapomnieć! W oczach stała mi Betty LeMoe taka, jaką widziałam ją za życia. — Marian Carstairs drobną pięścią uderzyła energicznie o blat stolika. Kocięta zbudziły się, miauknę-

ły żałośnie, pokręciły się na jej kolanach, nim usnęły znowu.

— Mów dalej — cicho rzekł Bill Smith.

— Na własną rękę znalazłam drugiego podejrzanego i wskazałam, na niego — mówiła Marian. — Bardzo podejrzaną rolę odegrał przecież rzekomy wielbiciel Betty, ten, który ją wywabił z teatru w tragiczny wieczór. Policja niby szukała go, ale bez zapału. Nie znaleźli tego człowieka, nie było dokładnego rysopisu ani fotografii.

Na schodach Dina i April wymieniły znaczące spojrzenia. Fotografia istniała i spoczywała w tej chwili na dnie worka z brudna bielizną.

— Policja — mówiła Marian, teraz już bardzo wzburzona — ze swą zwykłą tępotą nie zdołała nigdy wykryć porywaczy — morderców. A ja straciłam cierpliwość. Napisałam artykuł oskarżający policję o niedbalstwo. Miałam słuszość! Przemyciłam ten artykuł bez wiedzy naczelnego redaktora. Wydrukowali! Ale wysokie osobistości z departamentu policji podniosły krzyk i zostałam wylana z redakcji. Czy ma pan dla mnie jeszcze jakieś pytania, panie poruczniku?

— Mnóstwo — odparł. — A na imię mi Bill. Nie pamiętasz? A więc pytanie pierwsze... Co prawda, mógłbym się tego dowiedzieć telegrafując do Nowego Jorku, ale oszczędzisz mi wiele czasu i trudu, jeśli odpowiesz. Co się stało z ciałem Betty LeMoe?

Marian chwilę patrzyła na niego bez słowa.

— Nie wiem — odparła wreszcie. — To jedna z zagadek tej sprawy. Po zbadaniu zwłok przez policję odesłano je do przedsiębiorstwa pogrzebowego, obsługującego zazwyczaj świat aktorski. Poszłam tam, bo chciałam napisać reportaż z pogrzebu Betty LeMoe. Ale ciało znikło. Wykradziono je.

— Co ty mówisz? — zdumiał się Bili Smith. — Wykradziono zwłoki?

— Tak jest — potwierdziła Marian. — Wykradziono je z zakładu pogrzebowego w Brooklynie. Około drugiej nad ranem zajechał samochód, dozorcę nocnego obezwładniono i zabrano zwłoki Betty LeMoe razem z trumną.

— Ależ... — zaczął Bill Smith oszołomiony.

— Policja zatuszowała wszystko — z gniewem przerwała mu Marian. — Byłaby to sensacyjna historia, umiałabym ją napisać. Ale już wtedy wyrzucono mnie z redakcji pod zarzutem przekroczenia kompetencji, a wszystkie dzienniki nowojorskie bały się najmniejszej choćby wzmianki o Betty LeMoe jak ognia. Nie tylko bowiem szef policji obraził się na prasę, lecz w dodatku chodziło o młodą aktorkę z małego teatryku, a okup wyniósł zaledwie piętnaście tysięcy dolarów! Na tym więc cała sprawa została zamknięta. Czy masz dla mnie jeszcze jakieś pytania?

— Kilka — odparł Bili Smith. — Włącznie z tym: Kto zamordował Florę Sanford i dlaczego? Czy masz coś do powiedzenia na ten temat?

Marian milczała chwilę, nim odpowiedziała:

— Nie.

— Frank Riley został zabity w jej domu — rzekł Bill Smith. — Zastrzelono go z tego samego rewolweru, z którego strzelano do Flory Sanford. Ale reszta jest niezrozumiała. Co znaczy kwiat zatknięty w oko portretu, ostrzeżenie na ostrzu noża? Dlaczego Wallace Sanford zniknął? Same zagadki. Ale ja muszę wykryć mordercę Flory Sanford, to mój obowiązek. Marian, ty zajmowałaś się porwaniem Betty LeMoe, ta sprawa ma niewątpliwie jakiś związek z tamtą. Byłaś dawniej reporterem w sprawach kryminalnych, znasz się na nich dobrze. Proszę cię, Marian pomóż mi!

Na schodach April trąciła łokciem Dinę. Dina przymrużyła jedno oko.

— Temu mamusia nie może się oprzeć! — szepnęła.

Lecz gdy Marian Carstairs w pół minuty później odezwała się, głos jej brzmiał dziwnie obco i chłodno.

— Gdybym wiedziała — rzekła — albo bym mogła się dowiedzieć, kto zabił Florę Sanford, zachowałabym tę wiadomość przy sobie. Ktokolwiek bowiem ją zabił, miał po temu słuszne powody. Mam nadzieję, że policja nigdy nie znajdzie sprawcy.

Bill Smith odstawił pustą filiżankę i wstał.

— Wiecznie ten sam błąd wszystkich kobiet! — zawołał. — Kierujecie się sentymentami. Nie myślcie obiektywnie. Ponieważ nie lubiłaś pani Sanford, chciałybyś, żeby jej morderca uszedł bezkarnie.

— Bardzo mało znałam Florę Sanford — lodowatym tonem odparła Marian — więc nie mogłam jej lubić czy też nie lubić. Ale wiem, że to była zła kobieta, zasłużyła sobie na śmierć.

— Prawo zarówno formalne jak moralne — równie lodowato powiedział Bill Smith — nie pyta, czy ofiara miała szlachetny charakter, czy też nie, gdy potępia zabójstwo.

— Och, dajcie mi święty spokój z waszym prawem — krzyknęła Marian i biorąc kocięta na ręce, wstała.

— Przepraszam, że trudziłem panią — rzekł oziębłe Bill Smith.

— Nie utrudził mnie pan wcale, panie poruczniku — odparła Marian. — Przeciwnie, z pewną satysfakcją stwierdzam zawsze na nowo tę samą tępotę władz policyjnych.

Bill Smith otworzył drzwi, lecz w progu jeszcze się zatrzymał, by powiedzieć:

— A wie pani, wczoraj wieczorem przeczytałem jedną z pani książek, tytuł zdaje się, brzmi „Morderstwo w rękawiczkach”.

— Miło mi, że się panu moja książka podobała — powiedziała Marian.

— Wcale mi się nie podobała. Sentymentalna bzdura, pełna nieścisłości. Szmira.

Bill Smith trzasnął drzwiami. Marian Carstairs stłumiła okrzyk.

April trąciła łokciem najpierw Dinę, potem Archiego.

Wszyscy troje pomknęli cichcem na górę i zamknęli się w pokoju dziewczynek. W minutę później po tych samych schodach wchodziła Marian Carstairs, wciąż jeszcze z kociętami w ramionach. Policzki jej pały, oczy błyszczały niezwykle. Zatrzasnęła za

sobą drzwi swojego pokoju. Zapadła cisza.

— Ach, April! — jęknęła Dina. — Ona się rozpłacze! I to w Dzień Matki!

— Bądź cicho! — odparła April. — Słuchaj! Czy to nazywasz łkaniem?

Usłyszeli charakterystyczny szelest papieru zakładanego na wałek maszyny, potem wściekle stukanie klawiszy. Pierwszy arkusz zdarto energicznym ruchem, założono nowy. Stuk maszyny rozległ się z niesłabnącą furją. Tym razem już na dobre.

Dina z cichym okrzykiem pobiegła przez hali, otworzyła drzwi do pokoju matki. Marian, wciąż w pięknym niebieskim szlafrocuku, ale z włosami rozsypanymi na ramionach, z błyszczącymi gorączkowo oczami, siedziała przy maszynie. Kocięta przycupnęły na biurku, zainteresowane, lecz nieco zaniepokojone.

— Mamusiu! — krzyknęła Dina.

Maszyna umilkła. Matka podniosła wzrok.

— Jestem wściekła — powiedziała — więc zaczęłam nową książkę.

Zaczęła znowu bębnić po klawiszach. Dina taktownie przymknęła drzwi.

— No, trudno — powiedziała. — Przecież naprawdę nie życzyłyśmy sobie policjanta na ojczyma.

— Za łatwo się załamujesz — odparła z irytacją April. — Pewnie to skutki niewłaściwej lektury. Nie ma powodu do opuszczania rąk. — April zmrużyła oczy. — Spieszmy się! On może jest jeszcze gdzieś w pobliżu!

— Ależ April! — mówiła Dina pędząc za nią po schodach. — Nie chcesz chyba...

— Nie przeszkadzaj! — krzyknęła April. — Mam natchnienie.

Na ganku przystanęły, żeby nabrać tchu. Widać stąd było Billa Smitha, opartego o płot ogrodu Sanfordów, zadumanego melancholijnie.

— Co się stało? Co się stało? — dopytywał się Archie.

— Mumilulczucz — powiedziała April zamyślona. — Pamiętaj, że ja jestem genialna, i nie przeszkadzaj geniuszowi. Dino, którego dnia mamusia wybiera się do fryzjera i manicurzystki?

— W poniedziałek — poinformowała skwapliwie Dina. — To znaczy jutro.

April milczała przez chwilę, coś sobie rozważając w myślach.

— Przyjdzie do domu późnym popołudniem, a włosy wyglądają naprawdę ładnie dopiero nazajutrz, po przeczesaniu — szepnęła.

Zastanawiała się jeszcze dobrą minutę i zbiegła ze schodów.

Dina i Archie wymienili zdumione spojrzenia, po czym ruszyli za nią.

April dopadła Billa Smitha bez tchu.

— Ach, jakie to szczęście, że jeszcze pana dogoniłam! Mamusia zapytuje, czy mógłby pan przyjść do nas na obiad we wtorek wieczorem. Bardzo prosi, my także.

— Co takiego? — zdumiał się Bill Smith. — Mam przyjść na obiad? We wtorek? Ależ...

Terkot rozpedzonej maszyny do pisania dolatywał bardzo wyraźnie.

— Mamusia nie mogła osobiście pana zaprosić, bo jest bardzo zajęta — wyjaśniła April. — Nawet tu słyhać, jak pracuje.

Bill Smith popatrzył ku oknu, pod którym siedziała Marian.

— Strasznie przepracowana — szepnął. — Powinna mieć jakąś opiekę!

— Mamusia ma nas — godnie odparła April.

— Oczywiście... Ale ja miałem na myśli coś innego — odpowiedział Bill Smith, nie odrywając wzroku od okna.

Po wyrazie twarzy Archiego April poznała, że braciszek ma na końcu języka jakąś wcale nieodpowiednią uwagę, uszczypnęła go więc lekko w łokieć i szybko zagadała sama:

— A więc liczymy na pana we wtorek. O wpół do siódmej, dobrze?

— Ach, tak — powiedział Bill Smith. — Przyjdę z największą przyjemnością. Wtorek, wpół do siódmej. Powiedźcie mamusi, że bardzo dziękuję i przyjdę... — Powiedźcie... — jąkał — że będę we wtorek. o wpół do siódmej... Dziękuję... — Zaciął się znowu. — No, do widzenia, dzieci!

Odwrócił się i odchodząc omal nie potknął się na jakimś krzaku.

April w ostatniej chwili stłumiła chichot. Bill Smith wyglądał zupełnie tak jak Pete, kiedy po raz pierwszy umawiał się z Diną na randkę.

— Nie widzę w tym nic śmiesznego — surowo orzekła Dina. — Jak ty zamierzasz tę sprawę uzgodnić z mamusią?

— Ach, nic prostszego — dufnie odparła April. — Zastanówmy się... Jutro mamusia uczesze się u fryzjera i zrobi manicure... Namówimy ją, żeby upiekła staromodny klops z zawiesistym sosem. Na deser krem cytrynowy z merengami. Mężczyźni na ogół lubią te rzeczy. A po obiedzie...

— Bardzo pięknie — przerwała Dina — ale kto powie mamusi, że zaprosiła Billa Smitha na obiad?

— Jasne jak słońce — odparła April. — Jesteś moją rodzoną siostrą i dzielimy się wszystkim sprawiedliwie. Skoro ja zaprosiłam Billa Smitha, to na ciebie wypada kolej zawiadomić o tym mamusię.

ROZDZIAŁ 18

Archie przyniósł z kuchni torbę jabłek i troje Carstairsów zasiadło na schodkach ganku od frontu, żeby omówić sytuację.

— W miarę jak zdobywamy więcej wiadomości, sprawa wikła się coraz gorzej zamiast się rozjaśniać — z ubolewaniem stwierdziła Dina. — Na przykład ta historia, którą matka dzisiaj rano opowiedziała porucznikowi Smithowi...

April, gryząc jabłko, przytaknęła gorliwie.

— Komu mogło zależeć na porwaniu zwłok Betty LeMoe? Po co?

— Może to był dowód rzeczowy — odezwał się Archie, z wielką wprawą wypluwając pestkę.

— Przecież policja przedtem przeprowadziła wszelkie badania — zauważyła April. — Dopiero potem zezwoliła na pogrzeb.

— Ja to sobie wyobrażam tak — powiedziała Dina, — Zwłoki porwał ten zakochany. Ten sam, który zabił panią Sanford i Franka Rileya, a teraz czyha na Wallace'a Sanforda.

April skwapliwie podjęła temat:

— Kochał ją, ale nie mógł wyjawić prawdy, bo jeszcze nie dopełnił zemsty... — Po chwili milczenia zaczęła cichym głosem, jakby natchniona: — Gdzieś, w ukryciu, odbył się tajemny obrzęd pogrzebowy w mrokach nocnych i tylko księżyc, błyszczący nad koronami posepnych drzew, był jego świadkiem. Odtąd, ilekroć zbliża się pełnia...

— April! — żałośnie pisnął Archie. — Proszę cię przestań!

— Wstydziałabyś się straszyć młodszego brata — surowo skarciła Dina. — Zresztą, to jest cytat z pierwszej książki mamusi, a ona sama mówi, że to było dość słabe.

April parsknęła z oburzenia.

— Skoro jesteś taka mądra, to wymyśl coś lepszego. Pan Sanford powiedział, że on jest jedynym, człowiekiem, który kochał się w Betty LeMoe.

— Wiem — odparła Dina. — I właśnie dlatego nic już nie rozumiem. — Namysłąła się chwilę. — A może był ktoś drugi, o kim Wallie Sanford nie wiedział?

— Jeśli był w niej zakochany — zaprotestowała April — to powinien taką rzecz wiedzieć.

Na to nie było repliki. Trójka czas jakiś dumiała w milczeniu. Nagle Archie cisnął ogryzek jabłka w krzaki i zerwał się z miejsca.

— Ktoś wchodzi po schodach ogrodowych — szepnął.

Dina odruchowo poprawiała włosy, na wypadek, gdyby to był Pete. April odruchowo poprawiała kokardę — na wszelki przypadek.

Był to mały pan Holbrook. Idąc po schodach sapał i co chwila przystawał, by chwycić oddech. Ubrany był w porządne, solidne szare ubranie, ciemnogrnatowy krawat miał starannie zawiązany. Twarz jego zdawała się nie tylko blada, lecz znużona i stroskana, mimo to włosy przygładził i uczesał nienagannie. W rękę trzymał czarną skórzaną tekę, z którą się nigdy nie rozstawał. April zadała sobie w duchu pytanie, czy nie zabiera jej nawet do łóżka. Wyobraziła sobie małego pana Holbrooka w staroświeckiej nocnej koszuli haftowanych pantoflach, z teką w rękę — i omal nie parsknęła śmiechem.

Pan Holbrook wdrapał się na ostatni schodek, sapnął i rwącym się głosem rzekł:

— Dzień dobry, dzieci. Czy wasza matka jest w domu?

— Jest, proszę pana — odparła Dina — ale niestety bardzo zajęta.

Instynktownie spojrzała w okno na pierwszym piętrze. Pan Holbrook także podniósł w górą oczy. Maszyna do pisania grała niczym karabin maszynowy.

— Matka pisze książki — powiedziała April. — Nie wolno jej przeszkadzać, kiedy pracuje. Wie pan, pisarze już są tacy!

Pan Holbrook wyjął z kieszeni czystą białą chustkę.

— Tak, tak, wiem, że wasza matka pisze książki. Bardzo, bardzo interesujący zawód... Mam siostrzeńca, który od czasu do czasu drukuje wiersze w „Madison State Journal”. Oczywiście bezpłatnie... — Otarł spocone czoło. — Czytałem kiedyś książkę waszej matki wydaną pod pseudonimem J. J. Lane, zdaje się... Bardzo mi się podobała. Znalazłem w niej wszakże pewne nieścisłości prawnicze, które chętnie bym z autorką przedyskutował. — Złożył chustkę systematycznie i schował do kieszeni. Znowu westchnął głęboko i zerkając ku oknu, za którym stukwała maszyna, spytał: — W żaden sposób nie da się oderwać pani Carstairs od pracy, co?

— Przykro mi, ale nie — odparła Dina. Lecz przyjrząwszy się panu Holbrookowi, dodała serdecznie: — Okropny upał, prawda? Może by pan zechciał wejść i napić się coli albo zimnej herbaty?

— Dziękuję, dziękuję — powiedział pan Holbrook. — Skorzystam z wdzięcznością. Rzeczywiście, gorąco dzisiaj. A schody tu u państwa w ogrodzie dosyć strome.

Zaprowadzili więc gościa do saloniku. Pan Holbrook zapadł w najwygodniejszy fotel z taką miną, jak gdyby miał ochotę zdjąć buty. Nieodstępną tekę złożył na kolanach.

— Jeśli można, poproszę o szklankę wody — rzekł.

— Co znowu! — odparła Dina. — Przyniosę panu coś lepszego niż woda, na przykład lemoniady.

Pobiegła do kuchni. April, pozostawiona z gościem, starała się nie gapić na niego zbyt natrętnie, lecz trudno jej było oderwać oczy od jego twarzy. A więc córka tego człowieka tańczyła, strojna jedynie w trzy pawie pióra i sznurek pereł, a publiczność zrywała się z miejsc klaszcząc entuzjastycznie — jak pisała owa korespondentka Flory Sanford, Vivienne. Nie do wiary! Za to nietrudno uwierzyć, że ojciec gotów był udzielać bezpłatnie porad pani Sanford, byle ten fakt zataić.

Dina wróciła niosąc lemoniadę w największej szklance, jaką znalazła.

— Nie włożyłam lodu — powiedziała — dałam tylko bardzo zimną wodę. Lód mógłby panu zaszkodzić, zgrzał się pan na słońcu.

— Dziękuję, dziękuję, bardzo to uprzejmie z twojej strony — mówił starszy pan. Wypił łyk lemoniady i przymknął oczy na moment.

— Czy jesteś pewna, że nie można poprosić matki ani o chwilę rozmowy?

— Niestety, nie można — odparła Dina. — Ale czy nie mogłybyśmy pomóc czymś panu w inny sposób?

— Myślałem... chciałem... Bardzo to ważne dla mnie... — jękał pan Holbrook. Zdawał się wystraszony i nieszczęśliwy. — Skoro mieszkacie w najbliższym sąsiedztwie... Zauważyłem, że ten porucznik policji, Smith bywa tutaj. Sądziłem, że może wspomniał w rozmowie z panią Carstairs...

Dina dała siostrze sygnał, który znaczył: „Mów ty!” April skinęła głową na znak, że podejmuje misję.

— Ach tak, porucznik przychodzi do nas czasem — powiedziała. — Jesteśmy, proszę pana, najważniejszymi świadkami. Słyszałyśmy strzały.

— Co takiego? Ach, oczywiście! Ale to niezupełnie to... Przypuszczałem, że może opowiadał o całej sprawie pani Carstairs...

— Matka była w ostatnich czasach bardzo zajęta — odpowiedziała April — ale porucznik obdarza nas całkowitym zaufaniem. Wiemy o sprawie wszystko.

Henry Holbrook popatrzył na nią badawczo swymi siwymi, zatroskanymi oczami. Trudno było nie zaufać April, mając przed sobą tę twarzyczkę o wielkich, ocienionych długimi rzęsami oczach, o tak uroczym, niewinnym uśmiechu. Starszy pan odchrząknął i rzekł:

— Powiedz mi, moje dziecko...

April wzdrygnęła się lekko. Co za pomysł, żeby nazywać ją „swoim dzieckiem”!

Lecz patrząc w oczy panu Holbrookowi, powiedziała zachęcająco:

— Słucham pana? ..

— Może wiecie, czy policja, przeszukując willę, nie znalazła jakichś prywatnych papierów pani Sanford?

Dina już otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, lecz April ją ubiegła, pytając szybko:

— Dlaczego pan o to pyta?

— Dlatego że... — Urwał. — Byłem doradcą prawnym pani Sanford. Jej osobiste papiery powinny znaleźć się w moich rękach. Niestety, policja ma dość szczególne poglądy na te rzeczy... Zrozumiałe chyba dla każdego, że chciałbym wiedzieć, czy policji udało się znaleźć papiery.

— Czy udało się znaleźć? — powtórzyła Dina z zainteresowaniem. — Co pan ma na myśli?

Pan Holbrook znowu odchrząknął i łyknął lemoniady.

— Pani Sanford, zdaje się, ukryła te papiery — rzekł.

— Och! A czy pan już wszędzie szukał? — spytała April bardzo niewinnie.

Kiwnął głową i ochryplym głosem odpowiedział:

— Wszędzie, gdzie mogłem przypuszczać, że coś znajdę. — Nagle spostrzegł się, co wyznał, i pospiesznie dodał: — Jako prawnik... rozumiecie... poczuwałem się do obowiązku wobec mojej zmarłej klientki... — Wypił resztkę lemoniady, odstawił szklanekę, wyciągnął złożoną porządnie chustkę, otarł twarz...

— A jak pan się dostał do willi? — zainteresował się Archie.

— Tak się złożyło w piątek wieczorem — odparł pan Holbrook — że w pobliżu wybuchł pożar i odciągnął stąd policję. Byłem przypadkiem właśnie koło willi... — Urwał i dokończył bardzo oficjalnym tonem: — Nie zamierzałem gwałcić przepisów prawa. Czułem się upoważniony do wkroczenia jako adwokat nieboszczki. Policja odmówiła mi współpracy, nie okazując zrozumienia... — Pan Holbrook złożył starannie chustkę.

— I znalazł pan coś? — zapytała Dina.

— Nic — odparł. — Absolutnie nic!

— Żadnego trupa na podłodze? — spytała April.

Pan Holbrook schował chustkę do kieszeni i wytrzeszczył oczy na April.

— Moje dziecko — powiedział surowo — żart zgoła nie na miejscu!

April nic nie odpowiedziała. Zastanawiała się, czy zamordowanie Franka Rileya w ów wieczór piątkowy nie było rzeczywiście głupim żartem.

— Moja młodsza siostrzyczka ma trochę nedorzeczne poczucie humoru — pospieszyła wyjaśnić Dina, tonem osoby bardzo dorosłej. — Jeśli to może pana uspokoić, chętnie pana zapewnię, że policja nie znalazła w willi żadnych osobistych papierów pani Sanford.

— Jeśli tak... — Pan Holbrook umilkł. — Czy jesteś tego pewna? — spytał po chwili.

— Najzupełniej! — potwierdziła Dina.

— Może dać na to słowo! — dodała April. — Wiemy z całą pewnością.

Pan Holbrook odetchnął z ulgą.

— W takim razie papiery muszą być jeszcze w willi — rzekł — i policja może je zna-

leżć lada chwila!

— Nie wiadomo, czy są w willi — powiedziała Dina.

Spojrzał na nią zdumiony.

— Jak to?

April zabrała głos.

— Mamy własną hipotezę — oznajmiła. — Niech pan pamięta, że nasza matka pisze powieści detektywistyczne, mamy więc sporo wiadomości z dziedziny kryminalistyki i tropienia zbrodniarzy. — April miała nadzieję, że to przemówienie zaimponuje adwokatowi.

— April dobrze mówi! Racja! — wmieszał się Archie.

April uszczypnęła go jednak, więc umilkł zaraz.

— Przypuszczamy — ciągnęła dalej — że w swoich papierach pani Sanford miała dokumenty kompromitujące pewne osoby. Ktoś zapewne wśliznął się ukradkiem do willi, znalazł te papiery i zniszczył. Jeśli tak było, to ta osoba musiała wynieść wszystko z willi, bo na miejscu, przy ścisłym nadzorze policji, nie miała czasu posegregować papierów. Musiała więc ta osoba spalić wszystko, bo gdyby wybrała i zniszczyła tylko te dokumenty, które jej dotyczyły, to w razie czego ściągnęłyby właśnie na siebie podejrzenia. Rozumie pan?

— Jesteś doprawdy bardzo sprytna, moje dziecko — rzekł pan Holbrook z uznaniem. Wstał, zrobił parę kroków w kierunku drzwi, wyciągnął chustkę, otarł nią czoło, złożył ją znowu systematycznie, schował do kieszeni. — Bardzo dziękuję za lemoniadę. Odświeżyła mnie znakomicie.

— Ach, nie ma za co! — grzecznie odpowiedziała Dina.

Odprawdzili gościa aż na ganek. Tu pan Holbrook zatrzymał się i z teką w ręku popatrzył z zainteresowaniem na willę Sanfordów.

— Gdybym miał pewność! — westchnął.

— Niech pan najlepiej przeszuka dom jeszcze raz — poradziła April.

— Ba, a policja? — odparł. — Nie okazują mi wcale zrozumienia. Dom jest ustawicznie strzeżony. Nie ma rady...

— Na północnej ścianie willi jest pod dzikim winem krata — oznajmiła April. — Nic łatwiejszego, jak wejść tamtędy. Z daszku nad gankiem otwiera się okno do hallu na pierwszym piętrze.

— Doprawdy? — rzekł pan Holbrook. Nagle zmarszczył brwi. — Nie namawiasz mnie chyba, moje dziecko, żebym po kracie wspinał się ukradkiem do willi nieboszczki pani Sanford? Toż to byłoby przestępstwo!

— Oczywiście! — przyznała April. — Postąpiłby pan nielegalnie.

— No właśnie! — kiwnął głową pan Holbrook. Spojrzał podejrzliwie na April, a wzrok jego pytał wyraźnie: „Czy ty czasem nie kpisz sobie ze mnie?” Lecz gdy dłuż-

szą chwilę patrzył na słodką twarzyczkę, oczy mu złagodniały. Bezstronnie obdzielił całą trójkę uśmiechem, mówiąc: — Raz jeszcze dziękuję za lemoniadę. Do widzenia!

Odkrzyknęli „do widzenia” chórem. Dina i Archie chcieli wracać do domu, lecz April szepnęła:

— Pss! Czekaście chwilę!

Czekali więc. Pan Holbrook w połowie schodów przystanął, obejrzał się, wszedł z powrotem o parę schodów wyżej i zawołał:

— Halo, moje dziecko!

— Czy pan mnie woła? — spytała April przechylając się przez balustradę, głosem zwodniczo anielskim.

— Tak, moje dziecko. Nie pamiętam... — Zawahał się i w zmieszaniu sięgnął po chustkę. — Co do tej kraty... Nie pamiętam, jak mówiłaś, na której to ścianie?

— Na północnej — powiedziała, a raczej wyszczebiotała April.

— Ach tak! Więc na północnej... Dziękuję. Do widzenia.

Zszedł już teraz na sam dół, raz tylko przystając, by w zamyśleniu popatrzeć na willę Sanfordów. Dina czekała, by się oddalił poza zasięg ich głosów, i wtedy dopiero wybuchnęła:

— April! Jak mogłaś! Przecież jeśli ten staruszek spróbuje po kracie wspinać się do willi, policja złapie go na pewno! Aresztują go!

— Wcale by mnie to nie zdziwiło — powiedziała April.

— Ależ wsadziliby go do więzienia!

— Niech wsadzają — odparła April. — Ten człowiek ma pomysły karygodne: „Jesteś sprytna, moje dziecko”, „Dzień dobry, moje dziecko”, „Dziękuję ci, moje dziecko!” „Do widzenia, moje dziecko!”. Już ja go urządzę!

— Ejże, moje dziecko! — krzyknął szyderczo Archie.

April rzuciła się na niego, lecz Archie dał nura za plecy Diny.

— Uspokójcie się wreszcie! — napominała Dina. — Po pierwsze, przeszkadzacie mamusi w pracy. Po drugie, musimy teraz trzymać się solidarnie razem.

— To prawda — poważnie przytaknęła April. — Inaczej wsypiemy się wszyscy troje.

— Archie, przeproś siostrzyczkę! — surowo rozkazała Dina.

— Przepraszam, że nazwałem cię moim dzieckiem, moje dziecko! — wrzasnął Archie.

— April, przeproś braciszka! — równie surowo zwróciła się Dina do April.

— Przepraszam cię, Archie, że tym razem spudłowałam — powiedziała April. — Przy następnej okazji na pewno już urwę ci ucho!

— Zobaczmy! — krzyknął Archie,

— Cicho, sza! — uspokajała Dina.

— Jesteśmy więc w zgodzie i póki rozejm trwa, proponuję skoczyć do Luke’a, żeby sprawdzić, czy skredytuje nam po szklance syropu słodowego na głowę. Zdaje mi się, że od śniadania upłynęły już wieki.

— Hura! — wrzasnął Archie i wymknął się zza pleców Diny tak błyskawicznie, że był już w połowie schodów, gdy starsza siostra mówiła:

— Dobrze, chodźmy.

W godzinę później wracali nieco ociężale do domu. Luka bowiem skredytował po dwa syropy na osobę, torebkę fistaszków i trzy lizaki. Sprzedawca owoców, handlujący po przeciwnej stronie ulicy, dał im na kredyt kiść winogron, torbę śliwek, trzy brzoskwinie i paczuszkę gumy do żucia. Wywiązał się jak zwykle spór, w jaki sposób podzielić sprawiedliwie pięć gum między trzy osoby, lecz — inaczej niż zwykle — rozstrzygnięto go polubownie. Z syropem, fistaszkami, lizakami, winogronami, śliwkami i brzoskwiniami w żołądku nikt nie jest zbyt wojowniczo usposobiony.

Archie biegł przodem, wprawiając się w piłkę nożną przy pomocy kamieni, którymi strzelał do pni drzew. Dina kroczyła z wolna, z wdziękiem i godnością — na wypadek, gdyby gdzieś w pobliżu znajdował się Pete. April szła zamyślona.

— A jednak nie ma powodu — odezwała się znenacka — by pan Holbrook zabijał Rileyę. Florę Sanford, owszem, ale Rileyę? Nie!

Dina wzdrygnęła się i odparła:

— Dziwna rzecz. Ja właśnie o tym samym myślałam.

— Mimo to — wywodziła dalej April — nie możemy go wykreślić z listy podejrzanych. Nie możemy żadnego spośród podejrzanych wykluczyć na tym etapie. Pamiętasz? Tak mówi detektyw w serii Clarka Camerona. On...

Nagle rozległ się gwizdek gdzieś wśród pagórków. Archie stanął, posłuchał, gwizdnął w odpowiedzi przeraźliwie.

— To Banda! — wyjaśnił siostrom. — Niedługo wrócę!

Skręcił na przełaj w górę stoku i wkrótce zniknął dziewczynkom z oczu.

April westchnęła.

— A więc, jak mówiłam — podjęła przerwana rozmowę. — Każdy, kto jest wplątany w jakikolwiek sposób w tę historię...

— Halo, dzień dobry! — zawołała Dina.

Na przeciwległym chodniku ukazała się znajoma postać Pierre’a Desgranges, podążającego nad ocean ze sztalugami, składanym krzesłem i przyborami do malowania. Pierre Desgranges zatrzymał się, przywitał, przekazał ukłony dla matki, wreszcie odszedł.

— Stanęłyśmy na tym — zaczęła znowu April — że nikogo... — Urwała nagle.

— Co się stało? — zaniepokoiła się Dina.

— Nic — odparła April. — Coś mi przyszło na myśl... — Odwróciła głowę w stronę,

skąd przyszły, wiedząc, że Dina na pewno zrobi za jej przykładem to samo i może dzięki temu nie zauważy samochodu, w którym u wjazdu do ich ogrodu czeka Rupert van Deusen,

Należało działać błyskawicznie. Jeżeli podejda do samochodu razem, a młody człowiek podający się za Ruperta van Deusena zacznie z nimi rozmowę — będzie kłops! Czemuż, ach czemuż nie powiedziała Dinie wcześniej o całej tej historii! Teraz było za późno.

— Wiesz, Dino — zaczęła. — Może by... Właśnie myślę... Bo może...

— Przestań stękać! — surowo napomniała ją Dina. — O co chodzi?

— O pana Desgranges — odparła April. — To bardzo podejrzany osobnik. Poszedł nad ocean, żeby tam malować. Myślę, że powinnaś iść za nim i nawiązać pogawędkę.

— Ja? — zdziwiła się Dina. — Dlaczego?

— Wiesz przecież — odparła April — jakie informacje zgromadziła o nim pani Sanford. Nie brakowało mu powodów do morderstwa. Jeżeli podzieliła się tymi wiadomościami z Rileyem, to pan Desgranges miał również wystarczający motyw, żeby zastrzelić Riley'a.

— To prawda — zgodziła się Dina. — Ale dlaczego ja?

— Dlatego że on ciebie bardzo lubi — oświadczyła April. — Mówi, że masz talent. Przypomnij sobie, jak chwalił twój plakat, który namalowałaś na kursie malarstwa. Siadziesz przy nim i spytasz, czy wolno przyglądać się, jak maluje morze, no i taktownie zagaisz rozmowę.

Dina spochmurniała.

— A nie mogłybyśmy pójść obie?

— Ludzie zwykle chętniej zwierzają się w cztery oczy — powiedziała April. — Gdzieś to czytałam. A z nas dwóch on woli ciebie.

— No dobrze — z wahaniem odparła Dina — ale o co ja go mam pytać?

— Ach, o nic specjalnego! — powiedziała April. — Po prostu naprowadzisz rozmowę na zagadkę morderstwa pani Sanford, postarasz się, żeby on gadał jak najwięcej, a ty będziesz tylko słuchała i zapamiętywała jego słowa. Zachowuj się taktownie, a pewnie się czegoś dowiesz.

— Czego na przykład? — spytała Dina.

Miała minę zatroskaną.

— Na przykład tego, czy to on zamordował panią Sanford — wyjaśniła April.

— Ale... — Dina urwała. — Czemu nie chcesz iść ze mną? Ja nie mam pojęcia, co mówić...

— Stanowczo z tobą nie pójde — odparła April. — To robota dla jednej osoby. Zresztą, na ciebie teraz kolej. Ja robiłam wywiad u Cheringtonów, Archie zbadał sprawę kuli. Teraz ty musisz się pofatygować. Idź, Dino. Chyba się nie boisz?

— Nie mów głupstw — odpowiedziała Dina zimno.

Zawróciła i ruszyła w kierunku wybrzeża. Uszedłszy parę kroków, zatrzymała się jednak. — Słuchaj, April, a jeśli się okaże, że to on zabił Florę Sanford, co mam zrobić?

— Zawołasz policję — mruknęła April — albo każesz mu przyznać się na piśmie, albo po prostu zaczniesz krzyczeć.

— Pupodudłuła! — powiedziała Dina z oburzeniem.

Oddaliła się, nie odwracając już głowy.

April przeczekała, by siostra zniknęła z horyzontu, i wówczas dopiero ruszyła przed siebie krokiem wolnym i manifestacyjnie swobodnym.

Człowiek siedzący w samochodzie u skrętu w aleję mógł być mordercą Flory Sanford i Riley'a. Kto wie, czy nie knuje dalszych zabójstw, jeśli są mu potrzebne do zatarcia śladów. Może ma pod ręką rewolwer i strzeli, gdy April znajdzie się na linii strzału. Jeszcze można by zawrócić z drogi, uciec. Można by krzyknąć na Dinę. Można by w ogóle krzyknąć...

Ale w takim razie nigdy nie dowie się prawdy o tym człowieku.

Szła drogą pod górę, starając się nie patrzeć na samochód, usiłując pogwizdywać nie-dbale.

Wystarczy pewnie jeden strzał z czterdziestki piątki. To wytrawny strzelec. Czy bardzo będzie bolało? Co powie matka i Dina, kiedy policja przyniesie im wiadomość? Już tylko dwadzieścia stóp dzieliło ją od samochodu. Widziała, że Rupert van Deusen patrzy na nią.

Czy jej fotografia ukaże się w gazetach? Byle nie ta z kokardami we włosach. Nie ma właściwie dobrej fotografii. Nie pora wobec tego dać się zamordować!

Patrzył na nią, ale nie poruszył się wcale. Może strzeli dopiero potem, gdy ona minie samochód i będzie odwrócona plecami? Trzeba przejść niby nic i natychmiast uskokczyć w bok, w krzaki...

— Halo!

April podskoczyła, krzyknęła lekko, stanęła jak wryta. Przyjrzała się młodemu mężczyźnie w samochodzie. Nie, on jej na pewno nie zastrzeli! Nie potrafiłby zapewne nikogo skrzywdzić. Sympatyczny, opalony chłopiec z błękitnymi oczami.

Strach minął, ale trwało oszołomienie.

— Przestraszył mnie pan! — powiedziała.

— Bardzo przepraszam, nie chciałem, doprawdy — odparł z uśmiechem.

April postanowiła nie odpowiadać na uśmiech. Spojrzała na młodzieńca ozięble.

— Cóż to za przypadek niezwykle, że się spotykamy — powiedziała przypominając sobie, że tak właśnie matka przywitała kiedyś osobę, której nie lubiła.

— To nie przypadek — odparł beztrąsko. — Przyjechałem umyślnie po to, żeby się z tobą spotkać. Z wiadomych powodów wolałem nie dzwonić do drzwi twego domu. Stałem tutaj w nadziei, że nadejdziesz.

— Bardzo miło z pańskiej strony — odparła April łudząc się, że głos jej brzmi pewnie. Podnosząc brodę dodała: — A więc to pan jest Rupert van Deusen?

— Tak — przytaknął uśmiechając się jeszcze szerzej. — A ty jesteś wiarygodny świadek, co? Proponuję pakt przyjaźni.

ROZDZIAŁ 19

Pierre Desgranges odłożył pędzel i poważnie popatrzył na swą młodą towarzyszkę.

— Masz jakieś zmartwienie?

— Nie — odpowiedziała Dina. — Nie mam żadnego zmartwienia. — Usiłowała mówić bardzo stanowczo, ale bez powodzenia, jak stwierdziła słysząc swój głos. Była strapiiona i nieszczęśliwa. Co za pomysł, żeby brać na spytki tego miłego pana Desgranges'a!

Tę sprawę powinna była załatwić April. W ostateczności — Archie. W obliczu trudnego zadania Dina zrozumiała nagle, dlaczego matka nieraz mówiła, że jej starsza córka nie ma talentów dyplomatycznych.

Spojrzała na malarza, który patrzył na sztalugi. Miał twarz łagodną i przyjazną. Nie wyglądał wcale na mordercę. Mała kasztanowata bródka podskakiwała zabawnie, gdy przenosił wzrok ze sztalug na ocean i z powrotem.

Nie, nie miała pojęcia, co powiedzieć. Nie mówiła więc nic. Siedziała milcząca i osowiła, przyglądając się, jak artysta maluje.

Pierre Desgranges zerkał na nią z ukosa.

April radziła po prostu nawiązać pogawędkę. Naprowadzić ją na takie tematy, żeby się czegoś dowiedzieć. Nic prostszego! April umiałaby z pewnością to zrobić. Gdzie się podziała April? Co ona knuła? Dina otworzyła usta i zamknęła znowu. Niech to diabli...

Coś przecież musiała powiedzieć, nie sposób siedzieć jak niemowa.

— Proszę pana...

Nie przestając malować i unikając spotkania z jej wzrokiem, rzekł.

— Słucham cię, mała przyjaciółko?

— Niech mi pan powie — wyjąkała — dlaczego pan zawsze maluje tylko morze?

Patrzył z ukosa na swoje płótno.

— A dlaczego ty malujesz domy, ludzi i konie?

— No, dlatego — odparła Dina — że lubię domy, ludzi i konie.

— Właśnie! — ucieszył się Pierre Desgranges. — A ja lubię ocean.

— Ooo! — powiedziała Dina. — Dlaczego?

Zadaje pytania tak głupio jak Archie — pomyślała ze złością — ale mniej pomysłowo.

— Dlatego że jest piękny — odpowiedział po prostu Pierre Desgranges.

Dina miała ochotę zerwać się, powiedzieć: „Do widzenia, muszę już wracać do domu...” i umknąć co sił w nogach. Niech April dokończy tę rozmowę. Gdyby jednak tak postąpiła, April do końca życia kpiłaby z niej. Powiedziała więc raz jeszcze: — Ooo! — i umilkła. Wymyśl coś! — poganiała się w duchu.

— A ja myślałam — powiedziała — że może pan dlatego maluje ocean, że chciałby pan po nim płynąć.

— Płynąć? — zdziwił się tak, że odłożył na chwilę pędzel.

Dina skinęła głową. Było jej strasznie głupio.

— No, statkiem — wyjaśniła.

— Oczywiście, statkiem. Ale dlaczegoż miałbym tego pragnąć?

— No, bo... Tam jest pana kraj rodzinny... Jeżeli pan za nim tęskni i marzy, żeby popłynąć z powrotem do ojczyzny... maluje pan ocean... — umilkła i gorączkowo wciągnęła oddech.

Patrzył na nią zdziwiony.

— Ależ tu jest mój kraj! — powiedział. — Tu jest moja ojczyzna. Wcale nie pragnę jej porzucić.

Dina po raz trzeci powtórzyła: — Ooo... — i umilkła. Próba skończyła się całkowitym fiaskiem. Łatwo April radzić: „wciągnij go w rozmowę!” Trzeba jej będzie powiedzieć parę słów prawdy po powrocie do domu.

Milczenie trwało dość długo, wreszcie Dina odezwała się znowu:

— Czy pan od dawna maluje obrazy?

— Od bardzo dawna — skinął poważnie głową.

Powiedz cokolwiek, byle nie: „Ooo!” — myślała Dina i wyjąkała w końcu:

— A gdzie pan malował, nim pan tutaj przyjechał?

— W Paryżu — odparł Pierre Desgranges wybierając nowy pędzel z pudła.

— Ale tam nie mógł pan przecież malować oceanu — zauważyła Dina.

— A nie mogłem — przyznał,

— To co pan malował?

— Domy, ludzi i konie. Czasem też drzewa.

W ostatniej chwili zdołała powstrzymać się od jeszcze jednego: „Ooo”.

— Ale pan woli ocean? — spytała.

— Stanowczo — odparł.

Miała na końcu języka słówko: „Dlaczego?” Rozmowa zatoczyła pełny krąg i wróci-

ła do punktu wyjściowego. Z rozpaczą spojrzała na zegarek. Minęło pół godziny, a nie dowiedziała się niczego więcej ponad to, że pan Desgranges mieszkał poprzednio w Paryżu i że lubi malować ocean.

Starła się wymyślić jakieś rzeczowe pytanie. Na przykład: Gdzie pan był w środę między czwartą a piątą po południu? Czy słyszał pan o niejakim Armandzie von Hoehne? Czy pan znał dobrze Florę Sanford? Żadne jednak z tych pytań nie wydało jej się taktowne czy też szczególnie celowe.

— Proszę pana...

Tym razem Pierre Desgranges odłożył pędzle i zwrócił się twarzą do niej:

— Słuchani cię. Czego chcesz?

Głos jego zabrzmiał w uszach Diny trochę szorstko.

— Czy pan zabił Florę Sanford, ponieważ ona wykryła, że pan nie nazywa się naprawdę Desgranges, ale Armand von Hoehne?

Natychmiast zrozumiała, co zrobiła. Nie było na to rady, żadne inne słowa nie przyszły jej na myśl. Ileż to razy matka i April powtarzały jej: „Dino, nie trzeba mówić natychmiast wszystkiego, co ci ślina na język przyniesie!” Stało się, a w tym wypadku skutki mogą być tragiczne. April nigdy jej nie przebaczy, że tak źle wypełniła zadanie. A jeżeli pan Desgranges jest mordercą...

Pierre Desgranges patrzył na nią oniemiały. Po chwili dopiero zaczął z wolna, metodycznie pakować swoje przybory malarskie i składać sztalugi. Dinę ogarnęła panika, lecz nie ta jej odmiana, która każe uciekać, a ta, która przykuwa do miejsca.

Wreszcie Pierre Desgranges znowu spojrzął na nią. Powiedział tylko: — Wielki Boże! — Dina zbyt była przerażona, by spostrzec, że wymówił te dwa słowa bez zabawnego cudzoziemskiego akcentu, którym trójka Carstairsów zwykle zachwycała się, usiłując go naśladować.

Teraz pewnie ją zabije. W kieszeni ma pewnie rewolwer kalibru czterdzieści pięć. Zastrzeli ją, a potem wrzuci do starego basenu pływackiego. Uciec nie sposób, dokoła ciągnie się rozległa piaszczysta plaża. Krzyżeć nie ma po co, na widnokręgu ani żywej duszy. Przemknęła jej przez głowę niedorzeczna myśl: „Teraz nie może mnie zabić, bo któż by zrobił obiad. Matka zajęta, April nie umie upiec kurcząt, a zresztą nikt nie wie, gdzie schowałam arbuza, którego chciałam podać jako niespodziankę”.

— Błagam — szepnęła — niech pan tego nie robi! Nikt prócz nas trojga o tym nie wie, a my nikomu nie powiemy, bo nam właściwie wszystko jedno, czy pan się nazywa Armand von Hoehne czy inaczej, a mamusia powiedziała, że pani Sanford była bardzo złą kobietą, więc nawet jeżeli pan ją zabił, mogę panu dać słowo, że pana nie wydamy. A jeżeli pan musi to zrobić, to proszę, niech pan zatelefonuje do domu i powie April, że arbuzy jest pod kartoflami w spiżarni, bo do jutra mógłby się zepsuć.

— Co muszę zrobić? — spytał oszołomiony.

— Zastrzelić mnie — odparła zamykając oczy i ściągając usta.

Skrzynka z farbami wypadła malarzowi z rąk. Pierre Desgranges trząsł się ze śmiechu. Śmiał się tak, że łzy spływały mu po opalonych policzkach. — O Boże! — wykrztusił. — O Boże! — Siadł na piasku, ukrył twarz w dłoniach i zanosił się od śmiechu. Nagle Dina zaczęła śmiać się także, z początku nieśmiało, potem coraz serdeczniej.

— Co za bzdura! — krzyknęła wreszcie, odzyskując dech. — Ale...

Spojrzeli na siebie i znowu śmiech ich porwał, tak hałaśliwy, że dwie mewy, krążące w pobliżu, uciekły przerażone nad morze.

W końcu Pierre Desgranges uspokoił się, otarł oczy kolorową chustką, głośno wytarł nos, wyciągnął z kieszeni fajkę.

— A wiec wyglądam na mordercę! — rzekł.

— Nie, nie, wcale pan nie wygląda! — zaprzeczyła żywo Dina. — Właśnie dlatego wydaje się takie śmieszne, że mogłam się pana bać.

Pierre Desgranges spoważniał.

— Dino — powiedział — sprawa jest bardzo poważna.

— Niech pan nie trudzi się udawaniem obcego akcentu — rzekła Dina. — Zauważyłam przed chwilą, że pan umie mówić jak my wszyscy. Ale może pan być spokojny, nie zdradzę pana.

— Mam nadzieje — odparł. — Chodzi o doniosłe sprawy. Powiedz mi, skąd przyszło ci do głowy...

— No, skoro pan jest tym Armandem von Hoehne — wyjaśniła Dina — a pani Sanford przechowywała te listy... Szantażowała pana, póki nie wyciągnęła z pana wszystkich pieniędzy, jakie pan miał ze sprzedaży biżuterii rodzinnych...

— Powiedz mi — przerwał jej głosem bardzo poważnym — gdzie znaleźliście te listy i gdzie one teraz są?

— Nie... — zająknęła się. — Nie mogę powiedzieć. Przyrzekliśmy sobie wzajem sekret z Archiem i April.

— Musisz mnie dopuścić do sekretu, jeżeli chcesz ode mnie usłyszeć coś o Armandzie von Hoehne.

— Nie mogę! — broniła się w rozpacz. — Pan jeszcze się wygada przed policją albo przed naszą matką...

— Możesz mi powiedzieć spokojnie — tłumaczył Pierre Desgranges. — Gdybym zdradził twój sekret, ty zdradzisz nawzajem mój! Widzisz, musimy sobie zaufać.

Przyglądała mu się chwilę z namysłem. Budził w niej zaufanie. Chociaż...

— Wszystko zaczęło się od tego — powiedziała z wolna — że chcieliśmy, by nasza matka wykryła zabójcę pani Sanford. Zdobyłaby rozgłos i nie musiałaby tak ciężko pracować... Więc dostaliśmy się do willi pani Sanford, przeszukaliśmy dom i znaleźliśmy te papiery. To wszystko! — zakończyła postanawiając przemilczeć szczegóły.

— Przeszukaliście cały dom i znaleźliście te papiery? — powtórzył, jakby nie wierząc własnym uszom.

— No, tak — potwierdziła Dina. — Dla nas to nie było nic trudnego.

— To prawda — rzekł pykając fajkę. — A gdzie są teraz te papiery?

— Są... — Urwała. Nie chciała wyjawić kryjówki, bojąc się, że Pierre Desgranges mógłby im odebrać dokumenty. Nie chciała też powiedzieć, że zostały zniszczone, bo to byłoby wyraźne kłamstwo.

— Nigdy nie ujrzą światła dziennego — oświadczyła.

Przyjrzał jej się badawczo i po oczach poznał, że Dina mówi prawdę.

— Dzięki Bogu — rzekł tylko.

— A teraz — powiedziała Dina — niech mi pan wytłumaczy historię Armanda von Hoehne, bo inaczej pójdę do policji i wszystko opowiem!

Nie była to może taktowna zachęta do zwierzeń, lecz Dina czuła, że argument będzie skuteczny.

— To poważna sprawa — rzekł Pierre Desgranges. — Nie żarty. Nie mówię o zabójstwie Flory Sanford, bo to nie ma z tym nic wspólnego. Przyparłaś mnie do muru, ale nim ci powiem prawdę, musisz zrozumieć, że nikt więcej nie śmie o tym wiedzieć.

— Z wyjątkiem April — szybko zastrzegła Dina. — Przed April nigdy nie mogę zachować tajemnicy, zresztą ona zawsze wszystko wytropi.

— Dobrze więc — zgodził się Desgranges. — April możemy wtajemniczyć. A teraz słuchaj uważnie. Naprawdę nie nazywam się ani Pierre Desgranges, ani Armand von Hoehne. Jestem najzwyczajniej w świecie Peter Desmond, a urodziłem się w Cleveland, w stanie Ohio.

Dina stłumiła okrzyk zdumienia i popatrzyła na niego badawczo. Beret na głowie, bródka, przybory malarskie... Nie, nie wyglądał na pana Desmonda z Cleveland. Było w nim coś... jak by to określić?... zagranicznego. A nawet wtedy gdy nie silił się na obcy akcent, w głosie brzmiała jakaś szczególna nuta. Przy tym był malarzem, a malarze są zwykle cudzoziemcami.

— Ojciec mój pełnił służbę konsularną — ciągnął Pierre — dlatego wychowywałem się wszędzie na świecie po trosze: chodziłem do szkoły w Anglii, Francji, Szwajcarii, we Włoszech, a nawet czas jakiś w Persji. Ale wiedz, że Armand von Hoehne istniał naprawdę. Ten sam, o którym wspominają listy pani Sanford. Podobnie jak ja mieszkał w Paryżu. Armand von Hoehne umarł. Uznano wówczas za pożyteczne, bym ja przybrał jego nazwisko i dostał się do kraju w roli uciekiniera chroniącego się przed gestapo. Armand von Hoehne przybywając do Stanów Zjednoczonych zmieniłby z pewnością nazwisko. Dlatego i ja występowałem tu pod pseudonimem: Pierre Desgranges. Inicjały zachowałem, żeby nie zmieniać monogramu na papierośnicy, pamiętce po mojej matce.

— Ale dlaczego? — spytała Dina. — Czym pan się tutaj zajmuje?

Pierre Desgranges westchnął.

— Z miejsca, gdzie siaduję, malując kiepskie pejzaże, widzę kilka mil wybrzeża Pacyfiku. Są zapewne agenci nieprzyjacielscy, którzy chcieliby nadawać sygnały z wygodnych do tego celu punktów wybrzeża; nie udałoby się przyłapać ich na gorącym uczynku, gdyby spłoszyli się widokiem osób oficjalnych. Któż jednak podejrzewa dziwaka Francuza, starszego pana, który nawet — Pierre Desgranges uśmiechnął się porozumiewawczo do Diny — nie umie dobrze mówić po angielsku!

Dina powiedziała: — Och! — i spojrzała na niego z szacunkiem. Był w jej oczach nieomal żołnierzem. Nagle jednak wzięła w niej górę praktyczna natura. Przypomniała sobie, jak postępował w podobnych wypadkach detektyw z księżek matki.

— Swoją drogą — powiedziała surowo — niech mi pan dokładnie odpowie, gdzie pan się znajdował w środę po południu, kiedy to zamordowano panią Sanford.

Patrzył na nią z uśmiechem.

— Byłem tutaj, na plaży, na oczach setek osób. Dzień był tak ciepły i ładny, że rozłożyłem koc i przespałem się na piasku. — Wstał i zaczął z powrotem rozstawiać sztalugi. — Światło jeszcze niezłe — stwierdził — można malować.

Dina odetchnęła z ulgą.

— Cieszę się, że to nie pan ją zamordował — rzekła. — Ale chciałabym wreszcie wiedzieć, kto to zrobił.

— Zostaw lepiej te zagadnienia policji — radził otwierając pudło z farbami. — Oni mają w tej dziedzinie pewne doświadczenie. A ty, w twoim wieku, powinnaś myśleć o innych sprawach.

Dina nie odpowiedziała na tę uwagę.

— No, to do widzenia — powiedziała. — Muszę wracać do domu, najwyższy czas zając się obiadem. Dziękuję panu.

— Służę zawsze z przyjemnością — odparł przyglądając się obrazowi. — I pamiętaj! Nikomu ani słowa!

— Z wyjątkiem April — przypomniała Dina.

— Oczywiście — zgodził się Pierre Desgranges.

Dina raz jeszcze powtórzyła: — Do widzenia — i pobiegła plażą na przełaj do alei. Co też powie na to April? Być może — myślała Dina — że nie jestem z natury taktowna, ale tym razem siostra będzie chyba ze mnie dumna!

W połowie drogi do domu nagle ogarnęły ją wątpliwości. Przecież nieprzyjacielski agent dawałby sygnały z wybrzeża w nocy, przy pomocy świateł. Pan Desgranges natomiast — czyli Peter Desmond — malował w dzień!

Zwolniła kroku. Dzieliły ją dwa bloki od domu, gdy przypomniała sobie coś jeszcze. Armand von Hoehne miał na przedramieniu znak rozpoznawczy: szramę po pojedyn-

ku. Pan Desgranges nigdy nie zawijał rękawów.

Idąc coraz wolniej i rozmyślając z coraz większym niepokojem, uświadomiła sobie mijając ostatni blok przed rodzinnym domem, że w środę nie było ciepło ani pogodnie i że na plaży na pewno tego dnia nie przebywało wiele osób. Pamiętała doskonale, bo wybrali się we trójkę na wybrzeże zamierzając spędzić tam godzinę lub dwie. Na wzgórzu koło domu było gorąco, ale gdy zeszli na wybrzeże, okazało się, że wilgotna mgła przejmuje dreszczem i że na plaży nie ma nikogo. Właśnie dlatego zostali w domu i z ganku usłyszeli strzały, które zabiły Florę Sanford.

A jednak — pomyślała strapiona — tę rozmowę powinna była przeprowadzić April!

ROZDZIAŁ 20

Teraz możemy mówić z sobą zupełnie otwarcie — rzekł opalony, przystojny młody człowiek — skoro jesteście przyjaciółmi!

— Złudzenie optyczne — wyniosłe odparła April. — Nigdy w życiu nie byłam usposobiona mniej przyjaźnie.

Potrząsnął głową zmartwiony.

— No, no! A przecież tak wiele mamy wspólnego! Nie spodziewałem się tego po tobie, szanowny Wiarygodny Świadku!

April zmierzyła go zimnym wzrokiem.

— Jeśli wolno zapytać, jak pan wykrył, że to ja jestem Wiarygodnym Świadkiem?

— Aha, więc jednak zdradzamy niejaką ciekawość! — rzekł. — Skoro chcesz wiedzieć, a chcesz oczywiście, to powiem ci, że spotkałem dziennikarza, który zajmował się tą sprawą. Spytałem go — otwieram cudzysłów — „Co to za jeden ten Wiarygodny Świadek?” — zamykam cudzysłów. Opisał mi ciebie. Otwieram cudzysłów: „Prześliczna mała blondynka zamykam cudzysłów.

— Przyznaję, że jestem prześliczna — powiedziała April — ale blondynka? Nie! Pański przyjaciel, jak widzę, nie odróżnia kolorów. Bardzo mi było miło poznać pana, ale niestety spieszę się... — April miała nadzieję, że słowa jej brzmią dość godnie, by onieśmielić Ruperta van Deusena.

— O nie, nie puszcze cię, póki nie odpowiesz na pytanie, które mnie dręczy — odparł.

— Słucham pana? — spytała April.

— Gdzie znalazłaś to wspaniałe, piękne nazwisko: Rupert van Deussen?

April patrzyła mu w twarz. Przypomniała sobie, że matka powiedziała kiedyś: „Jeśli już koniecznie musisz błagować, nie daj się w tym przelicytować...” Podniosła brwi i siłując się na lekki ton powiedziała:

— Kto jak kto, ale pan powinien to wiedzieć! Czy pan nie pamięta? W rozmowie z panią Sanford, kiedy ona pana szantażowała, zawołał pan: „Jakem Rupert van Deu-

sen!”

— Ejże? — odparł z wyrzutem w głosie. — W gazecie było inaczej, imię w jednym zdaniu, a nazwisko w drugim.

— Pan oczywiście wie najlepiej, jak było — powiedziała April.

Spojrzał na nią z uśmiechem.

— Wiem w każdym razie, że zostałem przelicytowany — odparł. — Ale mówmy wreszcie rozsądnie. Czytałem wszystkie książki twojej matki, podziwiam jej inteligencję, a ponieważ wierzę w dziedziczność sądzę, że z tobą można rozmawiać rozsądnie. Dlaczego opowiedziałś sierżantowi O’Hare tę bajkę o Rupercie van Deusenie? Założę się o dolara, że mi nie powiesz prawdy

— Najpierw niech pan pokaże dolara — rzekła April.

Wyciągnął banknot z kieszeni.

— Proszę, jest. Więc dlaczego?

— Bo to jest tępak — wyjaśniła April. — Zdawało mu się, że zdoła przekupić mojego małego braciszka i wyciągnąć z niego pewne informacje o sprawie. To był wstrętny podstęp, postanowiłam odplacić mu pięknym za nadobne. Rupert van Deusen występuje w książce mamusi, jeszcze nie wydanej. No, niech pan daje tego dolara!

— Przegrałem! — zgodził się młody człowiek.

April wsunęła dolara do kieszeni.

— A teraz ja założę się, że pan mi nie powie, dlaczego wykorzystał to nazwisko? Stawiam dziewięć milionów dolarów, że pan nie powie!

— Najpierw pokaż dziewięć milionów — odparł.

April przeszukała kieszenie.

— O, do licha, zapomniałam portfela!

Nie roześmiał się, bardzo poważnie powiedział:

— W ostateczności przyjmę weksel. — Zmieniając ton dodał: — Owszem, wytłumaczę ci wszystko. Z pewnych naprawdę ważnych powodów chciałem się dowiedzieć, co naprawdę zaszło w willi Sanfordów. Powody są nadal bardzo ważne i wciąż jeszcze dążę do wykrycia prawdy. — Uśmiechnął się do April. — Pamiętaj, że mam murowane alibi. Nie mogłem zamordować pani Sanford. Nie jestem z policji. Nie jestem z prasy. Jestem autorem trzeciorzędnych scenariuszy filmowych, chwilowo na urlopie.

April z powątpiewaniem spytała:

— Może pan wymieni jakiś film, według swego scenariusza?

— Ostatni grano pod tytułem „Mumia w masce”. Może widziałś?

— Widziałam — odparła April. — Okropny film! — Była zawiedziona, bo nie mogła sobie przypomnieć nazwiska autora podanego we wstępie do filmu na ekranie. — A co pan właściwie chciał wykryć, panie... van Deusen?

Nachylił się nad kierownicą i patrząc jej w oczy z powagą, rzekł:

— Dziecinko, ty i twoje rodzeństwo byliście nieomal jedynymi świadkami morderstwa. Słyszeliście strzały. Ustaliliście czas.

— Dina poszła właśnie do kuchni zobaczyć, czy już pora wstawiać kartofle... — zaczęła April.

Młody człowiek jęknął.

— To już słyszałem sto razy, w gardle mi już stoją te twoje kartofle. Pamiętaj, że czytałem w gazecie wszystko, co pisano o sprawie. Widzieliście wtedy Polly... tę młodą osobę, która znalazła zabitą...

— Ach, ma pan na myśli Polly Walker? — rzekła April. — Tak, widzieliśmy ją. Byliśmy przy tym, jak znalazła zwłoki.

— Byliście przy tym?!

— Mówiąc ściśle — wyjaśniła April — w pobliżu. Widzieliśmy wszystko przez okno.

— Powiedz mi, jak ona się zachowała? Jak zareagowała? Czy widziałaś się z nią potem? Czy widywałeś ją w willi Sanfordów przedtem? Czy nie przyjeżdżała tu kiedyś... w nieobecności pani Sanford?

Oczy April otworzyły się szerzej. Młody człowiek już się nie uśmiechał. Pod opalenizną był bardzo blady. Zdawał się przerażony. Zrozpaczony także... April założyła ręce na piersi, oparła się o drzwiczki samochodu i z uśmiechem powiedziała:

— Niech pan zdejmie tę siwą perukę. Poznałam cię: jesteś Cleve!

— Cleve Callahan — przyznał odruchowo. — Jak zgadłaś?

— Na tej samej ulicy Polly Walker siedząc w swoim szarym samochodzie szlochała jak małe dziecko i powtarzała: „Cleve! Cleve!”

Niepohamowanym gestem chwycił ją za rękę.

— Czy jesteś pewna? Czy na pewno? To ważne, to bardzo ważne!

April skrzywiła się: palce miał twarde jak stalowe sprężyny.

— Oczywiście, że jestem pewna! — zawołała z gniewem. — Żadne z dzieci pani Carstairs nie jest głuche. — I wyrwała mu rękę.

— Gdybym mógł w to uwierzyć... — mruknął z oczyma spuszczoneymi na kierownicę. — Gdybym mógł uwierzyć... Ale ten Wallace Sanford...

— Niech pan przestanie mamrotać — ostro napomniała go April. — A więc kocha się pan w Polly Walker?

— Czy się ko... — urwał i spojrzał na April.

Coś w wyrazie jego twarzy przypominało kota Jenkinsa, gdy w porze obiadowej siedział przy stole kuchennym, głodny i smutny.

— Jeśli tak — powiedziała April — to powinien pan działać. Bo ona też kocha się w panu.

— Ach, nie rozumiesz wszystkiego — odparł — przecież Wallace Sanford...

— Niechże pan na minutę zapomni, że istnieje Wallace Sanford! — surowo fuknęła April. — Niech pan mnie posłucha. Już teraz rozumiem, dlaczego pan wykorzystał tę historię o Rupercie van Deusenie.

— Nie, tego nie możesz zrozumieć — odparł. — Skądże... Jakim sposobem?

— Kobiety mają intuicję — powiedziała w nadziei, że mu tym zaimponuje. — A gdyby to Polly Walker zastrzeliła Florę Sanford, co by pan zrobił?

— Starałbym się ją chronić — odparł ze smutkiem. — Oczywiście.

April skinęła głową.

— Właśnie! Starałby się pan jakoś wmieszać do tej sprawy, robiłby pan wszystko, co w pańskiej mocy, żeby policji przeszkodzić w wykryciu jej winy. Węszyłby pan dokoła, zadawałby pan ludziom różne pytania, usiłowałby pan dostać się do willi i sprawdzić, czy nie ma tam jakichś kompromitujących Polly śladów. Co więcej, robiłby pan to wszystko tak, by ona niczego się nie domyślała. Skoro więc podejrzewa pan, że to Polly zastrzeliła panią Sanford...

Młody człowiek wzdrygnął się i z cicha krzyknął: — Ach!

— Nie wolno panu siedzieć tu beczynnienie i wdychać — powiedziała April. Głos jej brzmiał niemal gniewnie. — Czy Polly ma rewolwer?

Skinął głową bez słowa.

— Jaki? To bardzo ważny szczegół!

— Kaliber trzydzieści dwa.

April odetchnęła z ulgą.

— Założę się, że pańska matka nie jest tak sprytna jak moja, chyba że cała teoria dziedziczności nie ma sensu. Bo pani Sanford zginęła od kuli kalibru czterdzieści pięć.

Młody człowiek patrzył na nią w osłupieniu.

— Jesteś pewna?

— Mur marmur — potwierdziła April. — Informacja wprost od policji.

Młody człowiek z jękiem opadł na kierownicę:

— Och, Polly!

— Mdli mnie od tych widoków — oświadczyła April. — Najpierw ona siedzi w swoim wozie i wyje: — „Och, Cleve!” — a potem znów pan w swoim samochodzie jęczy: „Och, Polly!” Wątroba boli mnie, jak widzę takie mazgajstwo. Powinien pan porozumieć się z nią, wszystko opowiedzieć i o wszystko, czego pan ciekawy, zapytać.

— Chciałem tak zrobić — odparł. — Próbowałem. Ale ona nie chce się ze mną zobaczyć. Nie otwiera, kiedy dzwonię do drzwi. Nie odpowiada, kiedy telefonuję. Listy, nawet telegramy odsyła nie otwarte.

— A wcale pan nie wygląda na patałacha! — zdziwiła się April — Gdyby pan przyjrzał się dokładnie kopertom tych listów, okazałoby się na pewno, że były otwierane rozgranym nożem i zaklejone z powrotem. Niech no pan posłucha...

Otworzyła drzwiczki, wsunęła się do samochodu, siadła przy młodym człowieku i przez następne piętnaście minut udzielała mu rad, które zakasowałyby dobre rady każdej pani Ady. Rady te bowiem prowadziły do konkretnych planów, wzbogaconych do-
rażnie pomysłami młodzieńca.

Na zakończenie spytał z uśmiechem: .

— Czy wszystkie dzieci twojej matki są genialni?

— Mniej więcej — lekko odpowiedziała April. — A skoro mowa o dzieciach mojej matki, to nadchodzi właśnie Dina. Pójdę na jej spotkanie, jeśli pan pozwoli. Radzę panu wiać stąd, bo ja umiem zachować sekret, ale po Dinie niech się pan tego nie spodzie-
wa.

Otworzył przed nią drzwiczki, a gdy wysiadła, ruszył natychmiast i powiewając we-
soło ręką na pożegnanie, zniknął za zakrętem. April wolnym krokiem, zamyślona, szła
na spotkanie Diny. Twarz jej promieniała, gdy zbliżywszy się do siostry powiedziała:

— Miłość to cudowna rzecz!

Dina wytrzeszczyła oczy.

— Co ty mówisz? W kim się zakochałaś?

— W nikim — odparła April. — Ale on jest zakochany, i to jak! Rupert van Deusen!

— Co do licha! April! Czyś ty oszalała? — wybuchła Dina. — Przecież to już dziś
rano wykombinowałyśmy. Ale Betty LeMoe nie żyje!

— On pewnie nawet nie słyszał nigdy o Betty LeMoe — mówiła w rozmarzeniu
April. — Kocha się w Polly Walker.

Dina siadła na najniższym schodku przed domem.

— Może to ja zwariowałam? — rzekła. — Może to skutki upału?

— Nikt nie zwariował — powiedziała April. — Tylko on szaleje za nią! Czy to nie
piękne? A w dodatku wygrałam dolara.

— Och, biedna moja siostra! — westchnęła ze smutkiem Dina.

— On się naprawdę nazywa Cleve Callahan — wyjaśniła April siadając obok Diny na
schodku. — Píše scenariusze do filmów. To on jest autorem tego okropnego filmu „Mu-
mia w masce”. Kocha się w Polly i założę się, o co chcesz, że ją zdobędzie.

— Cleve? — powtórzyła w zadumie Dina. — Ach, tak... Ale w takim razie, co z tym
Rupertem van Deusenem?

April odetchnęła głęboko.

— Okazuje się — rzekła — że ktoś, chcąc wprowadzić w błąd policję, zmyślił całą hi-
storię o Rupercie van Deusenie. Żadnego Ruperta w ogóle nie ma na świecie. Ten ktoś
musiał takie nazwisko znaleźć w jakiejś książce... Więc ten człowiek zakochany w Pol-
ly zgłosił się jako Rupert van Deusen, żeby wkręcić się tu i przeprowadzić śledztwo na
własną rękę. No, taki detektyw-amator... Bał się, że to może ona zabiła panią Sanford,
i chciał bronić ukochanej, a teraz już wie, że to nie ona, więc wszystko jest na najlepszej

drodze i pewnie się wkrótce pobiorą.

April skończyła na tym, uznawszy, że dla Diny tyle informacji wystarczy.

— Och! — westchnęła Dina.

— Założyłam się z nim i wygrałam dolara — dodała April. — Chodźmy do Luke'a po kilka butelek coli. — April wstała. — Po drodze opowiesz mi, jak ci się udało z panem Desgranges'em.

— To było tak... — zaczęła od razu Dina.

Dina lubowała się w szczegółach, toteż przeszły spory kawałek drogi do sklepu, kupiły colę i wróciły nieomal przed dom, nim dojrzała do faktów, jakie nasunęły jej się po rozstaniu z Pierre'em Desgranges, czyli Armandem von Hoehne, czyli Petrem Desmondem.

April aż podskoczyła z oburzenia. Na szczęście nie ona, lecz Dina niosła butelki, bo z pewnością w tym momencie wypuściłaby je z rąk.

— To przecież skończona bujda! — powiedziała. — Dino, jak mogłaś dać się tak nabrać!

— Teraz to rzeczywiście brzmi jak bujda — przyznała Dina. — Ale kiedy mi to mówił, wydawało się zupełnie prawdopodobne.

— Na wybrzeżu są regularne posterunki strażnicze — rzekła April. — Czuwają dniem i nocą. Powinnaś była o tym pamiętać. — Po chwili namysłu dodała: — Kto wie, może w tej historii jest ziarno prawdy, ale odwróconej! Strażnicy właśnie nie zwróciliby uwagi na dziwaka Francuza malującego pejzaże.

— Ach, April! — jęknęła Dina. — Trzeba coś zrobić! Trzeba coś zrobić natychmiast!

— Nie bój się, zrobimy — posępnie zapewniła ją April. Odniosły butelki do kuchni, otworzyły dwie, a resztę schowały do lodówki. — Będziemy go śledzić, może przyłapiemy na dawaniu sygnałów czy na szpiegowaniu...

— Ależ to by trwało może długo — protestowała Dina. — Byłoby zresztą bardzo trudne! Jedna z nas musiałaby stale przebywać poza domem, a jak to wytłumaczyć mamusi? Szkoły przecież także nie sposób opuszczać. — Zamyśliła się ściągając brwi. — Musimy powiedzieć o wszystkim mamusi. Ona niech da znać policji. Bądź co bądź, przyczyni się do schwytania szpiega i zdobędzie sławę.

— To byłoby nienajgorsze — przyznała April. — Ale, wiesz, powiemy jej tylko o tej historii z panem Desgranges. O reszcie ani słowa. Chyba żeby się okazało, że to on zabił Florę Sanford.

Chwilę nasłuchiwały. Maszyna na piętrze terkotała szybko.

— Zrobię trochę herbaty z lodem i zaniesiemy matce — zaproponowała Dina.

W parę minut później wspinały się po schodach, niosąc artystycznie zastawioną tacę z zimną herbatą i ciasteczkami. April zapukała i otworzyła drzwi, Dina weszła z tacą. Matka na chwilę przestała pukać na maszynie i spojrzała na córki.

— Jak to miło z waszej strony! — powiedziała wesoło. Miała na sobie szlafrok, nie upięte włosy zwisały jej na kark. — Właśnie już chciało mi się pić i jeść.

— Niech mamusia nie zapomina — surowo odparła Dina — że wczoraj skończyła książkę, a jutro ma iść do fryzjera i manicurzystki.

— I do kosmetyczki też — uzupełniła April.

— Pamiętam o tym — niemal pokornie odpowiedziała matka. — Chciałam tylko zanotować parę pomysłów, póki mi nie wywietrzeją z głowy. — Upiła łyk herbaty: — Pyszne! — pochwaliła.

Wzięła ciasteczko i gryząc je spojrzała na ostatnią zapisaną kartkę papieru na biurku, potem na kartkę tkwiącą jeszcze w maszynie, i dodała parę słów.

— Mamusiu — powiedziała Dina — ten pan Desgranges, malarz, wcale nie jest malarzem. To szpieg! Nie nazywa się naprawdę Desgranges, to jest Armand von Hoehne, a udaje Petera Desmonda, ale pewnie kłamie... — Urwała i nabierając tchu podjęła znowu: — Mamusiu, trzeba zawiadomić policję i powiedzieć im, że wykryłaś szpiega!

— Dobrze, dobrze — powiedziała matka. — Chwileczkę... — Zaiksowała dwa słowa w maszynopisie i na ich miejsce wstawiła dwa inne.

— Powiedział mi, że jest tajnym agentem, ale już mu teraz nie wierzę — mówiła Dina — bo przecież na wybrzeżu są strażnicy, a zresztą w środę była mgła i nikt się nie kąpał.

— Słusznie — powiedziała matka — kąpać możecie się tylko przy słonecznej i cieplej pogodzie. — Wyjęła arkusik z maszyny dodając: — W ogóle wołałabym, żebyście pływały w basenie klubowym.

— Mamusiu! — apelowała Dina. — Trzeba zaraz coś postanowić. Trzeba działać bez zwłoki! Zatelefonować do F.B.I. — Czekala chwilę. — Mamusiu! Uważaj chociaż przez minutę!

Matka wkręciła nowy arkusik na wałek i wypisała paginę 11.

— Ależ słucham cię, kochanie — powiedziała żywo.

Wertując w kartkach maszynopisu, szukała czegoś na stronie trzeciej.

— Może właśnie w tej chwili on topi jakiś okręt albo coś w tym rodzaju! — mówiła Dina.

Matka napisała znów dwa słowa, podniosła znad maszyny oczy, uśmiechnęła się i powiedziała:

— To już innym razem, dobrze? Moje złote...

April westchnęła.

— No, cóż, dobrze — powiedziała. Pchnęła Dinę ku drzwiom. — Daruj nam, mamusiu, że cię niepokoiimy.

— Nic nie szkodzi — rzekła matka. — A herbata smakowała mi ogromnie. — Zaczęła stukać na maszynie bardzo szybko. Gdy dziewczynki stały już w progu, podniosła na

nie wzrok i spytała: — Czy mi się zdaje, czy mówiliście coś, że chcecie iść na plażę i popatrzeć, jak pan Desgranges maluje ocean? To doskonały pomysł!

— Nie, już zmieniliśmy plany — odparła April.

W hallu pierwsza odezwała się Dina.

— Matka nie słyszała ani słowa z tego, co jej mówiliśmy!

— Ma natchnienie — stwierdziła April. — Nie wolno jej przeszkadzać. Musimy wszystko załatwić same. Zatelefonujemy.

Dina była zmartwiona.

— Ale jak zrobimy, żeby nie przyznać się do znalezienia tych papierów pani Sanford i w ogóle do wszystkiego?

— Zostaw to mnie! — oświadczyła April.

Wywiązała się krótka dyskusja, czy należy zatelefonować do J. Edgara Hoovera, do F.B.I., do komisariatu policji czy też do samego prezydenta Roosevelta. Ostatecznie skończyło się na tym, że zawiadomią Billa Smitha.

April zatelefonowała do komisariatu policji, tam odsyłano ją od jednego urzędnika do drugiego, aż wreszcie powiedziano, że porucznik Bill Smith jest u siebie w domu. Na próżno tłumaczyła, że chodzi o bardzo ważną i pilną sprawę, odmówiono jej podania prywatnego numeru telefonu.

— Znajdziemy w książce — pocieszała pełna optymizmu Dina.

W książce figurowało pięciu Williamów Smith, ale żaden nie był tym, którego szukały.

Wówczas April wpadła na pomysł zatelefonowania do sierżanta O'Hare, którego numer był w spisie. Powiedziała mu, że matka prosi o numer Billa Smitha, bo ma do niego interes. Poczciwy sierżant, wężąc romans, udzielił im żądanej informacji. Dzięki temu dotarli wreszcie do Billa. April od razu przedstawiła się w telefonie. W odpowiedzi głos Billa Smitha zdrzął z niepokoju.

— Co się stało? Może wasza matka...

— Nic jak dotąd się nie stało — odparła April. — Obawiamy się jednak, czy nie stanie się wkrótce. Dlatego do pana dzwonicmy.

I opowiedziała całą historię o panu Desgranges, czyli Armandzie von Hoehne, czyli Peterze Desmond — oczywiście pomijając starannie wszelkie drażliwe szczegóły. W pewnej chwili Bill Smith przerwał jej:

— Chwileczkę... Chcę zanotować...

Musiała więc opowiedzieć wszystko jeszcze raz od początku. Jak wraz z Diną odkryły, że Pierre Desgranges jest Armandem von Hoehne, jak Dina rzuciła mu w twarz to nazwisko i co on na to odpowiedział. Na zakończenie dodała, co obie z siostrą o tym myślały.

— Jesteś genialna! — rzekł Bill Smith.

April rozpromieniła się z radości. Gdyby był powiedział: „Ależ z ciebie zdolne dziecko!” — rzuciłaby słuchawkę.

— Powiedz mi coś jeszcze — podjął Bill Smith. — Skąd dowiedziałyście się, że pan Desgranges nazywa się w rzeczywistości von Hoehne?

Pytanie dotykało najdrażliwszego punktu sprawy! April odpowiedziała ostrożnie i zdecydowanie:

— Od pani Sanford.

Nie było to kłamstwo, a zarazem nie była to zdrada tajemnic.

— A jak ona do tego doszła?

— Nie wiem — odparła April. — Ona już nam tego nie powie.

W telefonie na chwilę zapadła cisza. Potem Bill Smith powiedział:

— Słuchaj, April. Zastanów się poważnie. Czy pani Sanford mówiła wam coś o innych osobach?

— Nie — odparła April. — Nic nam nigdy nie mówiła.

To była prawda.

— Doskonale to załatwiłaś — pochwaliła Dina, gdy April odłożyła słuchawkę.

— Ach, drobiazg! — z wyższością zbyła komplement April. — Wiesz, zrobmy sobie parę sandwiczów, głodna jestem.

— Ja też — zgodziła się Dina. — Zjemy po sandwiczu, a potem zajmiemy się kurczętami na obiad.

April smarowała marmoladą ser spoczywający na podkładzie z masła kakaowego, gdy do kuchni wpadł jak bomba Archie. Był zasapany, czerwony, zgrzany i bardzo brudny. Na widok rzędu słoików ustawionych przed siostrą wrzasnął: Hura! — i chwyciwszy nóż rozglądał się za bochenkiem chleba.

— Umyj przede wszystkim ręce — napomniała Dina.

— Och, nie nudź! — odparł Archie. — To zupełnie czysty brud. — Mimo to umył ręce i dopiero wówczas zabrał się do komponowania nowej odmiany kanapki. — Wiecie co?

— Wiemy bardzo wiele — odparła April — ale nie wiemy co.

— Dina dostała prezent — powiedział Archie sięgając po marynatę z kopru. — A ja jestem detektyw! Wykryłem, że na obiad będą kurczęta!

— Jaki prezent? — zdziwiła się Dina.

— No, prezent. Stoi na ganku owinięty w brązowy papier. I wiecie co?

Dina wybiegła na kuchenny ganek i wróciła z dużą paczką.

— Wiecie co? — powtórzył Archie.

— Mumilulczucz! — fuknęła na niego Dina. — Och, April!

Był to obraz, ten sam, który pan Desgranges malował podczas rozmowy z Diną, nie wykończony i zawrotnie pachnący terpentyną. W rogu widniał podpis, a przynajmniej

inicjały: P. D. Przypięta pod spodem kartka głosiła: „Mojej uroczej przyjaciółeczce, Dina Carstairs w upominku”.

Dina ustawiła obraz na kuchennym krześle i zaczęła się w niego wpatrywać.

— April, co to znaczy? — spytała.

— Ej, wiecie co? — domagał się głosu Archie. — Ja jestem detektyw!

— Dobrze, dobrze, jesteś mądry jak Dick Tracy — powiedziała April nie odrywając wzroku od obrazu. — Myślę, Dino...

— Ej! Słuchajcie! — wrzasnął Archie. — To ważne!

— Słuchamy — odparła Dina. — Powiedz najpierw, jak ten obraz znalazł się na ganku?

— Przyniósł go ten malarz — wyjaśnił Archie. — Ten, co to maluje wodę. Oddał go w moje ręce i powiedział, że to dla Diny, więc postawiłem paczkę na ganku, a on wsiadł w samochód i odjechał w stronę miasta. A ja pomyślałem, że jeżeli wy mogłyście zrewidować willę, to my z Admiralem też potrafimy to samo, choćby trzeba było szybko wybić, żeby wleźć do środka.

— Przeszukaliście dom pana Desgranges'a? — spytała April.

— No, właśnie! — odparł Archie. — Przecież mówię.

April odłożyła kanapkę.

— I co?

— I nic! — zawołał z tryumfem Archie. — Nie ma nic w domu prócz mebli, ale meble były wynajęte, bo przedtem mieszkała tam ciotka męża siostry mojego kolegi, a meble stały te same.

Dina i April spojrzwały po sobie, wreszcie Dina spytała:

— Archie, czy to znaczy, że pan Desgranges zabrał z domu wszystkie swoje rzeczy?

— No! — kiwnął głową Archie. — To jest właśnie moje odkrycie. Czy mogę się napić coli?

April natychmiast przyniosła butelkę, otworzyła, podała Archiemu.

— Mów dalej!

— Kiedy to już wszystko — odparł Archie. — Zabrał takie rzeczy, jak ubrania, książki, obrazy, brzytwę i w ogóle. Pewnie załadował manatki na samochód. — Archie wetknął słomkę do butelki i dokończył raportu: — On się chyba na dobre wyprowadził.

— Rzeczywiście, na to wygląda! — przyznała April.

— Słuchaj, April — powiedziała Dina — może trzeba zaraz zatelefonować do Billa Smitha i zawiadomić go, że już za późno!

April westchnęła.

— Możemy sobie oszczędzić fatygi. Przecież lada chwila sam się o tym przekona.

ROZDZIAŁ 21

— Warto dodać dwa dolary — powiedziała April. — Trzy dolarowy manicure u Howarda wygląda sto razy lepiej niż zwyczajny, który matka zwykle każe sobie zrobić za dolara. Bill Smith przyjdzie jutro na obiad. Wiesz przecież, ile znaczą piękne ręce. Ciekawam, jaki kolor lakieru on lubi?

— Ależ, April — odparła Dina — matka nie da się namówić na trzydolarowy manicure!

April przestała szczotkować włosy.

— Jakaś ty niemądra! Skoczę do Howarda podczas wielkiej pauzy... To niedaleko, zdążę, jeśli zrezygnuję z drugiego śniadania, no i dobrze wyciągnę nogi... Pogadam z manicurzystką, dam jej dwa dolary i poproszę, żeby nic mamusi nie mówiła, ale zrobiła tak, jak za trzy dolary. Matka nawet nie zauważy.

— Ach, tak! — powiedziała Dina. Słała swoje łóżko. Nagle, przerywając tę pracę, zawołała: — Ale nie mamy przecież dwóch dolarów! Tygodniówkę wypłaci matka dopiero w sobotę.

— Zostało mi czterdzieści centów z tego wygranego dolara — odparła April.

— A ja... — Dina przetrząsnęła portmonetkę i kieszenie wszystkich ubrań, jakie ostatnio nosiła — ja mam trzydzieści dwa centy.

— Razem siedemdziesiąt dwa — stwierdziła w zadumie April. — Archie musi wpłacić swój udział. Ile to będzie trzecia część dwóch dolarów?

— Sześćdziesiąt i coś... Zaraz... Sześćdziesiąt sześć i dwie trzecie... Pospiesz się, April, twoje łóżko jeszcze nie zasłane. Spóźnimy się na autobus.

— Powiedzmy, sześćdziesiąt cztery — powiedziała April. — Sześćdziesiąt cztery i siedemdziesiąt dwa... Zaraz, zaraz... Jeden dolar, trzydzieści sześć centów... Resztę pożyczymy od Archiego.

— Jeśli on się zgodzi — odparła Dina. — Jeśli się także zgodzi wpłacić swój udział, te sześćdziesiąt cztery centy.

— Pogadaj z nim.

— Nie. Pomysł był twój, więc pogadaj ty.

— Ale ty jesteś starsza. Ty powinnaś go zapytać. — April namyślała się chwilę. — Coś ci powiem ja załatwię z Archie'm sprawy finansowe, ale ty za mnie pościesz łóżko.

— Niech będzie! — zgodziła się Dina. — Po wczorajszym wieczorze Archie jest do tej pory taki przejęty, że nie zechce się chyba opierać.

Poprzedni wieczór przyniósł podniecające wrażenia. Samochody pędziły tam i z powrotem ulicą. Archie, wysłany na rekonesans, wrócił z wiadomością, że policja przeszukała dokładnie dom, w którym zamieszkiwał Pierre Desgranges.

— Zbadali odciski palców i w ogóle — oznajmił.

Matka natychmiast po obiedzie wróciła do siebie na górę, „żeby zanotować jeszcze parę rzeczy” — jak mówiła. Przyszedł Pete i namawiał Dinę na wspólną przejażdżkę rowerem. April, wbrew spodziewaniu, poparła go nalegając, żeby jechali natychmiast, póki zmierzch nie zapadnie. „Ten jeden raz mogę sama pozmywać” — mówiła. Dina była zbyt zdumiona, aby się sprzeciwić. Ledwie April zdążyła wyprowadzić Dinę i jej wielbiciela przez drzwi kuchenne, gdy do frontowych zadzwonił Bill Smith w towarzystwie energicznego, lecz spokojnego pana w ciemnoszarym ubraniu.

April mogła więc zgodzić się z prawdą — i ku szczeremu swemu zadowoleniu — oznajmić, że Diny nie ma w domu. Zaprosiła obu gości do kuchni i powtórzyła panu w szarym ubraniu rozmowę, którą Dina miała z Pierre'em Desgranges. Dwaj panowie nawet się nie spostrzegli, że pomogli jej w zmywaniu talerzy — Bill Smith mył, a jego towarzysz wycierał, April mówiła. Skończyła swoją historię, nim oni uporali się z robotą, wobec czego dodała jeszcze szczegóły o prezencie, jaki dostała Dina od malarza. Poszła po obraz, a gdy wróciła, dobrowolni pomocnicy już wieszali na kołku ostatnią wyżętą ścierkę.

— Wartość artystyczna niewielka — stwierdził pan w szarym ubraniu — ale pretekst do przesiadywania na wybrzeżu znakomity.

— Czy już go aresztowano? — spytała April.

— Nie — odparł Bill Smith. — Nawiał. Ale go dostaniemy. — Zwrócił się do szaro ubranego mężczyzny: — Dziwna rzecz to włamanie do jego domu!

April taktownie przemilczała tę uwagę. Nie miała zamiaru wsypywać Archiego i narażać go na koszty z powodu zbitej szyby.

Dina wracając z przejażdżki zastała — ku nieopisanemu zdumieniu — talerze pozmywane, kuchnię sprzątniętą, April zaś zasłuchaną w muzykę z najnowszych płyt. Pete został na wieczór. Proponował zwinąć dywan i potaćzyć. Wkrótce wpadły na chwilę Mag i Joella, a w pięć minut potem zjawili się Eddie i Willie. Archie, Admirał, Goony i Flashlight nadciągnęli z wyprawy niosąc Hendersona, który znowu zerwał linkę i umknął tego popołudnia z domu tak chyżo, że znaleźli go o dwa bloki dalej na ulicy. Z kolei Kleksik i Apsik wyleźli jakimś cudem na dach i trzeba było organizować akcję

ratowniczą, a gdy ją zakończono, Jenkins zażądał kolacji. Wreszcie matka zeszła na dół, zmęczona ale wesoła oznajmiając, że odkłada pracę i zamierza parę dni odpoczywać, a razie zaś postara się nakarmić całą głodną rzeszę.

Dopiero w parę godzin później Dina znalazła sposobność, żeby spytać April:

— Czy nic się nie działo ciekawego podczas mojej nieobecności?

April zaś mogła odpowiedzieć niedbałym tonem:

— Nic nadzwyczajnego. Tylko że był tu ktoś z F.B.I...

To wszystko było poprzedniego wieczora. Tego natomiast ranka matka zeszła na śniadanie i zapowiedziała, że wybiera się nie tylko do fryzjera i manicurzystki, lecz również na zakupy, ponieważ chce sprawić sobie nowe spodnie robocze. W rannych gazetach nie było wzmianki o ucieczce Pierre'a Desgranges, Armanda von Hoehne, czy jak tam się ten dudiabubeł zwał. O całej sprawie morderstwa Flory Sanford pisano jedynie tyle, że „policja nadal poszukuje Wallace'a Sanforda”.

Słowem — cisza. April jednak myślała z zadowoleniem, że jest to cisza przed burzą. We wtorek wieczorem Bill Smith miał przyjść na obiad, matka będzie na tę okazję pięknie uczesana i wymanicurowana. Możliwe, że do tego czasu zabójca Flory Sanford zostanie ujęty. Do załatwienia pozostawała zatem tylko drobnostka: naciągnąć Archiego na sześćdziesiąt cztery centy składki oraz niewielką krótkoterminową pożyczkę.

April zapukała do drzwi brata i rzekła uprzejmie:

— Przyszłam ci pomóc w zasłaniu łóżka.

Archie spojrział na nią kwaśno i powiedział:

— Jeżeli przysłaś tu po to, o czym ja myślę, to nie tylko pościesz moje łóżko, ale sprzątniesz cały pokój. Przez miesiąc wszystkie butelki od coli należą do mnie, do pierwszego wynosisz śmieci, a i tak nie pożyczę wam więcej niż jednego dolara. No, to już teraz wiesz wszystko!

April ścieląc łóżko popatrzyła na brata poważnie i spytała:

— Archie, powiedz mi, czy ty kochasz matkę?

W kwadrans później wyszła z pieniędzmi. Obiecała Archiemu zwrot długu w dniu tygodniowej wypłaty, butelki od coli przez dwa tygodnie i zastępstwo w wynoszeniu śmieci przez tydzień.

Lekcje w szkole wydały im się tego poniedziałku wyjątkowo nudne. April po raz pierwszy w życiu dostała „niedostatecznie” na lekcji sztuki dramatycznej, Dina dwukrotną naganę za roztargnienie na lekcji gospodarstwa domowego, Archie zaś nie umiał rozwiązać najprostszych zadań arytmetycznych, co tak zdziwiło nauczyciela, że odesłał go do szkolnej sanitariuszki, podejrzewając o jakieś poważne niedomaganie. Dzień więc był uciążliwy i pełen przykrych niespodzianek dla nauczycieli, a dla trójki uczniów nie do zniesienia długi.

Wreszcie spotkali się w szkolnym autobusie. Dina siedziała razem z Pete'em i Joellą,

którzy mówili do niej oboje na raz. April królowała wśród grona wielbicieli w wieku od trzynastu do piętnastu lat. Archie wraz z Flashlightem tarzał się po podłodze ku rozpaczy kierowcy, który i bez tego miał dość kłopotów. Mimo przeszkód, Dina przesłała siostrze sygnał: „Załatwiłaś?”, na co April odpowiedziała sygnałem: „Spokojna głowa!”

Troje Carstairsów wysiadło na przystanku w pobliżu domu.

— Wszystko załatwiłam — meldowała April. — Panna Estella zrobi trzydolarowy manicure, a pani Howard własnoręcznie wykona masaż twarzy. Wy tłumaczyłam im, że urządzamy jutro zabawę z niespodziankami.

— Niespodzianki rzeczywiście będą — ponuro stwierdziła Dina. — Jak wytłumaczymy matce, że zaprosiliśmy Billa Smitha na obiad?

— To ty miałaś uprzedzić mamusię — pisnął przenikliwym dyszkantem Archie. — April zrobiła swoje, bo zaprosiła porucznika.

April przyjrzała się zatroskanej twarzy Diny.

— Nie martw się — powiedziała. — Już ja to mamusi wytłumaczę. Ja to potrafię. A teraz może byśmy wstąpili do Luke’a?

— Coca-cola jeszcze jest w lodówce — zauważyła Dina.

— Chcę kupić gazetę — odparła April.

Dina i Archie spojrzeli na nią.

— Po co?

— Do czytania — spokojnie wyjaśniła April. — Nie zadawajcie głupich pytań, to nie usłyszycie głupich odpowiedzi.

Zawróciła w stronę Luke’a. Dina i Archie poszli za nią.

— Ojej! — krzyknął Archie. — W domu jest gazeta! Od rana!

— Tamtą już czytałam — powiedziała April.

— Ależ wieczorna gazetę przysyłają zwykle w porze obiadu! — przypomniała Dina.

— Nie mogę tak długo czekać — odparła April niewzruszona i zagadkowa.

— O, do licha! — jęknął Archie. — Jeść mi się chce!

April przystanęła.

— Słuchaj, Archie. Jeżeli namówię Luke’a, żeby nam dał na kredyt trzy syropy słodowe, czy obiecujesz zapłacić je w sobotę z twojej tygodniówki?

— Ale... — zaczął Archie. Z całej trójki tylko April zdolna była do wyjednanego u Luke’a dalszego kredytu. — No, niech będzie!

— Dobrze! — powiedziała April. — W takim razie przeczytamy gazetę czekając na syrop. Oszczędzimy pięć centów.

Weszła pierwsza i odbyła konferencję z Luke’em. Potem skinęła na oczekujące przed sklepem rodzeństwo. Wzięła z kontuaru najświeższą gazetę i rozkładając ją, z uśmiechem spytała Luke’a:

— Pan pozwoli, prawda?

— Proszę bardzo — odparł Luke dodając hojnie mrożony krem do szklanki.
— Powinno to być na pierwszej stronie — powiedziała April.
Było rzeczywiście! Fotografia i nagłówek przez dwie kolumny:

Główny świadek

w sprawie morderstwa Flory Sanford
PORWANY!

Dina powiedziała: — Och! — April psyknęła: — pss! — Archie zaś zawołał:

— Pokażcie mi, pokażcie, pokażcie!

— Masz, patrz i nie nudź — ofuknęła go April. — Daj przeczytać spokojnie!

Luke podał syrop i z uśmiechem napomniął:

— Nie rozlejcie na gazetę, bo musiałbym wliczyć ją do waszego rachunku.

Troje Carstairsów niemal odruchowo odsunęło szklankę od gazety i wetknąwszy słomki w usta, czytało dalej.

Reporter donosił, że Polly Walker, młoda aktorka, która pierwsza ujrzała martwą panią Sanford, została porwana ze swego mieszkania w Hollywood.

— Tutaj nic nie gadajcie — szepnęła April, a Dina i Archie uroczyście skinęli głowami na znak zrozumienia.

Pokojówka panny Walker zeznała, że około dwunastej piętnaście odebrała telefon. Głos kobiecy domagał się rozmowy z Polly Walker w pilnej i ważnej sprawie. Panna Walker podeszła do telefonu i słuchała chwilę. Zdawała się bardzo zmartwiona. Natychmiast wezwała telefonicznie z garażu swój wóz, ubrała się i wyszła.

Portier widział ją wychodzącą na ulicę. W tym samym momencie jakiś samochód, oczekujący opodal, zajechał i stanął tuż przy niej, chociaż postój był tu zabroniony. Zamaskowany mężczyzna z rewolwerem w ręku zmusił pannę Walker, by wsiadła, po czym samochód ruszył i uwożąc młodą aktorkę zniknął w okamgnieniu na zakręcie ulicy.

Dalej reporter przypominał pokrótce okoliczności morderstwa pani Sanford, a nade wszystko fakt, że Polly Walker pierwsza znalazła zwłoki. Następową zwięzłą historią życia młodej dziewczyny, wychowanej na pensji dla panien z dobrych rodzin, zdobywającej wkrótce sukces na jednej ze scen Broadwayu, a potem rozbłyskującej jako gwiazda w Hollywood. Polly Walker co prawda nigdy nie występowała w wielkich rolach ani w głośnych filmach, lecz to nie miało znaczenia. Skoro została wplątana w zagadkę morderstwa i w dodatku porwana — była gwiazdą! April wysączyła syrop słodowy do dna i zerknęła na zegar wiszący nad kontuarem.

— Oj, tak późno! — zawołała. — Trzeba się spieszyć do domu! — Odsunęła szklankę i złożyła gazetę. — Dziękujemy panu, Luke! — I porządnie umieściła dziennik z powrotem na półce.

Dina i Archie skończyli syrop i w ślad za April wybiegli na ulicę.

— Dokąd ci tak pilno? — spytała Dina.

— Mam randkę! — krzyknęła radośnie April. — Wszyscy mamy randkę!

— Ojej! — wołał Archie. — Czekaście na mnie!

— Nic nie rozumiem — mówiła zdyszana Dina. — Porwano Polly Walker! Czy zrobiła to jakaś banda porywaczy? Podobnie jak przed laty Betty LeMoe.

— Nie — odparła April. — Tym razem porwania dokonał jeden człowiek.

— Ależ nie, mylisz się — protestowała Dina. — Nie mógł działać sam, bez współników.

— A ja ci mówię, że zrobił to sam jeden! — upierała się April.

— Zastanów się, April — tłumaczyła Dina. — Wprawdzie wciągnął ją do samochodu samotny mężczyzna, ale przedtem kobiecy głos wezwał ją telefonicznie. To był z pewnością podstęp, żeby wywabić Polly na ulicę i umożliwić porwanie.

— Kobiecy głos? — szepnęła niemal bez tchu April. — To byłam ja!

Dina stłumiła okrzyk. Archie rzekł: — Ha?! — lecz zanim ktoś zdążył przemówić, April wskazała palcem wjazdową drogę za domem Carstairsów, której nie używał nikt prócz mleczarza i dostawcy prowiantów.

— Oto — powiedziała April — porywacz i jego ofiara!

Troje Carstairsów puściło się pędem w dół ulicy. W alei za domem stał samochód, w samochodzie siedzieli Cleve Callahan i Polly Walker. Oboje uśmiechnięci.

ROZDZIAŁ 22

Wy obie możecie być druhnami na naszym ślubie — rzekł Cleve — ale nie mam pojęcia, co zrobimy z waszym braciszkiem.

— To prawda? — spytała April.

Cleve skinął głową, a Polly zarumieniła się ślicznie.

— Och! To cudownie! — zawołała April. Ucałowała Cleve'a w policzek i omal nie udusiła Polly w uścisku. — Archie, nasz mały braciszek, może podawać obrączki.

— Nie jestem mały — oburzył się Archie — i wcale nie chcę. A po co obrączki?

— Mniejsza z tym — powiedziała Dina. — Czy nie chciałby ktoś wyjaśnić mi, co się tu dzieje?

Polly Walker podniosła na nią oczy.

— Mamy się pobrać z Cleve'em! — Włosy Polly były potargane, na twarzy widniały ślady łez. Resztki szminki rozmazały się wokół ust. Wyglądała szkaradnie. — Dzisiaj...

— Przedtem niech pani koniecznie umyje twarz — poradziła April. — I umaluje się. I uczesze.

Polly spojrzała na nią, zaśmiała się, znowu zaczęła płakać, wreszcie powiedziała:

— Jakaż ja byłam niemądra!

April zwróciła się do Cleve'a mówiąc:

— Jeżeli pan chce mieć tak niemądrą żonę, to już pański kłopot.

— Odpowiedzialność spada na ciebie — odparł. — To ty wszystko uknułaś. Poradziłaś mi co mam zrobić i pomogłaś wykonać plan. Jeśli będę musiał rozwieść się z nią za czterdzieści czy pięćdziesiąt lat...

Polly Walker spojrzała mu w twarz.

— Cleve, to ta mała?...

— Tak, to April poradziła mi, żebym cię porwał. I ona właśnie zatelefonowała do ciebie w południe, wywabiając z domu.

Polly Walker patrzyła zdumiona na April.

— To byłaś ty? Twój głos?

— Nie darmo zbieram same „celujące” na szkolnym kursie sztuki dramatycznej! — skromnie odparła April. — A jak się pani podobało moje przemówienie? — I przybierając pozę April wydeklamowała: — Panno Foker, mam w swoim renku dokumenty, znalezione w domu pani Zanfort. Mosze je pani odsyskać, jeśli natychmiast stawi się...

— Panna Grubee wyrzuciłaby cię na dwa lata z klasy, gdyby to usłyszała — krytycznie zauważyła Dina. — Czy nie zechce ktoś wytłumaczyć mi, co się tu dzieje?

Cleve Callahan spojrział na April i rzekł:

— Wytłumacz, April, to przecież twoja rodzona siostra.

April opowiedziała całą historię, zaczynając od narodzin Ruperta van Deusena, a kończąc na radzie udzielonej Cleve Callahanowi.

— No, więc porwałem Polly — uzupełnił historię Cleve — przy współpracy April. A potem w samochodzie wszystko wzajem wyjaśniliśmy sobie z Polly i już nie mamy przed sobą żadnych sekretów. Teraz pojedziemy na lotnisko i polecimy do Las Vegas, żeby wziąć ślub, niestety bez drużek, a szkoda! Wyglądałybyście prześlicznie w organ-dynowych sukienkach.

— To fakt — przyznała April — że wyglądałybyśmy szalowo: ja w różowej sukni, Dina w niebieskiej, Archie w białym szewiotowym ubraniu.

— Archie? — zaniepokoiła się Dina. — Gdzie się podział Archie?

Archie zniknął.

— Pewnie poszedł zawiadomić policję, że jeden z podejrzanych o morderstwo zamierza uciec do Las Vegas — westchnęła April. — Niech więc pani nam wszystko opowie raz dwa, a potem lepiej wiejcie stąd.

— Co mam opowiedzieć? — zdumiała się Polly.

— Taka była umowa — tłumaczył jej Cleve. — Już ci przecież o tym wspominałem.

— Taka była umowa ze mną — potwierdziła April. — Zobowiązałam się pomóc w porwaniu pod warunkiem, że Cleve przywiezie tu panią o czwartej po południu i że pani nam opowie, jak to wszystko naprawdę się stało.

— Ach, nie mogę, nie mogę! — zawołała Polly Walker zasłaniając dłońmi twarz.

— Kochanie, kochanie... — uspokajał ją Cleve.

— Niech pani nie przesadza — powiedziała Dina. — Może pani mówić śmiało. Wielkie rzeczy! I cóż to nadzwyczajnego, że pani tatuś był gangsterem i siedzi w więzieniu. Moim zdaniem, musiał to być zacy człowiek, skoro się tak troszczył o córkę. Nie ma się pani czego wstydzić, chyba tego, że się pani teraz tak mazgai!

— Bubrurawuwo, Dudinuna — szepnęła cichutko April.

Polly Walker pożyczyla od Cleve'a chustkę i wytarła nos.

— Ona... ta pani Sanford... dowiedziała się o tym... nie wiem skąd... Żądała pieniędzy. Ja... ja... nie zarabiam tak dużo... Potem na jakimś przyjęciu poznałam Wallace'a... On... no, tak, nadskakiwał mi... A że to był jej mąż, myślałam... — Polly znowu wytarła nos.

— Wcale mi się naprawdę ten Wallie nie podobał. Cleve już to dobrze wie...

Cleve uściśnął jej rękę mówiąc:

— Już to wszystko sobie powiedzieliśmy. Czy nie pamiętasz?

— Pamiętam, Cleve — skinęła głową Polly. — Kocham cię tak bardzo!

— O tym porozmawiają państwo w drodze do Las Vegas — przerwała April. — A teraz niech pani mówi nam o Florze Sanford.

— Mów dalej, Polly — powiedział spokojnie Cleve. — Te dziewczynki zasłużyły na to, żeby dowiedzieć się prawdy. Bądź co bądź, tylko im zawdzięczamy...

— No, dobrze, mówię już — zgodziła się Polly. — Więc Wallace... zajął się mną... Nie powinnam... ale go zachęcałam... I wtedy... To było tak: myślałam, że może z jego pomocą wydobędę od pani Sanford te listy, te papiery... ale on miał własne rachuby. Okazywał coraz natarczywiej swoje zamiary... no... matrymonialne...

— Nie bardzo to trafne określenie, ale rozumiemy wszyscy, co masz na myśli — powiedział Cleve. — Wcale mu się też nie dziwię. Każdy, kto cię zobaczy...

Polly na nowo rozpląkała się rzewnie, a Cleve znalazł dla niej czystą chustkę.

— Nie... nie — mówiła wśród łez. — To nie tak było... Jemu chodziło o to, że jestem aktorką i mam duże szansę kariery, może już wkrótce będę zarabiała dużo! To znaczy, zarabiałabym, gdybym nie zmieniała planów... Bo chcę wyjść za mąż i zerwać ze sceną... Och, Cleve!

Polly ukryła twarz na ramieniu Cleve'a.

— Równie dobrze mógłby się pan ożenić z Niagarą — powiedziała April zwracając się do Cleve'a.

Cleve roześmiał się, zsunął głowę Polly ze swego ramienia, wytarł jej twarz swoją chustką i rzekł:

— Mów dalej, dziecinko. Powiedz wszystko!

— No, więc wreszcie... powiedziałam Wallace'owi o tym... o moim ojcu, o papierach w ręku Flory Sanford. Odpowiedział, że wydobędzie te listy, jeżeli ona zgodzi się na rozwód... i wtedy on ze mną się ożeni... A potem nagle zaczął mnie namawiać, żebym przyjechała do Willi Flory i porozmawiała z nią. Przyjechałam. Zażądała ogromnej sumy. Przypuszczam... nie, wiem na pewno!... że Wallace wszystko jej wygadał. Oświadczyła mi, że za grube pieniądze jest gotowa oddać mi te papiery, zgodzić się na rozwód, o wszystkim zapomnieć. Ja na to odpowiedziałam, że przyjadę znów w środę z pieniędzmi.

Zapadło milczenie na długą, długą chwilę. Wreszcie April szepnęła:

— Słuchamy...

Nagle Polly Walker wyprostowała się, oczy jej oschły. Była bardzo blada, piękne włosy, zwichrzone, przesłaniały czoło.

— Chciałam ją nastraszyć — powiedziała. — Miałam przy sobie rewolwer. Chciałam

ją zmusić, żeby zwróciła mi te listy. Wtedy mogłabym raz na zawsze zapomnieć o niej... i o nim... Przyjechałam tu około... nie, dokładnie tego nie wiem, ale było między czwartą a piątą. Zatrzymałam samochód przy wjeździe, podeszłam do drzwi willi. W ręku miałam rewolwer. Nie, nie zamierzałam jej zabić! Nie mogłabym zabić nikogo, nawet takiej złej kobiety jak Flora Sanford! Chciałam tylko... Ach, rozumiecie mnie przecież!

— Rozumiemy — miękko powiedziała Dina.

— Weszłam do salonu. Przedtem dzwoniłam, ale nikt nie otworzył. Drzwi nie były zamknięte, nacisnęłam klamkę i weszłam. Rewolwer trzymałam w ręku. Ona patrzyła na mnie, nie powiedziała ani słowa. Wycelowałam prosto w nią i powiedziałam: „Niech pani...”

— I co, i co? — niecierpliwiła się April.

— Nagle... Ale to wszystko rozegrało się tak błyskawicznie... Nie mogę sobie jasno uświadomić... Jakiś mężczyzna wybiegł skądś, chyba od strony schodów. Zauważyłam tylko, że był szczupły i śniady. Miał na głowie kapelusz z opuszczonym dużym rondem. Tyle zapamiętałam, więcej nic. Kłął biegnąc, minął mnie, zniknął za drzwiami. Pani Sanford wcale na niego nie zwracała uwagi. Nagle padł strzał. Jakby zza drzwi jadalnego pokoju. Pani Sanford przewróciła się na dywan. A wtedy rewolwer, który wciąż ścisiskałam w ręku, wypalił! Sama nie wiem jak, dlaczego, nie wiem też, gdzie trafiła kula, ale na pewno nie w nią... nie w panią Sanford. Odwróciłam się i uciekłam. Mężczyzna w filcowym kapeluszu wsiadał do samochodu, który stał dalej, w głębi alei. Odjechał natychmiast. Ja wskoczyłam do swego wozu i ruszyłam szybko. Gdzie pojechał tamten człowiek, nie wiem. Ja skręciłam na wybrzeże, nad morzem zatrzymałam się chwilę. przyszło mi na myśl, że może Flora Sanford jest tylko raniona i że powinnam tam wrócić. Mogłam przecież udać, że byłam zaproszona do niej na herbatę i właśnie dopiero zajęchałam. Zawróciłam więc, znowu zadzwoniłam do drzwi, tak jak bym tu nigdy przedtem nie była... — Polly urwała i odgarnęła włosy z czoła

— Rupercie, mój przyjacielu — odezwała się April tonem pełnym szacunku — żeni się pan z kobietą o stalowych nerwach!

Polly Walker podjęła swoje opowiadanie:

— Ale Flora Sanford nie była tylko ranna... Nie żyła już. Wezwałam policję... — Spojrzała na Dinę i April z bladym uśmiechem. — Resztę już wiecie.

Cleve pochylił się mówiąc:

— Słuchajcie, dziewczynki. Nie wolno tej historii...

April patrzyła mu promiennie w oczy.

— Wie pan, u nas w rodzinie... Mamy już takie obciążenie dziedziczne. Nasza matka jest okropnie roztargniona, my to mamy po niej! Niestety, już zapomnieliśmy, co nam tu Polly opowiedziała.

— Co do mnie — dodała Dina — to w ogóle nie słuchałam. — Pocałowała Polly mó-

wiąc: — Szalenie się cieszę, że to nie pani zastrzeliła Florę Sanford i że pani nie wyjdzie za Wallace'a, bo chociaż to niezły chłopak, ale pani narzeczony jest stanowczo o wiele, wiele sympatyczniejszy.

— Moja siostra słynie z taktu — powiedziała April.

— Żużmumijuja! — szepnęła Dina i łzy popłynęły jej z oczu.

— Niech państwo na nią nie zwracają uwagi — rzekła April. — Ona zawsze płacze na ślubach. A swoją drogą to z waszej strony świństwo, że chcecie wziąć ślub w Las Vegas. Cudnie wyglądam w organdy nowych sukniach. Poza tym nie wiem, czy to nie przestępstwo wywozić głównego świadka do innego stanu, nawet jeśli chodzi o małżeństwo.

— Spytam adwokata — odparł Cleve Callahan — jutro, po powrocie. — Nagle, podnosząc wzrok, osłupiał i jęknął: — Wielki Boże!

Zbliżała się Banda. A przynajmniej większa część Bandy. Na czele kroczył Archie z olbrzymim bukietem hortensji. Za nim Admirał piastował naręcze bugenwilli. Goony niósł najpiękniejsze dalie z ogrodu swojej matki, Flashlight wiązanekę petunii, a Slukey ostrożnie ścisnął w garści jedną jedyną kamelię.

— W pośpiechu nie mogliśmy znaleźć nic więcej — oświadczył Archie. — Proszę! — I wrzucił bukiet do wnętrza samochodu. Slukey bardzo ceremonialnie wręczył kamelię pannie młodej, inni członkowie Bandy obsypali ją kwiatami.

— Usłyszałem, że się żenicie — tłumaczył Archie — a jak się ludzie żenią, to zawsze jest dużo kwiatów, więc zaalarmowałem, Bandę.

Polly Walker uściskała go i ucałowała. Archie spaliłby się ze wstydu, gdyby nie to, że uściskała i ucałowała również pozostałych przedstawicieli Bandy. Potem Cleve Callahan nacisnął starter, wycofał wóz wzdłuż alei wołając: „Do widzenia!” — a Polly Walker rozplakała się znowu.

April z zadowoleniem spojrzała na brata, a gdy samochód zniknął im z oczu, powiedziała:

— Miałeś wspaniały pomysł, Archie. Ale jeśli Polly nie zahamuje wreszcie tej Niagary, to należałoby raczej ofiarować jej cztery tuziny chustek do nosa.

Banda rycząc z uciechy rozbiegła się po wzgórzach, Archie z siostrami ruszył w stronę domu.

— Mogłaś mi wcześniej powiedzieć — odezwała się Dina, trochę urażona.

— Chciałam ci zrobić niespodziankę — odparła April. — No i udało się! Co prawda dla mnie też było to wszystko niespodzianką. — Skrzywiła się i kopnęła jakiś kamyczek. — Powiedz, Dino, czy ty wierzysz w historię Polly?

— Oczywiście, że wierzę! — zawołała Dina. — Wierze święcie w każde słowo!

— Ja też — powiedziała April. — Wiesz, to się już wszystko zaczyna wyjaśniać. Chudy śniady mężczyzna w szarym kapeluszu to Frank Riley. Był na miejscu W chwili zbrodni. Ale nie on zabił Florę Sanford, Polly Walker także była tam wówczas i strzeliła

w oko wujowi Herbertowi. Tej dziewczynie nie powinno się dawać do ręki broni, chyba procę. Ktoś strzelił z jadalni i trafił Florę Sanford. Ktoś, kto miał rewolwer kalibru czterdzieści pięć i umie strzelać. Dino, wiemy już bardzo wiele!

— Bardzo wiele i w sumie nic! — ponuro stwierdziła Dina. — Nie ciesz się, bo nie ma z czego. Wielu rzeczy jeszcze nie wiemy.

— Będę się cieszyła, bo mi się tak podoba — odparła April. — Nie mów, że nie wiemy wielu rzeczy, bo nie wiemy tylko jednego. — Uśmiechnęła się tajemniczo. — Pozostaje tylko wykryć, kto stał wówczas w jadalnym pokoju i strzelił stamtąd do pani Sanford.

ROZDZIAŁ 23

Manicure za trzy dolary udał się nadzwyczajnie. Uczesanie również. Troje małych Carstairsów z zachwytem wpatrywało się w matkę przez cały czas obiadu. Temu z pewnością nie oprze się Bill Smith!

— Estella rzeczywiście bardzo się tym razem starała — odpowiedziała matka na komplementy swych dzieci. — Nigdy jeszcze nie zadała sobie tyle trudu żeby upiększyć moje paznokcie. — Pokazała ręce córkom. — Podoba wam się ten kolor? Inny niż zwykle. Estella mnie namówiła.

April i Dina przytakiwały z zapałem. Kolor bardzo im przypadł do gustu. April przecież sama go wybrała u Estelli: słodki jasnoróżowy odcień.

— Przyszło mi do głowy — ciągnęła matka — że skoro sobie robię wakacje, może byśmy wszyscy razem poszli jutro wieczorem na obiad do restauracji, a potem do teatru...

Dziewczynki spojrzały po sobie. Dina pytała wzrokiem, czy nie należy teraz powiedzieć matce o zaproszeniu Billa Smitha na jutrzejszy obiad. April jednak potrząsnęła przecząco głową. Oczy Diny odpowiedziały: „W takim razie zrób coś!”

— To byłoby cudownie — odezwała się April. — Ale, mamusiu, ty jesteś zawsze taka zajęta, najprzyjemniej będzie spędzić wieczór z tobą w domu. We czwórkę. Szczerze mówiąc, to by mi sprawiło więcej przyjemności niż restauracja i teatr.

— Mnie też! — gorąco oświadczyła Dina.

Archie przyłączył się do sióstr:

— One mają rację, mamusiu!

— Mówicie to szczerze? — spytała Marian. Troje Carstairsów jak jeden mąż kiwnęło głowami. — Co za dzieci! Dobrze więc, zostaniemy w domu. Przygotuję wspaniały obiad na tę uroczystość. Co chcecie? Może steki?

— Największy apetyt mam na takiego staroświeckiego klopa w zawieszistym sosie.

— A potem krem cytrynowy z mnóstwem bezów — dodała Dina.

— I biszkopty — powiedział Archie.

Marian Carstairs kręciła głową wzdychając:

— Co za dzieci! Proponuję im obiad w najlepszej restauracji i bilety na jaki zechcą spektakl w mieście. One wolą siedzieć w domu i grać w loteryjkę. Proponuję im stek, a te głuptasy wolą klopsa.

Dina zachichotała, April zaś odparła:

— To dlatego, że się znamy na tym, co naprawdę dobre.

— I dlatego że... — wyrwał się Archie.

April kopnęła go co prędzej pod stołem, nie zdążył więc dokończyć: „Znamy gust Billa Smitha”.

— Co chciałeś powiedzieć, synku? — spytała matka.

— Że cię kochamy — krzyknął Archie spoglądając tryumfalnie na siostry.

— Dzisiaj ja pozmywam po obiedzie — oświadczyła matka.

— O, nie! Szkoda manicure — stanowczo zaprotestowała April. — Mamusia zasiądzie w salonie na kanapie niby wielka dama i poczyta sobie o psychologii dziecka.

— Najważniejsze przecież, żebyś umiała nas dobrze wychować — dodała Dina.

— Racja — zawołał Archie. — Wiecie co? Mamusiu, wiesz co?

April usiłowała poskromić go spojrzeniem, lecz Archie nie patrzył w jej stronę, odsunął się też od stołu tak, że nie mogła go kopnąć. Wstała więc i zaczęła szybko zbierać ze stołu sztućce.

— Wiesz, mamusiu, co Bill Smith o tobie powiedział?

Matka z żywym zainteresowaniem spytała:

— Nie wiem. Co powiedział?

April jednak stała już za plecami Archiego. Ostrzegawczo szturchnęła go palcem pod lewa łopatkę i nim zdążył odpowiedzieć, wyręczyła go:

— Bill Smith powiedział, że jesteś niezwykłą, uroczą kobietą. Wiedzieliśmy o tym bez niego. Archie, pozbieraj talerze!

— Ani mi się śni — odparł obrażony Archie i chciał umknąć.

April jedyną wolną ręką chwyciła go za włosy. Archie załaskotał ją po żebrach tak, że z wielkim hałasem wypuściła z ręki noże, widelce i łyżki. Dina obiegła dokoła stół, by rozdzielić walczących, lecz potknąwszy się o wystawioną nogę brata, runęła na podłogę pociągając za sobą rodzeństwo. Cała trójka kłębiła się teraz pod stołem.

— To hańba bić najmłodszego! — wył Archie.

— Archie, ty łotrze! — wrzeszczała April. — Moje uczesanie!

— Dzieci! — donośnym głosem napominała matka.

Dina chwyciła za ramiona Archiego, jednocześnie matka, usiłując dosięgnąć April, pośliznęła się na dywaniku i usiadła niespodzianie na ziemi. W tym momencie zadzwonił dzwonek u drzwi wejściowych.

Zapadła śmiertelna cisza. Wszyscy czworo spoglądali po sobie zaskoczeni. Wieczór

był ciepły i na czas obiadu zostawiono drzwi od ganku frontowego otwarte. W progu stał Bill Smith, zza jego pleców wysuwało się dwóch mężczyzn.

— Mam nadzieję, że nie przeszkadzamy — rzekł Bill Smith.

Pierwsza opanowała się Dina.

— Ani trochę — odpowiedziała uprzejmie.

Zerwała się z podłogi, pomogła wstać matce i przyglądała jej włosy.

— Zwykle po obiedzie gimnastykujemy się wszyscy razem — z całym spokojem oświadczyła April. — To bardzo dobrze wpływa na trawienie.

— Proszę, niech panowie wejdą i napiją się kawy — zapraszała Dina. — Archie, przynieś tacę...

Uszczypnęła brata, który wybiegł prędko.

Jeden z towarzyszących Billowi gości okazał się tym samym milczącym szaro ubranym panem, który odbył z April rozmowę poprzedniego wieczora. Drugiego nikt nie znał.

Chociaż... Coś dziwnie znajomego było w jego twarzy.

— Chciałem panią zawiadomić — rzekł Bill Smith — że niezwykle przebiegła córka pani, panna Dina, wytropiła szpiega.

Mówiąc to Bill Smith śmiał się, a obaj mężczyźni mu wtórowali.

Marian stłumiła okrzyk i szeroko otworzyła zdumione oczy.

— Ależ to nie żaden szpieg! To przecież Pat Donovan! Pat!

I z wyciągniętymi ramionami pobiegła do nieznanego.

— Marian! — odpowiedział z uśmiechem w piwnych oczach gość, ujmując obie jej ręce w swoje dłonie. — Okropna gapa zrobiła się z ciebie na starość! Żeby nie poznać mnie przez tyle tygodni!

Bill Smith przerwał powitanie dwojga starych znajomych, przedstawiając pani domu szaro ubranego pana, wysłannika F.B.I. Marian zdawała się oszołomiona i ze zdziwieniem patrzyła to na jednego, to na drugiego ze swych gości.

— Mamusiu — poważnie odezwała się April. — To szpieg. Dina go zdemaskowała.

— Bzdura! — niepewnie zaprotestowała matka.

— Właśnie że tak! — zapewniała Dina. — Tylko że on mi powiedział, że naprawdę nazywa się Peter Desmond, a ja mu uwierzyłam. Ale zrozumiałam, że to niemożliwe, bo przypominałam sobie, że tego dnia była mgła i zimno, bo przecież dzięki temu usłyszeliśmy strzały.

— On maluje wodę! — pisał Archie, stawiając na stole tacę z serwisem do kawy. — Maluje wodę olejem. Tak mówiła April.

— A jeżeli nie nazywa się Peter Desmond — z przejęciem wtrąciła April — to jak się nazywa? Armand von Hoehne!

Mężczyzna w szarym ubraniu śmiejąc się powiedział:

— To co te dzieci mówią, nie jest wcale takie głupie, jak by się zdawało.

— Ja za to czuję się bardzo głupio — westchnęła Marian Carstairs, automatycznie nalewając kawę do filiżanek. — Może ktoś zechce mi wyjaśnić, co to wszystko znaczy? Nie do wiary, że Pat Donovan zwiódł mnie za pomocą sztucznych wąsów.

— Wcale nie sztucznych! — zaprotestował Pat Donovan urażonym głosem. — Zapusiłem prawdziwe!

Dinie kręciło się w głowie. Już teraz domyślała się, że ją nabrano, i wzbierała w jej sercu wściekłość. Milczała patrząc na tę scenę i słuchając tej rozmowy. Dina wściekała się niełatwo i nieczęsto, ale za to straszliwie.

— A więc pani zna tego człowieka? — spytał szaro ubrany pan.

— Oczywiście! Pracował w Chicago w redakcji pewnej gazety w tym samym czasie co ja. Przed wielu laty. Był drużbą na moim ślubie. Potem spotykałam go w Paryżu, Madrycie, Berlinie i Szanghaju. Ostatnio nie widzieliśmy się przez kilka lat, ale poznałabym go bez wahania zawsze i wszędzie.

— Chyba żeby zapusił wąsy — dodał Pat Donovan.

— Mogłeś się ujawnić zamiast zmuszać się do konwersacji po francusku i do dyskusji o tych twoich okropnych bohomazach — powiedziała Marian.

— Nie tak okropnych jak twoja francuszczyzna — odciął się Pat Donovan.

Teraz wreszcie gniew w sercu Diny dojrzał do wybuchu. Zerwała się wołając:

— Moja matka mówi bardzo dobrze po francusku, a pan, panie Donovan, czy Desmond, czy Desgranges, czy von Hoehne, czy jak tam, pan jest kłamczuch!

— Dina! — krzyknęła Marian.

— Ojej, Dina — wmieszał się Archie. — Wiesz co? Wiesz co?

— Cicho bądź! — fuknęła na niego Dina. Piorunując wzrokiem Pata Donovaną ciągnęła dalej: — Najpierw pan mnie okłamał, a potem jeszcze pan krytykuje francuszczyznę mojej matki.

— Wiesz co? — pisał Archie. — Dino, posłuchaj, on nie mógł się nazywać Peter Desmond, bo Peter Desmond to taki facet z komiksów w mojej gazetce! Gada czterdziestu językami i wciąż się przebiera za kogoś innego!

Dinę olśniło nagłe przypomnienie.

— Tak, ja przecież także czytuję gazetkę — powiedziała lodowatym tonem. Była teraz wściekła również na samą siebie, że dała się złapać w tak ordynarną pułapkę.

— Dino — odezwał się Pat Donovan. — Ja ci to wszystko wyjaśnię...

Bardzo w porę przyszła jej do głowy replika przeczytana w którejś z matczynych powieści. Wyprostowała się dumnie i oświadczyła:

— Nie jestem ciekawa pańskich wyjaśnień, panie Jak-tam-się-zwał. Mam donioślejsze sprawy do załatwienia!

I obróciwszy się na pięcie, wyszła do jadalni, gdzie zajęła się sprzątnięciem talerzy ze

stołu.

— Och, Dino! — krzyknęła Marian i zerwała się chcąc pobiec za córką. April jednak usadowiła ją z powrotem na kanapce.

— Niech mama nie zapomina, co piszą w tej książce o psychologii dziecka. Trzeba poczekać, aż Dina ostygnie ze złości, i wtedy dopiero wystąpić z perswazją. — April po chwili namysłu dodała: — Z Archie i ze mną zawsze się to udawało.

Marian westchnęła, lecz posłuchała. Z doświadczenia wiedziała, że April ma rację.

— Ano, Pat — rzekła — w takim razie wyjaśnij tę sprawę mnie.

Dina kursowała z brudnymi talerzami między jadalnią a kuchnią, przysięgając sobie w duchu, że wcale nie ma zamiaru słuchać rozmowy toczącej się w przyległym saloniku. Nic jej ona nie obchodzi. Mimo woli jednak słyszała urywki zdań. Postanowiła wynosić z jadalni po jednym talerzu.

— ...spotkałem Armanda von Hoehne w Paryżu...

Dina odstawiła solniczkę i pieprz.

— ...wydawało mi się, że to może dać sensacyjny reportaż...

Dina zebrała serwetki.

— ...zapuścić brodę niewielka sztuka...

Dina strzepnęła obrus.

— ...owa pani Sanford...

Nie było już żadnego pretekstu do pozostawania w jadalni. Dina wyszła do kuchni, napełniła zmywalnię gorącą wodą z mydłem, po czym przez chwilę zastanawiała się, czyby nie uciec z domu. Czyściła już sztucce, gdy w kuchni zjawiała się April.

— Dino, to nie szpieg, to dziennikarz! Pisze książkę o szpiegach.

— Wytrzyj szklanki — powiedziała Dina.

April sięgnęła po czystą ścierkę. Wpadł Archie wołając:

— Ojej, Dina, wiesz co?

— Wynieś kosz z papierami — powiedziała Dina.

April i Archie spełniali swe obowiązki w milczeniu. Dina myła z kolei garnki i patelnie, odstawiając je na suszarkę. April spod oka przyglądała się siostrze. Przewidywała, że minie długi, ponury dzień, nim Dina zada jej wreszcie jakieś pytanie na temat Pata Donovan. Archie wrócił z podwórka i hałaśliwie odstawił na miejsce pusty kosz.

— Maluje wodę! — powiedział i dodał coś bardzo brzydkiego.

— Archie, odstaw garnki i patelnie na półkę — zimno powiedziała Dina. — April, na tej szklance zostały smugi po ścierce.

April i Archie wymienili porozumiewawcze mrugnięcia. April raz jeszcze wytarła szklankę, Archie zabrał się do ustawiania garnków.

— Wiesz, Archie — odezwała się April. — Założę się, że ta książka będzie miała szalone powodzenie. Możliwe, że przerobią ją też na film.

— No! — entuzjastycznie potwierdził Archie. — O tym, jak ścigał szpiegów po całej Europie, udając, że pisze o różnych krajach do jakiejś gazety.

— Jak zawarł znajomość z Armandem von Hoehne... A ja myślałam, że to blaga i że tego Armanda wcale nie było na świecie.

Dina wciąż milczała.

— To było zrobione na medal — rzekł Archie. — A potem on... ten .. No, jak on się nazywa?

— Donovan — podsunęła Dina. — Nie mów tak strasznie prędko.

April mrugnęła na Archiego i powiedziała do Diny:

— Zdawało mi się, że nie słuchasz...

— Bo nie słucham — odparła Dina. — Nie hałasujcie tak okropnie.

Znowu na chwilę zapadła cisza. Potem Archie zaczął:

— To fakt, że załatwił tę sprawę na medal, słowo daję.

— Najdziwniejsze — zauważyła April — że w tej bajce, którą opowiedział Dinie, jest bardzo dużo prawdy. Na przykład, że zna dużo różnych języków, że zapuścił brodę i grał rolę Armanda von Hoehne, który udaje kogoś innego, zawsze nosił długie rękawy i nie zawijał ich, żeby nikt nie mógł zobaczyć, że nie ma na lewym ramieniu blizny. Postarał się, żeby ten facet z Nowego Jorku napisał w liście do Flory Sanford różne plotki, bo chciał jej wmówić, że jest ukrywającym się Armandem von Hoehne...

— Chwileczkę! — przerwała jej Dina wypuszczając z rąk ścierkę. — To on się specjalnie o to postarał?

April i Archie spojrzeli na starszą siostrę niewinnymi oczyma i spytali oboje jednocześnie:

— O co?

Ponieważ się tak zmówili, musieli teraz wymyślić jakieś życzenie na O, a zanim je uzgodnili, Dina zdążyła zapomnieć o swym gniewie.

— Czy on umyślnie podsunął Florze Sanford te listy?

— Ach, o tym mówisz! — powiedziała April. — Oczywiście. Wykombinował, że jeśli kryją się tu szpiegzy, to spróbują z nim nawiązać kontakt, myśląc, że on jest Armand von Hoehne. A sam zapuścił brodę i malował obrazy. Służył za przynętę!

— Malował wodę! — poprawił Archie. — Bo oni o pani Sanford wiedzieli, że ma różne podejrzliwe znajomości...

— Podejrzane — sprostowała April.

— Czy to nie wszystko jedno?... Więc oni myśleli, że ona pewnie też przyjaźni się ze szpiegami.

Dina westchnęła bardzo głośno i spytała:

— To prawda?

— Chyba nas nie posądzasz, że cię nabieramy — oburzyła się April.

Ale te słowa przypomniały Dinie jej urazy. Zmierzyła siostrę wzrokiem, wyjęła mokrą ścierkę, rozwiesiła ją i oznajmiła:

— To mnie zresztą wcale nie interesuje! — Wsunęła cebrzyk do szafki pod zlewem, zatrzasnęła drzwiczki, skierowała się ku wyjściu. W progu zatrzymała się jednak. — Dlaczego w takim razie uciekł ze swego tutejszego mieszkania? A tych szpiegów złapał ostatecznie czy nie?

— No — powiedział Archie — właśnie chcieliśmy ci opowiedzieć, ale jak ciebie to wcale nie obchodzi...

April kopnęła ukradkiem brata i szybko zaczęła mówić:

— Rozbili prawdziwą siatkę szpiegowską, słowo ci daję! Dzięki temu, że zaalarmowałaś F.B.I. i że Pat Donovan musiał w pośpiechu uciekać. Ci szpiegzy zaofiarowali mu pomoc, a on naprowadził F.B.I. na ich ślad. Ale pani Sanford nie miała z tym nic wspólnego. Pat myślał, że może ona jest wplątana w szpiegowskie spiski, ale okazało się, że tak nie było.

April umilkła, żeby nabrać tchu, i dopiero po chwili podjęła znowu:

— Nie wolno tymczasem ogłaszać tych historii w gazecie, a my też musimy zachować tajemnicę, ale Pat Donovan opisze wszystko w swojej książce, gdzie opowie różne przygody. Pat mówi, że tobie dużo zawdzięcza, bo byłaś bardzo chytra i zdemaskowałaś go, i musiał uciekać, i tak cała bomba pękła.

— Mnie zawdzięcza? — spytała Dina rumieniąc się jak wiśnia.

— No, tobie! — krzyknął Archie. — On mówi... on mówi...

April uprzedziła brata:

— Mówi, że policja albo F.B.I. powinny ci zaproponować współpracę, bo jesteś doskonałym detektywem i masz nadzwyczajne zdolności do wyciągania zeznań od podejrzanych. Tak mówił!

— Fajną mam siostrę! — z dumą stwierdził Archie.

— Cóż znowu! — rzekła Dina, której policzki pałały. — Przecież nie zrobiłam nic nadzwyczajnego.

— On mówił, że to było bardzo sprytnie, że nie dałaś się nabrać na tę bajkę o Demondzie i zawiadomiłaś F.B.I. — powiedział Archie.

— No, właściwie — z wolna powiedziała Dina — to niezupełnie tak było... — Zerknęła na drzwi. — Ciekawam, o czym oni teraz mówią...

Troje małych Carstairsów prześliznęło się przez jadalnię, by przycupnąć w ciemnościach u stóp schodów.

— ...daruj, że ciebie też oszukałem, Marian. Ale byłaś jedyną osobą, na której mogłem wypróbować swoją maskę. Uważałem, że jeśli ty mnie nie poznajesz, jestem bezpieczny.

— Gdybyś był mnie wtajemniczył, mogłabym cię zdradzić przez roztargnienie — po-

wiedziała Marian. — Ostatecznie więc dobrze się stało!

Marian śmiała się, zarumieniona i w doskonałym humorze.

Milczący pan w szarym ubraniu odszedł. Pat Donovan rozparty w najwygodniejszym fotelu popijał kawę, czując się najwidoczniej jak u siebie w domu. Bill Smith siedział w mniej wygodnym fotelu, trzymał w ręku filiżankę z kawą tak już wystygłą, że z daleka wiało od niej chłodem, a twarz miał pochmurną.

— Powiedz mi, Pat — mówiła Marian — jak się miewa Jake? Kiedy go ostatni raz widziałeś?

— Jake Justus? Widzieliśmy się rok temu w Chicago. Powodzi mu się doskonale. Ożenił się z wspaniałą blondynką. Ach, Marian, czy zapomnisz kiedykolwiek tę noc, kiedy na Blue Island paliły się składy towarów?

— Nigdy! — ze śmiechem zapewniła Marian.

— A od Almy masz jakieś wieści? — spytał Pat.

— Wyszła za mąż — odparła Marian — za człowieka, który ma sieć stacji benzynowych w Indianie.

— Do śmierci nie zapomnę — mówił Pat Donovan — tych czasów, kiedy Alma służyła jako pokojówka w hotelu po to, aby zdobyć wyłączny i jedyny wywiad z ..

— Praca dziennikarza musi być bardzo interesująca — sztywno zauważył Bili Smith.

— Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo! — odparła Marian. — Pamiętasz, Pat, jak Jim napisał artykuł na całą pierwszą stronę o szmuglerach sprowadzających alkohol samolotem?

— Jim Forsythe? Pamiętam, oczywiście. Co też z nim się dzieje?

— Ma własną gazetę w Michigan — odrzekła Marian. — Doskonale ją redaguje i cieszy się powodzeniem. A pamiętasz, Pat..

— Musieliście w tym zawodzie stykać się z mnóstwem interesujących osobistości — jeszcze zimniej niż przedtem zauważył Bill Smith i odstawił filiżankę.

— Nie sposób ich wyliczyć! — odparł Pat Donovan. — Pamiętasz, Marian, tę złotowłosą hrabinę z Hawany, która nosiła kolczyk w nosie i prowadziła na smyczy oswojonego lamparta?

— Darujcie, ale robi się późno — rzekł Bill Smith wstając.

W kącie pod schodami Dina trąciła łokciem siostrę.

— Jest zazdrosny! — szepnęła z satysfakcją.

April szturchnęła Archiego.

— Biegiem na górę, Archie! Narób wrzasku, ale pamiętaj, wniebogłosy!

— Bo co? — spytał Archie, już z połowy piętra.

— Bo zobaczyłeś ducha — syknęła April.

W saloniku Marian wstała mówiąc:

— Ach, panie poruczniku, czy musi pan rzeczywiście nas opuścić?

— Niestety, proszę pani — odparł Bill Smith.

April wstrzymała oddech.

— Ale przecież... — zaczął Bill Smith.

W tym momencie Archie wrzasnął. April odetchnęła. Jeszcze ułamek sekundy, a Bill Smith byłby wymówił fatalne słowa: „przyjdę jutro wieczorem na obiad”.

Dina jednym susem znalazła się na pierwszym piętrze, April dała nura za barierę schodów.

— Mamusiu! — krzyknęła Dina. — Archie zobaczył ducha!

Matka już pędziła po schodach. April zatrzymała Billa Smitha i Pata Donovana, ukazując im się nagle i mówiąc z uśmiechem:

— Ach, ten Archie!

— Marian! — krzyknął Bill Smith, bardzo przejęty.

— Wszystko w porządku! — dobiegł z góry głos matki. — Dzieciakowi coś się przyśniło! Dobranoc, panie poruczniku.

April rozpromieniona powtórzyła:

— Dobranoc! Niech pan nie zapomni, że jutro wieczorem czekamy pana na obiad! — dodała odprowadzając porucznika do przedpokoju.

— Nie zapomnę! — odparł Bill Smith, zerkając ku schodom na pierwsze piętro. April otworzyła przed nim drzwi. — Czy jesteś pewna, że tam na górze nie dzieje się nic złego?

— Ależ na pewno! — zaszczebotała April. — Widujemy duchy bardzo często. Nie słyszał pan, że w tym domu straszy? Dobranoc!

Zamknęła za nim drzwi w porę, nim Marian zeszła ze schodów.

— Pan Smith musiał odejść, nie miał już czasu — wyjaśniła.

— Szkoda! — powiedziała Marian przyglądając włosy. Siadła z powrotem na kanapie w saloniku. — Coś mi się zdaje, że Archie nie zawsze mówi prawdę!

April pobiegła na górę, gdzie czekali na nią Dina i Archie.

— Cudownie! — szepnęła April. — Mamy więc rywala! Teraz wygrana pewna.

— Ja też muszę się już zbierać — mówił w saloniku Pat Donovan.

— Ach, Pat! Mógłbyś jutro wpaść na obiad?

— To byłby szczyt! — szepnęła Dina. — Rywal, wieczna ondulacja, manicure za trzy dolary i klops wołowy. Bill się nie oprze.

Trójka Carstairsów nadstawiła uszu.

— Niestety! — odpowiedział Pat Donovan. — Muszę lecieć samolotem dziś w nocy. Edna z dziećmi siedzą od pół roku w Santa Fe czekając niecierpliwie, żebym skończył tę zabawę.

Troje Carstairsów spojrzało po sobie i na palcach wycofało się z posterunku.

— Nie szkodzi — pocieszyła rodzeństwo April. — Sądząc z dzisiejszej miny Billa

Smitha, wystarczy nasza inteligencja i mamusina uroda. Obejdzie się bez rywala i zazdrości.

ROZDZIAŁ 24

We wtorek rano troje Carstairsów obudziło się bardzo wcześnie. Atmosfera była naładowana elektrycznością, serca biły przecuciem wielkich zdarzeń jak w pierwszy dzień wakacji albo gościnnego występu cyrku. Na palcach krzątali się po domu, żeby nie zbudzić matki. Tym ładniej będzie wyglądała przy obiedzie, jeśli się dobrze wyśpi.

W połowie śniadania na April zstąpiło natchnienie. Odłożyła widelec i krzyknęła z cicha:

— Dino! Córka pana Holbrooka!

— Coo? — spytała Dina.

Archie tylko wytrzeszczył oczy.

— Musimy przyrzeć się jej fotografii — powiedziała April. — Natychmiast!
— Chwilę milczała, nim wyjaśniła: — Jest gwiazdą music-hallu, prawda? Czy może raczej: była!

— Dlaczego: była, a nie jest? — spytała Dina oszołomiona.

— Betty LeMoe także była gwiazdą music-hallu — dramatycznie oświadczyła April.
— Jeśli to była córka pana Holbrooka...

Dina zachłysnęła się mlekiem.

— April! Och!

Archie walił Dinę pięściami po plecach, póki nie odzyskała oddechu.

— Gdzie mieszka pan Holbrook? — spytała April.

— Przy Washington Drive — odparła Dina. — Cztery bloki stąd. Ma gospodynię... Bardzo zła baba. Zadzwończyliśmy tam kiedyś z Joellą, proponując bilety na zabawę ogrodową Koła Rodzicielskiego. Przez piętnaście minut tłumaczyła nam, dlaczego ani myśli kupić tych biletów!

— Świetnie! — powiedziała April. — Znakomicie. Właśnie to, czego nam trzeba.
— April chwyciła z powrotem widelec i zabrała się ostro do jajecznicy. — Zajdziemy tam wracając ze szkoły. Ty i Archie zadzwonicie do drzwi i zaproponujecie jej... na przykład abonament ilustrowanego miesięcznika. A ja tymczasem wśliznę się do domu i po-

szukam fotografii.

— Hura! — wrzasnął uradowany Archie.

— A jeśli cię przyłapią? — zatroskała się Dina.

— To pójdę do więzienia — odpowiedziała April z niezmaconą pogodą. — Nie kracz, ponuraku. Przypuśćmy, że mnie nie złapią i że zdobędziemy fotografię.

— Jeżeli ja tę babę zagadam, — oznajmił Archie — to możesz rewidować dom spokojnie, nie złapią cię! Ja tę babę znam, ma bardzo ładny ogród. Pożyczę od Flashlighta psa i wezmę go z sobą.

— Archie, jesteś genialny — powiedziała April. — W nagrodę odstępuję ci porcję marmolady.

Archie zmarszczył nos i przysuwając do siebie słoik z marmoladą odparł:

— Dobrze wiem, że tej marmolady nie cierpisz.

— April, przecież dziś jest wtorek! — zawołała Dina.

— Co z tego? — spytała April. — Jak zwykle po poniedziałku.

— Chyba że deszcz pada — wtrącił Archie — wtedy jest sobota.

— Ale przymknij oko, a wyda ci się różowy — prędko zaprotestowała April.

— Ja wolę, żeby był w paski — odparł Archie.

— Nie może być w paski, skoro jest wtorkiem — krzyknęła April.

— Cicho, dzieci! — fuknęła zrozpaczona Dina. — Dziś jest wtorek...

— A kto mówi, że nie? — powiedzieli jednocześnie oboje, April i Archie.

Znowu musieli wobec tego wymyślić jakieś życzenie, jak zwykle, kiedy dwie osoby na raz wymówią te same słowa. Należało również skrzyżować palce, żeby życzenie się spełniło. Potem Archie zajął się wylizywaniem marmolady ze słoika. Wreszcie April zapytała poważnie:

— Co ma tu wtorek do rzeczy?

— We wtorek mam po lekcjach gimnastykę — odparła Dina. — Wyjdę ze szkoły dopiero o wpół do piątej.

— O, do licha! — powiedziała April — Zawsze coś wymyślisz! — Zastanawiała się chwilę. — No cóż, musisz zwać z gimnastyki.

— Nie mogę! — jęknęła Dina. — Już zwiałam trzy razy w tym kwartale: raz, kiedy Archie, uparł się, żeby iść do kina na film z Royem Rogersem, drugi raz, kiedy pogoda była taka piękna, że musieliśmy, się wykąpać, i trzeci raz...

— Chwileczkę! — przerwała April. — Już wiem. Skręciłaś nogę w kostce.

Dina odruchowo spojrzała na swoje nogi. Wydały jej się jak najzdrowsze.

— Archie — komenderowała April — przynieś plaster i bandaż elastyczny. Na szczęście ukończyło się chlubnie kurs ratownictwa dla harcerek.

Dina nie bardzo rozumiejąc, o co chodzi, powiedziała tylko: — Ooo!

W parę minut później April z zadowoleniem spoglądała na własne dzieło — arty-

stycznie zabandażowaną nogę Diny.

— Pamiętaj, Dino — upomniała siostrę. — Matka spała jeszcze, kiedy wychodziłaś do szkoły, więc nie mogłaś wziąć od niej kartki z usprawiedliwieniem. Nauczycielka gimnastyki jest taka gapa, że pewnie zapomni o całej sprawie do następnej lekcji. A nawet jeśli by nie zapomniała, to do tego czasu zdążymy matce wszystko wytłumaczyć. Rozumiesz?

Dina skinęła głową.

— Najazd na dom Holbrooków punktualnie o czwartej — mówiła April. — A tymczasem musisz kuleć, Dino.

Dwie minuty przed czwartą Dina i Archie zbliżali się do willi pana Holbrooka. Dina kulała, Archie prowadził psa pożyczonego od Flashlighta, ogromnego burego kundla, rwącego się ze smyczy. Równoległe do nich boczną ścieżką sunęła cichcem April.

— A więc zbieramy abonamenty na miesięcznik „Żona farmera” — mruknęła Dina. — Ale co do dudiabubłucha zrobimy, jeśli ona zechce naprawdę zaabonować to pismo?

— Powiesz, że jutro przyniesiemy druczek do podpisania — poradził Archie. — A ja puszczę Samsona ze smyczy. Zobaczysz, to ją zajmie na jakiś czas.

Dina westchnęła. Skręcali już ku bramie wjazdowej i w krzakach za domem dostrzegli przyczajoną April.

Mecenas Holbrook mieszkał w sporej, gładko, bez pretensji otynkowanej willi, z porządnym pospolitym trawnikiem od frontu i starannie utrzymanym ogrodem z tyłu. Na zegarze słonecznym drzemał wielki biały kot o złośliwym pysku. Samson zawarczał. Archie szarpnął smyczą.

— Cicho, Samson — ofuknął psa. I zwracając się do Diny dodał rozpromieniony: — Masz pojęcie, co to będzie, jak Samson pogoni tego kocura?

Dina zadzwoniła do drzwi. Otworzyła im wysoka, koścista, siwa kobieta pytając:

— Czego?

— Może pani zechciałaby zaabonować na cały rok magazyn: „Żona farmera”? — nieśmiało zaproponowała Dina.

Siwa kobieta spojrzała na nią surowo.

— Czy ja wyglądam na żonę farmera? — spytała. — Czy ten dom wygląda na farmę?

— Nie, proszę pani — cichutko przyznała Dina. — Ale...

— Widzi pani, jak moja siostra znajdzie dziesięć abonentek, to dostanie pierścionelek z prawdziwym brylantem! — powiedział Archie.

Siwa kobieta zacięła wargi. Po czym rozpoczęła dziesięciminutowe przemówienie, w którym wyłuszczyła dokładnie, dlaczego nie zamierza prenumerować „Żony farmera”, co myśli o bezwstydnym dzieciach nagabujących sąsiadów tego rodzaju propozycjami oraz jak zapatruje się na zepsucie nowoczesnej młodzieży. Zakończyła rozkazu-

jąco:

— Proszę natychmiast zabrać stąd tego kundla!

Dinę ogarnęła panika. April musiała być jeszcze we wnętrzu domu. Miała bowiem, zgodnie z umową, natychmiast po wyjściu dać rodzeństwu sygnał, a jak dotąd nie pokazała się ani nie odezwała. Gospodyni pana Holbrooka już cofała się za próg zamykając za sobą drzwi, gdy Archie spuścił Samsona ze smyczy. Samson rzucił się w stronę kota, który z wrzaskiem zaczął uciekać. Gospodyni krzyknęła i pobiegła za Samsonem. Archie i Dina pobiegli wobec tego za gospodynią.

Wynikłe stąd zamieszanie trwało dobre pięć minut i skończyło się na podwórku za domem; kot siedział na słupie telefonicznym, Samson zaś pod słupem ujadał straszliwie, gospodyni wymyślała Dinie i Archiemu, a Dina i Archie krzyczeli po prostu wniebogłosy.

Korzystając z zamętu April wyskoczyła z bocznego okna, obiegła dom i przyłączyła się do grupy, nawołując już z daleka:

— Archie! Jak się nie wstydzisz szcuć tego wstrętnego psa na biednego ślicznego kiciusia!

Śliczny kicius z wysokości słupa telefonicznego ciskał tymczasem przekleństwa na głowę Samsona.

April chwyciła smycz, wetknęła ją w garść Archiemu i surowo nakazała:

— Marsz do domu!

Archie wycofał się co prędzej, ciągnąc szczekającego uparcie Samsona za sobą. Dina pobiegła za nimi. April została jeszcze chwilę, by ze współczuciem poradzić gospodyni:

— Niech pani zatelefonuje po straż ogniową. Ten kot nigdy z własnej woli nie zlezie ze słupa.

Dogoniła Dinę i Archiego na ulicy.

— No i co? — spytała Dina. — Znalazłaś?

April skinęła głową.

— Znalazłam. W szufladzie biurka, tam gdzie się spodziewałam. Ale nie wzięłam z sobą, bo to na nic.

— Dlaczego?

April westchnęła.

— Fotografia panny Holbrook jest bardzo interesująca, te trzy pawie piórka, sznurerek pereł itd. Ale to jest duża blondynka prosiakowatej urody. Nie podobniejsza do Betty LeMoe niż na przykład Archie.

Dina wbiła wzrok w twarz April, Archie wypuścił smycz z ręki, Samson ruszył pędem do domu.

— Czy to znaczy — ponuro spytała Dina — że zrobiliśmy całą tę wyprawę i wpędzi-

liśmy kota na słup telefoniczny na próżno? I że kulałam cały dzień niepotrzebnie?

— Słuchaj, siostrzyczko-tragiczko — odparła April. — Dowiedzieliśmy się czegoś bardzo ważnego. Mamy teraz pewność, że Betty LeMoe nie była córką pana Holbrooka. To już dużo. Wiemy wobec tego, że pan Holbrook nie mógł mścić się na Florze Sanford za jej udział w morderstwie Betty LeMoe. Pozostaje nam już tylko wykryć, kto zabił panią Sanford.

Dina parsknęła gniewnie i nic nie odpowiedziała.

— Trzeba zdjąć bandaż z twojej nogi, zanim wrócimy do domu — dodała April.
— Matka by się dopytywała, co ci jest.

Zdejmowanie plastra zajęło trochę czasu i wywołało dość żywą dyskusję. April usiłowała przeciąć go pożyczonym od brata harcerskim nożem. Nie udało się, więc Dina zaproponowała odklejenie go przy pomocy zmywacza do paznokci. Wreszcie Archie w desperacji chwycił koniec plastra i szarpnął. Dina krzyknęła. Plaster został w ręku Archiego. Dina włożyła z powrotem skarpetkę i pantofle, po czym cała trójka ruszyła do domu.

— Przestań już kuleć — szepnęła April, gdy znalazły się na ganku od frontu.

— Trudno, weszło mi to w nałóg — melancholijnym głosem stwierdziła Dina.
— Prawdopodobnie zostanę kaleką na całe życie, i to z twojej winy.

Weszli do kuchni. Na stole stał ogromny półmisek kremu cytrynowego, suto ozdobionego przyrumienionymi subtelnie bezami. Na kuchence klops oczekiwał na wsunięcie do piekarnika. Pachniał upajająco. Obok w garnuszku obrane już kartofle, a co najważniejsze, na małym ogniu bulgotała cichutko zupa cebulowa. April z zachwytem wciągnęła jej woń w nozdrza:

— Pycha! — powiedziała.

Jenkins, Kleksik i Apsik usadowieni rzędem na podłodze przy piecu spoglądali ku niemu w rozmarzeniu. W sicie nad zmywalnią zgromadzone były wszelkie składniki wspaniałej sałatki. Pokrajane grzanki wystarczyło tylko przypiec.

— Wiesz, April — radośnie odezwała się Dina — Bill Smith nam nie umknie, już go widzę w małżeńskich kajdanach.

April jednak zmarszczyła brew.

— Czy słyszysz? To przecież szum pralki!

Nadstawili uszu. Tak, pralka była w ruchu. Na podwórku za domem matka pogwizdywała głośno i wesoło melodię o rozbiciu starej lokomotywy.

Tknięta złym przecuciem, April pierwsza wypadła na podwórko, za nią Dina i Archie. April zatrzymała się tuż pod gankiem i okrzyk zgorzienia dobył się z jej piersi.

— Mamusiu!

— O, jesteście? — ucieszyła się matka. — Pogoda taka piękna, a ja mam trochę wolnego czasu, więc postanowiłam wyprać stare koce turystyczne... Ostatni już jest w pral-

ce. Pomożecie mi je wieszać?

— Mamusiu! — jęknęła Dina. — Twój manicure!

Matka spojrzała na córki i twarz jej się wydłużyła.

— Na śmierć zapomniałam! — szepnęła.

Wszystkie oczy zwróciły się na jej paznokcie. Manicure za trzy dolary diabli wzięli.

ROZDZIAŁ 25

— Szczęście, że Estella namówiła mamusię na zapasową buteleczkę emalii — surowo powiedziała April. — Słowo daję, żeby kobieta w tym wieku...

— Jeszcze jestem widać dość młoda, żeby popełniać błędy — tłumaczyła się matka. — przepraszam i obiecuję, że już nigdy czegoś podobnego nie zrobię.

— Nie kręć się! — fuknęła April przyglądając się z ukosa swemu dziełu. — No, wygląda jak nowy!

— Jesteś anioł, że mi tak odświeżyłaś manicure — powiedziała matka — a Dina to drugi anioł, że wyręczyła mnie w wieszaniu koców. Słowo ci daję, zapomniałam o manicure. Pogoda taka była piękna...

— Rozumiem, pogoda natchnęła mamusię do prania koców — rzekła April. — Całe szczęście, że nie przyszło ci do głowy malowanie podłóg czy coś w tym rodzaju. Równie niepraktycznej istoty świat nie widział.

— Powiedz szczerze, April — spytała matka — czy kochalibyście mnie bardziej, gdybym była praktyczna? Bo ja się staram naprawdę!

April wykończyła pięknie ostatni paznokieć.

— Nie moglibyśmy cię kochać bardziej, niż cię Kochamy — powiedziała z namysłem — choćbyś była wzorem wszystkich cnót. Ale teraz siedź spokojnie i nie dotykaj niczego, dopóki emalia nie zaschnie porządnie.

Matka rozcapierzyła palce i bojąc się ruszyć, odparła pokornie:

— Słucham szanowną panią.

— I unikaj natchnień do prania co najmniej przez tydzień — dodała April zabierając się do wyjmowania szpileczek z włosów matki.

— Będę unikała, proszę szanpani — ulegle obiecała Marian.

— I nie kręć głową, kiedy ci układam włosy — napominała April. — Bo się pogniwam! — zwinęła pasmo włosów na palcu i dodała: — Za karę włożysz dziś najpiękniejszą suknię do obiadu. Tę pastelową różową z koronką przy szyi...

Jak tu powiedzieć matce, że Bill Smith przyjdzie na obiad?

— Najlepszą suknię? — protestowała matka. — Przy kuchni tak łatwo o płamę!

— Z kuchnią na dziś skończyłaś! — oznajmiła April. — Mięso w piecu, sos w rondlu, sałata przyprawiona, zupa gotowa, kartofle obrane, Archie nakrywa do stołu.

Wpięła ostatnią szpileczkę i cofnęła się o krok, by lepiej objąć wzrokiem artystyczne osiągnięcie.

Nawet w szlafrocisku z różowej flaneli, z rozcapierzonymi palcami i twarzą wysmarowaną kremem matka wyglądała „szałowo”.

April z zachwytem westchnęła:

— Ach, mamusiu!

— O co chodzi? — spytała Marian.

— Nie ruszaj się, bo paznokcie jeszcze mokre — odparła April. — A jeśli nie umalujesz się przepięknie, jak się godzi do takiego uczesania, sukni, manicure i kłopsa w sosie, to ci zapowiadam, że twoje dziatki uciekną z domu. Pamiętaj!

Marian zaśmiała się, April wtórowała jej, wspominając pewien epizod z przeszłości. Kiedyś Archie wpadł w złość i postanowił uciec z domu. Matka uparła się wobec tego, że mu pomoże. Związała wszystkie manatki syna w dużej chuście i uczepiła do kija, który miał nieść na ramieniu. Archie widząc te przygotowania powziął niejakię podejrzliwość, że go nabierają, i tym bardziej zaciął się w swym postanowieniu. Ostatecznie uciekli z domu we dwójkę, matka z synem, i wylądowali w kinie, gdzie wyświetlano potrójny program z dzikiego Zachodu. Wrócili po dziewiętej, ku wielkiej uldze Diny i April, napchani parówkami i bardzo weseli.

— Nie martw się, mamusiu — powiedziała April. — Jeśli będziemy uciekali z domu, weźmiemy cię z sobą. Ale nie zapomnij podmalować oczu i w ogóle! Ja teraz pomogę Dynie uporać się z tymi kocami.

Od drzwi raz jeszcze spojrzała na matkę. Nagle w sercu zrobiło jej się tak ciepło i miękko, jakby się miała rozplakać. Czy matka byłaby zadowolona, gdyby wiedziała, co jej dzieci knują? Czy matka będzie na pewno szczęśliwa z tym przystojnym porucznikiem jako mężem?

— Co ci to dziecinko? — spytała matka.

— Nic — odparła April. — Brwi, rzęsy, o wszystkim pamiętaj. A paznokcie, jak wyschną, trzymaj chwilę pod strumieniem zimnej wody, żeby emalia trzymała się dłużej.

Zbiegła na dół i dokonała inspekcji przygotowań. Archie nakrył stół po mistrzowsku. Pośrodku najpiękniejsze róże z niedzielnego bukietu wyglądały jeszcze cudownie. Lichtarze lśniły i zatknięto w nich nowe świece. Miejsce dla Billa przeznaczono naprzeciw Marian, tak by ją widział poprzez kwiaty.

W kuchni sytuacja była opanowana. Dina polewała masłem pieczeń, Archie, protestując wniebogłosy mył rzodkiewki.

— Czy już powiedziałaś matce? — spytała Dina.

— Jeszcze nie — April potrząsnęła przecząco głową. — Ale powiem. Za chwilę... Teraz warto by się przebrać.

Wywiązała się krótka narada, co kto włoży. Dina miała ochotę na różowy sweter i kraciastą spódnicę. April nie pochwałała tego projektu. Wreszcie w przebłytku natchnienia zawołała:

— Już wiem! Białe suknie z szwajcarskim haftem, błękitne szarfy i kokardy we włosach!

— Oszalałaś? — oburzyła się Dina trzaskając drzwiczkami od pieca. — Wyglądamy w tych sukniach jak niemowlęta.

— O to właśnie chodzi! — oświadczyła April. — Gugapuo! Nie chcesz chyba, żeby Bill Smith ujrzał mamusię otoczoną przez dorosłe nieomal potomstwo!

— No... — zaczęła Dina. — Dobrze, zgadzam się, ale tylko na ten jeden jedyny wieczór.

— A ty — zwróciła się April do brata — umyj się, brudasie!

Wolno wchodziła na piętro rozmyślając, jak najzgrabniej zawiadomić matkę, że na obiedzie będzie miała gościa. Prawdę mówiąc, matka rozstała się poprzedniego wieczora z Billem w nienajlepszej komitywie, problem więc wydawał się ciężki.

Wyznać wszystko, wyjaśnić prawdziwe pobudki? Nie, matka nie mogłaby wtedy zdobyć się na swobodne zachowanie.

Powiedzieć, że zaprosili go dla własnej przyjemności, bo go polubili? To by matkę rozdrażniło z pewnością. Powiedzieć, że to Bill Smith sam się wprosił? Ach, nie, to by zrobiło fatalne wrażenie. April stała pięć minut pod drzwiami pokoju matki, nim wreszcie wpadła na właściwy pomysł.

Matka właśnie zdejmowała z wieszaka różową suknię. Chełpliwym gestem wyciągnęła do April ręce pokazując paznokcie:

— Widzisz? Suchuteńkie, ani plamki!

— Wyglądasz cudownie — z zachwytem szepnęła April. — Co to ja chciałam powiedzieć... — mówiła April, świadoma, że igra z ogniem. — Ten policjant, Bill Smith, ma być w sąsiedztwie przez dzisiejszy wieczór, a że nie ma tu nigdzie w pobliżu restauracji ani baru myślałam, czyby mu nie dać w kuchni jakiejś kanapki?

— April — krzyknęła matka wypuszczając z rąk suknię. April czekała z zapartym tchem. Zdawało jej się, że minęły wieki, nim matka powiedziała: — Kanapkę w kuchni? To śmieszne! Zaproś go po prostu na obiad.

— Jak mama każe... — odparła April.

Wybiegła do hallu i po schodach na parter. Ledwie wylądowała, gdy matka uchyliła drzwi swego pokoju i zawołała:

— April, wyjmij koronkowy obrus i postaw jakieś kwiaty!

— Słucham panią — odparła April. Koronkowy obrus już leżał na stole, a pośrodku

kwitły róże.

Kiedy obie dziewczynki przebierały się w swoim pokoju, April w pewnym momencie uchyliła odrobinę drzwi do sypialni matki i zerknęła przez szparę. Matka siedziała przed lustrem czesząc brwi z niezwykłą starannością. Na twarzy miała uśmiech, we włosach kwiat wpięty zręcznie i dobrany kolorem do różowej sukni. April cichutko przymknęła drzwi i zajęła się własną toaletą

— Szkoda — powiedziała — że nie jestem kotem.

— Dlaczego? — zdziwiła się Dina.

— Bo mruczałabym z zadowolenia — odparła z promiennym uśmiechem April.

Wszystko rozwijało się zgodnie z planem. Obiad był gotów gdy matka zeszła na dół, i w tej samej chwili Bill Smith zadzwonił do drzwi. Ubranie, które miał na sobie, wydawało się nowiutkie, włosy świeżo ostrzyżone. Pod pachą trzymał ogromne pudło i ofiarował je pani domu. Ze swego punktu obserwacyjnego pod drzwiami jadalni Archie szepnął z zachwytem:

— Czekoladki!

Nim matka zdążyła napomknąć o kanapce w kuchni, nim Bili Smith zdążył podziękować za zaproszenie na obiad Archie wpuścił do saloniku Kleksika, Apsika, Hendersona i Jenkinsa. Kiedy wywołane dzięki temu radosne zamieszanie minęło i znowu groziło niebezpieczeństwo rozmowy na niepożądany temat, Dina oznajmiła, że podano do stołu.

Troje małych Carstairsów z góry opracowało treść rozmowy, jaka miała toczyć się podczas obiadu, i rozdzieliło między siebie role. Gdy wszyscy siedzieli nad pełnymi talerzami i podawano sobie w krąg grzanki, Dina westchnęła mówiąc:

— Ach, mamusiu, nikt nie robi tak smacznego klopsa jak ty!

— Rzeczywiście doskonały — potwierdził Bill Smith.

Archie podchwycił co prędej:

— A żeby pan kiedy spróbował mamusinych befsztyków! No!

Chwilę później odezwała się April:

— Te grzanki to cudo! Szałowe!

Bill Smith, smarując trzecią z kolei grzankę, przyświadczył:

— W życiu nie jadłem lepszych.

— A jakie wspaniałe pączki smaży mamusia! — powiedziała Dina.

Trójka milczała taktownie, gdy matka rozmawiała z Billem o polityce, literaturze i filmach. Lecz jeśli pogawędka urywała się choć na chwilę, April dawała sygnał, Archie zaś natychmiast zabierał głos.

— Ej! Czy można jeszcze dostać sosu? Pycha nie sos!

— Może pan także pozwoli? — spytała April podsuwając sosjerkę Billowi. — Mamusia tak cudownie przyrządza sosy!

— Do kotletów na przykład! — dodała Dina — Musi pan koniecznie spróbować kiedyś jej sosu do kotletów baranich. To wprost arcydzieło.

Jedna tylko rzecz niepokoiła matkę podczas tego obiadu: dzieci zachowywały się o wiele za wytwornie. Siedziały grzecznie, ciche jak trusie, jeśli nie liczyć pochlebnych uwag o smaku potraw. Brak było zwykłych okrzyków Archiego, jego wiecznego pytania „Wiesz co?“, a Dina ani razu nie omieszkała powiedzieć „proszę” i „dziękuję” dobierając następną grzanekę.

Ale podejrzenie zbudziło się na dobre w sercu Marian Carstairs dopiero wtedy, gdy April wyszczebiotała:

— Mamusiu, czy tę fantastyczną sałatę naprawdę sama przyprawiłaś?

A Dina błyskawicznie odpowiedziała nie dopuszczając matki do głosu:

— Oczywiście! Mamusia zawsze sama przyprawia sałatę.

Zarówno matka, jak obie jej córki wiedziały doskonale, że sałatę przyrządziła Dina. Na dobitkę Marian zauważyła, jak April dała sójkę w bok Archiemu, który natychmiast potem pisnął:

— Mamusia umie też kręcić majonez, że palce lizać!

Gdy na zakończenie wniesiono tryumfalnie krem cytrynowy, Marian Carstairs była już nieomal całkowicie przeświadczona, że padła ofiarą spisku. Jeśli teraz któreś z dzieci pochwali krem...

Ale tym razem wyręczył je Bill Smith.

— Już nikt nie robi tak cudownego kremu cytrynowego jak wasza matka — powiedział.

Spojrzenia ich skrzyżowały się ponad bukietem róż i Marian dostrzegła w oczach Billa błysk wesołości. Stłumiła chęć do śmiechu i poważnie oznajmiła:

— Ach, powinien pan kiedyś skosztować moich pierniczków!

Troje młodych Carstairsów popatrzyło w osłupieniu najpierw na porucznika, potem na matkę.

Ochłonęli z wrażenia dopiero wtedy, gdy resztką kremu znikła z półmiska. (Bill Smith dobierał trzy razy).

— Kawa w salonie — zapowiedziała April.

Zapaliła świece na kominku, a Dina przyniosła tacę z całą zastawą do kawy. Cudownie! Zapach kawy, przyćmione światła i matka w uroczej różowej sukni. Dziewczęta zaczęły sprzątać w jadalni. Chciały przepędzić do kuchni brata, ale zaprotestował gwałtownie:

— Ojej! Ja też chcę podsłuchiwać!

Dina zdjęła obrus i zmiotła szczoteczką stół. Tonem ubolewania zwróciła się do April:

— Nie udało się wstawić tego zdania, które miałam mu powiedzieć: „Jak bardzo sa-

motny musi pan się czuć jedząc co wieczór obiad w hotelu!”

— Nie szkodzi! — pocieszyła ją April. — Idzie jak po maśle! — Kładąc palec na ustach posunęła się ku drzwiom saloniku, Dina i Archie na palcach poszli za nią i wszyscy troje nadstawili uszu.

Usłyszeli cichy, przyjemny, śmiech i głos matki:

— Doprawdy, Bill...

A potem głos porucznika:

— Poważnie mówię Marian, od dawna już chcę...

W tym momencie rozległ się dzwonek u drzwi.

— Ja otworzę! — krzyknęła April pędząc przez salonik do frontowego wejścia. — To pewnie gazeciarz!

Ale nie był to gazeciarz. U drzwi stał sierżant O’Hare. Sierżant O’Hare miał minę zadowoloną. Sapał ciężko. Okrągłe jego oblicze płonęło. Zaczął:

— Dobry wieczór, panienczko... Czy... — Urwał dostrzegając Billa Smitha. — O, jesteś tu!

Nim sierżant O’Hare zakłócił tę sielankę, April zdążyła objąć jednym rzutem oka cały obraz: matkę śliczną w różowej sukni na niebieskiej kanapce, porucznika w wielkim, wygodnym fotelu, skupiony, poważny wyraz jego oczu. Przez głowę April przemknęło sto różnych epitetów, jakimi miała ochotę obdarzyć sierżanta, a żaden nie był pochlebny.

— Znaleźliśmy Wallace’a Sanforda — wysapał sierżant O’Hare, — W krzakach, blisko bramy wjazdowej jego własnej willi. Leży chyba od niedawna. Zostawiłem przy nim na straży Flanagana.

Bill Smith zerwał się tak gwałtownie, że omal nie przewrócił filiżanki z kawą.

— Zamordowany?

— Niezupełnie — odparł sierżant. — Rana postrzałowa. Będzie chyba żył. Trzeba najpierw wezwać sanitarkę, a potem zawiadomić naszą kwaterę.

Marian także zerwała się na równe nogi.

— Tu jest telefon! — powiedziała.

April skoczyła do kuchni, syknęła: — Idziemy! — i wybiegła na podwórko, Dina i Archie oczywiście za nią. Po drodze, zmierzając ku alei wjazdowej willi Sanfordów, April wyjaśniła rodzeństwu sytuację. Nagle przystanąła:

— Przy nim stoi na straży policjant. Czy potrafisz go wywabić, Archie? I to natychmiast?

— Zrobi się — odparł Archie i dał nura w krzaki.

Dina i April przebiegły na przełaj trawnikiem Sanfordów, po czym ostrożnie zaczęły zbliżać się do bramy. Stał tam policjant, a u jego stóp leżała jakaś postać, okryta kocem i złowroźnie nieruchoma.

Nagle zza żywoplotu rozległ się straszliwy, mrozący krew w żyłach okrzyk. Policjant wzdrygnął się, zakręcił na pięcie, podskoczył w stronę, skąd dobiegł ów wrzask. April i Dina podbiegły do leżącej na ziemi postaci.

Wallace Sanford otworzył oczy i spojrzał na schylone nad nim dziewczynki. Był bardzo blady.

— Nie jest pan zabity — powiedziała April. — Sierżant O'Hare mówi, że będzie pan żył. Jest pan tylko ranny. Niech się pan nie przejmuje.

— Wszystko będzie dobrze — szepnęła Dina.

Wallace Sanford próbował nadaremnie coś powiedzieć. Przymknął oczy, ale znów je zaraz otworzył.

— Nie, trzeba się męczyć — rzekła Dina.

— Słuchajcie — jęknął. — Słuchajcie. Już wiem... Człowiek, który zabił Florę... — Zamknął oczy znużony.

— Tak? — szepnęła April. — Tak?

Powieki rannego uniosły się odrobinę, tak że oczy błysnęły ledwie wąską szparką.

— ...ten sam, który zapłacił okup... to jej...

Tym razem oczy zamknęły się stanowczo.

Dina pochyliła się nad rannym.

— Żyje — szepnęła. — Zemdlął tylko.

Zaszeleściły krzaki.

— To policjant wraca — syknęła April. — W nogi!

Umknęły aleją wjazdową. U bramy własnego ogrodu natknęły się na Archiego, który wychynął zza pnia drzewa. Gdzieś w pobliżu rozległ się gwizdek policyjny. Bill Smith, sierżant O'Hare i Marian Carstairs wybiegli z domu przez drzwi frontowe w momencie, gdy trójka dzieci dotarła do kuchennego ganku.

Dina odetchnęła głęboko i odruchowo zaczęła odstawiać talerze.

— O mały włos bylibyśmy wpadli — powiedziała.

— Jak wam się podobał mój krzyk? — spytał chełpliwie Archie.

— Przepiękny — pochwaliła Dina.

— Jeszczeście nie słyszały, jak umiem kląć — powiedział Archie. — Słuchaj, April...

Ale April nie słuchała. Siadła na kuchennym stoliku i podparła brodę pięściami.

— April! — zawołała na nią Dina.

— Cicho, dzieci! — odparła April. — Nie przeszkadzajcie! — Miała na twarzy wyraz zdumienia i jakby smutku. — Muszę pomyśleć.

ROZDZIAŁ 26

Flanagan pewnie usłyszał puszczyka — rzekł sierżant O'Hare.

Matka uśmiechała się do niego, a także do porucznika Smitha.

— Bądź co bądź, macie teraz w ręku Wallace'a Sanforda, którego szukaliście — powiedziała. — Może gorącej kawy? Mogę zaparzyć świeżą w ciągu minuty.

— Mam kawę gotową! — krzyknęła z kuchni Dina. — Już niosę!

Weszła z tacą, April niosła za nią cukierniczkę, Archie dzbanuszek śmietanki — wszyscy troje żądni wyjaśnień na temat nowego epizodu sprawy. Matka miała włosy trochę w nieładzie, róża tkwiła w nich nieco na bakier. Policzki jednak jaśniały rumieńcem, a oczy błyszczały. Bill Smith zdawał się zaskoczony i niespokojny, sierżant O'Hare natomiast niezmiernie pogodny. Uśmiechnął się bezstronnie do wszystkich trojga młodych Carstairsów, z uznaniem spojrzął na fartuszki dziewczynek, mówiąc:

— Pomagacie matce, co? Bardzo ładnie, bardzo ładnie! — Zwrócił się do Marian rozpromieniony: — Tak właśnie trzeba wychowywać dzieci. Znam się na tym, bo...

— Bo pewnie pan wychował własnych dziewięcioro? — przerwała matka, usiłując poprawić uczesanie i psując je do reszty.

Bill Smith zaśmiał się na te słowa.

— Albo jesteś jasnowidząca — rzekł — albo O'Hare już z tobą kiedyś rozmawiał! — I poważniejąc dodał: — Powinienem natychmiast wracać do głównej kwatery... Połknę tylko tę kawę...

Sierżant O'Hare dopiero teraz rozejrzał się i zauważył świece na kominku, różową suknię pani domu i świeżo ostrzyżoną głowę porucznika.

— Daj spokój, Bill! — rzekł. — Sanford może śmiało poczekać do jutra. Nie jest ciężko ranny, a przespana noc wyjdzie mu na zdrowie. Skoro go schwytaliśmy, możesz odpocząć i uczcić ten sukces.

— Jednakże... — zaczął Bill Smith marszcząc brew.

— Wallace Sanford nie zastrzelił swojej żony — przerwała mu Dina. — Bo kto strzelałby do niego?

— Ktoś też usiłował skłonić policjanta, żeby zostawił rannego bez straży — dodała Marian.

— Ten krzyk wcale nie był podobny do głosu puszczyka, bo ja przecież wiem dobrze, jak krzyczy puszczyk — odezwał się Archie z zrozumiałą dumą.

— A zresztą myśmy słyszeli strzały — wtrąciła się April. — Dina właśnie poszła spojrzeć na zegar, czy już pora wstawiać kartofle...

Bill Smith mruknął pod nosem jedno, jedyne słówko. Na szczęście nie dosłyszało go żadne spośród trojga młodych Carstairsów.

— Dość tego na dzisiaj — powiedziała Marian. — Sierżant O'Hare ma słuszość, Bili, na pewno dowiesz się więcej od Wallace'a Sanforda jutro rano, jak się biedak wyśpi. Napij się teraz kawy, dobrze? Gdzież ja podziałam te czekoladki... Panie sierżancie, może pan zjadłby trochę kremu? Zdaje się, że zostało jeszcze z obiadu...

Archie przyniósł porcję kremu. April nalała kawę do filiżanek, Dina poczęstowała wszystkich czekoladkami. Wreszcie troje młodych Carstairsów siadło rzędem na kanapie, z Archiem pośrodku, wyglądając nader malowniczo.

Sierżant O'Hare nie szczędził kremowi pochwał. Dorównywał on — jego zdaniem — najlepszym osiągnięciom pani O'Hare.

— Ale — dodał — chciałbym, żeby państwo spróbowali jej ciasta z rodzynekami!

Troje Carstairsów zachowało powagę. Marian i Bili Smith wyraźnie unikali spojrzenia sobie w oczy, lecz rumieńce na twarzy Marian pociemniały gwałtownie. Sierżant wstał, by się pożegnać. Objął wzrokiem salonik, przyćmione światła, białe sukienki i błękitne kokardy dziewczynek, różowy obłok spowijający ich matkę i westchnął głęboko. Po czym zwrócił się do Billa:

— Biednyś ty, przyjacielu, że nie masz żony ani dzieci! Jak pusto musi być wieczorem w hotelowym pokoju!... No, dobranoc państwu!

Dina, April i Archie z głębi ducha ślali za sierżantem błogosławieństwa.

Bili Smith odstawił filiżankę.

— Marian... — zaczął.

— Chodźmy, April — skwapliwie krzyknęła Dina. — Trzeba pozmywać!

Gdy były na środku jadalni, słyszały głos Billa:

— Marian, chcę ci coś powiedzieć...

Nagle zadzwonił telefon.

Dina i April dopadły aparatu. Jakiś głos przerażony, na wpół przytomny, wzywał panią Carstairs.

Marian podniosła słuchawkę.

— Tak... Tak? Och! Jakże się martwię... tak, przyjdę natychmiast. — Chwila milczenia. Potem: — Porucznik Smith? Przypadkiem jest właśnie u nas. Dobrze. Dobrze. Będziemy za chwilę.

Odłożyła słuchawkę. Trójka dzieci i porucznik Smith stali zbici w gromadkę pod telefonem.

— Pan Cherington — powiedziała matka — miał znowu atak serca. Ona jest sama przy nim. Nie wiem dlaczego, ale pan Cherington chce mówić z tobą, Billu.

— Och! — krzyknęła April. — Och, nie! — Pobladła nagle. — To z pewnością prawda, ale za nic nie chciałam, żeby się tak skończyło!

— April! — szepnęła zdumiona Dina.

April odsunęła siostrę i zwróciła się do matki:

— Mamusi, ty pisałaś kiedyś reportaże ze sprawy porwania Betty LeMoe. Powiedz mi, jak się Betty LeMoe naprawdę nazywała?

Matka zdawała się zaskoczona.

— Dlaczego pytasz o to? Na imię miała Róża... Nazwiska nie pamiętam.

— A więc słusznie się domyślałam! — jęknęła April. — Okup wynosił piętnaście tysięcy dolarów. Tyle, ile on sprzeniewierzył... Jako oficer miał z pewnością rewolwer, kaliber wojskowy czterdzieści pięć. Zresztą pani Cherington ma oczy czarne, a nie niebieskie...

— Dziecinko! — przerwała matka zaniepokojona, dotykając czoła April. — Ty masz chyba gorączkę! Nie boli cię gardło?

— Gardło mnie nie boli i nie mam gorączki — odparła April. — Ale pan Cherington nazywa się naprawdę Chandler i był oficerem. Jego córka, Róża, została aktorką i przybrała pseudonim: Betty LeMoe. Porwali ją gangsterzy, więc on ukradł piętnaście tysięcy dolarów na okup, ale oni ją i tak zamordowali, a jego wyrzucono z wojska i wsadzono do więzienia. Postanowił wykryć tych porywaczy, dlatego tu się sprowadził, wynajął ten domek i...

— Mówże wolniej! — poprosiła Dina.

— Wszystko to — ciągnęła April — łączy się z wypuszczeniem Franka Riley'a z więzienia. Riley pomagał gangsterom w porwaniu. Ale ona zagarnęła cały okup. Inaczej Riley nie obrabowałby zaraz potem banku i nie dostałby się do więzienia. Po wyjściu na wolność Riley przyszedł tutaj, i to panu Cheringtonowi... czyli pułkownikowi Chandlerowi, dostarczyło dowodu. Cekał tylko na to. Zastrzelił Florę Sanford, bo ona zabiła jego córkę i zniszczyła jego życie. A potem zastrzelił Riley'a... z tego samego powodu. Miał dość siły, żeby zanieść trupa Riley'a do starej pływalni... Bo on nie jest naprawdę stary, ma ledwie pięćdziesiąt lat. Potem tropił Wallace'a Sanforda i dzisiaj wieczora próbował go zastrzelić, ale go nie zabił, na szczęście, bo Wallie Sanford nie był nic wspaniałym, i od tego pewnie dostał ataku sercowego, a teraz chce wszystko wyznać...

April wybuchnęła płaczem. Matka objęła ją ramionami.

— Dziecinko kochana!

— Fotografia w hallu... — szlochała April — ...podobna do pani Cherington, ale ma

czarne oczy. Podpisane jest imię: Róża. Ta sama twarz, co na fotografii Betty LeMoe.

Dina i Archie wytrzeszczali oczy tak, że o mało nie wypadły im z orbit. Matka gładziła włosy April mówiąc:

— Nie płacz, dziecinko, nie płacz. On od dawna jest ciężko chory na serce...

— Marian! — ochrypłym głosem odezwał się Bill Smith. — Czyś o tym wiedziała? Czy dlatego odmówiłaś mi współpracy, kiedy o nią prosiłem?

— Domyślałam się — odparła Marian. — Ja też zauważyłam tę fotografię.

April podniosła głowę i przychwyciła spojrzenie, jakie matka zamieniła z porucznikiem. Powiedziała:

— Teraz idź porozmawiać z panem Cheringtonem.

— To dziecko ma rację — rzekł Bill Smith.

— To dziecko ma rację we wszystkim — powiedziała matka całując czoło April.

ROZDZIAŁ 27

Dopiero o czwartej po północy trójka młodych Carstairsów znalazła się w łóżkach, przy czym Archiego — śpiącego kamiennym snem — musiał porucznik Smith na rękach wnieść po schodach. Dina i April były jednak zupełnie trzeźwe. Matka po powrocie od Cheringtonów zrobiła w kuchni dla wszystkich kakao. Z jej pięknego uczesania niewiele pozostało, twarz miała bladą i zmęczoną, lecz Bill Smith nie mógł od niej oczu oderwać.

Pan Cherington wyznał całą prawdę, która okazała się zgodna z domysłami April. Sanitarka policyjna przewiozła potem starego pana do szpitala, a lekarz po zbadaniu jego serca orzekł, że nie doczeka pewnie rozprawy sądowej. Pani Cherington trzymała się dzielnie, a nawet, zdawało się, że wreszcie odetchnęła spokojniej. Teraz, gdy było po wszystkim, niczego już nie tała.

Tak, mąż jej rzeczywiście sprzeniewierzył pieniądze, aby zapłacić okup za córkę. Bandyci, mordując ją, zabili niejako i jego. Odtąd nie obchodziło go nic na świecie, pragnął tylko jednego: pochować córkę w takim miejscu, gdzie róże kwitłyby nad jej mogiłą. Nie mógł oficjalnie zgłosić się po zwłoki, gdyż zdradziłby tym samym popełniona kradzież. Ale i tak wykryto jego przestępstwo i pułkownik poszedł do więzienia. Gdy go zwolniono, był starym i chorym człowiekiem, a przy życiu trzymała go tylko wola zemsty. Dopełnił jej i dla niego wszystko było skończone.

— Umrze szczęśliwy — mówiła pani Cherington.

Całą tę historię opowiedziała Marian Carstairs córkom, przygotowując kakao. Na zakończenie rzekła:

— Nie rozumiem tylko, jakim sposobem i dlaczego wy wmieszałyście się w tę sprawę.

— Dla ciebie, mamusi — odparła sennie Dina — żebyś tobie zrobić reklamę.

— Chciałyśmy, żeby mamusia rozwiązała zagadkę prawdziwego morderstwa — wyjaśniła April kiwając się nad filiżanką kakao. — A że mamusia nie miała czasu, postanowiłyśmy same wysledzić sprawcę. Ejże, Archie...

W tym właśnie momencie Bill Smith odniósł Archiego do łóżka. Kiedy wrócił do kuchni, przyjrzał się dziewczynkom mówiąc:

— Idźcie spać, bo za chwilę trzeba będzie i was dźwigać na górę. A ty... a pani...

— Słucham — powiedziała Marian.

— Dziś już za późno, ale muszę koniecznie o czymś ważnym z tobą pomówić. Wiem, że jesteś zajęta, proszę jednak o chwile rozmowy, może jutro wieczorem. Czy pozwolisz?

Matka zarumieniła się jak pensjonarka.

— Proszę, przyjdź jutro.

Odprowadziła porucznika do drzwi, a potem zwróciła się do dziewczynek:

— Nie pójdziecie jutro do szkoły. Śpijcie, ile chcecie.

Spały więc do południa. W południe jednak do drzwi zaczęli się dobijać reporterzy. Bill Smith poinformował prasę, że tajemnicę zbrodni w willi Sanfordów rozwiązała na własną rękę Marian Carstairs, autorka powieści kryminalnych. Dziennikarze domagali się wywiadu i fotografii. Dina, April i Archie postarali się, by życzeniom prasy stało się zadość.

Marian protestowała, lecz troje młodych Carstairsów nie ustąpiło. Nie po to zadali sobie tyle trudów, by zrezygnować z owoców swej pracy.

— Kto wie, jutro o tej porze matka będzie już może miała propozycje od wytwórni filmowych — powiedziała dufnie April.

— A jak świetnie wpływa to na sprzedaż ostatniej książki mamusi! — dodała Dina.

— To nie ma sensu! — odparła matka.

Ale mając trzy głosy przeciw sobie musiała skapitulować.

Trójka zajęła się wszystkim. April ułożyła matce włosy, Dina sprzątnęła salonik i ustawiła wszędzie świeże kwiaty. Archie uczesał Kleksika, Apsika i Jenkinsa, po czym zmusił koty do ułożenia się z wdziękiem na dywanie.

Kleksik i Apsik skoczyły na kolana Marian w momencie, gdy fotograf z „Gazety” kierował na nią obiektyw swego aparatu. Obrazek wypadł ślicznie.

April wyciągnęła Dinę i Archiego na ganek frontowy, pozostawiając matkę samą z dziennikarzami.

— Słuchaj, April — powiedziała Dina. — Co z tymi papierami... wiesz, z tymi, co znaleźliśmy u pani Sanford... Powinniśmy chyba spalić to wszystko.

— Pamiętam o tym... — odparła April. Ściągnęła brwi. — Dajcie mi chwilę do namysłu.

— Cicho, sza! — zawołał Archie. — April myśli!

April z roztargnieniem trzepnęła go w ucho.

— To rzecz poważna — powiedziała. — Chodzi o tych ludzi... O nauczycielkę, która zamiast do zwykłej restauracji weszła do meliny hazardu i dostała się w obławę; o te-

go chłopca, który nie chciał, by rodzice dowiedzieli się, że pracuje w nocnej knajpie... O wiele niewinnych osób... Wszyscy oni pewnie gryzą się i niepokoją, odkąd usłyszeli o śmierci Flory Sanford, drżąc w czyje ręce wpadną teraz te papiery.

— Moglibyśmy odesłać pocztą każdemu jego fotografie i dokumenty — zaproponowała Dina.

— Nie stać nas na tyle znaczków pocztowych — odparła April. — Jesteśmy zupełnie spłukani! — Przez chwilę patrzyła w zadumie przed siebie, potem nagle się rozjaśniła: — Już wiem! Zatrzymajcie pierwszego dziennikarza, który wyjdzie z domu.

Czekali kwadrans, może nawet i dłużej. Pierwszy fotograf wyszedł, drugi za to wpadł do domu. Wreszcie ukazał się w progu tłuszcioch w szarym ubraniu, upychający po kieszeniach notatki.

— Halo! — zawołała April.

Dziennikarz obejrzał się, a jego tłuste oblicze rozpromieniło się na widok April.

— Kogo widzę! Wiarygodny świadek!

April wzdrygnęła się, popatrzyła na grubasa i oświadczyła:

— Znam pana! To pan czai się za płachtą gazety w cukierni i podsłuchuje cudze rozmowy. Czy chciałby pan usłyszeć jeszcze jedną ciekawą historię z ust wiarygodnego świadka, którego nazwiska nie możemy niestety ujawnić?

— Czybym chciał? Płonę z ciekawości! — odparł wyciągając notatnik z kieszeni.

— A więc — rzekła April — proszę słuchać. Jak pan już wie, Flora Sanford była szantażystką...

I April wymownie, przekonująco opowiedziała o tym, że w domu pani Sanford znaleziono obfite materiały szantażowe, groźne dla dobrej sławy niewinnych osób, między innymi pewnej nauczycielki i tak dalej...

Policja nie chciała publikować dokumentów, które mogły ściągnąć wiele przykrości na głowy porządnych ludzi. Papiery zostały więc spalone, wszystkie, do ostatniego świstka.

— Spalono je w naszym piecu od centralnego ogrzewania — oświadczyła z przekonaniem.

Grubas dopisał parę słów do swoich notatek i spytał:

— Czy to pewne?

— Pewne — odezwała się Dina. — Sama widziałam.

Nie sprecyzowała, czy widziała te papiery w ogóle, czy też w momencie, gdy płonęły.

— Widzi pan — powiedziała April tonem zwierzzenia — policja nie zamierzała podawać do publicznej wiadomości faktu, że znaleziono tu papiery. Zabójcę wykryli, to im wystarcza. Ale my byliśmy od początku na miejscu, obserwujemy wszystko i o wszystkim wiemy. Myślę, że ta informacja ma dla pana wartość, co?

— Pierwszorzędną! — z satysfakcją potwierdził grubas.

— Jedno zastrzeżenie! — serio oświadczyła April. — Proszę nie ujawniać źródła. Gdyby pan na nas się powołał, to... — (Zaraz, zaraz... Jak to! wyraziła bohaterka ostatniej książki matczynej?) — ...zaprzeczymy najformalniej!

— Informacji udzielił wiarygodny świadek, którego nazwiska nie wolno nam ujawnić — powiedział z uśmiechem grubas i zbiegł ze schodów.

— Proszę pana! — krzyknęła za nim April. — Niech pan po drodze wstąpi do Luke'a i uprzedzi go, że przyjdziemy niedługo na syrop słodowy. Na pański rachunek!

Grubas przystanął, popatrzał na April chwilę, wreszcie rzekł:

— Gdyby ta poprzednia historyjka nie sprawdziła się tak dokładnie, powiedziałbym teraz: daj się wypchać. Ale ponieważ świadek okazał się wiarygodny — zgoda! Stawiam trzy syropy.

— Z czekoladą! — krzyknęła jeszcze April. — I z kremem!

— Przecież nie lubisz czekolady i kremu — przypomniał jej szeptem Archie

— Mogę od Luke'a zamiast tego dostać dwie broszury komiksów i paczkę gumy do żucia — wyjaśniła April.

— O jakiej poprzedniej historii mówił ten grubas? — spytała marszcząc brew Dina.

— Ach, głupstwo! — lekko zbyła pytanie April. — Teraz trzeba chyba naprawdę spać te papierzyska. O ile znam tego faceta, rozdmucha moja informację na całą szpaltę. Osoby zainteresowane odetchną i przestaną drzeć o swoją reputację.

— Rozpalmy ognisko! — zaproponował Archie. — W piecu od kaloryferów nikt się nie ubawi.

— Ostatni raz, kiedy rozpaliliśmy ognisko — przypomniała mu Dina — kot pani Williamson przysmażył sobie ogon, a matka zagroziła nam domem poprawczym.

— Na pewno by nas tam nie oddała — powiedziała April. — Ale wiesz, Dino, trzeba jeszcze załatwić sprawę pana Holbrooka.

— Jaką sprawę? O czym ty mówisz? — spytała Dina, niechętnie przypominając sobie bandaż na swojej nodze, jednodniowe kalectwo i pościg psa za kotem.

— Myślę, że powinniśmy zwrócić mu fotografię córki. Listy także.

Dina aż krzyknęła ze zdumienia.

— April! Jesteś szuszałulonuna!

— Nie. Pomyśl: przede wszystkim, staruszkowi pewnie zależy na tej fotografii — odparła April. — A po wtóre, jeśli nie wpadnie mu w ręce gazeta z wiadomością o spaleniu dokumentów, będzie się gryzł niepotrzebnie. Uważam, że powinniśmy odnieść mu te rzeczy.

Nim Dina i Archie zdążyli coś odpowiedzieć, April obiegła dom i wpadła przez ganek kuchenny do wnętrza.

— Ojej! — krzyknął Archie. — Wiesz co?

— Wiem — odparła Dina. — Mumilulczucz.

W pięć minut później April wróciła niosąc ozdobnie przewiazaną paczuszkę.

— Powiemy, że przynosimy skromny prezencik — oświadczyła. Gdy już szli alejką w stronę willi sąsiada, dodała: — Będzie wiedział, że znamy tę fotografię i czytaliśmy listy. Założę się, że nieprędko nazwie mnie znów roztropnym dzieckiem.

Dalej już trójka spacerowała w milczeniu. Na schodkach domu pana Holbrooka siedział biały kocur ze złośliwym pyskiem. Splunął na przywitanie gości i zwiął.

— Dobrze się zaczyna! — mruknęła April naciskając dzwonek.

Otworzyła im wysoka, przystojna kobieta z popielatoblond włosami i miłym uśmiechem.

— Do kogo, dzieci?

April przyjrzała się blondynce, zbladła i jęknęła:

— Ooo!

Z głębi domu męski głos spytał:

— Kto tam przyszedł, Harriet?

— Panna Holbrook! — wyjąkała April.

Blondynka podniosła w górę brwi.

— Skąd wiecie?...

Nie było odwrotu.

— Czy moglibyśmy zobaczyć się z pani ojcem? — spytała April dość żalonym głosem.

W drzwiach ukazał się Henry Holbrook. Nie był tak blady jak poprzednich dni. Ćmił fajkę i uśmiechał się pogodnie.

— Kogo widzę, kogo widzę! — zawołał. — Moi młodzi przyjaciele! Zapoznajcie się z moją córką. Oto Harriet, znana szerszej publiczności jako Ardena, słynna artystka-malarka!

— Brawo! — krzyknęła April. — To pani projektuje te przepiękne kostiumy do operetek! — Opanowując się, dodała poważnie: — Ależ pan musi być dumny z córki, panie Holbrook!

— Jestem dumny rzeczywiście — odparł promieniejąc pan Holbrook. — Sprawiała mi niespodziankę. Nie wiedziałem o jej sukcesach, póki się nie zjawiła, by mi o nich opowiedzieć.

April zerknęła z ukosa na przystojną blondynkę. Niewątpliwie była to ta sama osoba, która tańczyła w stroju złożonym z trzech pawich piórek i sznurka pereł.

— Każdy szczyciłby się taką córką — ciągnął pan Holbrook, kładąc rękę na ramieniu blondynki. — Co tam masz w tej paczusce, moje dziecko?

April wzdrygnęła się słysząc ten zwrot, ale w tej chwili nie mogła mu poświęcić więcej uwagi,

— Proszę pana, trudno mi to wyjaśnić... Okoliczności... niezwykle przypadek... znaleźliśmy to... te rzeczy, ukrywane przez panią Sanford w jej domu. Myśleliśmy, że pan może chciałby... że...

Po raz pierwszy w życia April zapomniała języka w buzi!

Archie wyrwał siostrze paczuszkę i wetknął ją w garść panu Holbrookowi.

— Ojej, niech pan weźmie — powiedział.

Henry Holbrook rozerwał opakowanie. Fotografia wypadła mu z rąk. Harriet Holbrook — czyli Ardena — schyliła się szybko i podniosła ją z okrzykiem radości.

— Tatusiu! Ta fotka, której tak szukałam w całym domu! Przyda się doskonale do wywiadu w prasie: jak zaczęłam od występów w music-hallu, a doszłam...

Henry Holbrook przeglądał listy. W oczach miał wyraz radości i jakby zmieszanie.

— Harriet, czyś ty...

— Chodźmy stąd! — szepnęła Dina i trójka Carstairsów wycofała się chyłkiem. Holbrookowie, zajęci sobą, wcale tego nie zauważyli.

— Tak się czuję — powiedziała April — jak bym niechcący w ciągu jednego dnia spełniła wszystkie dobre uczynki zaplanowane na następne trzy lata. Wstąpmy teraz do Luke'a. Ciekawam, czy grubas zamówił dla nas syrop.

Dina jednak potrząsnęła głową.

— Teraz do domu! Ani chwili do stracenia. Czy nie pamiętasz, że matka umówiła się na dzisiejszy wieczór? Dziennikarze chyba już sobie poszli.

— Masz rację — westchnęła April. — Dziś czeka nas moc roboty. Idziemy prosto do domu... Archie, przestań rzucać kamieniami w kota pana Holbrooka. Że cię podrapał, to jeszcze nie powód, żeby kamieniować stworzenie boskie...

ROZDZIAŁ 28

Rozmowa, którą tego wieczora miała stoczyć matka, była bardzo ważna, Jak więc powinna się ubrać? Dina opowiedziała się za kolorem niebieskim, ponieważ niedawno przeczytała w żurnalu mód, że mężczyźni ze wszystkich, kolorów najlepiej lubią niebieski. April jednak wolała różowy, w którym matka wyglądała jej zdaniem cudownie. Dziewczynki sprzeczały się na ten temat pochłaniając sandwicze i wypijając resztki coca-coli, nie doszły do porozumienia i później, przygotowując obiad wspólnymi siłami. A gdy już stół był nakryty i wszystko gotowe, zorientowały się nagle, że przez całe popołudnie z pokoju na pierwszym piętrze dobiegał ich uszu znajomy hałas, tak znajomy, że nie spostrzegły go dotychczas.

Pobiegły na górę, zapukały, weszły.

— Mamusiu! — surowo powiedziała Dina.

Matka nie podniosła głowy znad maszyny. Biurko zaścierała gruba warstwa papierów, kartek, notatek, maszynopisów, encyklopedii podręcznych, zużytej kalki oraz pustych pudełek od papierosów. Matka zrzuciła buciki i stopami oplatając nogi stolika, powstrzymywała jego drgawki. Włosy miała spięte byle jak na czubku głowy, a na nosie czarną smugę od kalki. Ubrana była w najstarsze robocze spodnie.

— Ej! matko! — zawołała April.

Matka przerwała pisanie i podniosła oczy na córki. Uśmiechnęła się z roztargnieniem.

— Zaczęłam nową książkę — oznajmiła. — Świetnie mi idzie.

Dina westchnęła:

— Czy nie chce ci się jeść?

Matka trochę się speszyła.

— A wiesz, rzeczywiście, trochę jestem głodna. Zapomniałam o lunchu, Dziękuję ci, że mi przypomniałaś.

Wstała, wsunęła nogi w pantofle, chwyciła kilka arkusików w rękę i ruszyła w stronę schodów. Kleksik i Apsik wylazły spod krzesła i poszły trop w trop za panią. Trójka

Carstairsów również.

Matka minęła drzwi jadalni i weszła do kuchni. Uśmiechając się z roztargnieniem do dzieci, powiedziała:

— Zróbcie dla siebie, co chcecie. Ja usmażę jajko i jedząc poprawię tych parę kartek maszynopisu.

— Ależ mamusiu! — odparła Dina. — To nie lunch! To już...

April dała siostrze kuksańca:

— Cicho bądź! Nie denerwuj mamusi. Widzisz, że jest zajęta.

Z przejęciem — i ze zgrozą — troje Carstairsów patrzyło na to, co teraz nastąpiło. Matka rozbiła jajko na małą emaliowaną patelnię. Postawiła na kuchennym stole talerz, chleb, masło, szklankę z mlekiem, wyjęła z szuflady widelec. Z oczyma wbitymi w maszynopis raz po raz ołówkiem poprawiała jakieś słowo, skreślała, dodawała. W pewnej chwili zgasiła gaz pod patelnią i siadła przy stole, zatopiona w lekturze.

— Ojej, April! — szepnął Archie.

— Pss! — uciszyła go April.

Matka powoli jadła chleb z masłem, piła mleko, nie przestając czytać maszynopisu. Gdy doszła do ostatniej kartki, wstała, odniosła talerzyk i szklankę do zmywalni, wypłukała je, odstawiła. I wyszła z kuchni. Jajko zostało na patelni.

Dina z westchnieniem oddała jajko kociętom, które pożarły je łapczywie.

— No, trudno! — powiedziała, — Jak wygłodnieje, przyjdzie coś zjeść. Możemy sami siadać do obiadu.

— Ale Bill Smith ma przyjść dziś wieczorem! — przypomniała April. — A matka nie uczesana. Nie umalowana. I nie w różowej sukni...

— Nie w niebieskiej sukni — poprawiła Dina. — Może skończy rozdział, nim będzie za późno.

— Ojej, wiecie co? — odezwał się Archie zasiadając na swoim miejscu przy stole. — Wiecie co? A jak nie skończy dziś rozdziału?

— Musi! — powiedziała Dina.

Lecz maszyna terkotała bez przerwy przez cały czas obiadu. Terkotała dalej, gdy troje młodych Carstairsów wyniosło brudne talerze do kuchni i zabierało się do zmywania. Terkotała również, gdy u drzwi wejściowych zabrzmiał dzwonek.

Dina i April spojrzały na siebie wzajem.

— Ha! Trudno! — rzekła April. — Musimy wziąć sprawę w nasze ręce.

Bill Smith miał nowy krawat, włosy gładko przyczesane. Zdawał się nieco zdenerwowany.

— Dobry wieczór. Marian w domu?

— Proszę, niech pan siada — odparła Dina,

Patrzył na nią, nie rozumiejąc.

— Siadać! — srogo krzyknęła April. — Mamy z panem do pomówienia.

W dziesięć minut później troje młodych Carstairsów wkroczyło do pokoju matki. Marian wsuwała właśnie nową kartkę na wałek maszyny.

— Mamusiu — oznajmiła Dina — Bill Smith przyszedł.

Matka zostawiła arkusik na wpół wetknięty w maszynę. Zaczerwieniła się nagle. Schyliła się po pantofle.

— Zaraz schodzę — powiedziała.

— Chwileczkę! — odezwała się April. — Musimy się przedtem rozmówić.

— Ojej, mamusiu! — pisnął Archie.

— Cicho, Archie! — fuknęła Dina, — Mamusiu, powiedz szczerze: lubisz Billa?

Matka, zdumiona, kiwnęła głową.

— Lubię, owszem.

— Ale czy go lubisz tak... — April urwała i nabrała tchu: — Tak, żeby się zakochać?

Matka krzyknęła cicho. Patrzała na swoje dzieci osłupiała.

Dina zabrała głos:

— Czy możesz się w nim zakochać i wyjść za niego za mąż?

Matka miała teraz policzki szkarłatne.

— Ja... Ależ... On pewnie wcale nie chce się ze mną ożenić! — wyjąkała.

— Owszem, chce — chórem powiedziały Dina i April.

— Co?... Skąd? Skąd wiecie?

— Hura! — wrzasnął Archie. — Spytaliśmy go!

Matka spojrzała w twarze dzieci. Nagle zerwała się i pędem zbiegła po schodach,

— Mamusiu! — krzyknęła za nią Dina. — Niebieska suknia!

— Mamusiu! — jęknęła April. — Loki! Róż!

Marian nie słyszała nic. Wpadła jak bomba do saloniku. Dzieci szły za nią osowiałe, serca biły im mocno.

— Marian! — ze śmiechem zawołał Bill Smith. — Ta twoja trójka! — I po chwili: — Marian, jakaś ty śliczna!

Troje małych Carstairsów ujrzało w tej chwili twarz swojej matki ponad ramieniem porucznika. Była rzeczywiście śliczna.

Wycofali się więc na palcach do kuchni i taktownie zamknęli drzwi.

W chwilę później na ganku kuchennym pojawił się sierżant O'Hare. Oblicze jego promieniało, pod pachą trzymał wielkie pudło czekoladek.

— Winszuję, winszuję — powiedział. — Jak widzę, spisek się udał.

— Skąd pan wie? — spytali niemal wszyscy na raz.

Sierżant uśmiechnął się od ucha do ucha.

— Od początku wiedziałem. Mnie nikt nie nabierze. Wychowałem własnych dzieciocioro...

SPIS TREŚCI

OSOBY:	3
Alfabet tajemnego języka mum-mum	5
ROZDZIAŁ 1	6
ROZDZIAŁ 2	16
ROZDZIAŁ 3	25
ROZDZIAŁ 4	33
ROZDZIAŁ 5	41
ROZDZIAŁ 6	51
ROZDZIAŁ 7	59
ROZDZIAŁ 8	69
ROZDZIAŁ 9	76
ROZDZIAŁ 10	84
ROZDZIAŁ 11	94
ROZDZIAŁ 12	106
ROZDZIAŁ 13	114
ROZDZIAŁ 14	128
ROZDZIAŁ 15	138
ROZDZIAŁ 16	147
ROZDZIAŁ 17	157
ROZDZIAŁ 18	164
ROZDZIAŁ 19	174
ROZDZIAŁ 20	181
ROZDZIAŁ 21	191

ROZDZIAŁ 22	197
ROZDZIAŁ 23	203
ROZDZIAŁ 24	213
ROZDZIAŁ 25	219
ROZDZIAŁ 26	226
ROZDZIAŁ 27	230
ROZDZIAŁ 28	236